Twórca bestsellerowych thrillerów:
OFICERA I SZPIEGA, ENIGMY i AUTORA WIDMO

ROBERT HARRIS

POMPEJE

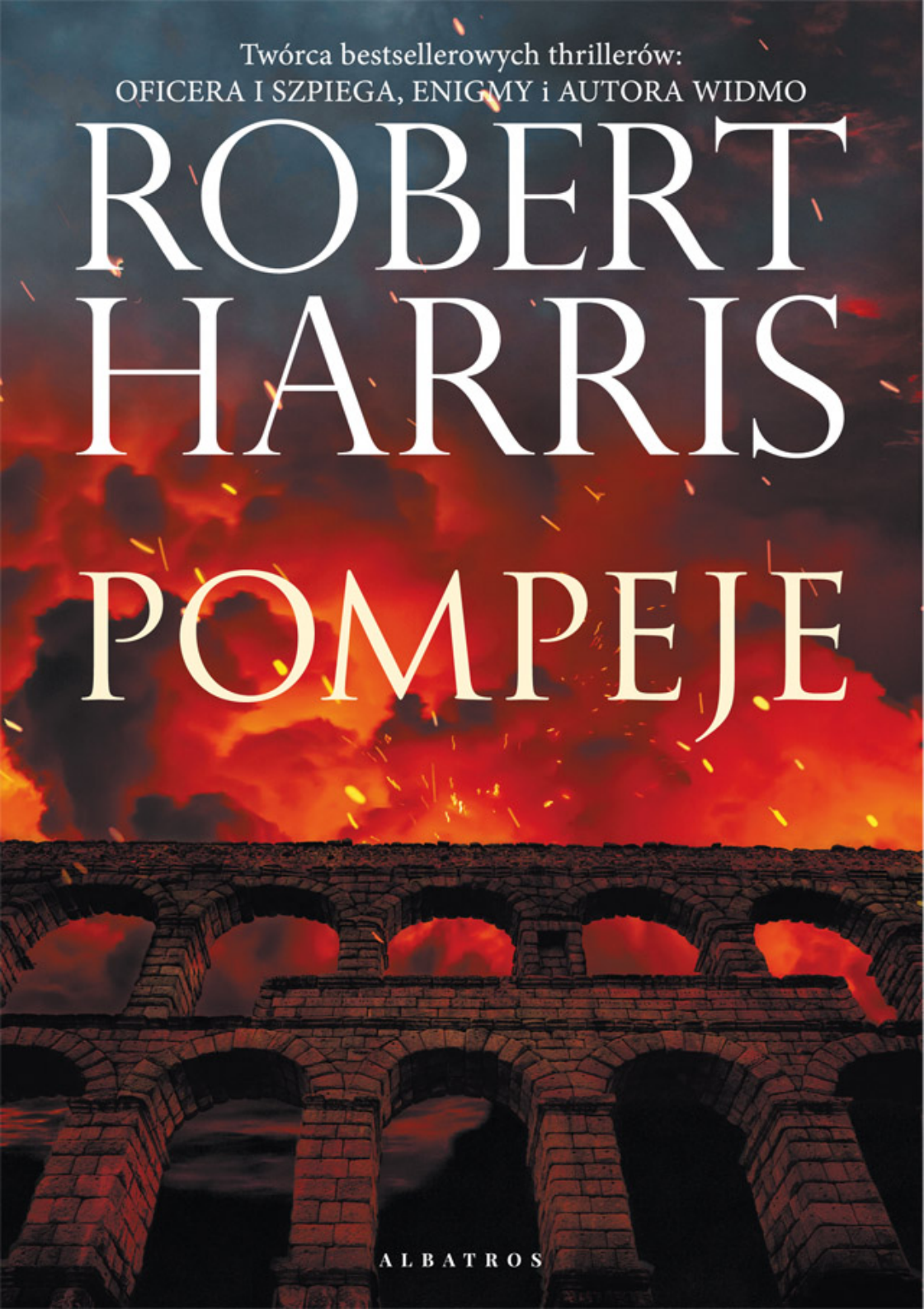

ALBATROS

ROBERT HARRIS

POMPEJE

Z angielskiego przełożył
Andrzej Szulc

ALBATROS

Wydanie elektroniczne

ROZGRYWAJĄCY SIĘ W STAROŻYTNOŚCI THRILLER, KTÓRY MA MOC WYBUCHAJĄCEGO WULKANU.

W Rzymie są dwie równie cenne rzeczy – złoto i woda. Kiedy ludziom zaczyna brakować tej drugiej, do Pompejów rusza ekspedycja mająca naprawić potężny akwedukt.

Na miejscu okazuje się, że tysiącom ludzi grozi niebezpieczeństwo. A komuś bardzo zależy, by miasto się o tym nie dowiedziało.

Upalne lato w 79 roku. Bogaci obywatele Imperium Rzymskiego ucztują i zażywają kąpieli w swoich willach nad Zatoką Neapolitańską. Nic nie mąci ich dobrego samopoczucia.

Tylko jeden człowiek ma powody do niepokoju – młody inżynier Atiliusz Primus, od niedawna zarządzający olbrzymim akweduktem dostarczającym wodę do dziewięciu miast wokół zatoki. Jego poprzednik zaginął w tajemniczych okolicznościach. Atiliusz próbuje wyjaśnić zagadkę zatrutych ryb, które pojawiły się w basenie uwikłanego w przestępcze interesy Ampliatusa. Wspiera go córka tego wpływowego mężczyzny, nienawidząca ojca Korelia.

Z różnych stron nadchodzą pierwsze sygnały zbliżającego się kataklizmu – w miejskich zbiornikach spada poziom wody. Atiliusz podejrzewa, że źródłem tych zdarzeń jest górujący nad zatoką Wezuwiusz. Po przybyciu do Pompejów orientuje się jednak, że poza niepokojącymi zjawiskami naturalnymi w mieście dzieje się coś jeszcze.

Wkrótce przekona się, że istnieją siły, nad którymi ani człowiek, ani nawet bogowie nie są w stanie zapanować.

Robert Harris

Brytyjski pisarz i dziennikarz; pracował m.in. dla BBC i jako komentator polityczny dla „The Observer". Autor kilku książek popularnonaukowych, ale przede wszystkim czternastu przetłumaczonych na czterdzieści języków powieści: thrillerów – **Vaterland**, **Enigma**, **Archangielsk**, **Autor widmo**, **Indeks strachu**, **Konklawe**, **Monachium**, **Drugi sen**, **V2** (pierwsze cztery zostały sfilmowane) – a także powieści historycznych z elementami sensacji – **Pompeje**, **Oficer i szpieg** oraz „Trylogia rzymska", w której ukazały się **Cycero**, **Spisek** i **Dyktator**.

Niedawno na platformie Netflix pojawił się film na podstawie książki Harrisa **Monachium**. W rolę premiera Wielkiej Brytanii, Neville'a Chamberlaina, wcielił się w nim Jeremy Irons.

Tego autora

VATERLAND
ENIGMA
ARCHANGIELSK
POMPEJE
AUTOR WIDMO
INDEKS STRACHU
OFICER I SZPIEG
KONKLAWE
MONACHIUM
DRUGI SEN
V2

Trylogia rzymska
CYCERO
SPISEK
DYKTATOR

Tytuł oryginału:
POMPEII

Copyright © Robert Harris 2003
All rights reserved
Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2023
Polish translation copyright © Andrzej Szulc 2004

Redakcja: Beata Słama
Konsultacja historyczna: prof. Zbigniew Mikołejko
Projekt graficzny okładki: Kasia Meszka
Zdjęcia na okładce: Wirestock Creators/Shutterstock (*akwedukt*);
Relight Motion/Shutterstock (*iskry*); Evan Austen/Shutterstock (*wybuch wulkanu*);
Alesia Kozik/Pexels (*niebo*)

ISBN 978-83-6775-977-9

ALBATROS

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hlonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com
Facebook.com/WydawnictwoAlbatros|Instagram.com/wydawnictwoalbatros

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Konwersja do formatu EPUB oraz MOBI
Katarzyna Rek
woblink
woblink.com

SPIS TREŚCI:

Okładka
Karta tytułowa
Karta redakcyjna
Od autora
MARS
- Conticinium
- Hora undecima
- Hora duodecima
- Vespera
- Nocte Intempesta

MERKURY
- Diluculum
- Hora Quarta
- Hora Quinta
- Hora Sexta
- Hora Septa
- Hora Duodecima
- Vespera
- Nocte Concubia

JUPITER
- Hora Prima
- Hora Quarta
- Hora Sexta
- Hora Nona
- Vespera

WENUS
- Inclinatio
- Diluculum
- Hora altera

Podziękowania

Dla Gill

OD AUTORA

Rzymianie dzielili dzień na dwanaście godzin. Pierwsza, *hora prima*, zaczynała się o wschodzie słońca. Ostatnia, *hora duodecima*, kończyła się o zachodzie.

Noc była podzielona na osiem wacht – *Vespera*, *Prima fax*, *Concubia* i *Intempesta* przed północą, oraz *Inclinatio*, *Gallicinium*, *Conticinium* i *Diluculum* po niej.

Dni tygodnia brały swoje nazwy od ciał niebieskich: Księżyca, Marsa, Merkurego, Jupitera, Wenus, Saturna i Słońca.

Akcja *Pompejów* rozgrywa się w ciągu czterech dni.

W czwartym tygodniu sierpnia 79 roku n.e. słońce w Zatoce Neapolitańskiej wschodziło mniej więcej dwadzieścia po szóstej.

Amerykańska przewaga we wszystkich dziedzinach nauki, ekonomii, przemysłu, polityki, biznesu, medycyny, inżynierii, życia społecznego, systemu prawnego i oczywiście na polu militarnym była całkowita i niepodważalna. Nawet Europejczycy cierpiący na bolesną kolkę szowinizmu spoglądali z podziwem na wspaniały przykład, który Stany Zjednoczone dawały światu u zarania trzeciego tysiąclecia.

Tom Wolfe, *Hooking Up*

W całym tedy świecie, jak daleko tylko sklepienie nieba sięga, najpiękniejsza jest Italia i słusznie ma w przyrodzeniu pierwszeństwo ze swoich płodów. Przez swoje męże, niewiasty, wodze, żołnierze, niewolniki, wyborne sztuki, sławne geniusze, położenie, zdrowy i umiarkowany klimat jest drugą rządczynią i matką świata…

Pliniusz, *Historia naturalna*, przeł. Józef Łukaszewicz

Jak możemy nie podziwiać systemu wodociągów, który w pierwszym stuleciu naszej ery dostarczał miastu Rzymowi znacznie więcej wody, aniżeli dostarczano jej w 1985 roku do Nowego Jorku.

A. Trevor Hodge, autor książki *Roman Aqueducts & Water Supply*

MARS

22 sierpnia
Dwa dni przed erupcją

CONTICINIUM

(godzina 4.21)

> *Obserwuje się silną korelację między rozmiarami erupcji i długością poprzedzającego ją okresu spoczynku. Prawie wszystkie wielkie historyczne erupcje były erupcjami wulkanów uśpionych przez wieki.*
>
> Jacques-Marie Bardintzeff, Alexander R. McBirney
> *Volcanology* (drugie wydanie)

Opuścili akwedukt na dwie godziny przed świtem i wspięli się w świetle księżyca na wzgórza, z których roztaczał się widok na port. Sześciu idących gęsiego mężczyzn, z inżynierem na czele. Kiedy ich budził, zwlekali się z łóżek ze zdrętwiałymi kończynami i posępnymi, spuchniętymi twarzami. Teraz słyszał, jak narzekają za jego plecami. Ich głosy brzmiały wyraźniej, niż sądzili, w ciepłym nieruchomym powietrzu.

– To czysta głupota – mruknął któryś.

– Chłopcy powinni siedzieć w domu nad książkami – dodał inny.

Niech paplają, pomyślał, wydłużając krok.

Już teraz czuł, jak narasta poranny upał, zapowiedź kolejnego dnia bez deszczu. Był młodszy od większości swoich pracowników i niższy od nich wszystkich: krępy, muskularny mężczyzna z krótko ostrzyżonymi brązowymi włosami. Trzonki narzędzi, które niósł na ramieniu, ciężkiego topora z ostrzem z brązu oraz drewnianej łopaty, ocierały się o jego opalony kark. Mimo to wyciągał jak mógł gołe nogi, przeskakując z kamienia na kamień, i dopiero znalazłszy się wysoko nad Misenum, w miejscu gdzie rozwidla się ścieżka, zdjął z ramienia narzędzia i poczekał, aż pozostali go dogonią.

Rękawem tuniki otarł pot, który zalewał mu oczy. Jakie rozpalone, rozmigotane niebo mają tutaj na południu! Nawet przed samym brzaskiem gwiaździsty firmament ciągnie się aż po horyzont. Dostrzegł rogi Byka, a także pas i miecz Oriona; widać też było Saturna, Niedźwiedzia oraz gwiazdozbiór o nazwie Vintager, który pojawiał się zawsze na cześć Cezara dwudziestego drugiego sierpnia, po święcie Vinaliów, na znak, że pora zacząć winobranie. Na następną noc przypadała pełnia księżyca.

Podniósł rękę ku niebu – czarne, szerokie palce rysowały się ostro na tle rozświetlonych konstelacji – rozpostarł ją, zacisnął, znowu rozpostarł i przez moment wydawało mu się, że jest tylko cieniem, nicością; materią było światło.

Od strony portu dobiegł plusk wioseł łodzi patrolowej, która lawirowała pomiędzy zakotwiczonymi triremami*. Na zatoce błyskało kilka żółtych latarni na rybackich łódkach. Zaszczekał gdzieś pies i po chwili zawtórował mu inny. A potem rozległy się głosy jego ludzi, którzy wspinali się powoli biegnącą niżej ścieżką: twardy lokalny akcent nadzorcy, Koraksa: „Patrzcie, nasz nowy akwariusz pozdrawia

gwiazdy!”, i parskający szyderczym śmiechem, zasapani niewolnicy oraz ludzie wolni, zrównani ten jeden jedyny raz we wspólnej niechęci.

Inżynier opuścił rękę.

– Przy takim niebie nie potrzebujemy przynajmniej pochodni – powiedział. Nagle poczuł przypływ energii. Pochylił się, podniósł narzędzia i zarzucił je na ramię. – Musimy ruszać dalej. – Wbił wzrok w ciemność. Jedna ze ścieżek prowadziła na zachód, wzdłuż brzegu morskiej bazy. Druga na północ, ku nadmorskiemu kurortowi Baje. – Myślę, że skręcimy w tę stronę.

– On myśli – zakpił Koraks.

Inżynier już poprzedniego dnia uznał, że najlepiej poradzi sobie z nadzorcą, ignorując go. Odwrócił się bez słowa plecami do morza i gwiazd i zaczął wspinać się ciemnym zboczem. Na czym w końcu polega przywództwo, jeśli nie na dokonywaniu na ślepo wyborów i udawaniu, że decyzja została podjęta na podstawie racjonalnych przesłanek?

Ścieżka była tutaj bardziej stroma. Musiał iść bokiem, pomagając sobie czasami wolną ręką. Stopy ślizgały się na kamieniach, które osypywały się w mrok. Ludzie uważali, że te wypalone letnimi pożarami brązowe wzgórza są suche niczym pustynia, jednak inżynier wiedział, że jest inaczej. Mimo to czuł, jak słabnie w nim pewność siebie. Próbował przypomnieć sobie, jak wyglądała ścieżka w popołudniowym słońcu, kiedy przemierzał ją po raz pierwszy. Kręty szlak, którym z trudem można było poprowadzić muła. Połacie wypalonej trawy. A potem, w miejscu, gdzie teren stawał się równy, cętki jasnej zieleni na czarnym tle – oznaki życia, które były tylko wijącymi się po głazie pędami bluszczu.

Pokonał połowę wzniesienia, cofnął się, zatrzymał i powoli obrócił dookoła. Albo jego oczy przywykły do mroku, albo zbliża się świt. W tym drugim przypadku nie mieli już prawie czasu. Robotnicy zatrzymali się za jego plecami. Słyszał ich ciężkie oddechy. Oto kolejna opowieść, z którą wrócą do Misenum – o tym, jak nowy młody akwariusz wyciągnął ich z łóżek, kazał maszerować po wzgórzach w środku nocy, co okazało się czystą głupotą. W ustach czuł smak popiołu.

– Zgubiliśmy się, przystojniaku?

Rozpoznał szyderczy głos Koraksa i popełnił błąd, dając się sprowokować.

– Szukam kamienia – wyjaśnił.

Tym razem nie próbowali nawet stłumić śmiechu.

– Biega naokoło jak mysz w latrynie.

– Wiem, że gdzieś tu jest. Oznaczyłem go kredą.

Kolejne wybuchy śmiechu. W tym momencie odwrócił się w ich stronę. Spojrzał na barczystego, przysadzistego Koraksa, długonosego Bekko, który był sztukatorem, pucołowatego Musę, znającego się na kładzeniu cegieł, oraz dwóch niewolników, Politesa i Korwinusa. Nawet fakt, że trudno ich było rozpoznać w ciemności, wydawał się wymierzoną w niego kpiną.

– Śmiejcie się. Dobrze. Ale obiecuję wam, że albo znajdziemy go przed świtem, albo wszyscy wrócimy tutaj jutro w nocy. Łącznie z tobą, Gawiuszu Koraksie. Tyle że następnym razem masz być trzeźwy.

Cisza. Koraks splunął, dał pół kroku do przodu, a inżynier zacisnął pięści. Awantura wisiała w powietrzu, odkąd przed trzema dniami przybył do Misenum. Nie było godziny, żeby Koraks nie próbował podważyć jego autorytetu w obecności innych.

Jeśli dojdzie do bójki, pomyślał inżynier, on wygra. Było ich pięciu na jednego. Zrzucą jego ciało z urwiska i powiedzą, że poślizgnął się w ciemności. Ale jak w Rzymie przyjmą fakt, że w przeciągu niecałych dwóch tygodni zaginął drugi akwariusz wodociągu Aqua Augusta?

Przez dłuższą chwilę stali naprzeciwko siebie, oddaleni tylko o krok, tak blisko, że inżynier czuł, jak starszemu mężczyźnie zalatuje z ust kwaśnym winem. A potem któryś z nich, to był Bekko, krzyknął podniecony i wskazał coś palcem. Na głazie tuż nad ramieniem Koraksa widniał gruby biały krzyż.

• • •

Inżynier nazywał się Atiliusz – pełne nazwisko brzmiało Marek Atiliusz Primus, ale zadowalało go proste Atiliusz. Będąc człowiekiem praktycznym, nie miał nigdy czasu na wymyślanie wszystkich tych przydomków, w których tak gustowali jego rodacy. („Lupus”, „Panthera”, „Pulcher”: „Wilk”, „Pantera”, „Urodziwy” – kogóż, do diaska, spodziewali się nabrać?). Poza tym jakież inne nazwisko zasłużyło się bardziej w dziejach jego profesji aniżeli rodu Atiliów, inżynierów wodnych od czterech pokoleń? Jego pradziad został zatrudniony przez Marka Agryppę z sekcji balistów Legionu XII „Fulminata” i posłany do pracy przy Aqua Julia. Jego dziadek projektował Anio Novus, ojciec zaś dokończył budowę Aqua Claudia, doprowadzając ją siedmiomilowymi arkadami aż do Eskwilinu i kładąc niczym srebrny dywan u stóp cesarza w dniu jej poświęcenia. A teraz on, w wieku dwudziestu siedmiu lat, został wysłany na południe, do Kampanii, i obejmował nadzór nad Aqua Augusta.

Dynastia zbudowana na wodzie!

Zmrużył oczy, wpatrując się w mrok. Cóż to za wspaniały akwedukt – jedno z największych osiągnięć inżynierii, jakie kiedykolwiek powstały. Nadzorowanie go będzie zaszczytem. Daleko, po drugiej stronie zatoki, w porośniętych sosnami wysokich Apeninach Aqua Augusta pobierała wodę ze źródeł Arinusa i niosła ją na zachód krętymi podziemnymi tunelami spinającymi urwiste zbocza, wielokondygnacyjnymi mostami, potężnymi syfonami, dzięki którym pokonywała doliny, płynąc w dół, ku równinom Kampanii, dookoła Wezuwiusza, na południe do Neapolu, a potem wzdłuż półwyspu Misenum do pokrytego kurzem portowego miasta o tej samej nazwie, przemierzając łącznie około sześćdziesięciu mil, przy zachowanym przez cały czas nieznacznym spadku, który wynosił zaledwie dwa cale na siedemdziesiąt kroków. Była najdłuższym akweduktem na świecie, dłuższym nawet od wielkich akweduktów Rzymu i znacznie bardziej skomplikowanym, ponieważ jej siostry na północy zasilały tylko jedno miasto, a serpentynowy kanał Augusty – *matrix*, jak go nazywali, macierz – poił co najmniej dziewięć miast położonych przy Zatoce Neapolitańskiej: najpierw Pompeje, do których prowadziła długa boczna odnoga, następnie zaś Nolę, Acerrae, Atellę, Neapol, Puteoli, Kume, Baje i na koniec Misenum.

I na tym właśnie polega problem, pomyślał inżynier. Za dużo od niej zależy. Rzym ma w końcu ponad pół tuzina akweduktów; jeżeli jeden z nich zawiedzie, niedobory uzupełnia inny. Ale tutaj nie ma żadnych rezerw, zwłaszcza w trakcie tej suszy, która trwa już ponad dwa miesiące. Studnie, które od pokoleń zapewniały wodę, zmieniły się w wypełnione pyłem doły. Strumienie wyschły. Koryta rzek stały się traktami, którymi rolnicy gnają na targ swoje zwierzęta. Nawet Augusta zdradzała symptomy wyczerpania: poziom jej olbrzymiego zbiornika obniżał się z godziny na godzinę i to właśnie przywiodło go tu przed świtem, kiedy powinien jeszcze leżeć w łóżku.

Ze skórzanej sakiewki przy pasie wyciągnął mały klocek polerowanego cedru z wyżłobionym po jednej stronie zagłębieniem na podbródek. Słoje lśniącego drewna wygładzone zostały przez skórę jego

przodków. Pradziad Atiliusza otrzymał podobno klocek w charakterze talizmanu od Witruwiusza, architekta boskiego Augusta**. Starzec utrzymywał, że żyje w tym kawałku drewna duch Neptuna, boga wody. Atiliusz nie miał czasu zajmować się bogami – młodzieńcami ze skrzydłami u stóp, pływającymi na delfinach kobietami i siwowłosymi starcami, którzy w porywach gniewu ciskali pioruny ze szczytów gór – to opowieści dla dzieci, nie dla mężczyzn. Zamiast tego wierzył w kamień, wodę i cud dnia powszedniego, który miał miejsce, gdy mieszało się dwie części lasowanego mułu z pięcioma częściami puteolanum – miejscowego czerwonego piasku – tworząc krzepnącą pod wodą substancję o konsystencji twardszej od skały.

Mimo to tylko głupiec mógł zaprzeczyć, że istnieje coś takiego jak szczęście, i jeśli miała mu je przynieść rodzinna pamiątka… Atiliusz przesunął palcem po skraju klocka. Gotów był spróbować wszystkiego.

Zostawił zwoje Witruwiusza w Rzymie. Nie miało to zresztą znaczenia. Ich treść wbijano mu do głowy od dzieciństwa, podczas gdy inni chłopcy czytali Wergiliusza. Potrafił recytować z pamięci całe ustępy.

Oto rośliny, które znalezione są oznakami wody: sitowie chude, dzika wierzba, olcha, werbena, bluszcz i inne rzeczy tego rodzaju, które nie mogą występować bez wilgoci…

– Koraksie, stań tam dalej – rozkazał. – Korwinusie, tam. Bekko, weź palik i oznacz miejsce, które ci wskażę. Wy dwaj: miejcie oczy szeroko otwarte.

Przechodząc, Koraks spojrzał na niego spode łba.

– Później – mruknął Atiliusz.

Nadzorca cuchnął nienawiścią prawie tak mocno jak winem, ale będą mieli dosyć czasu na rozstrzygnięcie sporu po powrocie do Misenum. Teraz muszą się pośpieszyć.

Z gwiazd opadała szara gaza. Księżyc zaszedł. Piętnaście mil dalej na wschód, w połowie linii brzegowej zatoki, wyłaniała się z mroku zalesiona piramida Wezuwiusza. Słońce miało wzejść właśnie zza niej.

Oto jak sprawdzić obecność wody: przed wschodem słońca położyć się na brzuchu w miejscu, w którym mają być prowadzone poszukiwania, i z podbródkiem opartym o ziemię lustrować teren. Dzięki temu linia widzenia nie podniesie się wyżej, niż powinna, ponieważ podbródek będzie nieruchomy…

Atiliusz ukląkł na spalonej trawie, pochylił się do przodu i ustawił klocek na linii wiodącej ku oddalonemu o pięćdziesiąt kroków narysowanemu kredą krzyżowi. Następnie oparł podbródek w zagłębieniu i rozpostarł ramiona. Ziemia była ciepła po wczorajszym dniu. Kiedy się położył, wionęło mu w twarz drobinami popiołu. Ani jednej kropli rosy. Siedemdziesiąt osiem dni bez deszczu. Świat się wypalał. Kątem oka zobaczył, że Koraks wykonuje obsceniczny gest, wysuwając do przodu krocze. „Nasz akwariusz nie ma żony, więc próbuje wyjebać zamiast tego Matkę Ziemię!” Nagle znajdujący się po jego prawej stronie Wezuwiusz pociemniał i strzeliło zza niego światło. Ciepły promień dotknął policzka Atiliusza. Zerkając na zbocze, musiał podnieść dłoń i osłonić oczy przed blaskiem.

Trzeba kopać w tych miejscach, gdzie widać ulatniającą się i unoszącą w powietrzu wilgoć, ponieważ takie zjawisko nie może zajść w suchej okolicy…

„Zobaczysz to od razu – powtarzał mu ojciec – albo nie zobaczysz w ogóle”. Starał się lustrować teren szybko i metodycznie, obejmując wzrokiem kolejne jego wycinki. Wszystko jednak zlewało się ze

sobą – spieczone połacie brązów i szarości oraz pasma czerwonawej ziemi, nad którą zaczynało już drgać gorące powietrze. Obraz rozmazywał mu się przed oczyma. Uniósł się na łokciu, otarł oczy palcem wskazującym i ponownie oparł podbródek na klocku.

Tam!

Była cienka niczym rybacka żyłka i wcale nie „ulatniała się", nie „unosiła", jak utrzymywał Witruwiusz, lecz smużyła przy samej ziemi, jakby haczyk wędki zaczepił się o kamień i ktoś go szarpał. Sunęła zygzakiem w jego stronę. A potem znikła.

– Tam, Bekko, tam! – wrzasnął, wskazując ręką, i sztukator rzucił się w tamtą stronę. – Cofnij się. Tak. Tam. Oznacz to miejsce.

Poderwał się na nogi i podbiegł do nich, strzepując z tuniki czerwony pył i czarny popiół, uśmiechając się i trzymając przed sobą magiczny cedrowy klocek. Wszyscy trzej stanęli dookoła. Bekko próbował wbić palik, który nie wchodził jednak wystarczająco głęboko w twardy grunt.

Atiliusz triumfował.

– Widzieliście to? Musieliście to widzieć. Staliście bliżej ode mnie.

Gapili się na niego obojętnie.

– Wyglądało dziwnie, prawda? Unosiło się w ten sposób – mówił, przecinając powietrze poziomymi ruchami dłoni. – Niczym para idąca z kotła, którym ktoś potrząsnął.

Wpatrywał się w nich kolejno i uśmiech powoli gasł na jego wargach.

Koraks pokręcił głową.

– Oczy płatają ci figle, przystojniaku. Nie ma tutaj żadnego źródła. Mówiłem ci. Chodzę po tych wzgórzach od dwudziestu lat.

– A ja ci mówię, że widziałem.

– To był dym. – Koraks kopnął suchą ziemię, z której uniósł się obłoczek pyłu. – Korzenie mogą się tlić pod ziemią całymi dniami.

– Wiem, jak wygląda dym. I wiem, jak wygląda para. To była para.

Udają ślepych. Na pewno udają. Atiliusz ukląkł, poklepał suchą czerwoną ziemię, a potem zaczął kopać gołymi rękami; wsuwał palce pod kamyki i odrzucał je na bok, szarpał długą zwęgloną bulwę, która nie chciała ustąpić. Coś się stąd wydobyło. Był tego pewien. Jakim cudem bluszcz zdołał tak szybko odrosnąć, jeśli nie ma tu źródła?

– Przynieście narzędzia – rzucił, nie odwracając się.

– Akwariuszu…

– Przynieście narzędzia!

• • •

Kopali przez cały ranek, podczas gdy słońce wspinało się powoli nad błękitnym paleniskiem zatoki, przeistaczając się z żółtego dysku w białą gwiazdę. Ziemia skrzypiała i prężyła się w upale niczym cięciwa jednej z gigantycznych machin oblężniczych jego pradziada.

Raz przeszedł koło nich jakiś chłopiec, ciągnąc na kantarze wynędzniałego kozła, którego prowadził w stronę miasta. Był jedynym człowiekiem, jakiego zobaczyli. Misenum leżało schowane za skrajem urwiska. Co jakiś czas dobiegały stamtąd różne dźwięki – wykrzykiwane komendy w szkole wojskowej, stukot młotków, piłowanie drewna w stoczni.

Atiliusz, w nasuniętym na twarz starym słomkowym kapeluszu, harował najciężej ze wszystkich. Inni wymykali się co jakiś czas, żeby położyć się w skrawku cienia, który zdołali znaleźć, ale on nie przestawał machać kilofem. Trzonek był mokry od potu i ślizgał mu się w rękach. Na dłoniach wyskoczyły pęcherze. Tunika przykleiła się do pleców niczym druga skóra. Nie zamierzał jednak okazywać słabości przy podwładnych. Nawet Koraks po jakimś czasie ucichł.

Dół, który w końcu wykopali, miał głębokość dwóch mężczyzn i był tak szeroki, że mogli w nim dwaj pracować. I owszem, znajdowało się tam źródło, tyle że umykało, kiedy tylko się do niego zbliżali. Kopali. Rdzawa ziemia na dnie dołu robiła się wilgotna. A potem szybko wysychała w promieniach słońca. Odkopywali kolejną warstwę i cały proces powtarzał się od nowa.

Dopiero o godzinie dziesiątej, gdy słońce minęło zenit, Atiliusz uznał się za pokonanego. Kiedy ostatnia plama wody wyparowała, wbił kilof w skraj dołu, podciągnął się do góry, zdjął kapelusz i zaczął wachlować nim płonące policzki. Koraks siedział na skale i obserwował go. Atiliusz po raz pierwszy spostrzegł, że nadzorca jest łysy.

– Zagotuje ci się mózg w tym upale – powiedział.

Odkorkował swój bukłak, wylał trochę wody na palce, skropił nią twarz i kark i wypił trochę. Woda była gorąca – miał wrażenie, że łyka krew.

– Urodziłem się tutaj. Upał mi nie przeszkadza. W Kampanii nazywamy to chłodem. – Koraks charknął i splunął, a potem wskazał kanciastym podbródkiem wykopany przez nich dół. – Co zrobimy z tą dziurą?

Atiliusz przyjrzał się otoczonej stertami ziemi, szpetnej wyrwie w zboczu. Pomnikowi własnej głupoty.

– Zostawimy ją tak, jak jest – odparł. – Przykryjemy tylko deskami. Kiedy spadnie deszcz, źródło tryśnie. Zobaczycie.

– Kiedy spadnie deszcz, nie będziemy potrzebowali źródła.

Atiliusz musiał przyznać mu rację.

– Moglibyśmy poprowadzić stąd rurę – powiedział w zadumie. Kiedy w grę wchodziła woda, stawał się romantykiem. Oczyma duszy widział już wiejską idyllę. – Moglibyśmy nawodnić całe zbocza. Można będzie tu zasadzić cytryny. Oliwki. Zbudować tarasy. Założyć winnice…

– Winnice! – Koraks pokręcił głową. – Więc teraz będziemy rolnikami! Posłuchaj mnie, młody ekspercie z Rzymu, coś ci powiem. Aqua Augusta nie zawiodła od ponad stulecia. I teraz też nas nie zawiedzie. Nawet kiedy ty ją nadzorujesz.

– Miejmy taką nadzieję. – Inżynier wypił resztkę wody. Czuł, że oblewa się rumieńcem wstydu, na szczęście upał skrył jego upokorzenie. Włożył na głowę kapelusz i osłonił rondem twarz. – Dobrze, Koraksie. Zbierz ludzi. Na dzisiaj tu skończyliśmy.

Wziął narzędzia i nie czekając na innych, ruszył na dół. Sami potrafią znaleźć drogę powrotną.

Musiał uważać, gdzie stawia stopy. Przy każdym kroku jaszczurki umykały przed nim w suche zarośla. Ta okolica bardziej przypominała mu Afrykę niż Italię. Kiedy dotarł do nadmorskiej drogi, wyłoniło się przed nim Misenum, falujące w gorącej mgiełce niczym oaza, pulsujące – tak mu się w każdym razie wydawało – przy wtórze cykad.

Siedziba zachodniej floty cesarstwa była triumfem Człowieka nad Naturą, ponieważ żadne miasto nie miało prawa istnieć w tym miejscu. Nie płynęła tędy rzeka, niewiele było studni i źródeł. Mimo to

boski August uznał, że Cesarstwo potrzebuje portu, z którego mogłoby kontrolować Morze Śródziemne, i oto port powstał. Ucieleśnienie rzymskiej potęgi: roziskrzone, srebrne dyski wewnętrznych i zewnętrznych basenów, lśniące w popołudniowym słońcu złote dzioby i wiszące nad wodą rufy pięćdziesięciu wojennych okrętów, zakurzony plac apelowy szkoły wojskowej, wystające ponad lasem masztów czerwone dachówki i bielone ściany cywilnego miasta.

Dziesięć tysięcy marynarzy i kolejne dziesięć tysięcy obywateli stłoczonych było na wąskim pasie ziemi, pozbawionym własnych źródeł wody pitnej. Misenum istniało wyłącznie dzięki akweduktowi.

Atiliusz pomyślał o dziwnie smużącej się nitce pary i o tym, jak źródło znikało w skale. Cóż to za dziwny kraj. Spojrzał z posępną miną na pęcherze na dłoniach.

Czysta głupota…

Pokręcił głową i mrugając szybko, żeby strząsnąć pot z powiek, ruszył ciężkim krokiem w stronę miasta.

---

* Trirema (łac. *triremis*) – okręt wojenny, na którym wioślarze zajmowali miejsca w trzech rzędach.

** Wielokrotnie wymieniany w tej książce „boski August” to Gajusz Juliusz Cezar Oktawian, adoptowany syn Juliusza Cezara i jego spadkobierca. Żył w latach 63 p.n.e.–14 n.e. Czas jego panowania to dla Rzymu okres spokoju wewnętrznego (zostały zakończone długotrwałe wojny domowe) i rozkwitu kultury i sztuki. August wprowadził szereg reform, uporządkował i zreorganizował administrację państwa, wydał też ustawy mające sprzyjać ochronie moralnej społeczeństwa.

HORA UNDECIMA

(godzina 17.42)

> *Pytaniem o znaczeniu praktycznym jest, ile czasu upływa między iniekcją świeżej magmy i następującą w wyniku tego erupcją. W wielu wulkanach okres ten może być mierzony w tygodniach lub miesiącach, w innych wydaje się znacznie krótszy i trwa być może kilka dni albo godzin.*
>
> *Volcanology* (drugie wydanie)

W Villa Hortensia, wielkiej nadmorskiej rezydencji na północnych obrzeżach Misenum, trwały przygotowania do uśmiercenia niewolnika. Miano nim nakarmić mureny.

Nie było to czymś niespotykanym w tej części Italii, gdzie tyle wielkich posiadłości wokół Zatoki Neapolitańskiej miało własne hodowle ryb. Nowy właściciel Villa Hortensia, milioner Numeriusz Popidiusz Ampliatus, słyszał o tym zwyczaju, będąc chłopcem. Żyjący w czasach Augusta arystokrata, Wediusz Pollio, wrzucał ponoć do sadzawki z murenami tłukących talerze niezdarnych służących. Ampliatus często wspominał z uznaniem tę historię, stanowiła bowiem doskonałą ilustrację tego, co to znaczy mieć władzę. Władzę, wyobraźnię, inteligencję i styl.

Dlatego, gdy po wielu latach wszedł w posiadanie hodowli ryb – oddalonej zaledwie kilka mil od starego domu Wediusza Pollio na przylądku Pausilypon – i jeden z jego niewolników również zniszczył rzecz bezcennej wartości, natychmiast sobie o tym przypomniał. Ampliatus sam urodził się jako niewolnik i uważał, że tak właśnie powinien się zachowywać arystokrata.

Mężczyźnie zostawiono tylko opaskę na biodrach, związano z tyłu ręce i zaprowadzono na skraj morza. Nacięto mu nożem obie łydki, żeby spuścić trochę krwi, i natarto octem, który, jak powiadano, doprowadza mureny do szaleństwa.

Było bardzo gorące późne popołudnie.

Mureny miały własny basen, wybudowany w znacznej odległości od pozostałych sadzawek, aby izolować je od innych ryb. Prowadził do niego wąski betonowy pomost, wiodący dalej w głąb zatoki. Słynące z agresywności ryby, wielkie niczym dorosły człowiek i osiągające grubość ludzkiego tułowia, miały płaskie głowy, szerokie pyski i ostre jak brzytwy zęby. Przylegająca do willi hodowla ryb miała sto pięćdziesiąt lat i nikt nie wiedział, ile muren kryje się w labiryncie tuneli i mrocznych zakamarkach na dnie basenu. Na pewno mnóstwo, być może nawet setki. Najstarsze były prawdziwymi monstrami, kilka ozdobiono klejnotami. Jedną z nich, ze złotym kolczykiem w płetwie piersiowej, upodobał sobie podobno Neron.

Mureny budziły w niewolniku szczególną grozę, ponieważ – ten zbieg okoliczności szczególnie podobał się Ampliatusowi – to on właśnie od dawna je karmił. Wrzeszczał i szarpał się, zanim jeszcze

wprowadzono go siłą na pomost. Widział mureny każdego ranka, kiedy rzucał im rybie głowy i kurczęce wnętrzności, obserwował, jak powierzchnia wody migoce, a potem burzy się, gdy ryby wyczuwały zapach krwi, wypadały ze swoich kryjówek i walcząc o jedzenie, rozszarpywały je na strzępy.

O godzinie jedenastej, mimo zapierającego dech skwaru, Ampliatus wyszedł osobiście z willi, żeby popatrzeć. Towarzyszył mu jego kilkunastoletni syn, Celsinus, a także zarządca domu, Skutariusz, kilku klientów (którzy przybyli z nim z Pompejów i dotychczas się nie pożegnali w nadziei na darmowy obiad) oraz około stu niewolników, którym widowisko powinno dać jego zdaniem do myślenia. Żonie i córce nakazał pozostać w domu; tego rodzaju widok nie był odpowiedni dla kobiet. Ustawiono wielki fotel dla niego oraz kilka mniejszych dla gości. Ampliatus nie znał nawet imienia niewolnika. Dostał go razem ze stawami, kiedy kupił w tym roku willę za okrągłe dziesięć milionów.

Wszystkie ryby hodowane były za niemałe pieniądze w basenach przy brzegu morza – morski okoń o wełnistobiałym mięsie, cefal, który potrzebował wysokich ścian wokół sadzawki, żeby nie wyskoczyć na wolność, płastuga, papugoryba i leszcz złotogłowy, minogi, kongery i molwy.

Zdecydowanie najdroższe ze wszystkich morskich skarbów Ampliatusa – drżał na samą myśl, ile za nie zapłacił, chociaż w gruncie rzeczy nie przepadał za rybami – były jednak barweny, delikatne, wąsate rybki, wyjątkowo trudne w hodowli, występujące w barwach od jasnoróżowej do pomarańczowej. Te właśnie ryby uśmiercił niewolnik, złośliwie czy przez zaniedbanie, Ampliatus tego nie wiedział i o to nie dbał. Teraz pływały brzuchami do góry, po śmierci tak samo jak za życia zbite w ławicę – wielobarwny dywan, który unosił się na powierzchni sadzawki i który odkryto wcześniej po południu. Kiedy mu je pokazano, kilka jeszcze żyło, ale zdechły na jego oczach, obracając się niczym liście i wypływając, aby dołączyć do reszty. Zatrute, co do jednej. Przy obecnych cenach rynkowych mógł na nich zarobić po sześć tysięcy za sztukę, bo jedna barwena warta była pięć razy więcej niż nieszczęsny niewolnik, który miał się nimi opiekować. Teraz można je było tylko spalić. Ampliatus natychmiast wydał wyrok:

– Rzućcie go murenom!

Wleczony i popychany w stronę basenu niewolnik nie przestawał wrzeszczeć. To nie jego wina, krzyczał. To nie pokarm. To woda. Powinni sprowadzić akwariusza.

Akwariusza!

Ampliatus zmrużył oczy przed blaskiem bijącym z morza. Trudno było odróżnić od siebie sylwetki szarpiącego się niewolnika, dwóch innych, którzy go trzymali, oraz trzeciego, niosącego bosak podobny do lancy i dźgającego nim nieszczęśnika w plecy. W mgiełce unoszącej się nad roziskrzonymi falami wszyscy wydawali się ludzikami z obrazka. Podniósł rękę, zaciskając na wzór cesarza pięść i trzymając kciuk równolegle do ziemi. Czuł, że ma władzę równą bogom, a mimo to przepełniała go zwykła ludzka ciekawość. Przez moment zwlekał, delektując się tym doznaniem, a potem przekręcił nadgarstek, kierując kciuk w dół. Niech ma za swoje!

• • •

Rozdzierające wrzaski szamoczącego się przy skraju basenu niewolnika niosły się ponad tarasami i pływalnią, docierając do pogrążonego w ciszy domu, gdzie kryły się kobiety.

Korelia Ampliata wbiegła do swojej sypialni, rzuciła się na materac i naciągnęła poduszkę na głowę, nie sposób było jednak uciec przed tym krzykiem. W przeciwieństwie do swojego ojca znała imię

niewolnika – nazywał się Hiponaks i był Grekiem – a także imię jego matki, Atii, która pracowała w kuchni i której lamenty były jeszcze straszniejsze od krzyków syna. Nie mogąc dłużej tego znieść, zerwała się z materaca i pobiegła przez opustoszałą willę na poszukiwanie zawodzącej kobiety, która leżała przy kolumnie w otoczonym krużgankiem ogrodzie.

Widząc Korelię, Atia złapała swoją młodą panią za skraj sukni i zaczęła wylewać łzy na jej obute w pantofle stopy, powtarzając raz po raz, że jej syn jest niewinny, że kiedy go zabierali, krzyczał do niej, że to woda, to woda, coś złego stało się z wodą. Dlaczego nikt go nie słucha?

Korelia gładziła Atię po siwych włosach, starając się ją w miarę swoich możliwości pocieszyć. Niewiele więcej była w stanie zrobić. Wiedziała, że nie ma sensu błagać ojca o litość. Nie słuchał nikogo, a już na pewno nie kobiet, spośród których najmniej liczył się ze zdaniem własnej córki. Wymagał od niej bezwarunkowego posłuszeństwa – jej interwencja utwierdziłaby go tylko w zamiarze uśmiercenia niewolnika. Na błagania Atii mogła odpowiedzieć jedynie, że nic nie da się zrobić.

W tym momencie staruszka – tak naprawdę miała czterdzieści kilka lat, lecz dla Korelii wiek niewolników liczył się podobnie jak wiek psów, a Atia wyglądała co najmniej na sześćdziesiąt – gwałtownie się od niej odsunęła i otarła łzy ramieniem.

– Ktoś musi mi pomóc – oznajmiła.

– Atio, Atio – powiedziała łagodnie Korelia – któż ci pomoże?

– Wołał, żeby wezwali akwariusza. Nie słyszałaś? Muszę go sprowadzić.

– A gdzie on jest?

– Powinien być przy akwedukcie na dole, tam gdzie pracują robotnicy wodni.

Atia zerwała się na nogi i potoczyła dookoła dzikim wzrokiem. Drżąca, lecz zdeterminowana, miała zaczerwienione oczy, potargane włosy i ubranie w nieładzie. Wyglądała jak obłąkana i Korelia natychmiast zdała sobie sprawę, że nikt jej nie wysłucha. Będą się z niej śmiali albo przegnają kamieniami.

– Pójdę z tobą – powiedziała.

Od nabrzeża dobiegł kolejny straszny krzyk. Dziewczyna zebrała jedną dłonią suknie, drugą złapała starą za rękę i popędziła z nią przez ogród. Minęły pusty taboret odźwiernego i wyszły bocznymi drzwiami na zalaną słońcem drogę.

• • •

Położona kilkaset kroków na południe od willi Ampliatusa stacja końcowa Augusty była wykutym w zboczu naprzeciwko portu wielkim, podziemnym zbiornikiem, określanym, odkąd ludzie sięgali pamięcią, mianem Piscina Mirabilis – Basen Cudów.

Widziana z zewnątrz, nie przyciągała wzroku niczym szczególnym i wielu obywateli Misenum mijało ją zupełnie obojętnie. Na powierzchni widać było tylko schowany przy zakurzonej bocznej uliczce, przykryty płaskim dachem, niski budynek z czerwonej cegły, długi na całą przecznicę i na pół przecznicy szeroki, obrośnięty jasnozielonym bluszczem i otoczony warsztatami, magazynami oraz pomieszczeniami mieszkalnymi.

Tylko w nocy, kiedy cichł uliczny gwar i wrzaski przekupniów, można było usłyszeć niski podziemny łoskot spadającej wody, i tylko kiedy weszło się na wewnętrzny dziedziniec, otworzyło wąskie drewniane drzwi i zeszło kilka kroków do samego zbiornika, można było podziwiać Piscina

Mirabilis w całej okazałości. Jej sklepienie wspierało się na wysokich na ponad pięćdziesiąt stóp czterdziestu ośmiu kolumnach, w przeważającej części schowanych pod wodą, której huk, gdy wpadała do zbiornika, przenikał słuchacza do szpiku kości.

Inżynier mógł stać tutaj godzinami, zasłuchany i zatopiony w myślach. Bębny Augusty nie rozbrzmiewały w jego uszach monotonnym jednostajnym grzmotem, lecz wydawały się melodią gigantycznych wodnych organów, muzyką cywilizacji. W dachu Piscina Mirabilis osadzone były świetliki i po południu wodny pył unosił się w snopach słonecznego światła, a między kolumnami tańczyły tęcze, wieczorem zaś, kiedy zamykano zbiornik na noc, płomień pochodni odbijał się od gładkiej, czarnej tafli niczym ciśnięte na heban złoto. W takich chwilach Atiliusz miał wrażenie, że nie znajduje się w zbiorniku, lecz w świątyni poświęconej jedynemu bogu, w którego warto wierzyć.

Kiedy późnym popołudniem wrócił z gór i wszedł na dziedziniec, myślał tylko o tym, że powinien sprawdzić poziom wody. Stało się to jego obsesją. Okazało się jednak, że drzwi są zamknięte, i przypomniał sobie, że klucz do nich nosi przy pasie Koraks. Był tak zmęczony, że ten jedyny raz dał sobie z tym spokój. Słyszał dobiegający z oddali łoskot Augusty – woda płynęła i to było najważniejsze. Kiedy później analizował swoje działania, uznał, że nie może sobie niczego zarzucić. I tak nie zdołałby nic zrobić. Jego osobista sytuacja wyglądałaby co prawda inaczej, jednak na tle powstałego kryzysu nie miało to większego znaczenia.

Odwrócił się od drzwi i zmierzył wzrokiem opustoszały dziedziniec. Poprzedniego wieczoru rozkazał, aby podczas jego nieobecności dokładnie go wysprzątano, i z zadowoleniem stwierdził, że polecenie zostało wykonane. Było coś krzepiącego w widoku tak uporządkowanej przestrzeni. Poukładane jeden na drugim arkusze ołowiu, amfory z wapnem, worki z puteolanum, czerwonawe gliniane rury – to widok, który dobrze zapamiętał z dzieciństwa. A także zapachy: ostry odór wapna i przykurzoną woń wypalonej gliny, grzejącej się przez cały dzień na słońcu.

Wszedł do magazynu, rzucił narzędzia na gliniane klepisko, poruszył obolałym ramieniem, a potem otarł twarz rękawem tuniki i wrócił na dziedziniec. W tym samym momencie pojawiła się na nim jego brygada. Podeszli od razu do fontanny, całkowicie go ignorując, i po kolei gasili pragnienie, spryskując wodą głowy i ciała – najpierw Koraks, potem Musa i na koniec Bekko. Dwaj niewolnicy przykucnęli cierpliwie w cieniu i czekali. Atiliusz zdawał sobie sprawę, że tego dnia stracił przed nimi twarz. Mimo to nie przejmował się ich wrogim nastawieniem. W przeszłości nie przejmował się gorszymi rzeczami.

Krzyknął do Koraksa, że praca na dzisiaj jest skończona, doczekał się w odpowiedzi drwiącego skinięcia głową i wszedł po wąskich drewnianych schodkach do swojego mieszkania.

Dziedziniec był czworokątny. Od północy zamykała go ściana Piscina Mirabilis. Po zachodniej i południowej stronie mieściły się magazyny i biura akweduktu, po wschodniej zaś pomieszczenia mieszkalne: kwatery niewolników na parterze i apartament akwariusza na piętrze. Koraks i inni wolni ludzie mieszkali w mieście wraz ze swoimi rodzinami.

Atiliusz, który zostawił matkę i siostrę w Rzymie, miał nadzieję, że po jakimś czasie sprowadzi je do Misenum i wynajmie dom, który będzie mogła prowadzić dla niego matka. Na razie jednak zajmował ciasną kwaterę swojego poprzednika, Eksomniusza, którego kilka osobistych rzeczy przeniósł do wolnej małej klitki przy końca korytarza.

Co się stało z Eksomniuszem? To było oczywiście pierwsze pytanie, które zadał, zawinąwszy do portu. Nikt jednak nie znał na nie odpowiedzi, a jeśli znał, nie miał ochoty jej udzielić. Reakcją było posępne milczenie. Wyglądało na to, że stary Eksomniusz, Sycylijczyk, który nadzorował Augustę

prawie od dwudziestu lat, wyszedł przed ponad dwoma tygodniami z domu i wszelki słuch o nim zaginął.

W normalnych okolicznościach *Curator Aquarum*, który zarządzał akweduktami pierwszej i drugiej prowincji (czyli Lacjum i Kampanii), powinien odczekać jakiś czas. Jednak ze względu na panującą suszę, znaczenie Augusty oraz fakt, że w trzecim tygodniu lipca senat zawiesił na okres letni działalność i połowa jego członków odpoczywała w swoich willach wokół zatoki, uznano, że roztropnie będzie natychmiast wyznaczyć następcę. Atiliusz otrzymał wezwanie w idy sierpniowe o zmierzchu, w chwili kiedy kończył prace konserwacyjne przy Anio Novus. Zaprowadzony do mieszczącej się na Palatynie oficjalnej rezydencji samego *Curatora Aquarum*, Aciliusza Awioli, otrzymał od niego nominację. Atiliusz jest bystry, energiczny i oddany – senator wiedział, jak kogoś ująć, kiedy czegoś potrzebował – a poza tym nie ma żony ani dzieci, które zatrzymałyby go w Rzymie. Czy może wyruszyć nazajutrz? Atiliusz nie wahał się oczywiście ani chwili, ponieważ otwierała się przed nim wielka zawodowa szansa. Pożegnał się z rodziną i wsiadł na pokład promu wypływającego codziennie z Ostii.

Jakiś czas temu zaczął pisać do rodziny. Niedokończony list leżał na szafce przy twardym drewnianym łóżku. Pisanie listów nie szło Atiliuszowi najlepiej. Stać go było co najwyżej na skreślenie szkolnym charakterem pisma kilku rutynowych informacji: *Przybyłem na miejsce*, *podróż była udana*, *pogoda jest upalna*. Nie dawało to w najmniejszym stopniu pojęcia, w jak trudnym znalazł się położeniu, izolowany, nękany poczuciem spoczywającej na nim odpowiedzialności i obawą, że zabraknie wody. Cóż jednak matka i siostra mogły wiedzieć? A poza tym nauczono go żyć tak, jak nakazywali stoicy – nie tracić czasu na fanaberie, wykonywać bez słowa skargi to, co do niego należy, zachowywać się zawsze tak samo bez względu na okoliczności – intensywny ból, utratę bliskiej osoby, chorobę – i zadowalać się obozowym posłaniem i prostym płaszczem.

Usiadł na skraju materaca. Jego domowy niewolnik, Phylo, zostawił mu dzban wody i miednicę, a także trochę owoców, chleb, karafkę wina i gomułkę twardego białego sera. Inżynier umył się starannie, zjadł wszystko, zmieszał trochę wina z wodą i wypił. A potem, zbyt wyczerpany, żeby zdjąć tunikę i buty, położył się na łóżku, zamknął oczy i od razu znalazł się w krainie między snem i jawą, po której błąkała się bez końca jego żona. Usłyszał jej głos, błagalny i naglący:

– Akwariuszu! Akwariuszu!

• • •

Jego żona miała tylko dwadzieścia dwa lata, gdy patrzył na jej ciało płonące na pogrzebowym stosie. Ta kobieta była młodsza – mogła mieć koło osiemnastu lat. Nie wyzwolił się jednak jeszcze wystarczająco z oków snu, a dziewczyna była tak podobna do Sabiny, że zabiło mu szybciej serce. Takie same ciemne włosy. Taka sama jasna skóra. Takie same zmysłowe kształty. Stała pod oknem i wołała go.

– Akwariuszu!

Jej podniesiony głos zainteresował chroniących się w cieniu mężczyzn i kiedy zbiegł na dół, gapili się na nią, stojąc w półkolu. Miała na sobie luźną białą tunikę, z głębokimi rozcięciami przy szyi i rękawach, intymny strój, który nosi się w domowym zaciszu i który odsłaniał pulchne mlecznobiałe ramiona i piersi bardziej, niż mogła sobie na to pozwolić w miejscu publicznym przyzwoita dama. Towarzyszyła jej niewolnica – chuda, drżąca stara kobieta z rzadkimi siwymi włosami, w połowie spiętymi, w połowie opadającymi na plecy.

Dziewczyna była zdyszana i opowiadała coś gorączkowo o barwenach, które zdechły tego dnia w basenie jej ojca, o truciźnie, która była w wodzie, o człowieku, którego rzucono na pożarcie murenom, i o tym, że on, akwariusz, musi tam natychmiast iść. Trudno było zrozumieć, o co jej chodzi.

Atiliusz przerwał jej gestem uniesionej dłoni i zapytał, jak się nazywa.

– Jestem Korelia Ampliata, córka Numeriusza Popidiusza Ampliatusa, właściciela Villa Hortensia – przedstawiła się niecierpliwie dziewczyna i Atiliusz spostrzegł, że na wzmiankę o jej ojcu Koraks i inni mężczyźni wymienili znaczące spojrzenia. – Ty jesteś akwariuszem?

– Akwariusza tu nie ma – odezwał się Koraks.

Inżynier machnął ręką.

– Tak, to ja nadzoruję akwedukt.

– Więc chodź ze mną.

Korelia ruszyła w stronę bramy i zdziwiła się, kiedy Atiliusz nie podążył w ślad za nią. Mężczyźni zaczęli się śmiać.

– Och, akwariuszu, chodź ze mną… – przedrzeźniał ją Musa, odrzucając dumnie głowę do tyłu i kołysząc biodrami.

Kiedy się odwróciła, w jej oczach zabłysły łzy.

– Korelio Ampliato – powiedział Atiliusz cierpliwym i łagodnym tonem – być może nie stać mnie na to, żeby jeść barwenę, ale wiem, że to ryba morska. A to, co dzieje się w morzu, pozostaje poza zakresem mojej odpowiedzialności.

Koraks wyszczerzył zęby i wskazał palcem dziewczynę.

– Słyszeliście? Wzięła cię za Neptuna!

Rozległy się kolejne śmiechy. Atiliusz nakazał im ostro milczenie.

– Mój ojciec chce uśmiercić człowieka. Niewolnik wzywał akwariusza. Nic więcej nie wiem. Jesteś jego jedyną nadzieją. Idziesz czy nie?

– Zaczekaj – powiedział Atiliusz. – Kim ona jest? – zapytał, wskazując podbródkiem starą kobietę, która zakryła twarz dłońmi i płakała z pochyloną głową.

– To jego matka.

Mężczyźni ucichli.

– Rozumiesz? – Korelia dotknęła jego ramienia. – Chodź – dodała cicho. – Proszę.

– Czy twój ojciec wie, gdzie jesteś?

– Nie.

– Nie wtrącaj się – powiedział Koraks. – Dobrze ci radzę.

Mądra rada, pomyślał Atiliusz, ponieważ gdyby człowiek miał interweniować za każdym razem, gdy usłyszy o jakimś okrutnie potraktowanym niewolniku, nie miałby czasu na jedzenie i spanie. Wypełniony martwymi barwenami basen z morską wodą? To nie może mieć z nim nic wspólnego. Spojrzał na Korelię. Z drugiej strony, jeśli ten nieszczęśnik rzeczywiście błagał o jego wstawiennictwo…

Omeny, zapowiedzi, boskie znaki…

Strużka pary rwąca się niczym rybacka żyłka. Źródła płynące w głąb ziemi. Akwariusz, który rozpłynął się w nicość w upalnym powietrzu. Pasterze pasący kozy na zboczach Wezuwiusza widzieli podobno olbrzymy. W Herkulanum kobieta urodziła dziecko, które miało płetwy zamiast stóp. A teraz

w Misenum w ciągu jednego popołudnia zdechły bez żadnego widocznego powodu wszystkie barweny w basenie.

Człowiek tłumaczył sobie to wszystko tak, jak potrafił.

Atiliusz podrapał się w ucho.

– Jak daleko stąd jest ta willa? – zapytał.

– Tylko kilkaset kroków. Niedaleko. Proszę.

Pociągnęła go za rękę, a on pozwolił, żeby to zrobiła. Nie była kobietą, której łatwo się oprzeć. Może powinien ją przynajmniej odprowadzić do domu? Kobieta w jej wieku, z jej klasy, nie mogła czuć się bezpiecznie na ulicach portowego miasta. Zawołał przez ramię do Koraksa, żeby mu towarzyszył, lecz tamten wzruszył tylko ramionami, powtarzając, żeby się nie mieszał, i chwilę później Atiliusz, zanim zdał sobie sprawę, co się dzieje, znalazł się nagle za bramą, na ulicy, a jego podwładni zniknęli mu z oczu.

• • •

O tej porze dnia, mniej więcej na godzinę przez zmierzchem, ludzie zamieszkujący tę część basenu Morza Śródziemnego zaczynali wylegać na ulicę. Nie dlatego, że w mieście zelżał upał. Kamienie były niczym wyjęte z pieca cegły. Staruchy siadały na stołkach przed domami i wachlowały się, mężczyźni wystawali przed barami, popijając i gawędząc. Brodaci Bessowie i Dalmatyńczycy, Egipcjanie ze złotymi obrączkami w uszach, rudowłosi Germanie, oliwkowoskórzy Grecy i mieszkańcy Cylicji, muskularni i czarni jak węgiel wielcy Nubijczycy o oczach nabiegłych krwią od wypitego wina – pochodzący ze wszystkich krajów Imperium mężczyźni, którzy byli na tyle zdesperowani, ambitni bądź głupi, by spędzić przy wiosłach dwadzieścia pięć lat życia w zamian za rzymskie obywatelstwo. Od strony nabrzeża niosły się piskliwe dźwięki wodnych organów.

Korelia wspinała się szybko po stopniach, podciągając suknię i stąpając bezszelestnie po kamieniach obutymi w pantofle stopami. Niewolnica biegła przodem. Atiliusz sadził za nimi długimi susami.

– Kilkaset kroków – mruczał pod nosem. – Niedaleko… Owszem, ale przez cały czas pod górę!

Przepocona tunika przykleiła mu się do pleców. W końcu teren przestał się wznosić i Atiliusz zobaczył przed sobą długi, wysoki, brązowy mur, a potem niestrzeżoną przez nikogo łukowatą bramę zwieńczoną dwoma delfinami z kutego żelaza, które skakały ku sobie, jakby miały się pocałować. Kobiety wbiegły do środka. Atiliusz rozejrzał się i podążył za nimi – przeskakując z gwarnej, rojnej, zakurzonej rzeczywistości w cichy niebieski świat, który zapierał dech. Wszystkie odcienie błękitu, jakie stworzyła kiedykolwiek Matka Natura – turkusowy, lapis-lazuli, indygo, szafirowy – układały się przed nim pasami, poczynając od krystalicznie czystych płycizn, poprzez morskie głębiny, ostro zaznaczoną linię horyzontu aż po nieboskłon. Sama willa, wzniesiona w tym miejscu ze względu na tę cudowną panoramę, rozciągała się na kilku tarasach, tyłem do wzgórza i frontem do zatoki. Przy molo stał przycumowany dwudziestoczterowiosłowy luksusowy statek, pomalowany na karmazynowo i złoto, z pokładem wyłożonym dywanami o tych samym barwach.

Zanim Atiliusz zdążył zarejestrować coś poza tym wszechobecnym błękitem, ruszyli dalej. Korelia szła teraz przodem i prowadziła go na dół, mijając posągi, fontanny i nawadniane trawniki, stąpając po mozaikach, które przedstawiały przeróżne morskie stworzenia, zbiegając na taras ze zwróconym ku morzu basenem, również błękitnego koloru. O jego wykładaną marmurowymi płytkami krawędź obijała się łagodnie nadmuchiwana piłka, porzucona, jak się zdawało, w środku zabawy. Uderzyło go nagle, jak

bardzo opuszczona wydaje się cała rezydencja. Korelia wskazała kamienną balustradę. Oparł o nią ostrożnie ręce, wychylił się i zobaczył, że większość domowników zgromadziła się przy brzegu morza.

Dopiero po chwili jego umysł dopasował do siebie wszystkie fragmenty układanki. Zgodnie z tym, czego się spodziewał, miał przed sobą hodowlę ryb, ale znacznie większą, niż myślał, sądząc z wyglądu, starszą. Zbudowano ją prawdopodobnie w ostatnich dekadenckich latach Republiki, kiedy modna stała się hodowla ryb. Wystające ze skał betonowe mury okalały kilka prostokątnych basenów. Na powierzchni jednego z nich skrzyły się martwe ryby. Dookoła tego, który znajdował się najdalej, stała grupa mężczyzn gapiących się na coś, co unosiło się w wodzie – coś, co jeden z nich dźgał bosakiem. Atiliusz musiał osłonić oczy, żeby dostrzec więcej, i kiedy przyjrzał się uważniej, poczuł, jak zaciska mu się żołądek. Przypominało to chwilę zadawania śmierci w amfiteatrze, zapadającą wówczas ciszę, niemal erotyczną więź tłumu i ofiary.

Stojąca za nim stara kobieta wydała cichy jęk smutku i rozpaczy. Atiliusz dał krok do tyłu i odwrócił się do Korelii, kręcąc głową. Chciał uciec z tego miejsca. Pragnął wrócić do przyzwoitych prostych realiów swojej profesji. Nic tu po nim.

Lecz ona stała tak blisko, że zagradzała mu drogę.

– Proszę – powiedziała. – Pomóż jej.

Oczy dziewczyny były niebieskie, jeszcze bardziej niebieskie niż oczy Sabiny. Wydawały się skupiać w sobie cały błękit zatoki i ciskać go w jego stronę. Atiliusz zawahał się, wysunął podbródek, a potem odwrócił się i ponownie spojrzał na morze.

Zmusił się, by popatrzeć w dół, celowo omijając to, co działo się w basenie, wędrując wzrokiem w stronę brzegu, starając się przyjrzeć wszystkiemu okiem profesjonalisty. Zobaczył drewniane wrota śluzy. Żelazne uchwyty do ich podnoszenia. Zamontowane nad kilkoma basenami metalowe siatki uniemożliwiające rybom ucieczkę. Pomosty. Rury. Rury!

Po chwili odwrócił się i ponownie zerknął na zbocze. Morskie fale przepływały przez metalowe kraty osadzone w betonowych murach basenów, zapewniając nieprzerwany dopływ świeżej wody. Tyle wiedział. Ale rury – zadarł głowę, zaczynając rozumieć – rury musiały doprowadzać słodką wodę z głębi lądu i mieszając się z morską, zmniejszać jej zasolenie. Tak jak dzieje się to w sztucznej lagunie, w której panują doskonałe warunki do hodowli ryb. A najbardziej wrażliwą ze wszystkich ryb, największym przysmakiem, na który stać tylko bogaczy, jest barwena.

– W którym miejscu akwedukt dochodzi do domu? – zapytał cicho.

Korelia pokręciła głową.

– Nie wiem.

Musi być duży, pomyślał. Rezydencja tej wielkości…

Ukląkł przy basenie, nabrał w dłoń ciepłej wody, skosztował jej i marszcząc czoło, obracał przez chwilę w ustach niczym koneser wina. Z tego, co wyczuwał, była czysta. Ale to nie musi o niczym świadczyć. Próbował sobie przypomnieć, kiedy ostatnio sprawdzał poziom wody w zbiorniku. Nie robił tego od poprzedniego wieczoru.

– Kiedy zdechły ryby?

Korelia zerknęła na niewolnicę, lecz do nieszczęsnej kobiety nic już nie docierało.

– Nie wiem. Przed dwiema godzinami.

Przed dwiema godzinami!

Atiliusz przeskoczył przez balustradę na niższy taras i ruszył szybkim krokiem w stronę morza.

• • •

Na dole, przy brzegu, widowisko nie spełniło pokładanych w nim nadziei. Lecz cóż je spełnia w dzisiejszych czasach? Ampliatus coraz częściej myślał o tym, iż doszedł do pewnego punktu – z racji wieku, a może posiadanej fortuny – kiedy podniecenie wynikające z oczekiwania miało nieodmiennie lepszy smak niż pustka spełnienia. Rozlega się ostatni krzyk ofiary, tryska krew, a potem… co? Po prostu kolejna śmierć.

Najlepszy ze wszystkiego był początek: powolne przygotowania, po których nastąpiła długa chwila, gdy niewolnik po prostu pływał z twarzą tuż nad powierzchnią wody, teraz bardzo cichy, obawiający się, że zwróci na siebie uwagę tego, co czai się na dole, skupiony, poruszający ostrożnie nogami. Zabawne. Mimo to czas dłużył się, upał dawał się we znaki i Ampliatus zaczął skłaniać się do wniosku, iż mureny nie są takie krwiożercze i że Wediusz Pollio nie był wcale taki oryginalny, jak mówiono. Ale nie, zawsze można polegać na starej arystokracji! Kiedy szykował się już do odejścia, woda wzburzyła się i – plum! – twarz ofiary zanurzyła się niczym spławik. Chwilę później pojawiła się z wyrazem komicznego zdumienia i zniknęła na dobre. Niestety, potem wszystko stało się nudne i męczące w promieniach palącego słońca.

Ampliatus zdjął z głowy słomkowy kapelusz, powachlował nim twarz i spojrzał na syna. Celsinus wydawał się wpatrywać prosto przed siebie, jednak kiedy ojciec przyjrzał mu się uważniej, zobaczył, że ma zamknięte oczy, co było dla niego typowe. Zawsze udawał, że robi to, co mu kazano, ale potem okazywało się, że tylko mechanicznie wykonuje polecenia, błądząc myślami gdzieś daleko. Ampliatus szturchnął go palcem w żebra i Celsinus otworzył oczy.

O czym myślał? Najprawdopodobniej o jakichś wschodnich bredniach. Ampliatus winił o to siebie. Kiedy jego syn miał sześć lat – było to przed dwunastu laty – Ampliatus kazał wznieść w Pompejach na własny koszt świątynię Izydy. Jako byłemu niewolnikowi odradzano mu budowę świątyni Jowisza, Pierwszego i Największego, a także Matki Wenus i innych najbardziej czczonych bogów. Ale Izyda była Egipcjanką, boginią w sam raz dla kobiet, fryzjerów, aktorów, perfumiarzy i im podobnych. Ofiarował budynek miastu w imieniu Celsinusa, pragnąc, by ten znalazł się w zarządzie miasta. Dopiął swego, lecz nie przewidział, że Celsinus potraktuje to poważnie. I teraz o tym właśnie zapewne dumał – o Ozyrysie, Bogu Słońca, mężu Izydy, który co wieczór zostaje ścięty przez swojego zdradzieckiego brata Seta, szafarza ciemności; o tym, że wszyscy ludzie sądzeni będą po śmierci przez Władcę Królestwa Zmarłych i jeśli okażą się tego godni, obdarzeni zostaną wiecznym życiem i powstaną rankiem niczym Horus, dziedzic i mściciel Ozyrysa, mściwy bóg nowego Słońca, szafarz światła. Czy Celsinus naprawdę wierzył w te wszystkie dziecinne bajdy? Czy naprawdę uważa, że ten w połowie skonsumowany niewolnik, który zginął o zachodzie słońca, może powrócić i szukać zemsty o świcie?

Ampliatus zamierzał go właśnie o to zapytać, kiedy jego uwagę zwrócił dobiegający z tyłu krzyk. Wśród niewolników powstało jakieś zamieszanie i milioner obrócił się w fotelu. Po stopniach z willi, krzycząc i machając ręką, schodził nieznany mu mężczyzna.

• • •

Zasady inżynierii były proste, uniwersalne i bezosobowe zarówno w Rzymie, jak i w Galii czy Kampanii – i Atiliusz to właśnie w nich lubił. Biegnąc, wyobrażał sobie to, czego nie widzi. Główna

linia akweduktu, wiodąca z północy na południe, z Bajów do Piscina Mirabilis, musi przebiegać pod wznoszącym się za willą wzgórzem, na głębokości trzech stóp. A osoba, która była właścicielem willi, gdy przed ponad stuleciem budowano Augustę, musiała z całą pewnością odprowadzić od niej dwa wodociągi. Jeden wiódł do wielkiej cysterny, z której zaopatrywano dom, basen pływacki i ogrodowe fontanny. Gdyby w głównym kanale doszło do skażenia, zanieczyszczenia przedostawałyby się do tego systemu stopniowo, dając o sobie znać dopiero po kilku lub nawet kilkunastu godzinach, w zależności od wielkości zbiornika. Woda płynąca z Augusty drugą odnogą docierała jednak bezpośrednio do basenów z rybami i skażenie z akweduktu przedostałoby się tu natychmiast.

To było jasne, podobnie zresztą jak rozgrywająca się przed nim scena: pan domu, zapewne Ampliatus, wstawał zdumiony z fotela, widzowie odwracali się plecami do basenu i oczy wszystkich kierowały się ku inżynierowi, który pokonywał ostatnie schodki. Wbiegając na betonową rampę, zwolnił, lecz nie zatrzymał się przy Ampliatusie.

– Wyciągnijcie go! – krzyknął, mijając milionera.

Ampliatus, z posiniałą pociągłą twarzą, coś do niego zawołał i Atiliusz odwrócił się. Wciąż biegnąc, truchtając do tyłu, podniósł obie dłonie.

– Proszę. Po prostu go wyciągnijcie.

Ampliatus otworzył szeroko usta, lecz po chwili, mierząc groźnym spojrzeniem Atiliusza, podniósł powoli rękę – enigmatyczny gest, którego efektem był jednak szereg czynności, tak jakby wszyscy czekali dokładnie na ten sygnał. Zarządca domu przyłożył do ust dwa palce, gwizdnął na niewolnika z bosakiem i machnął w górę dłonią, na co ten odwrócił się, zanurzył bosak w basenie z murenami, zaczepił o coś hak i zaczął to wyciągać.

Atiliusz był już prawie przy rurach. Z bliska okazały się większe, niż wydawało mu się z tarasu. Z wypalanej gliny. Dwie, o średnicy nieco większej niż jedna stopa. Wyłaniały się ze zbocza, przecinały rampę, rozdzielały się przy skraju wody, po czym biegły w przeciwnych kierunkach wzdłuż basenów. W każdej znajdowała się prymitywna pokrywa – przecięty w poprzek, dwustopowy, luźny odcinek rury. Podchodząc bliżej, Atiliusz zobaczył, że jedna z nich została wyjęta i nieosadzona porządnie z powrotem. W pobliżu leżało dłuto, jakby osobie, która go używała, nagle przeszkodzono.

Ukląkł, wbił narzędzie w szparę, przez chwilę poruszał nim w górę i w dół, a kiedy weszło do końca, przekręcił je, dzięki czemu szpara stała się na tyle szeroka, że mógł wsunąć w nią palce i podnieść pokrywę. Cisnął ją na bok, nie przejmując się głośnym łoskotem, z jakim upadła. Jego twarz znajdowała się dokładnie nad płynącą wodą i od razu poczuł ten zapach. Uwolniony z zamkniętej rury był wystarczająco mocny, by przyprawić go o mdłości. Niepozostawiający żadnych wątpliwości zapach zgnilizny. Smród zepsutych jaj.

Tchnienie Hadesu.

Zapach siarki.

• • •

Niewolnik był martwy. To nie ulegało wątpliwości, nawet z daleka. Klęczący nad otwartą rurą Atiliusz zobaczył, jak jego szczątki wywleczone zostały z basenu i przykryte workiem. Widział, jak ludzie rozchodzą się i zmierzają w stronę willi, a w tym samym czasie siwowłosa niewolnica przedziera się przez tłum, prąc w przeciwnym kierunku. Inni starali się na nią nie patrzeć, obchodzili ją szerokim łukiem, jakby mogła ich czymś zarazić. Dotarłszy do martwego mężczyzny, kobieta podniosła ręce ku

niebu i zaczęła się kołysać. Ampliatus w ogóle jej nie zauważył. Zmierzał zdecydowanym krokiem w stronę Atiliusza. Za nim szła Korelia, a także młodzieniec, który wyglądał dokładnie tak jak ona – prawdopodobnie jej brat – oraz kilka innych osób. Niektórzy mężczyźni mieli przy pasach noże.

Inżynier ponownie zainteresował się wodą. Czy ciśnienie rzeczywiście się zmniejszyło, czy tylko mu się zdawało? Teraz, przy odsłoniętej rurze, odór nie był już tak wyraźny. Zanurzył dłonie w wodzie i marszcząc czoło, starał się ocenić siłę nurtu, który prężył się i wił między jego palcami niczym muskuł, niczym żywa istota. Dawno temu, kiedy był małym chłopcem, widział podczas igrzysk słonia, którego zabili łucznicy i odziani w skóry leopardów oszczepnicy. Tym, co najbardziej wryło mu się w pamięć, nie było jednak polowanie, lecz to, jak treser słonia, który przyjechał prawdopodobnie z wielką bestią z Afryki, przykucnął przy swoim konającym w pyle podopiecznym i szeptał mu coś do ucha. Tak właśnie czuł się teraz. Akwedukt, gigantyczna Aqua Augusta, zdawała się konać na jego rękach.

– Jesteś na terenie mojej posiadłości – odezwał się za nim czyjś głos.

Obejrzał się i zobaczył wpatrującego się weń Ampliatusa. Właściciel willi przekroczył już pięćdziesiątkę. Był niski, ale barczysty i potężny.

– Mojej posiadłości – powtórzył.

– Posiadłość jest twoja, zgoda. Ale woda należy do cesarza. – Atiliusz wstał i wytarł ręce w tunikę. Marnotrawienie w środku suszy takiej ilości cennej wody po to, by dogadzać rybom bogacza, rozgniewało go. – Musisz zamknąć śluzę do akweduktu – stwierdził. – W głównym kanale jest siarka, a barwena nie znosi żadnych nieczystości. To właśnie zabiło twoje drogocenne ryby – dokończył z naciskiem.

Ampliatus odchylił lekko głowę do tyłu, wietrząc zniewagę. Miał delikatną, dość przystojną twarz i oczy tak samo niebieskie jak córka.

– Kim właściwie jesteś?

– Nazywam się Marek Atiliusz. Jestem akwariuszem Aqua Augusta.

– Atiliusz? – Milioner zmarszczył brwi. – A co się stało z Eksomniuszem?

– Sam chciałbym to wiedzieć.

– Z pewnością jednak pełni funkcję akwariusza?

– Nie. Powiedziałem już, że teraz ja nim jestem. – Inżynier nie miał ochoty składać wyrazów szacunku. Jego rozmówca był niegodziwy, okrutny i głupi. Przy innej okazji z przyjemnością mu to wygarnie, teraz jednak nie miał na to czasu. – Muszę wracać do Misenum. Coś złego dzieje się z akweduktem.

– Co dokładnie? Czy to zły omen?

– Można tak powiedzieć.

Atiliusz chciał odejść, lecz Ampliatus stanął mu na drodze.

– Obraziłeś mnie – powiedział. – Na mojej ziemi. W obecności mojej rodziny. A teraz chcesz odejść, nie starając się mnie przeprosić? – Przysunął twarz tak blisko twarzy Atiliusza, że ten widział kropelki potu przy linii przerzedzających się włosów. Poczuł słodki zapach olejku krokusowego, najbardziej kosztownej maści. – Kto ci pozwolił tu przyjść?

– Jeśli w jakikolwiek sposób cię obraziłem… – zaczął Atiliusz, lecz nagle przypomniał sobie zwłoki owinięte całunem z worka i przeprosiny uwięzły mu w gardle. – Zejdź mi z drogi – mruknął.

Próbował przejść, lecz Ampliatus złapał go za ramię i ktoś wyjął nóż. Zdał sobie sprawę, że wystarczy jedna chwila, jedno pchnięcie i będzie po wszystkim.

– On przyszedł tutaj z mojego powodu, ojcze. To ja go zaprosiłam.

– Co?

Ampliatus odwrócił się do Korelii. Atiliusz nie dowiedział się jednak nigdy, co zamierzał zrobić właściciel willi i czy uderzyłby córkę, ponieważ w tej samej chwili rozległ się straszliwy krzyk. Rampą szła siwowłosa niewolnica. Twarz, ramiona i suknię miała zbryzgane krwią syna, wyciągnęła przed siebie dłoń z wyprostowanymi sztywno dwoma brązowymi kościstymi palcami – małym i wskazującym. Krzyczała coś w języku, którego Atiliusz nie rozumiał. W gruncie rzeczy jednak wcale tego nie potrzebował. Klątwa jest klątwą w każdym języku, a ta miała spaść na głowę Ampliatusa.

Milioner puścił ramię Atiliusza, odwrócił się twarzą do kobiety i wysłuchał jej z obojętną miną. A potem, kiedy strumień słów osłabł, roześmiał się. Na chwilę zapadła cisza, po czym inni także zaczęli się śmiać. Atiliusz spojrzał na Korelię, która prawie niedostrzegalnie skinęła głową i wskazała mu oczyma willę. „Nic mi nie będzie – mówiła chyba. – Idź”. To była ostatnia rzecz, jaką zobaczył albo usłyszał, odwracając się do nich plecami i ruszając alejką w stronę willi; przeskakiwał po dwa, trzy stopnie, czując, że nogi ma jak z ołowiu, niczym człowiek, który ucieka we śnie.

HORA DUODECIMA

(godzina 18.48)

Bezpośrednio przed erupcją może nastąpić znaczny wzrost stosunku S do C, SO_2 do CO_2, i S do Cl, jak również łącznej masy HCl… Znaczny wzrost w proporcjach składników płaszcza Ziemi jest często sygnałem, że magma dostała się do uśpionego wulkanu i że można oczekiwać erupcji.

Volcanology (drugie wydanie)

Akwedukt był dziełem Człowieka, lecz przestrzegał praw Natury. Inżynierowie mogli uwięzić strumień i zmienić jego bieg, lecz kiedy już to uczynili, woda płynęła nieuchronnie i nieubłaganie z szybkością dwu i pół mili na godzinę i Atiliusz nie mógł zapobiec jej skażeniu w Misenum.

Miał niewielką nadzieję, że zanieczyszczenie siarką ograniczone jest w jakiś sposób do Villa Hortensia, że do przecieku doszło gdzieś pod domem i że posiadłość Ampliatusa jest izolowanym ogniskiem nieczystości w przepięknym łuku zatoki.

Ta nadzieja ożywiała go dopóty, dopóki nie zbiegł ze wzgórza do Piscina Mirabilis, nie wywlókł Koraksa z izby, w której ten grał w kości z Musą i Bekko, nie wyjaśnił mu, co się stało, i nie zaczekał, aż nadzorca otworzy drzwi zbiornika. W tym momencie nadzieja się ulotniła, wyparta przez ten sam gryzący odór, który poczuł w hodowli ryb.

– Psi oddech! – Koraks wydął z odrazą policzki. – To musiało się zbierać przez wiele godzin.

– Przez dwie godziny.

– Dwie godziny? – Nadzorca nie zdołał ukryć satysfakcji. – Kiedy trzymałeś nas na wzgórzach, goniąc za tymi swoimi mrzonkami?

– A jakie miałoby znaczenie, gdybyśmy byli tutaj?

Atiliusz zszedł po kilku stopniach, osłaniając nos wierzchem dłoni. Robiło się coraz ciemniej. Gdzieś za kolumnami, poza polem jego widzenia, słychać było lejącą się z akweduktu wodę, jej odgłos pozbawiony był jednak normalnej grzmiącej siły. Potwierdzały się podejrzenia, których nabrał w hodowli ryb – ciśnienie spadało, i to szybko.

Zawołał do czekającego u szczytu schodów greckiego niewolnika, Politesa, żeby przyniósł mu pochodnię, plan głównej linii akweduktu i jedną z zakorkowanych butelek, których używali do pobierania próbek wody. Polites posłusznie pobiegł do magazynu, a Atiliusz wbił spojrzenie w mrok, ciesząc się, że nadzorca nie widzi wyrazu jego twarzy, ponieważ to twarz stanowi o wartości człowieka; człowiek bez twarzy jest niczym.

– Od jak dawna pracujesz przy Auguście, Koraksie?

– Od dwudziestu lat.

– Zdarzyło się tu wcześniej coś takiego?

– Nigdy. Przyniosłeś nam wszystkim pecha.

Trzymając się ręką ściany, Atiliusz pokonał ostrożnie ostatnie stopnie dzielące go od zbiornika. Szum wody płynącej z ujścia Augusty, odór siarki i melancholijne światło ostatniej godziny dnia sprawiały, że czuł się, jakby zstępował do piekła. U jego stóp przycumowana była nawet wiosłowa łódź, stosowny środek transportu, by przepłynąć Styks.

Próbował z tego zażartować, żeby ukryć wzbierającą w nim panikę.

– Możesz być moim Charonem – powiedział do Koraksa – ale nie mam obola, żeby ci zapłacić.

– Cóż, w takim razie będziesz się błąkał w piekle przez całą wieczność.

To było zabawne. Atiliusz uderzył się pięścią w pierś, co robił zawsze, kiedy się nad czymś zastanawiał.

– Politesie! Pośpiesz się! – zawołał w stronę dziedzińca.

– Już idę, akwariuszu!

W drzwiach pojawiła się szczupła sylwetka niewolnika trzymającego knot i pochodnię. Polites zbiegł na dół i podał je Atiliuszowi, który dotknął żarzącym się knotem nasączonych smołą pakuł. Pochodnia zapaliła się z głośnym sykiem i tłustym gorącym podmuchem. Na ścianach zatańczyły ich cienie.

Atiliusz wszedł ostrożnie do łodzi, trzymając wysoko pochodnię, a potem odwrócił się i odebrał plany i butelkę. Lekka płaskodenna łódka używana była do konserwacji zbiornika i kiedy wszedł do niej Koraks, zanurzyła się po samą burtę.

Nie mogę poddać się panice, pomyślał Atiliusz. Muszę panować nad sytuacją.

– Co zrobiłby Eksomniusz, gdyby tu był? – zapytał.

– Nie wiem. Ale powiem ci jedno: nikt nie znał tej wody tak dobrze jak on. Na pewno przewidziałby coś takiego.

– Może przewidział i dlatego uciekł.

– Eksomniusz nie był tchórzem. Nigdzie nie uciekł.

– W takim razie gdzie się podziewa, Koraksie?

– Mówiłem ci już sto razy, przystojniaku, nie mam pojęcia.

Nadzorca pochylił się, odwiązał linę od pierścienia, po czym odepchnął łódkę od schodów, usiadł naprzeciwko Atiliusza i wziął się do wioseł. Liczył sobie czterdzieści lat, lecz jego śniada, przebiegła twarz wydawała się w blasku pochodni o wiele starsza. Miał żonę i gromadkę dzieci, które gnieździły się w małym mieszkanku po drugiej stronie ulicy. Atiliusz zastanawiał się, dlaczego Koraks tak bardzo go nienawidzi. Czy chciał objąć stanowisko akwariusza i ubodło go przybycie młodszego następcy z Rzymu? Czy może chodzi o coś więcej?

Kazał mu płynąć na środek zbiornika. Kiedy się tam znaleźli, oddał mu pochodnię, odkorkował butelkę i zakasał rękawy tuniki. Ileż razy oglądał przy tej pracy swojego ojca w podziemnym zbiorniku Claudii oraz Anio Novus pod Eskwilinem… Stary pokazał mu, że woda w każdym z akweduktów ma swój własny smak, różniący się od innych, tak jak różnią się poszczególne roczniki wina. Aqua Marcia, zasilana trzema czystymi źródłami rzeki Anio, była najsłodsza; jeziorna Aqua Alsietina najbardziej cuchnąca, zapiaszczona i nadająca się tylko do nawadniania ogrodów; Aqua Julia miękka i letnia. Dobry akwariusz, mawiał ojciec, musi nie tylko dobrze znać prawa architektury i hydrauliki… musi umieć

odróżnić smak, zapach i gęstość wody, a także skał i gleby, przez które płynie. Od tych umiejętności może zależeć życie ludzkie.

Przed oczyma stanął mu nagle ojciec. Uśmiercony, zanim skończył pięćdziesiąt lat, przez ołów, przy którym pracował przez całe życie, osierocił kilkunastoletniego Atiliusza, czyniąc go głową rodziny. Pod koniec prawie nic z niego nie zostało. Biały cienki całun skóry naciągnięty na ostre krawędzie kości.

Ojciec wiedziałby, co robić.

Trzymając butelkę szyjką w dół, Atliliusz wychylił się z łodzi i zanurzył ją jak najgłębiej, a potem powoli obrócił pod wodą, pozwalając, by powietrze umknęło z niej strugą bąbelków. Dopiero wtedy zakorkował ją i wyciągnął.

Usadowiwszy się w łodzi, otworzył butelkę i powąchał zawartość. Następnie wlał trochę wody do ust, przepłukał nią gardło i przełknął. Gorzka, ale jeszcze zdatna do picia. Podał butelkę Koraksowi, który oddał mu pochodnię, wypił wszystko jednym haustem i otarł usta wierzchem dłoni.

– Ujdzie – stwierdził – jeśli zmiesza się ją z odpowiednią ilością wina.

Łódź dobiła do kolumny i Atiliusz zauważył, że pas mokrego betonu nad powierzchnią wody coraz bardziej się poszerza: teraz miał mniej więcej stopę. Zbiornik opróżniał się szybciej, niż była go w stanie napełnić Augusta.

Znowu poczuł ukłucie paniki. Opanuj się.

– Jaka jest pojemność Piscina Mirabilis?

– Dwieście osiemdziesiąt kwinarii.

Inżynier podniósł pochodnię ku sklepieniu, które kryło się w mroku około piętnastu stóp nad nim. Oznaczało to, że do dna zostało trzydzieści pięć stóp: zbiornik wypełniony jest więc w dwóch trzecich. Przypuśćmy, że znajduje się w nim dwieście kwinarii. W Rzymie opierano się na założeniu, że jedna kwinaria wody pokrywa z grubsza dzienne zapotrzebowanie dwustu osób. Morski garnizon w Misenum liczył dziesięć tysięcy żołnierzy, do tego dochodziło drugie tyle cywilów.

Obliczenie nie nastręczało większych trudności.

Mają wodę na dwa dni. Zakładając, że będą mogli ograniczyć jej dostawy do jednej godziny o świcie i jednej o zmierzchu. I zakładając, że stężenie siarki na dnie zbiornika jest tak samo niskie jak na górze. Próbował się skupić. Siarka w naturalnych źródłach jest ciepła i dlatego wypływa na powierzchnię. Ale kiedy ochładza się do tej samej temperatury co otaczająca ją woda, co się wówczas z nią dzieje? Czy się rozkłada? Unosi na powierzchni? A może opada na dno?

Spojrzał ku północnemu krańcowi zbiornika, tam gdzie wlewała się Augusta.

– Powinniśmy sprawdzić ciśnienie.

Koraks wiosłował energicznie, prowadząc wprawnie łódź przez labirynt kolumn w stronę spadającej wody. Atiliusz w jednej ręce trzymał pochodnię, drugą rozwinął plany i rozprostował je przedramieniem na kolanach.

Wiedział, że cały zachodni kraniec zatoki od Neapolu po Kume jest bogaty w złoża siarki. Jej zielone półprzejrzyste bryły wydobywano w kopalniach na wzgórzach Leucogaei, dwie mile na północ od głównej nitki akweduktu. Są także gorące siarczane źródła wokół Bajów, do których przybywają rekonwalescenci z całego cesarstwa. Są również gorące złoża, w których można gotować mięso i które nazwano Posidian na cześć wyzwoleńca Klaudiusza. Nawet nad morzem w Bajach unoszą się czasami opary siarki, a chorzy taplają się przy brzegu w nadziei, że to ich uzdrowi. To gdzieś w tej wiecznie

tlącej się okolicy, gdzie Sybilla miała swoją jaskinię, a przez płonące dziury w ziemi można było dostać się do podziemnego świata, musiało dojść do zanieczyszczenia Augusty.

Dopłynęli do samego ujścia tunelu. Koraks pozwolił przez chwilę sunąć łodzi po wodzie, a potem kilkoma wprawnymi uderzeniami wioseł zatrzymał ją dokładnie przy kolumnie. Atiliusz odłożył plany i podniósł pochodnię, która oświetliła szmaragdową plamę pleśni, a następnie gigantyczną głowę wykutego w kamieniu Neptuna, z którego ust tryskał zwykle strumień czarnej jak smoła wody. Jednak jego nurt osłabł nawet w ciągu tych kilku chwil, które zajęło im przepłynięcie od schodów. Woda sączyła się teraz cienką strużką.

Koraks zagwizdał cicho.

– Nigdy nie sądziłem, że dożyję czasów, kiedy wyschnie Aqua Augusta. Słusznie się przejmowałeś, przystojniaku. – Spojrzał na Atiliusza i na jego twarzy po raz pierwszy pojawił się lęk. – Pod jaką urodziłeś się gwiazdą? Jak mogłeś sprowadzić na nas coś takiego?

Inżynier poczuł, że coraz trudniej mu oddychać. Przycisnął dłoń do nosa i przesunął pochodnię nad powierzchnią zbiornika. Odbijające się w gładkiej czarnej tafli światło wyglądało niczym płonący w głębinie ogień.

To niemożliwe, pomyślał. Akwedukty nie mogły tak po prostu przestać działać. Nie w ten sposób, nie w ciągu kilku godzin. Ich koryta zbudowane zostały z cegieł łączonych cementową zaprawą i otoczone grubą na półtorej stopy betonową obudową. Normalne problemy – wady strukturalne, przecieki, osadzanie się wapna, które zwężało kanały – musiałyby kumulować się przez wiele miesięcy, a nawet lat, żeby doprowadzić do awarii. Claudię zamknięto dopiero po dziesięciu latach.

Z zadumy wyrwał go okrzyk Politesa.

– Akwariuszu!

Obrócił lekko głowę. Schody zasłonięte były kolumnami, przypominającymi kamienne dęby wyrastające z cuchnącego bagna.

– O co chodzi?

– Na dziedzińcu jest jeździec, akwariuszu. Przywiózł wiadomość, że akwedukt nie działa!

– Sami to widzimy, ty grecki głupcze – mruknął Koraks.

Atiliusz ponownie sięgnął po plany.

– Z jakiego miasta przybył?

Spodziewał się, iż niewolnik odkrzyknie, że z Bajów albo z Kume. W najgorszym razie z Puteoli. Neapol byłby katastrofą.

Ale odpowiedź była niczym cios w żołądek.

– Z Noli!

• • •

Posłaniec cały pokryty był pyłem i przypominał bardziej ducha niż człowieka. Zanim przekazał wszystkie nowiny – o tym, że o świcie woda przestała wpływać do zbiornika w Noli i że awarię poprzedził silny siarczany odór, który zaczął się wydzielać w połowie nocy – na drodze zastukały podkowy i na dziedziniec wjechał kolejny wierzchowiec.

Jeździec zeskoczył zgrabnie na ziemię i podał akwariuszowi zwinięty papirus. Wiadomość od ojców miasta Neapol. Aqua Augusta przestała tam działać w południe.

Atiliusz przeczytał list z kamienną twarzą. Na dziedzińcu zgromadził się całkiem pokaźny tłumek. Dwa konie i dwaj jeźdźcy, otoczeni przez pracowników akweduktu, którzy przerwali wieczorny posiłek, żeby dowiedzieć się, co się stało. Rejwach zaczął przyciągać uwagę przechodniów i okolicznych sklepikarzy.

– Hej, wodniku! – zawołał właściciel baru z przekąskami po drugiej stronie ulicy. – Co się dzieje?

Nie trzeba wiele, pomyślał Atiliusz, wystarczy lekki podmuch wiatru, żeby panika rozprzestrzeniła się niczym szalejący na wzgórzach pożar. Czuł w sobie jej iskry. Dwóm niewolnikom kazał zamknąć bramę, a Politesowi dopilnować, aby nakarmiono i napojono posłańców.

– Muso, Bekko! Weźcie wóz i zacznijcie go ładować. Niegaszone wapno, puteolanum, narzędzia… wszystko, czego możemy potrzebować do naprawy akweduktu. Tyle, ile zdoła uciągnąć para wołów.

Dwaj mężczyźni popatrzyli na siebie.

– Przecież nie wiemy, jakie są zniszczenia. Jeden wóz może nie wystarczyć – orzekł Musa.

– Wtedy weźmiemy po drodze dodatkowe materiały z Noli.

Atiliusz ruszył szybkim krokiem do biura akweduktu. Posłaniec z Noli podążył za nim.

– Ale co mam powiedzieć edylom? – zapytał. Właściwie był jeszcze chłopcem. Tylko jego oczodołów nie pokrywała skorupa pyłu. Różowe kręgi wokół oczu podkreślały malujący się w nich lęk. – Kapłani chcą złożyć ofiarę Neptunowi – oznajmił. – Mówią, że siarka to zły omen.

– Powiedz im, że wiemy, na czym polega problem – odparł Atiliusz, podnosząc plany. – Powiedz, że organizujemy ekipę naprawczą.

Pochylił głowę i wszedł przez niskie drzwi do małej klitki. Eksomniusz pozostawił archiwum Augusty w zupełnym chaosie. Rachunki, kwity i zamówienia, weksle, umowy, opinie prawne, raporty techniczne i inwentaryzacje, listy z departamentu *Curatora Aquarum* oraz rozkazy od dowódcy floty w Misenum – niektóre sprzed dwudziestu albo trzydziestu lat – wysypywały się z szuflad, walały na stole i podłodze. Atiliusz odgarnął papiery łokciem i rozwinął plany.

Nola! Jak to możliwe? Nola jest dużym miastem, położonym trzydzieści mil na wschód od Misenum, daleko od złóż siarki. Zmierzył kciukiem odległości. Z wozem zaprzężonym w woły będą potrzebowali prawie dwóch dni, żeby tam dotrzeć. Na mapie widział wyraźnie, w jaki sposób szerzy się katastrofa – woda w akwedukcie znikała z matematyczną precyzją. Poruszając wargami, wodził palcem wzdłuż wybrzeża. Dwie i pół mili na godzinę! Jeśli w Noli zabrakło wody o świcie, w takim razie Acerrae i Atella zostały jej pozbawione w połowie ranka. Skoro w Neapolu, dwanaście mil od Misenum, woda skończyła się w południe, w Puteoli musiało to nastąpić o godzinie ósmej, w Kume o dziewiątej, a w Bajach o dziesiątej. A teraz, o dwunastej, nadeszła nieubłaganie ich kolej.

Osiem miast zostało pozbawionych wody. Nieznana była tylko sytuacja w Pompejach, kilka mil w górę akweduktu od Noli. Ale nawet nie biorąc pod uwagę tego ostatniego miasta, wody nie miało ponad dwieście tysięcy ludzi.

Uświadomił sobie, że ktoś zasłonił światło. To Koraks. Stanął w progu, oparł się o framugę i bacznie go obserwował.

Inżynier zwinął mapę i włożył ją pod pachę.

– Daj mi klucz do śluzy – powiedział.

– Po co?

– Czy to nie oczywiste? Mam zamiar zamknąć zbiornik.

– Ale ta woda należy do floty! Nie możesz tego zrobić. Nie bez zgody admirała.

– Więc może pójdziesz i zapytasz go o zgodę? A ja tymczasem zamknę śluzy. – Po raz drugi tego dnia ich twarze dzieliła zaledwie szerokość dłoni. – Posłuchaj mnie, Koraksie. Piscina Mirabilis to rezerwa strategiczna. Rozumiesz? Jest po to, żeby w razie nadzwyczajnej sytuacji można ją było zamknąć… Z każdą minutą, kiedy się tu kłócimy, tracimy coraz więcej wody. Daj mi klucz albo odpowiesz za to w Rzymie.

– Bardzo dobrze. Jak chcesz, przystojniaku. – Koraks zdjął klucz z kółka przy pasie, nie odrywając wzroku od twarzy Atiliusza. – Pewnie, że pójdę do admirała. Powiem mu, co tu się dzieje. I wtedy zobaczymy, kto za co odpowie.

Atiliusz złapał klucz, przecisnął się obok Koraksa i wyszedł na dziedziniec.

– Zamknij za mną bramę, Politesie! – krzyknął. – Nikomu nie wolno wejść do środka bez mojego pozwolenia.

– Tak jest, akwariuszu.

Na ulicy nadal stał tłum gapiów, którzy rozstąpili się, by go przepuścić. Nie zwracał uwagi na ich pytania. Skręcił w lewo, potem znowu w lewo i zbiegł po stromych schodach. Gdzieś daleko wciąż grały wodne organy. Nad jego głową wisiało pranie, rozwieszone między budynkami. Ludzie oglądali się za nim, kiedy torował sobie drogę łokciami. Młodziutka, najwyżej dziesięcioletnia prostytutka w szafranowej sukni złapała go za ramię i nie chciała puścić, póki nie dał jej dwóch miedziaków z sakiewki. Widząc, jak mała śmiga przez tłum i wręcza je grubemu Kapadocjaninowi, który był najwyraźniej jej właścicielem, pośpieszył dalej, przeklinając swoją naiwność.

Budynek, w którym mieściły się wrota śluzy, był małym sześcianem z czerwonej cegły, niewiele przewyższającym człowieka. W niszy przy drzwiach stał posąg Egerii, bogini źródlanej wody. U jej stóp leżały zwiędłe kwiaty i spleśniałe kawałki chleba i sera – ofiary, jakie składały jej ciężarne kobiety, które wierzyły, że Egeria, małżonka Numy, Księcia Pokoju, zapewni im łatwy poród. Kolejny bezsensowny przesąd. Marnotrawstwo jedzenia.

Przekręcił klucz w zamku i pociągnął gniewnie ciężkie drewniane drzwi.

Znajdował się teraz na poziomie dna Piscina Mirabilis. Woda tryskała pod ciśnieniem z tunelu w ścianie, wlewała się przez kratę z brązu do otwartego zbiornika u jego stóp, a z niego rozchodziła trzema rurami, które znikały pod kamiennymi płytami, dostarczając ją do portu i miasta. Śluza zaopatrzona była w osadzoną równo ze ścianą zasuwę, którą otwierało się i zamykało za pomocą drewnianego uchwytu przymocowanego do żelaznego koła. Dawno nieużywany mechanizm zaciął się i inżynier musiał uderzyć w uchwyt i porządnie szarpnąć, żeby go poruszyć. Kręcił kołem najszybciej, jak potrafił. Zasuwa zaczęła zjeżdżać w dół; terkotała niczym spuszczana przy wjeździe do warowni krata i stopniowo ograniczała strugę wody, która w końcu przestała ciec. W powietrzu pozostał zapach mokrego pyłu.

Kałuża w kamiennym zbiorniku parowała tak szybko, że widział niemal, jak się kurczy. Pochylił się, przesunął palcami po wilgotnym kamieniu i dotknął nimi języka. Nie poczuł smaku siarki.

Zrobiłem to, pomyślał. Pozbawiłem wody cały garnizon floty, w środku suszy, bez upoważnienia, zaledwie trzy dni po objęciu pierwszej komendy. Ludzi degradowano i zaprzęgano do kieratu za mniejsze przewinienia; uświadomił sobie, że popełnił błąd, pozwalając Koraksowi pierwszemu dotrzeć do admirała. Z pewnością poprowadzone zostanie dochodzenie. Nadzorca już teraz starał się wskazać winnego.

Zamykając na klucz drzwi do śluzy, zerknął w górę i w dół ulicy. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Ludzie nie wiedzą, co ich wkrótce czeka. Czuł się jak ktoś, kto jest w posiadaniu wielkiego sekretu, i ta świadomość sprawiła, że zapragnął nagle zejść wszystkim z oczu. Idąc wąską alejką do portu, ze wzrokiem utkwionym w rynsztoku, trzymał się blisko ściany i unikał spojrzeń przechodniów.

• • •

Willa admirała stała po drugiej stronie Misenum, i żeby do niej dotrzeć, inżynier musiał pokonać prawie pół mili – w większości idąc, a w przypływach paniki biegnąc wąską groblą i przez obrotowy drewniany most, który oddzielał od siebie dwa naturalne portowe baseny.

Ostrzegano go przed admirałem, zanim jeszcze wyjechał z Rzymu.

– Głównodowodzącym floty jest Gajusz Pliniusz – powiedział *Curator Aquarum*. – Trafisz na niego wcześniej czy później. Uważa, że wie wszystko o wszystkim. I może ma rację. Musisz być bardzo ostrożny. Powinieneś rzucić okiem na jego najnowszą książkę *Historia naturalna*. Wszystko, co wiemy na temat Matki Natury, w trzydziestu siedmiu tomach.

Atiliusz znalazł egzemplarz w bibliotece publicznej w Portyku Oktawii. Czasu starczyło mu zaledwie na przeczytanie spisu treści.

Świat, o kształcie jego. O ruchu. O zaćmieniach Księżyca i Słońca. O grzmotach i błyskawicach. O muzyce gwiazd. O dziwnych znakach niebieskich, według przykładów historycznych. Belki niebieskie, rozstąpienie nieba. O kolorach nieba i płomieniu niebieskim. O wieńcach niebieskich. O nagłych kołach. Dłuższe zaćmienia słoneczne. O kamieniach z nieba spadających…

W bibliotece były również inne książki Pliniusza. Sześć tomów o sztuce oratorskiej. Osiem tomów o gramatyce. Dwadzieścia tomów o wojnie w Germanii, podczas której dowodził oddziałem kawalerii. Trzydzieści tomów poświęconych najnowszej historii Cesarstwa, kiedy pełnił funkcję prokuratora w Hiszpanii i Galii Belgijskiej. Atiliusz dziwił się, jak udało mu się tyle napisać i jednocześnie awansować tak wysoko w cesarskiej administracji.

– Bo nie ma żony – odparł *Curator* i roześmiał się z własnego żartu. – I w ogóle nie śpi. Nie pozwól mu wywieść się w pole.

Zachodzące słońce zabarwiło niebo na czerwono. Wielka laguna po jego prawej stronie, gdzie budowano i remontowano okręty wojenne, opustoszała na noc; tylko kilka morskich ptaków skrzeczało żałośnie pośród trzcin. Od lewej strony, w zewnętrznym porcie, zbliżał się w złotawym blasku pasażerski prom ze zwiniętymi żaglami i dwunastoma wiosłami z każdego boku. Ich pióra zanurzały się w regularnym, powolnym rytmie, kiedy lawirował między zakotwiczonymi triremami cesarskiej floty. Było zbyt późno, by mógł przybywać z Ostii, a zatem obsługiwał zapewne pobliskie porty. Wiózł tylu pasażerów, że otwarty pokład znajdował się tuż nad powierzchnią wody.

Że z chmur padało mleko, krew, mięso, żelazo, wełna, cegły. O znakach. Że ziemia znajduje się w środku świata. O trzęsieniach ziemi. O rozstąpieniu ziemi. O wyziewalniach ziemi. Dziwne zjawiska ognia i wody razem. O kleju ognistym. O nafcie. Które miejsca zawsze się palą. Stosunek harmoniczny świata…[*]

Atiliusz szedł szybciej, niż wysychały rury. Mijając łuk triumfalny, przez który wchodziło się do portu, zobaczył, że wielka fontanna przy skrzyżowaniu dróg wciąż działa. Wokół niej gromadził się jak zwykle wieczorny tłum – marynarze moczący w wodzie podpite łby, chlapiące się i wrzeszczące obszarpane dzieciaki, kolejka kobiet i niewolników z glinianymi garnkami na biodrach i barkach,

chcących nabrać wody. Marmurowy posąg boskiego Augusta, który wzniesiono przy ruchliwym skrzyżowaniu, aby przypominał obywatelom, komu zawdzięczają to szczęście, spoglądał chłodno w dal, zastygły w wiecznej młodości.

Przeładowany prom dobił do nabrzeża. Zrzucono dwa trapy, z przodu i z tyłu, i deski ugięły się pod ciężarem schodzących na ląd pasażerów. Podawano sobie z rąk do rąk bagaże. Właściciel lektyki, zaskoczony tym nagłym napływem ludzi, biegał dookoła i kopał gramolących się powoli z ziemi tragarzy. Atiliusz zawołał do niego przez ulicę, pytając, skąd przypłynął prom.

– Z Neapolu, mój przyjacielu! – odkrzyknął przez ramię właściciel lektyki. – A przedtem z Pompejów.

Z Pompejów.

Atiliusz, który już się oddalał, zatrzymał się w pół kroku. To dziwne, pomyślał. Dziwne, że nie mieli żadnej wiadomości z Pompejów, pierwszego miasta przy akwedukcie. Po krótkim wahaniu zawrócił i ruszył na spotkanie tłumu.

– Czy ktoś z was jest z Pompejów? – pytał, machając zwiniętymi planami Augusty, żeby zwrócić na siebie uwagę. – Czy ktoś był w Pompejach dziś rano?

Nikt jednak się nim nie przejmował. Byli spragnieni po podróży – musieli być, skoro przybywali z Neapolu, gdzie wody zabrakło już w południe – i mijali go z obu stron, pragnąc jak najszybciej dostać się do fontanny. Wszyscy, z wyjątkiem jednej osoby, świętego starca w spiczastej czapce i z zakrzywioną laską augura** w ręce, który stąpał powoli, spoglądając w niebo.

– Dzisiaj po południu byłem w Neapolu – oznajmił, zatrzymany przez Atiliusza – ale rano byłem w Pompejach. Dlaczego pytasz, synu? Czy jest coś, co mógłbym dla ciebie zrobić? – W jego kaprawych oczkach pojawił się chytry błysk. – Nie trzeba się wstydzić – dodał ciszej. – Umiem interpretować wszystkie zjawiska: pioruny, wnętrzności, zachowanie ptaków i niezwykłe znaki. Stawki umiarkowane.

– Czy mogę cię spytać, święty ojcze, kiedy wypłynąłeś z Pompejów?

– O pierwszym brzasku.

– Czy fontanny działały? Czy była w nich woda?

Atiliusz prawie bał się usłyszeć odpowiedź, tak wiele od niej zależało.

– Owszem, była woda. – Augur zmarszczył czoło i podniósł laskę ku zachodzącemu słońcu. – Ale kiedy przybyłem do Neapolu, ulice były suche i w łaźniach czułem zapach siarki. Dlatego właśnie postanowiłem wsiąść na prom i przypłynąć tutaj. – Znowu zerknął na niebo, wypatrując ptaków. – Siarka to zły omen.

– To prawda – zgodził się Atiliusz. – Ale czy jesteś pewien? Czy w Pompejach na pewno była woda?

– Tak, mój synu. Jestem tego pewien.

Nagle przy fontannie rozległ się krzyk i obaj odwrócili się, żeby zobaczyć, co się dzieje. Z początku wyglądało to na błahą szarpaninę, ale szybko zaczęły padać ciosy. Tłum jakby się ścieśnił i stał gęstszy. Ze środka kotłowaniny wyleciał nagle w powietrze wielki gliniany garnek, obrócił się powoli w powietrzu i wylądował na nabrzeżu, roztrzaskując się na kawałki. Jakaś kobieta zaczęła krzyczeć. Z ciżby wyczołgał się mężczyzna w greckiej tunice, przyciskając mocno do piersi bukłak z wodą. Ze skaleczenia na jego skroni płynęła krew. Padł na ziemię, ale po chwili dźwignął się na nogi i kuśtykając, zniknął w alejce.

Tak to się zaczyna, pomyślał inżynier. Najpierw przy tej, potem przy innych fontannach wokół portu, następnie przy wielkim zbiorniku na forum. A później w publicznych łaźniach, w szkole morskiej i w wielkich willach – z pustych rur wydobywać się będzie tylko brzęk ołowiu i świst powietrza.

Grające w oddali wodne organy przerwały w pół nuty i umilkły z przeciągłym jękiem.

Ktoś krzyczał, że ten sukinsyn z Neapolu przepchał się na początek kolejki i ukradł resztkę wody, i cały tłum, niczym obdarzona jednym mózgiem i instynktem bestia, rzucił się w pogoń wąską alejką. A potem, tak samo szybko, jak się zaczęła, awantura dobiegła końca i zostały po niej tylko potłuczone garnki i garstka kobiet, które osłaniając dłońmi głowy, kucały w pyle nieopodal skraju milczącej fontanny.

---

* Przekład Józefa Łukaszewicza.

** Augur – kapłan rzymski badający pewne zjawiska przyrody, wysnuwający wróżby z grzmotów i błyskawic czy ze sposobu zachowania się zwierząt.

VESPERA

(godzina 20.07)

Do trzęsień ziemi może dochodzić w rejonach o dużej koncentracji naprężeń – takich jak pobliskie uskoki – i w bezpośredniej bliskości magmy, w której następują zmiany ciśnienia.

Haraldur Sigurdsson (red.)
Encyclopaedia of Volcanoes

Oficjalna rezydencja admirała położona była wysoko na wzgórzu nad portem i kiedy Atiliusz tam dotarł i zaprowadzono go na taras, zapadł zmierzch. W willach wokół zatoki zapalano pochodnie, oliwne lampki i kosze z płonącym węglem. Biegnąca wzdłuż linii wybrzeża przerywana nitka żółtego światła ciągnęła się mila za milą, znikając dopiero w fioletowej mgiełce koło Capri.

Przy wejściu minął się z wychodzącym pośpiesznie centurionem w pełnej zbroi, w hełmie z grzebieniem i z mieczem u pasa. Z kamiennego stołu pod pergolą sprzątano pozostałości obfitego posiłku. W pierwszej chwili nie dostrzegł admirała, lecz kiedy zapowiedział go niewolnik – „Marek Atiliusz Primus, akwariusz Aqua Augusta!" – stojący na końcu tarasu tęgi pięćdziesięciokilkuletni mężczyzna obrócił się na pięcie i poczłapał ku niemu w towarzystwie, jak domyślał się inżynier, gości przerwanego przyjęcia: czterech spoconych mężczyzn w togach, z których przynajmniej jeden, sądząc po purpurowej szarfie, był senatorem. Za nimi sunął Koraks – uniżony, złowrogi, nieunikniony.

Atiliusz wyobraził sobie, nie wiadomo dlaczego, że słynny uczony jest chudy, lecz Pliniusz był gruby – brzuch sterczał mu ostro niczym taran jednego z jego wojennych okrętów. Idąc, ocierał czoło serwetą.

– Czy mam cię od razu aresztować, akwariuszu? Mógłbym to zrobić, to chyba jasne. – Miał głos typowego grubasa: piskliwy i coraz bardziej ochrypły, w miarę jak wyliczał na pulchnych palcach kolejne zarzuty. – Na początek niekompetencja… któż może w to wątpić? Zaniedbanie. Gdzie się podziewałeś, kiedy siarka skaziła wodę? Niesubordynacja. Z czyjego upoważnienia zamknąłeś nam dopływ wody? Zdrada. Owszem, także zarzut zdrady jest do udowodnienia. Co powiesz na podburzanie do buntu w cesarskich stoczniach? Musiałem wysłać całą centurię, pięćdziesięciu żołnierzy, żeby przetrącili parę karków i spróbowali zaprowadzić porządek w mieście, i kolejnych pięćdziesięciu do Piscina Mirabilis, żeby strzegli resztek wody.

Pliniusz przerwał, bo zabrakło mu tchu. Z pucołowatymi policzkami, zaciśniętymi wargami i rzadkimi siwymi loczkami, które pot przylepił do czaszki, przypominał leciwego wściekłego cheruba, który spadł z łuszczącego się plafonu. Najmłodszy z jego gości – pulchny młodzieniec dobiegający dwudziestki – postąpił krok do przodu, żeby podać mu ramię, lecz Pliniusz odtrącił go. Kryjący się za ich plecami Koraks uśmiechał się, pokazując ciemne zęby. Okazał się bardziej skuteczny w sączeniu

jadu, niż spodziewał się Atiliusz. Prawdziwy polityk. Potrafiłby pewnie nauczyć kilku sztuczek senatora.

Zauważył wschodzącą nad Wezuwiuszem gwiazdę. Nigdy wcześniej nie przyjrzał się uważnie górze, z całą pewnością nie pod tym kątem. Niebo było ciemne, lecz ona jeszcze ciemniejsza, prawie czarna – masywna bryła wznosząca się aż do ostrego szczytu. Tam właśnie leży źródło problemu, pomyślał. Gdzieś na zboczach góry. Nie od strony morza, ale od lądu, na północno-wschodnim stoku.

– Kim ty w ogóle jesteś? – zdołał w końcu wyrzęzić Pliniusz. – Nie znam cię. Jesteś o wiele za młody. Co się stało z tamtym akwariuszem? Jak on się zwał?

– Eksomniusz – podpowiedział Koraks.

– Eksomniusz, właśnie. Gdzie on jest? I co sobie wyobraża Aciliusz Awiola, przysyłając nam chłopców do zadań, które wymagają prawdziwych mężczyzn? No? Mów! Co masz na swoją obronę?

Za plecami admirała Wezuwiusz tworzył idealną naturalną piramidę, u podstawy której widać było światła nadmorskich willi. W kilku miejscach ich cienka linia lekko się wybrzuszała – domyślał się, że tam muszą leżeć miasta. Pamiętał je z mapy. Najbliższe było Herkulanum, najdalsze Pompeje.

Atiliusz wyprostował się.

– Muszę pożyczyć okręt – powiedział.

• • •

Rozwinął mapę na stole w bibliotece Pliniusza, dociskając ją z obu stron kawałkami magnetytu, które wziął z gabloty. Stary niewolnik krzątał się, zapalając świece w ozdobnym kandelabrze z brązu. Przy ścianach stały zakurzone cedrowe stelaże wypełnione zwojami papirusów i chociaż drzwi na taras były szeroko otwarte, ani jeden podmuch nadmorskiej bryzy nie łagodził upału.

Ze świec bił prosto w górę tłusty czarny dym. Atiliusz czuł, jak po brzuchu spływa mu pot, irytujący niczym pełzający owad.

– Powiedz paniom, że wkrótce do nich dołączymy – polecił admirał, po czym odwrócił się od niewolnika i skinął głową inżynierowi. – No dobrze. Słuchamy.

Atiliusz przyjrzał się otaczającym go mężczyznom. Na ich oświetlonych blaskiem świec twarzach malowało się skupienie. Poznał ich nazwiska, jeszcze nim usiedli, i sprawdzał teraz, czy dobrze je zapamiętał: Pediusz Kaskus, starszy senator, który zdaje się był kiedyś konsulem i miał wielką nadmorską willę w Herkulanum; Pomponianus, stary towarzysz broni Pliniusza, który przypłynął na kolację ze swojej willi w Stabie; oraz Antiusz, kapitan cesarskiego okrętu flagowego *Victoria*. Pulchny młodzieniec był siostrzeńcem Pliniusza i nazywał się Gajusz Pliniusz Ceciliusz Sekundus.

Atiliusz dotknął palcem mapy i wszyscy, nawet Koraks, wyciągnęli szyje.

– W pierwszym momencie sądziłem – zaczął – że do awarii akweduktu musiało dojść gdzieś tutaj, na płonących polach wokół Kume. To wyjaśniałoby obecność siarki. Ale potem dowiedzieliśmy się, że wody zabrakło również w Noli… tu, na wschodzie. Stało się to o świcie. Dokładne określenie czasu jest tutaj kluczowe, ponieważ według świadka, który był w Pompejach o brzasku, tamtejsze fontanny działały. Jak widzicie, Pompeje czerpią wodę z akweduktu, zanim ta dotrze do Noli, więc logicznie rzecz biorąc, powinno jej tam zabraknąć już w środku nocy. Z faktu, że do tego nie doszło, można wysnuć tylko jeden wniosek: do awarii musiało dojść gdzieś tutaj – mówiąc to, zatoczył krąg palcem – na tym pięciomilowym odcinku, gdzie akwedukt biegnie blisko Wezuwiusza.

Pliniusz wbił wzrok w mapę.

– A okręt? – zapytał. – Do czego jest ci potrzebny okręt?

– Według moich wyliczeń wody zostało nam na dwa dni. Jeśli wyruszymy lądem z Misenum, żeby stwierdzić, co się stało, dokładnie tyle czasu zajmie nam samo odnalezienie miejsca awarii. Jeśli jednak popłyniemy morzem do Pompejów… jeśli nie zabierzemy dużo ładunku i weźmiemy w tym mieście większą część tego, czego potrzebujemy, możemy zacząć naprawiać akwedukt już jutro.

W ciszy, która zapadła, inżynier słyszał regularne kapanie stojącego przy drzwiach zegara wodnego. Wosk oblepił skrzydełka kilku krążących nad świecami komarów.

– Ilu masz ludzi? – zapytał Pliniusz.

– Razem pięćdziesięciu, ale większość stacjonuje wzdłuż całego akweduktu, przy odstojnikach i zbiornikach miejskich. W Misenum mam ich tylko tuzin. Połowę wezmę ze sobą. Dodatkowych robotników mogę wynająć w Pompejach.

– Możemy mu dać liburniana*, admirale – powiedział Antiusz. – Jeśli wypłynie stąd o brzasku, może być w Pompejach w godzinach rannych.

Już sama sugestia takiej wyprawy najwyraźniej wprawiła Koraksa w panikę.

– Z całym szacunkiem, admirale, ale to zwykłe mrzonki – oznajmił. – Nie przywiązywałbym do tego większej wagi. Przede wszystkim jestem ciekaw, skąd on wie, że w Pompejach jest woda.

– W drodze tutaj spotkałem na nabrzeżu mężczyznę, admirale. Augura. Właśnie przypłynął lokalnym promem. Powiedział mi, że był w Pompejach dziś rano.

– Augura! – Koraks się zaśmiał. – Wielka szkoda, że tego nie przewidział! Ale dobrze… powiedzmy, że ma rację. Powiedzmy, że do awarii doszło tam, gdzie mówi. Znam ten odcinek akweduktu lepiej niż ktokolwiek: ma pięć mil długości i przez cały czas biegnie pod ziemią. Minie co najmniej dzień, zanim odkryjemy, gdzie jest pęknięcie.

– To nieprawda – zaprotestował Atiliusz. – Przy tej ilości wylewającej się z akweduktu wody nawet ślepiec potrafiłby odnaleźć to miejsce.

– Skoro tyle wody zebrało się w tunelu, jak dostaniemy się do środka, żeby go naprawić?

– Posłuchaj – odparł inżynier. – Po zawinięciu do Pompejów podzielimy się na trzy grupy. – Tak naprawdę w ogóle tego wcześniej nie zaplanował. Musiał wymyślać wszystko na bieżąco. Wyczuwał jednak, że Antiusz go popiera, a admirał nie oderwał jeszcze oczu od mapy. – Pierwsza grupa wyruszy do akweduktu, wzdłuż odnogi prowadzącej do Pompejów, do miejsca, w którym ta łączy się z główną nitką, a następnie na zachód. Zapewniam was, że odnalezienie zatoru nie będzie trudne. Druga grupa zostanie w Pompejach i zbierze dość ludzi i materiałów, niezbędnych do napraw. Trzecia grupa uda się konno w góry, do źródeł koło Abellinum, z rozkazem zamknięcia Augusty.

Senator spojrzał na niego przenikliwie.

– Czy to możliwe? W Rzymie, kiedy trzeba naprawiać akwedukt, zamyka się go na kilka tygodni.

– Z tego, co widać na planie, tak, to jest możliwe, senatorze. – Atiliusz odkrył to zaledwie przed chwilą, ale czuł, że wszystko staje się jasne. Zarys całej operacji rodził się w jego umyśle, w miarę jak mówił. – Nigdy nie widziałem źródeł Serinusa, ale z planu wynika, że ze zbiornika, do którego wpadają, odchodzą dwa kanały. Większość wody płynie na zachód, do nas, ale mniejszy kanał prowadzi na północ, do Benewentu. Gdybyśmy skierowali całą wodę na północ i opróżnili kanał zachodni, moglibyśmy wejść do środka, żeby go naprawić. Dzięki temu przed rozpoczęciem naprawy nie

będziemy musieli budować tamy i tymczasowego obejścia, tak jak to się dzieje w przypadku awarii akweduktu w Rzymie. Możemy pracować o wiele szybciej.

Senator odwrócił się do Koraksa, popatrując na niego spod opadających powiek.

– Czy to prawda, nadzorco?

– Może i prawda – zgodził się niechętnie Koraks. Wyczuł chyba, że został pokonany, ale nie chciał się poddać bez walki. – Mimo to w dalszym ciągu utrzymuję, że on bredzi od rzeczy, admirale, twierdząc, że uda się to zrobić w ciągu jednego albo dwóch dni. Jak już mówiłem, znam ten odcinek. Mieliśmy tam problemy przed niespełna dwudziestu laty, kiedy doszło do wielkiego trzęsienia ziemi. Eksomniusz dopiero co przybył z Rzymu, była to jego pierwsza komenda i pracowaliśmy przy tym razem. Trzęsienie nie zablokowało całkowicie kanału, mogę za to ręczyć, ale i tak załatanie wszystkich pęknięć zajęło nam kilka tygodni.

– Co to za wielkie trzęsienie? – zainteresował się Atiliusz. Nigdy mu o nim nie wspominano.

– Było to dokładnie przed siedemnastu laty – odezwał się po raz pierwszy cieniutkim głosem siostrzeniec Pliniusza. – Trzęsienie nastąpiło w nony lutowe, za konsulatu Regulusa i Werginiusza. Cesarz Neron był wtedy w Neapolu i występował na scenie. Seneka opisuje ten epizod. Musiałeś o tym chyba czytać, wuju? Odpowiedni ustęp jest w dziele *O zjawiskach natury*, w księdze szóstej.

– Owszem, Gajuszu, dziękuję – odparł zgryźliwie admirał. – Czytałem o tym, ale jestem ci oczywiście wdzięczny za wskazówkę. – Wydął policzki, wpatrując się w mapę. – Zastanawiam się… – mruknął, a potem obrócił się nagle w fotelu. – Dromo! – zawołał na niewolnika. – Przynieś mój kieliszek z winem. Szybko!

– Źle się czujesz, wuju?

– Nie, nie. – Pliniusz oparł podbródek na pięści i znów spojrzał na mapę. – A więc to uszkodziło Augustę? Trzęsienie ziemi?

– W takim razie powinniśmy je chyba odczuć? – zauważył Antiusz. – Poprzednie trzęsienie zniszczyło dużą część Pompejów. Wciąż ją odbudowują. Połowa miasta to plac budowy. Nie mieliśmy doniesień o tak silnych wstrząsach.

– A mimo to – kontynuował Pliniusz, jakby mówił do siebie – pogoda jest z całą pewnością typowa dla trzęsień ziemi. Nie ma wiatru, ptaki z trudem latają. W normalnych okolicznościach należałoby spodziewać się sztormu. Ale kiedy Saturn, Jupiter i Mars są w koniunkcji ze Słońcem, piorun, zamiast uderzać z powietrza, ciskany jest czasami przez Naturę spod ziemi. Taka jest zresztą w mojej opinii definicja trzęsienia ziemi: to grom ciskany z wnętrza ziemi.

Niewolnik podszedł do niego z tacą, na której stał wypełniony w trzech czwartych wielki kielich z czystego szkła. Pliniusz odchrząknął i zbliżył wino do płomienia świecy.

– Cekubijskie – szepnął z podziwem Pomponianus. – Czterdzieści lat i wciąż wyborne. Też bym się chętnie napił, Pliniuszu – dodał, oblizując tłuste wargi.

– Za chwilę. Spójrzcie. – Pliniusz zakołysał winem. Było gęste i lepkie, koloru miodu. Gdy admirał podsunął mu je pod nos, Atiliusz poczuł zapach stęchłej słodyczy. – A teraz patrzcie uważnie – polecił, ostrożnie stawiając kielich na stole.

Inżynier nie wiedział z początku, o co mu chodzi. Przyglądając się jednak bacznie kielichowi, dostrzegł, że powierzchnia wina wibruje niczym naprężony sznurek, a od środka rozchodzą się malutkie fale. Pliniusz wziął do ręki kielich i wibracja ustąpiła; postawił go i fale pojawiły się ponownie.

– Zauważyłem to podczas kolacji. Nauczyłem się obserwować bacznie zjawiska natury, które uchodzą uwagi innych ludzi. Drżenie nie jest ciągłe. Zobaczcie, teraz powierzchnia wina jest nieruchoma.

– To naprawdę niezwykłe, Pliniuszu – zgodził się Pomponianus. – Winszuję ci. Obawiam się, że kiedy sam wziąłem kielich do ręki, odstawiłem go, dopiero gdy był pusty.

Na senatorze odkrycie to nie zrobiło aż tak dużego wrażenia. Skrzyżował ręce i odchylił się do tyłu w fotelu, jakby obawiał się, że wyjdzie na głupca, oglądając podobne dziecinne sztuczki.

– Nie wiem, dlaczego to dla was takie ważne. I cóż z tego, że stół drży? To może być cokolwiek. Wiatr…

– Nie ma wiatru.

– …albo czyjeś ciężkie kroki. Może tu obecny Pomponianus gładził pod stołem po kolanie którąś z dam?

Obecni roześmiali się i to złagodziło napięcie. Tylko Pliniusz się nie uśmiechnął.

– Wiemy, że ziemia, na której stoimy i która wydaje nam się taka stała, w rzeczywistości bez przerwy się obraca z niedającą się opisać szybkością. I niewykluczone, że ta mknąca przez przestrzeń masa wytwarza dźwięk, którego nie potrafi wykryć ludzkie ucho. Gwiazdy nad naszymi głowami mogłyby na przykład dźwięczeć niczym dzwoneczki, gdybyśmy tylko potrafili je usłyszeć. Niewykluczone, że fale na powierzchni wina są fizycznym wyrazem tej samej niebiańskiej harmonii…

– Więc dlaczego pojawiają się i znikają?

– Nie znam odpowiedzi, Kaskusie. Może w jednym momencie ziemia sunie gładko, a w innym napotyka opór? Istnieje szkoła, która utrzymuje, że wiatry powstają, ponieważ ziemia wędruje w jedną stronę, a gwiazdy w przeciwną. Cóż o tym sądzisz, akwariuszu?

– Jestem inżynierem, admirale, a nie filozofem – odparł taktownie Atiliusz. Jego zdaniem tracili tylko czas. Zastanawiał się, czy nie wspomnieć o dziwnym zachowaniu pary na zboczu tego ranka, ale rozmyślił się. Dzwoniące gwiazdy! Tupnął niecierpliwie. – Mogę tylko powiedzieć, że główną nitkę akweduktu zbudowano tak, by wytrzymała działanie największych sił. W miejscach, gdzie biegnie pod ziemią, a więc na przeważającej długości, Augusta ma sześć stóp wysokości i trzy szerokości i spoczywa na grubej na półtorej stopy warstwie betonu. Boczne ściany mają tę samą grubość. To, co ją uszkodziło, musiało mieć potężną moc.

– Bardziej potężną niż to, co wprawia w drżenie moje wino? – Admirał spojrzał na senatora. – Może w ogóle nie mamy do czynienia ze zjawiskiem przyrodniczym? A skoro tak, to z czym? Być może ze świadomym aktem sabotażu, wymierzonym w naszą flotę? Ale któż by się ośmielił? Od czasów Hannibala żaden nieprzyjacielski żołnierz nie postawił stopy w tej części Italii.

– Trudno tłumaczyć sabotażem obecność siarki.

– Siarki! – Pomponianus nagle się wzdrygnął. – Siarka występuje w piorunach, nieprawdaż? A kto ciska pioruny? – zapytał i rozejrzał się wyraźnie przejęty. – Jupiter! Jupiter, który jest bogiem wyższych warstw powietrza. Powinniśmy złożyć mu w ofierze białego byka i kazać kapłanom zbadać jego wnętrzności. One powiedzą nam, co robić.

Inżynier roześmiał się.

– A cóż jest w tym śmiesznego? – obruszył się Pomponianus. – To mniej śmieszne od pomysłu, że ziemia frunie w przestrzeni. A jeśli tak jest, to chciałbym, za twoim pozwoleniem, Pliniuszu, zapytać,

dlaczego wszyscy z niej nie pospadamy?

– Ofiara to znakomity pomysł, przyjacielu – stwierdził pojednawczo admirał. – Jako dowódca floty jestem również głównym kapłanem Misenum i zapewniam cię, że gdybym miał pod ręką białego byka, od razu bym go zabił. Chwilowo jednak potrzebne nam są bardziej praktyczne rozwiązania. – Odchylił się do tyłu w fotelu, otarł twarz serwetą i uważnie jej się przyjrzał, jakby mogła zawierać jakąś ważną wskazówkę. – No dobrze, akwariuszu. Dam ci okręt. Antiuszu – zwrócił się do kapitana – jaki jest najszybszy liburnian w całej flocie?

– Najszybsza jest *Minerwa*, admirale. Statek Torkwatusa. Właśnie przypłynął z Rawenny.

– W takim razie niech będzie gotowy do wypłynięcia o pierwszym brzasku.

– Tak jest, admirale.

– Chcę także, aby przy każdej fontannie umieszczono informację, że woda jest racjonowana. Będzie teraz płynąć dwa razy w ciągu dnia, przez godzinę o świcie i godzinę o zmierzchu.

Antiusz skrzywił się.

– Czyżbyś zapomniał, że jutro jest święto, admirale? Obchodzimy przecież Wulkanalia.

– Doskonale zdaję sobie sprawę, że jutro są Wulkanalia.

To prawda, uświadomił sobie Atiliusz. W natłoku spraw związanych z wyjazdem z Rzymu i awarią akweduktu zupełnie stracił poczucie czasu. W przypadający dwudziestego trzeciego sierpnia dzień Wulkana ciskano w ogień żywe ryby, składając w ten sposób ofiarę bogowi płomieni.

– A co będzie z łaźniami publicznymi? – nalegał Antiusz.

– Zamknięte do odwołania.

– To im się nie spodoba, admirale.

– Nic na to nie poradzimy. Zresztą wszyscy staliśmy się zbyt gnuśni – stwierdził Pliniusz, zerkając na Pomponianusa. – Cesarstwa nie zbudowali ludzie, którzy spędzają cały dzień w łaźni. Dobrze im zrobi, jeśli posmakują życia takiego, jakim było niegdyś. Gajuszu, napisz w moim imieniu list do edylów Pompejów. Każ im dostarczyć odpowiednią liczbę robotników oraz materiały niezbędne do naprawy akweduktu. Wiesz, jak to powinno wyglądać. *W imieniu cesarza Tytusa Cezara Wespazjana Augusta, zgodnie z władzą powierzoną mi przez Senat i Lud Rzymu*, i tak dalej… żeby stanęli na baczność. Ty, Koraksie… nie ulega kwestii, że znasz teren wokół Wezuwiusza lepiej niż ktokolwiek inny. Powinieneś pojechać i zlokalizować pęknięcie, podczas gdy akwariusz będzie organizował główną grupę w Pompejach.

Skonsternowany nadzorca otworzył szeroko usta.

– O co chodzi? Nie zgadzasz się?

– Nie, nie, admirale. – Koraks szybko się opanował, lecz jego reakcja nie uszła uwagi Atiliusza. – Oczywiście, mogę poszukać pęknięcia. Ale czy nie byłoby rozsądniej, gdyby ktoś pozostał przy zbiorniku, aby nadzorować racjonowanie…

– Racjonowaniem zajmie się marynarka wojenna – przerwał mu niecierpliwie Pliniusz. – To w pierwszym rzędzie kwestia porządku publicznego.

Przez moment wydawało się, że Koraks stanie okoniem, lecz po chwili zmarszczył brwi i skłonił głowę.

Z tarasu dobiegły kobiece głosy i perlisty śmiech.

On nie chce, żebym pojechał do Pompejów, uświadomił sobie nagle Atiliusz. Cały ten dzisiejszy występ miał na celu niedopuszczenie mnie do Pompejów.

W drzwiach pojawiła się misternie ufryzowana głowa damy. Kobieta musiała mieć koło sześćdziesiątki. Atiliusz nigdy jeszcze nie widział pereł tak wielkich jak te, które miała na szyi.

– Kaskusie, kochanie, jak długo jeszcze każesz nam czekać? – zapytała, kiwając palcem na senatora.

– Wybacz nam, Rektyno – odparł Pliniusz. – Już prawie skończyliśmy. Czy ktoś chciałby jeszcze coś dodać? – zapytał, patrząc kolejno na każdego z zebranych. – Nie? W takim razie proponuję, abyśmy skończyli kolację.

Odsunął od stołu swój fotel i wszyscy wstali. Balast w postaci brzucha sprawiał, że ciężko mu było się podnieść. Gajusz zaoferował mu swoje ramię, lecz admirał dał znak, żeby się odsunął. Musiał kilka razy pochylić się do przodu i wysiłek, z jakim w końcu dźwignął się na nogi, pozbawił go tchu. Jedną dłoń oparł o stół, drugą sięgnął po kielich i nagle znieruchomiał z wyciągniętymi do przodu rozczapierzonymi palcami.

Powierzchnia wina znowu ledwo dostrzegalnie się zmąciła.

Pliniusz wydął policzki.

– Wydaje mi się, że powinienem jednak złożyć w ofierze tego białego byka, Pomponianusie – powiedział. – A ty – zwrócił się do Atiliusza, podnosząc kielich i upijając łyk wina – zwróć mi wodę w ciągu dwóch dni, albo, wierz mi, wszyscy będziemy potrzebowali pomocy Jupitera.

---

* Liburnian – lekki, szybki statek. Nazwa pochodzi od Liburnii, części Ilirii nad Morzem Adriatyckim, słynącej z budowy takich właśnie statków.

NOCTE INTEMPESTA

(godzina 23.22)

> *Przemieszczanie się magmy może również zakłócić poziom wód gruntowych; odnotowuje się wówczas zmiany ich przepływu i temperatury.*
>
> *Encyclopaedia of Volcanoes*

Dwie godziny później inżynier leżał nago na swoim wąskim drewnianym łóżku, nie mogąc zasnąć i czekając na świt. Znajoma rytmiczna kołysanka akweduktu umilkła i zastąpiły ją ciche odgłosy nocy – skrzypienie butów wartownika na ulicy, chrobotanie mysich pazurków pod krokwiami dachu, suchy kaszel jednego z mieszkających na dole niewolników. Atiliusz zamknął oczy i natychmiast je otworzył. Przejęty awarią akweduktu, zapomniał, jak wyglądały zwłoki wyciągane z basenu z murenami, lecz teraz, w ciemności, cała ta scena znów stanęła mu przed oczyma – skupione milczenie przy skraju wody, ciało złapane na hak i wywleczone z basenu; krew, krzyki kobiet, zatroskana twarz i blade nogi i ręce dziewczyny.

Zbyt wyczerpany, by zasnąć, postawił bose stopy na ciepłej podłodze. Na szafce nocnej paliła się mała lampka oliwna. Obok leżał niedokończony list do domu. Nie było teraz sensu pisać go dalej. Albo zreperuje Augustę i wtedy matka i siostra dowiedzą się wszystkiego, gdy wróci, albo usłyszą o nim, kiedy zostanie odesłany w niełasce do Rzymu i stanie przed sądem, okrywając hańbą rodowe nazwisko.

Wziął do ręki lampkę i postawił ją przed małym ołtarzykiem, na którym stały figurki symbolizujące duchy jego przodków. Klęcząc, podniósł posążek swojego pradziada. Czy mógł być jednym z budowniczych Augusty? Niewykluczone. Z rejestrów *Curatora Aquarum* wynikało, że Agryppa wysłał do jej budowy czterdzieści tysięcy legionistów i niewolników i że została ukończona w osiemnaście miesięcy. Działo się to sześć lat po zbudowaniu Aqua Julia w Rzymie i siedem lat przed zbudowaniem Virgo, a jego pradziad z całą pewnością pracował przy obu. Miło było wyobrazić sobie, że jakiś Atiliusz mógł już wcześniej przybyć na południe, do tej upalnej krainy. Mógł nawet siedzieć w tym samym miejscu co on, gdy niewolnicy kopali Piscina Mirabilis. Poczuł, że wraca mu odwaga. Ludzie zbudowali Augustę, ludzie zdołają ją naprawić. On zdoła ją naprawić.

Pomyślał o ojcu.

Odstawił jeden posążek i wziął do ręki inny, gładząc czule kciukiem jego gładką głowę.

Twój ojciec był mężnym człowiekiem. Udowodnij, że ty też nim jesteś.

Był niemowlakiem, kiedy ojciec ukończył Aqua Claudia, lecz tyle razy opowiadano mu o dniu, w którym poświęcono akwedukt (a jego, zaledwie czteromiesięcznego berbecia, podawano ponad głowami inżynierów w wielkim tłumie na Eskwilinie), że czasami wydawało mu się, iż pamięta wszystko, jakby dobrze to widział: starego Klaudiusza, krzywiącego się i zacinającego, gdy składał

ofiarę Neptunowi, i wodę, pojawiającą się w kanale dokładnie w tym samym momencie, w którym cesarz wzniósł ręce ku niebu. Mimo westchnień obecnych nie miało to nic wspólnego z boską interwencją. Jego ojciec znał po prostu prawa inżynierii i otworzył śluzy u szczytu akweduktu na osiemnaście godzin przed kulminacyjnym momentem ceremonii, po czym wrócił konno do miasta szybciej niż ścigająca go woda.

Atiliusz przyjrzał się leżącej na jego dłoni glinianej figurce.

A ty, ojcze? Czy byłeś kiedykolwiek w Misenum? Czy znałeś Eksomniusza? Mawiałeś, że rzymscy akwariusze są jak jedna wielka rodzina – bliscy sobie niczym żołnierze tej samej kohorty. Czy Eksomniusz był jednym z inżynierów obecnych na Eskwilinie w dniu twojego triumfu? Czy kołysał mnie na ramionach tak jak inni?

Przyglądał się przez chwilę figurce, ucałował ją, po czym postawił na ołtarzyku.

Przykucnął na piętach.

Najpierw znika akwariusz, potem woda. Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej był przekonany, że te dwa fakty muszą być ze sobą związane. Ale w jaki sposób? Omiótł wzrokiem niedbale otynkowane ściany. Tutaj na pewno nie znajdzie żadnej wskazówki. W tej surowej celi nie zachował się żaden ślad po akwariuszu i jego charakterze, mimo że według Koraksa Eksomniusz nadzorował Augustę przez dwadzieścia lat.

Wziął lampkę i wyszedł na korytarz, osłaniając dłonią płomień. Odsunąwszy zasłonę po drugiej stronie, oświetlił klitkę, gdzie złożono rzeczy Eksomniusza. Dwa drewniane kufry, dwa kandelabry z brązu, płaszcz, sandały, nocnik. Niewiele, jak na całe życie. Zauważył, że żaden z kufrów nie jest zamknięty.

Zerknął w stronę schodów, ale z dołu dochodziło wyłącznie chrapanie. Trzymając lampkę, otworzył wieko bliższego kufra i zaczął w nim szperać jedną ręką. Ubrania, w większości stare. Kiedy je poruszył, uniósł się z nich silny odór nieświeżego potu. Dwie tuniki, przepaska na biodra, starannie złożona toga. Zamknął cicho wieko i otworzył drugi kufer. Tutaj także niewiele znalazł. Drapaczka do ściągania oliwy w łaźni. Groteskowa figurka Priapa z monstrualnie wielkim penisem. Gliniany kubek do gry w kości z kolejnymi penisami wyrzeźbionymi przy krawędzi. No i same kości. Kilka szklanych słoiczków z różnymi ziołami i maściami. Dwa talerze. Niewielki, mocno zaśniedziały puchar z brązu.

Potrząsnął jak mógł najciszej kośćmi w kubku i rzucił je. Dopisało mu szczęście. Cztery szóstki – rzut Wenus. Spróbował ponownie, z tym samym wynikiem. Trzeci rzut Wenus rozstrzygnął sprawę. Kości były spreparowane.

Odłożył je i wziął do ręki puchar. Czy rzeczywiście jest z brązu? Teraz, kiedy przyjrzał mu się uważniej, nie był już tego taki pewien. Zważył go w dłoni, obrócił, chuchnął i potarł spód kciukiem. Po chwili zobaczył wygrawerowaną na złotym tle literę P. Potarł ponownie, stopniowo poszerzając krąg błyszczącego metalu, aż udało mu się odczytać wszystkie inicjały.

N. P. N. l. A.

Litera l oznaczała *libertus* i świadczyła o tym, że kielich należał do wyzwoleńca, byłego niewolnika, którego właściciel nosił nazwisko zaczynające się na P i który był na tyle bogaty i wulgarny, by pić wino ze złotego pucharu.

Jej głos zabrzmiał nagle w jego głowie tak wyraźnie, jakby stała tuż obok.

„Jestem Korelia Ampliata, córka Numeriusza Popidiusza Ampliatusa, właściciela Villa Hortensia”.

• • •

Światło księżyca odbijało się od gładkich czarnych kamieni wąskiej uliczki i obrysowywało płaskie dachy domów. Mogło się wydawać, że jest niemal tak samo gorąco jak późnym popołudniem, a księżyc świeci jasno niczym słońce. Wspinając się po stopniach między zamkniętymi na głucho, milczącymi domami, przypomniał sobie, jak przed nim biegła, jak jej biodra kołysały się pod prostą białą suknią.

„Kilkaset kroków, owszem, ale przez cały czas pod górę!”

Dotarł do równego terenu i wysokiego muru otaczającego willę. Szary kocur przemknął po nim i zniknął po drugiej stronie. Lśniące metalowe delfiny wyskakiwały i całowały się nad zamkniętą na łańcuch bramą. W oddali słyszał morze, uderzające o brzeg fale i muzykę cykad w ogrodzie. Potrząsnął żelaznymi kratami i przyłożył twarz do ciepłego metalu. Okno w budce odźwiernego było zamknięte i zakratowane. Nigdzie nie paliło się ani jedno światło.

Przypomniał sobie reakcję Ampliatusa, gdy pojawił się nad basenem. „Co się stało z Eksomniuszem?” I potem: „Z pewnością jednak pełni funkcję akwariusza?”. W jego głosie zabrzmiało zaskoczenie i chyba coś więcej. Teraz Atiliusz zdał sobie sprawę, że był to niepokój.

– Korelio! – zawołał cicho. – Korelio Ampliato!

Żadnej odpowiedzi. A potem jakiś szept w ciemności, tak nisko, że prawie go nie usłyszał.

– Nie ma.

Głos kobiety. Dochodził skądś z lewej strony. Inżynier odsunął się od bramy i wbił wzrok w ciemność. Nie widział nic oprócz małej kupki łachmanów przy murze. Podszedł bliżej i zobaczył, że łachmany lekko się poruszyły. Wyłoniła się spomiędzy nich koścista stopa. To matka zabitego niewolnika. Atiliusz przyklęknął na jedno kolano i dotknął ostrożnie szorstkiego materiału sukni. Kobieta zadrżała, a potem jęknęła i coś mruknęła. Cofnął rękę. Palce miał lepkie od krwi.

– Możesz wstać?

– Nie ma – powtórzyła.

Uniósł ją delikatnie i oparł o ścianę. Spuchnięta głowa opadła i zobaczył, że jej włosy zostawiły wilgotny ślad na kamieniu. Wychłostano ją, brutalnie pobito i wyrzucono za bramę, żeby umarła.

N. P. N. l. A.: Numerius Popidius Numerii libertus Ampliatus. Wyzwolony przez rodzinę Popidiuszów. Wiadomo było powszechnie, że nie ma bardziej okrutnego pana od byłego niewolnika.

Atiliusz przycisnął lekko palce do jej szyi, żeby sprawdzić, czy żyje. A potem wsunął jedną rękę pod jej kolana, drugą pod ramiona i bez większego wysiłku podniósł. Zostały z niej same łachmany i kości. Gdzieś bliżej portu strażnik obwieszczał piątą część nocy: *Media noctis inclinatio* – północ.

Inżynier wyprostował się i ruszył na dół dokładnie w tej samej chwili, gdy dzień Marsa przeszedł w dzień Merkurego.

MERKURY

23 sierpnia
Jeden dzień przed erupcją

DILUCULUM

(godzina 6.00)

> *Przed rokiem 79 n.e. pod wulkanem utworzył się zbiornik magmy. Nie sposób stwierdzić, kiedy zaczął się formować, lecz miał objętość co najmniej 3,6 kilometra sześciennego, sięgał 3 kilometrów pod powierzchnią i był strukturalnie rozwarstwiony, z bogatą w substancje lotne magmą alkaliczną (55% SiO_2 i prawie 10% K_2O), pod którą znajdowała się nieco gęstsza, bardziej maficzna magma.*
>
> Peter Francis, *Volcanoes: A Planetary Perspective*

Na szczycie wielkiej kamiennej latarni morskiej, ukrytej za południowym cyplem, niewolnicy zalewali wodą ogniska, witając świt. Miejsce było podobno święte. Według Wergiliusza, tu właśnie leżał pochowany wraz ze swoimi wiosłami i trąbką Misenus, herold Trojan, zabity przez morskiego boga Trytona.

Atiliusz patrzył, jak za porośniętym drzewami wzniesieniem blednie czerwona poświata, a w porcie na tle perłowoszarego nieba wyłaniają się zarysy okrętów wojennych.

Po chwili odwrócił się i ruszył nabrzeżem tam, gdzie czekali na niego inni. Nauczył się w końcu rozpoznawać ich twarze – Musa, Bekko, Korwinus i Polites stawali się dla niego kimś w rodzaju członków rodziny. Koraks na razie się nie pojawił.

– Dziewięć burdeli! – mówił Musa. – Jeśli chcecie sobie podupczyć, wierzcie mi, Pompeje są wymarzonym miejscem. Nawet Bekko da na chwilę odpocząć ręce. Hej, akwariuszu! – zawołał, kiedy inżynier podszedł bliżej. – Bekko będzie mógł sobie podupczyć, powiedz mu!

W porcie śmierdziało kałem i patroszoną rybą. Atiliusz zobaczył zgniłego melona i wzdęte, blade truchło szczura unoszące się na falach między kolumnami nabrzeża. To tyle, jeśli chodzi o zachwyty poetów! Zatęsknił nagle za jednym z tych zimnych północnych mórz, o których słyszał – za Atlantykiem albo *Mare Germanicum*, gdzie wysokie przypływy omywają codziennie piasek i skały. Za miejscem zdrowszym od tego ciepłego rzymskiego jeziora.

– Kiedy już naprawimy Augustę – powiedział – Bekko będzie mógł przelecieć wszystkie dziewczyny w Italii.

– Widzisz, Bekko? Twój kutas będzie niedługo tak długi jak twój nos…

Okręt obiecany przez admirała stał przycumowany tuż obok. *Minerwa*, nazwana tak na cześć boginii mądrości, z wyrzeźbionym na dziobie jej symbolem, sową. Liburnian. Mniejszy od wielkich trirem. Stworzony z myślą o szybkości. Wysoka stewa rufowa wznosiła się za ich plecami, a potem biegła wzdłuż niskiego pokładu niczym żądło szykującego się do ataku skorpiona. Okręt był pusty.

– …Cuculla i Zmyrina. No i ta rudowłosa Żydówka, Marta. A także mała grecka dziewczynka, jeśli lubisz tego rodzaju rzeczy… jej matka ma zaledwie dwadzieścia lat…

– Cóż za pożytek z okrętu bez załogi? – mruknął Atiliusz. Zaczynał się niepokoić. Nie mogą zmarnować nawet godziny. – Politesie, bądź tak dobry, pobiegnij do koszar i zobacz, co się dzieje.

– …Aegle i Maria…

Młody niewolnik zerwał się na nogi.

– Nie ma potrzeby – powiedział Korwinus, wskazując głową wejście do portu. – Już idą.

– Musisz mieć uszy lepsze od moich… – stwierdził Atiliusz, lecz chwilę później on także je usłyszał. Sto par stóp maszerujących szybko drogą ze szkoły wojskowej. Kiedy marynarze pokonywali mostek na grobli, ostry rytm kroków przeszedł w drapanie skóry o drewno, a potem pojawiło się kilka pochodni i oddział skręcił w uliczkę prowadzącą do nabrzeża. Szli piątkami, prowadzeni przez trzech oficerów w zbrojach i grzebieniastych hełmach. Na pierwszą głośną komendę kolumna stanęła; na drugą złamała szyk i marynarze ruszyli w stronę okrętu. Nikt się nie odzywał. Atiliusz odsunął się, żeby mogli przejść. W tunikach bez rękawów zdeformowane groteskowo barki i ramiona wioślarzy wydawały się nieproporcjonalnie rozrośnięte w porównaniu z niższymi partiami ciała.

– Spójrzcie na nich – wycedził najwyższy z oficerów. – Śmietanka floty, ludzkie woły pociągowe. – Odwrócił się do Atiliusza i podniósł w salucie pięść. – Torkwatus, kapitan *Minerwy*.

– Marek Atiliusz, inżynier. Ruszajmy.

• • •

Załadowanie okrętu nie trwało długo. Atiliusz uznał, że nie ma sensu zabierać z Piscilla Mirabilis ciężkich amfor z niegaszonym wapnem i worków z puteolanum, a następnie transportować przez zatokę. Jeśli Pompeje są rzeczywiście, jak mówiono, jednym wielkim placem budowy, będzie mógł posłużyć się listem admirała i zarekwiruje potrzebne materiały. Co innego, gdy idzie o narzędzia. Mężczyzna powinien zawsze używać własnych.

Aby dostarczyć je na pokład, sformował ludzki łańcuch, wręczając je Musie, który rzucał Korwinusowi topory, młoty, piły, kilofy, łopaty, drewniane formy do świeżego cementu, motyki do jego mieszania oraz ciężkie żelazne przyciski, których używano do ugniatania. Stojący na pokładzie *Minerwy* Bekko odbierał narzędzia i układał je w stertę. Pracowali szybko, w milczeniu. Kiedy skończyli, było już jasno, a okręt stał gotowy do wyjścia w morze.

Atiliusz przeszedł po trapie i zeskoczył na pokład. Stojący w szeregu marynarze czekali z bosakami, aby odepchnąć okręt od nabrzeża.

– Jesteś gotowy, inżynierze?! – zawołał Torkwatus, który stał obok sternika na rufie pod stewą.

Atiliusz odkrzyknął, że tak. Im wcześniej wypłyną, tym lepiej.

– Nie ma jeszcze Koraksa! – zauważył Bekko.

Do diabła z nim, pomyślał Atiliusz. Przyjął to niemal z ulgą. Poradzi sobie sam.

– To jego problem – powiedział.

Zrzucono cumy. Bosaki opadły niczym lance i dotknęły pomostu. Atiliusz czuł, jak pokład drży pod jego stopami. Uniesiono wiosła i *Minerwa* zaczęła sunąć po wodzie. Spojrzał na brzeg. Wokół fontanny zgromadził się tłum czekający na wodę. Przyszło mu na myśl, że być może powinien zostać w Misenum

trochę dłużej, aby dopilnować otwarcia śluz. Pozostawił jednak w Piscina Mirabilis sześciu niewolników, a cały budynek otoczyli żołnierze Pliniusza.

– Jest! – wrzasnął nagle Bekko. – Zobaczcie! To Koraks! – Zaczął machać rękoma nad głową. – Koraksie! Tu jesteśmy? Widzisz! – spojrzał z wyrzutem na Atiliusza. – Powinieneś był zaczekać!

Nadzorca mijał powoli fontannę, z torbą na ramieniu, najwyraźniej zatopiony w myślach. Po chwili jednak podniósł wzrok, zobaczył okręt i puścił się biegiem. Jak na czterdziestolatka poruszał się całkiem żwawo. Luka między okrętem i nabrzeżem szybko się poszerzała – trzy, cztery stopy… Atiliusz myślał już, że tamten nie zdąży, lecz nadzorca podbiegł do brzegu, cisnął torbę na okręt i skoczył w ślad za nią. Kilku marynarzy złapało go za ramiona i wciągnęło na pokład. Wylądował wyprostowany blisko rufy, spojrzał spode łba na Atiliusza i pokazał mu środkowy palec. Inżynier odwrócił się do niego plecami.

Minerwa obracała się dziobem do wyjścia z portu, z dwoma tuzinami wioseł, które wyrosły po obu stronach wąskiego kadłuba. Pod pokładem rozległ się bęben i wiosła, każde poruszane przez dwóch mężczyzn, zanurzyły się w wodzie. Bęben zabrzmiał ponownie i pióra wynurzyły się z pluskiem. Okręt zaczął sunąć do przodu – z początku prawie niepostrzeżenie, potem, w miarę jak bicie bębna stawało się coraz szybsze, nabierając tempa. Pilot, stojący na pomoście nad taranem i wpatrujący się przed siebie, wskazał na prawo, Torkwatus wydał komendę i sternik pchnął wielkie wiosło, które służyło za ster, przeprowadzając okręt między dwiema zakotwiczonymi triremami. Po raz pierwszy od czterech dni Atiliusz poczuł na twarzy lekki powiew bryzy.

– Masz widzów, inżynierze! – zawołał Torkwatus, wskazując wzgórze nad portem. Atiliusz rozpoznał długi biały taras położonej wśród mirtowych gajów willi admirała oraz korpulentną sylwetkę samego Pliniusza, opierającego się o balustradę. Zastanawiał się, o czym teraz myśli starzec. Po krótkim wahaniu podniósł rękę. Chwilę później Pliniusz odpowiedział na jego pozdrowienie. A potem *Minerwa* przepłynęła między dwoma wielkimi okrętami wojennymi, *Concordią* i *Neptunem*, i kiedy ponownie spojrzał w tamtą stronę, taras był pusty.

W oddali, zza Wezuwiusza, zaczęło się wyłaniać słońce.

• • •

Pliniusz patrzył, jak liburnian nabiera szybkości, kierując się ku otwartym wodom. Jego wiosła krzesały białe iskry na szarym tle, przywołując dawno zapomniany obraz ołowianych wód Renu o świcie – to musiało być w Veterze przed trzydziestu laty – po których sunęła barka Legionu V, „Skowronków", przewożąc jego kawalerię na drugi brzeg. To były czasy! Oddałby wszystko, by wyruszyć znowu w podróż o pierwszym brzasku, albo jeszcze lepiej, by dowodzić flotą w akcji, czego nie zrobił ani razu w ciągu dwóch lat, gdy był jej admirałem. Jednakże samo wyjście z biblioteki na taras – wysiłek potrzebny, by wstać z fotela, zrobić kilka krótkich kroków i zobaczyć wychodzącą w morze *Minerwę* – pozbawiło go tchu i unosząc rękę, by odwzajemnić pozdrowienie inżyniera, miał wrażenie, że ćwiczy podnoszenie ciężarów.

Przyrodzenie nie udzieliłoby zatem nic lepszego człowiekowi, nad krótkość życia. Tępieją zmysły, członki tężeją, obumiera wzrok, słuch, chód, a nawet zęby i narzędzia potrzebne do pokarmów, a jednakże czas ten liczymy do życia[*].

Mężne słowa. Łatwo je napisać, gdy człowiek jest młody i śmierć czai się gdzieś za odległym wzgórzem; trudniej, kiedy ma się pięćdziesiąt sześć lat i widać wyraźnie wroga maszerującego przez równinę.

Oparł tłusty brzuch o balustradę, mając nadzieję, że żaden z sekretarzy nie dostrzeże jego słabości, a potem odepchnął się i poczłapał z powrotem do domu.

Zawsze miał słabość do młodych ludzi pokroju Atiliusza. Oczywiście nie na obrzydliwą grecką modłę – nigdy nie miał czasu na takie brewerie, chociaż naoglądał się ich mnóstwo w armii – lecz w sensie bardziej duchowym; widział w nich ucieleśnienie szlachetnych rzymskich cnót. Senatorowie mogli marzyć o imperiach, żołnierze mogli je zdobywać, ale to inżynierowie, ludzie, którzy wytyczali drogi i kopali akwedukty, którzy naprawdę je budowali, zapewnili Rzymowi potęgę. Obiecał sobie, że po powrocie akwariusza zaprosi go do siebie na kolację i dokładnie wybada, aby dowiedzieć się, co się stało z akweduktem. A potem przejrzą wspólnie kilka tekstów z biblioteki admirała i odkryje przed nim kilka tajemnic Natury, która nigdy nie przestaje sprawiać niespodzianek. Na przykład te sporadyczne wibracje harmoniczne. Czym są? Powinien opisać ten fenomen i włączyć go do następnego wydania *Historii naturalnej*. Co miesiąc odkrywał coś, co wymagało wyjaśnienia.

Dwaj greccy niewolnicy stali cierpliwie przy stole – Alkman, który czytał mu na głos, i Aleksjon, któremu dyktował. Towarzyszyli mu prawie od północy, ponieważ admirał od dawna nauczył się funkcjonować bez nocnego odpoczynku. „Być rozbudzonym to być żywym”, brzmiało jego motto. Jedynym znanym mu człowiekiem, który także potrafił obyć się bez snu, był poprzedni cesarz, Wespazjan. Spotykali się na ogół w Rzymie w środku nocy, aby omawiać sprawy państwa. Dlatego właśnie Wespazjan postawił go na czele floty: „Mój zawsze czujny Pliniusz”, mówił z tym swoim chłopskim akcentem, szczypiąc go w policzek.

Pliniusz omiótł wzrokiem skarby zgromadzone podczas podróży po Cesarstwie. Sto sześćdziesiąt zeszytów, z zapisem wszystkich interesujących faktów, o których czytał bądź też słyszał (Larcjusz Licyniusz, gubernator *Hispania Tarraconensis*[**], proponował mu za nie czterysta tysięcy sestercji, ale on nie dał się skusić). Dwa kawałki magnetytu wydobyte w kopalniach Tracji i złączone ze sobą tajemniczą magią. Lśniąca szara skała z Macedonii, o której mówiono, że spadła z gwiazd. Germański bursztyn z komarem uwięzionym wewnątrz przezroczystej celi. Znaleziony w Afryce fragment wklęsłego szkła, który skupiał promienie słońca i kierował je w jeden punkt o tak wysokiej temperaturze, że najtwardsze drewno ciemniało i zaczynało się tlić. Oraz zegar wodny, najdokładniejszy w Rzymie, skonstruowany według wskazówek Ktesibiusza z Aleksandrii, wynalazcy wodnych organów, z aperturami, które wywiercono w złocie i szlachetnych kamieniach, by nie zniszczyła ich rdza.

Zegar był tym, czego potrzebował. Powiadano, że zegary są niczym filozofowie: trudno znaleźć dwa, które byłyby ze sobą zgodne. Jednak zegar Ktesibiusza był Platonem pośród chronometrów.

– Alkmanie, przynieś mi miskę wody. Albo nie… – Pliniusz zmienił zdanie, kiedy niewolnik był już w połowie drogi do drzwi, bo czyż geograf Strabon nie przyrównał rozkosznej Zatoki Neapolitańskiej do „czary wina”? – Bardziej odpowiednie będzie chyba wino. Ale jakieś tanie. Może surrentum. – Pliniusz opadł ciężko na fotel. – No dobrze, Aleksjonie… na czym stanęliśmy?

– Pisaliśmy szkic depeszy do cesarza, admirale.

– Ach tak. Rzeczywiście.

Teraz, kiedy zrobiło się jasno, musiał wysłać depeszę do nowego cesarza Tytusa, aby powiadomić go o problemie z akweduktem. Komunikat zostanie przekazany sygnałami świetlnymi z jednej wieży do drugiej aż do Rzymu i przed południem dotrze do rąk cesarza. Zastanawiał się, co pomyśli o tym wszystkim nowy Władca Świata.

– Wyślemy depeszę cesarzowi, a potem zacznę chyba nowy notes i zapiszę w nim kilka naukowych obserwacji. Czy to cię interesuje?

– Tak, admirale.

Niewolnik wziął tabliczkę i rylec, starając się stłumić ziewnięcie. Pliniusz udał, że tego nie widzi. Postukał palcem w wargi. Dobrze znał Tytusa. Służyli razem w Germanii. Czarujący, kulturalny, bystry i… bezwzględny. Wiadomość, że ćwierć miliona ludzi znalazło się bez wody, mogła łatwo doprowadzić go do jednego ze słynnych ataków szału.

– Do Jego Wysokości cesarza Tytusa, od głównodowodzącego floty w Misenum – zaczął. – Pozdrowienia!

• • •

Minerwa przepłynęła między wielkimi betonowymi falochronami, które osłaniały wejście do portu, i wyszła na pełne morze. Woda skrzyła się cytrynowym blaskiem wczesnego poranka. Za lasem pali, którymi oznaczone były hodowle pereł i nad którymi kołowały i darły się mewy, Atiliusz zobaczył gospodarstwo rybne Villa Hortensia. Żeby mu się lepiej przyjrzeć, stanął na szeroko rozstawionych nogach na kołyszącym się pokładzie. Tarasy i ogrodowe alejki, wzniesienie, na którym Ampliatus kazał ustawić swój fotel, by oglądać egzekucję, rampy przy linii wybrzeża, pomosty między sadzawkami, oddalony od innych wielki basen z murenami – wszystko to opustoszało. Przy molo nie stał już karmazynowo-złoty statek.

Dokładnie tak, jak powiedziała Atia: nie było tam nikogo.

Kiedy opuszczał rano kwaterę, staruszka nie odzyskała przytomności. Ułożył ją na sienniku w jednej z izb obok kuchni i polecił domowemu niewolnikowi, Phylo, wezwać medyka i dopilnować, by się nią zajęto. Phylo wytrzeszczył oczy, lecz Atiliusz szorstko nakazał mu wykonać polecenie. Jeśli umrze… cóż, być może będzie to dla niej wybawieniem. A jeśli przeżyje… wtedy nie miałby nic przeciwko temu, żeby została. I tak musi kupić drugiego niewolnika, który będzie dbał o jego ubranie i przygotowywał posiłki. Nie miał zbyt dużych potrzeb, praca nie powinna być ciężka. Nigdy nie przywiązywał większej wagi do takich spraw. Kiedy był żonaty, o dom dbała Sabina, a po jej śmierci zajęła się tym matka.

Wielka willa stała pogrążona w mroku i zamknięta na cztery spusty. Krzyki mew brzmiały niczym lamenty szykujących się do pogrzebu żałobników.

– Słyszałem, że zapłacił za nią dziesięć milionów – powiedział Musa.

Atiliusz odpowiedział na jego uwagę mruknięciem. Nie odrywał oczu od willi.

– Teraz go tu nie ma.

– Ampliatusa? Oczywiście, że nie. Nigdy go tu nie ma. Ten człowiek ma domy wszędzie. Na ogół mieszka w Pompejach.

– W Pompejach?

Tym razem inżynier się odwrócił. Musa siedział ze skrzyżowanymi nogami, opierając się o stos narzędzi i żując figi. Zawsze coś jadł. Jego żona dawała mu do pracy tyle jedzenia, że mogłoby się nim pożywić pół tuzina ludzi. Musa włożył ostatni owoc do ust i oblizał palce.

– Stamtąd pochodzi. To w Pompejach zbił fortunę.

– Mimo że urodził się niewolnikiem?

– Tak to dzisiaj wygląda – stwierdził z goryczą Musa. – Niewolnik je ze srebrnych talerzy, a uczciwy wolny obywatel haruje od świtu do nocy za nędzne miedziaki.

Inni podwładni Atiliusza siedzieli bliżej rufy, wokół Koraksa, który pochylił się do przodu i opowiadał cicho jakąś historię, wymagającą żywej gestykulacji i energicznego potrząsania głową. Inżynier domyślił się, że nadzorca relacjonuje wieczorne spotkanie u Pliniusza.

Musa odkorkował bukłak, pociągnął łyk wody, po czym otarł szyjkę i podał Atiliuszowi. Ten wziął bukłak i przykucnął obok Musy. Woda miała trochę gorzkawy posmak. Siarka. Łyknął trochę, bardziej z uprzejmości, niż dlatego, że był spragniony, po czym również otarł szyjkę i oddał bukłak.

– Masz rację, Muso – odparł ostrożnie. – Ile lat ma Ampliatus? Nie skończył jeszcze pięćdziesiątki, a mimo to z niewolnika stał się panem Villa Hortensia, i to tak szybko, że ja czy ty zdołalibyśmy w tym czasie zarobić najwyżej na kupno jakiejś zawszonej klitki. Jak można dokonać tego w uczciwy sposób?

– Uczciwy milioner? Ze świecą takich szukać! Z tego, co słyszałem – Musa obejrzał się przez ramię i zniżył głos – zaczął na serio nabijać kabzę zaraz po trzęsieniu ziemi. Odzyskał wolność na mocy testamentu starego Popidiusza. Był pięknym młodzieńcem i nie było rzeczy, której nie zrobiłby dla swojego pana. Stary był rozpustnikiem… nie przepuściłby nawet psu. Ampliatus dbał również o jego żonę, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. – Musa puścił do niego oko. – Tak czy inaczej Ampliatus został wyzwolony, zarobił trochę pieniędzy i zaraz potem Jupiter uznał, że trzeba trochę potrząsnąć ziemią. To było jeszcze za Nerona. Trzęsienie było straszne… najgorsze, jakie pamiętali ludzie. Byłem wtedy w Noli i myślałem, że moje dni dobiegły końca, mówię ci. – Musa ucałował wiszący na szyi amulet, odlane z brązu jądra wraz z penisem. – Ale wiesz, co mówią ludzie: to, co straci jeden, zyskuje drugi. Pompeje ucierpiały najbardziej. Ale kiedy inni z nich uciekali, powtarzając, że miasto już nigdy nie dźwignie się z gruzów, Ampliatus ostro kombinował, kupując ruiny. Przejął prawie za bezcen kilka dużych posiadłości, podzielił każdą na trzy albo cztery działki, a potem sprzedawał je za ciężkie pieniądze.

– Nie ma w tym nic nielegalnego.

– Może i nie ma. Ale czy naprawdę był ich właścicielem, kiedy je sprzedawał? O to chodzi. – Musa postukał się palcem w nos. – Właściciele nie żyli. Właściciele zaginęli. Legalni spadkobiercy byli gdzieś daleko, na drugim końcu cesarstwa. Nie zapominaj, że pół miasta legło w gruzach. Cesarz przysłał z Rzymu komisarza, który miał rozstrzygnąć, co do kogo należy. Nazywał się Suediusz Klemens.

– I Ampliatus go przekupił?

– Powiedzmy po prostu, że Suediusz wyjechał stąd bogatszy, niż przyjechał. Tak w każdym razie mówią.

– A Eksomniusz? Kiedy doszło do trzęsienia ziemi, był już akwariuszem. Musiał znać Ampliatusa.

Atiliusz zorientował się od razu, że popełnił błąd. Musa natychmiast stracił ochotę na dalszą pogawędkę.

– Nic o tym nie wiem – mruknął i zaczął grzebać w swojej torbie z jedzeniem. – Eksomniusz był zacnym człowiekiem. Dobrze się z nim pracowało.

Był, pomyślał Atiliusz. Był zacnym człowiekiem. Dobrze się z nim pracowało. Próbował obrócić to w żart.

– Chcesz powiedzieć, że nie wywlekał was z łóżek przed świtem?

– Nie. Chodzi mi o to, że był szczery i nigdy nie próbował wyciągnąć z uczciwego człowieka więcej, niż ten chciał powiedzieć.

– Hej, Muso! – zawołał Koraks. – Co ty tam robisz? Plotkujesz jak baba. Chodź, napij się!

Musa od razu zerwał się na nogi i kołysząc się, ruszył do pozostałych. Kiedy Koraks rzucił mu bukłak z winem, Torkwatus zeskoczył z rufy i przeszedł na śródokręcie, gdzie leżały żagle i maszt.

– Obawiam się, że nie będziemy ich potrzebowali – oznajmił. Był rosłym mężczyzną. Podpierając się pod boki, zlustrował wzrokiem niebo. Od jego napierśników odbijały się ostre promienie porannego słońca; zaczynało robić się gorąco. – W porządku, inżynierze. Zobaczymy, co potrafią moje robocze woły.

Oparł stopy na szczeblu drabiny i zszedł pod pokład. Chwilę później bęben zaczął dudnić szybciej i Atiliusz poczuł, że statek skoczył lekko do przodu. Błysnęły pióra wioseł. Milcząca Villa Hortensia została daleko w tyle.

• • •

Minerwa pruła miarowo fale, nad zatoką gęstniał poranny upał. Od dwóch godzin wioślarze utrzymywali to samo mordercze tempo. Z tarasów otwartych łaźni w Bajach unosiły się kłęby pary. Nad kopalniami siarki nad Puteoli płonęły jasnozielone płomienie.

Inżynier siedział na uboczu, w kapeluszu nasuniętym nisko na czoło, obejmując ramionami kolana i wypatrując na wybrzeżu jakichś znaków, które powiedziałyby mu, co się stało z akweduktem.

Wszystko w tej części Italii było dziwne. Nawet rdzawoczerwona ziemia wokół Puteoli odznaczała się magicznymi właściwościami, dzięki którym – zmieszana z wapnem i zanurzona w morzu – zmieniała się w skałę. Odkrycie puteolanum, jak nazywali tę substancję na cześć jej rodzinnego miasta, odmieniło Rzym. I dało również pracę jego rodzinie, ponieważ to, co wymagało kiedyś żmudnego budowania z kamienia i cegły, można było wznieść w jeden dzień. Za pomocą cementu i szalunków Agryppa stworzył wielkie nabrzeża Misenum i nawodnił Cesarstwo, budując system akweduktów – Augustę tu w Kampanii, Julię i Virgo w Rzymie, Nemaususa w południowej Galii. Świat został stworzony na nowo.

Ale ów hydrauliczny cement nigdzie nie został wykorzystany lepiej niż w krainie, w której został odkryty. Pirsy i mola, tarasy i tamy, falochrony i baseny z rybami przeobraziły Zatokę Neapolitańską. Wille zdawały się wynurzać z fal i odpływać od brzegu. To, co kiedyś było domeną najbogatszych – Cezara, Krassusa, Pompejusza – zaludniła teraz nowa klasa milionerów, ludzie pokroju Ampliatusa. Atiliusz zastanawiał się, ilu właścicieli willi, rozleniwionych upalnym sierpniem, który już czwarty tydzień leżał do góry brzuchem, zdaje sobie teraz sprawę z awarii akweduktu. Chyba niewielu. Woda to coś, co przynoszą niewolnicy albo co tryska czarodziejskim sposobem z kranów w jednej z łaźni Sergiusza Oraty. Ale wkrótce się zorientują. Dowiedzą się, kiedy będą musieli chłeptać wodę z własnych basenów.

Im dalej płynęli na wschód, tym bardziej Wezuwiusz dominował nad zatoką. Na dole jego zbocza były mozaiką pól uprawnych i willi, ale od połowy wysokości porastał je dziewiczy zielony las. Nad spiczastym szczytem wisiało nieruchomo parę strzępków chmur. Torkwatus mówił, że można tam polować na dziki, jelenie i zające. Chodził tam często z psami i siecią, a także z łukiem. Trzeba było jednak uważać na wilki. W zimie szczyt pokrywał śnieg.

Torkwatus przykucnął obok Atiliusza, zdjął hełm i otarł czoło.

– Trudno to sobie wyobrazić – mruknął. – Śnieg w taki upał.

– Łatwo się tam wspiąć?

– Niezbyt trudno. Łatwiej, niż na to wygląda. Wierzchołek jest dość płaski, kiedy już się tam wejdzie. Spartakus założył na nim obóz rebeliantów. To musiała być wspaniała naturalna forteca. Nic dziwnego, że te szumowiny tak długo stawiały opór legionom. Kiedy niebo jest czyste, widać na pięćdziesiąt mil.

Minęli Neapol i znaleźli się na wysokości jakiegoś mniejszego miasta, którym według Torkwatusa było Herkulanum, lecz właściwie całe wybrzeże stanowiło jeden długi pas zabudowań – ochrowych ścian i czerwonych dachówek, poprzebijanych gdzieniegdzie ciemnozielonymi włóczniami cyprysów. Rzadko można było stwierdzić, gdzie kończy się jedno, a zaczyna drugie miasto. Leżące u stóp porośniętej gęstym lasem góry, z oknami wychodzącymi na morze, Herkulanum sprawiało wrażenie statecznego i zadowolonego z siebie. Na płyciznach kołysały się pomalowane na jaskrawe kolory statki wycieczkowe, niektóre w kształcie morskich stworów. Na plażach stały parasole, ludzie łowili ryby z pomostów. Po wodzie niosła się muzyka i krzyki dzieci grających w piłkę.

– To największa willa przy zatoce – powiedział Torkwatus, wskazując olbrzymią, otoczoną kolumnadą rezydencję, która ciągnęła się wzdłuż wybrzeża i wznosiła tarasami po zboczu. – Villa Calpurnia. W zeszłym miesiącu miałem zaszczyt zawieźć tam nowego cesarza, który składał wizytę byłemu konsulowi, Pediuszowi Kaskusowi.

– Kaskusowi? – Atiliusz przypomniał sobie opatulonego w togę w fioletowe pasy, podobnego do jaszczurki senatora, którego widział poprzedniego wieczoru. – Nie miałem pojęcia, że jest taki bogaty.

– Majątek odziedziczyła jego żona, Rektyna. Jest spokrewniona z Pizonami. Admirał często tu bywa i korzysta z biblioteki. Widzisz tę grupkę mężczyzn czytających w cieniu przy basenie? To filozofowie. – Torkwatus uznał to za bardzo zabawne. – Niektórzy ludzie hodują w wolnym czasie ptaki, inni mają psy. Senator trzyma filozofów.

– Jaką szkołę reprezentują?

– To wyznawcy Epikura. Według Kaskusa utrzymują, że człowiek jest śmiertelny, bogów nie obchodzi jego los, a zatem jedyne, co warto w życiu robić, to dobrze się bawić.

– Mógłbym mu to powiedzieć za darmo.

Torkwatus znowu się roześmiał, po czym założył hełm i zaciągnął pasek pod brodą.

– Niedługo dopłyniemy do Pompejów, inżynierze. Za jakieś pół godziny – powiedział, po czym ruszył w stronę rufy.

Atiliusz osłonił oczy dłonią i przyglądał się willi. Nigdy nie widział wielkiego pożytku z filozofii. Dlaczego jeden człowiek ma dziedziczyć taki pałac, inny ginąć rozszarpany przez mureny, a jeszcze inny łamać sobie grzbiet w dusznych ciemnościach, wiosłując pod pokładem liburniana? Można oszaleć, próbując dociec, dlaczego świat urządzony jest w ten sposób. Dlaczego musiał patrzeć na umierającą żonę, która była niewiele starsza od dziewczyny? Jeśli pokażą mu filozofów, którzy potrafią odpowiedzieć na te pytania, uwierzy, że mogą się do czegoś przydać.

Sabina zawsze chciała przyjechać nad Zatokę Neapolitańską, a on zawsze jej odmawiał, twierdząc, że jest zbyt zajęty. Teraz było już na to za późno. Rozpacz z powodu tego, co stracił, i żal za tym, czego nie dokonał, dwoje nękających go bliźniaków, dopadło go znowu, gdy się tego najmniej spodziewał, tak jak to działo się zawsze. Poczuł ściskanie w dołku. Zerkając na brzeg, przypomniał sobie list, który

pewien przyjaciel pokazał mu w dniu pogrzebu Sabiny. Nauczył się go na pamięć. Pogrążony w smutku jurysta, Serwiusz Sulpikus, wracający przed ponad wiekiem drogą morską z Azji do Rzymu, kontemplował wybrzeże Morza Śródziemnego i tak później opisał swoje wrażenia Cyceronowi, który podobnie jak on utracił właśnie córkę: *Za mną była Egina, przede mną Megara, po prawej stronie Pireus, po lewej Korynt, kwitnące niegdyś miasta, które legły teraz w gruzach, i widząc je, pomyślałem sobie: Jak możemy się skarżyć, gdy ktoś z nas, istot tak efemerycznych, umrze lub zostanie zabity, skoro tu, w zasięgu wzroku, leżą opuszczone ruiny tylu miast. Wejrzyj w siebie, Serwiuszu, i pamiętaj, żeś urodził się śmiertelnikiem. Czy może cię tak głęboko poruszyć strata jednej kruchej kobiety?*

Na to pytanie po dwóch z górą latach Atiliusz wciąż odpowiadał twierdząco.

• • •

Pozwolił, by słońce pieściło przez chwilę jego ciało i twarz, i musiał się chyba zdrzemnąć, bo kiedy otworzył oczy, miasto zniknęło i zobaczył kolejną wielką willę ocienioną olbrzymimi piniami, z niewolnikami podlewającymi trawniki i zgarniającymi liście z powierzchni basenu. Potrząsnął głową, żeby rozjaśnić umysł, i sięgnął do skórzanej torby, w której trzymał wszystko, czego potrzebował – list Pliniusza do edylów Pompejów, małą sakiewkę ze złotymi monetami oraz mapę Augusty.

W pracy zawsze znajdował pociechę. Rozwinął plan, rozpostarł na kolanach i poczuł, jak ogarnia go nagły niepokój. Zdał sobie sprawę, że proporcje szkicu nie są dokładne. Nie oddają ogromu Wezuwiusza, którego jeszcze nie minęli i który u podstawy musi mieć z całą pewnością siedem albo osiem mil. To, co na mapie było tylko szeroką na palec kreską, w rzeczywistości mogło się okazać trwającą kilka godzin wędrówką w promieniach palącego słońca. Zganił się w duchu za naiwność – rozprawiał w wygodnej bibliotece admirała, co można będzie zrobić, nie sprawdziwszy najpierw, jak wygląda to w terenie. Klasyczny błąd nowicjusza.

Wstał i ruszył w stronę swoich ludzi, którzy, kucając w kręgu, grali w kości. Koraks przykrył dłonią kubek i energicznie nim potrząsał. Nie podniósł wzroku, kiedy padł na niego cień Atiliusza.

– Sprzyjaj mi, Fortuno, ty stara dziwko – mruknął i zakręcił kośćmi.

Wyrzucił same jedynki – psi rzut – i jęknął. Bekko krzyknął z radości i zgarnął stos miedziaków.

– Dopóki nie przyszedł, dopisywało mi szczęście – poskarżył się Koraks, dźgając palcem inżyniera. – Jest gorszy od kruka, chłopcy. Zapamiętajcie moje słowa: wszyscy przez niego zginiemy.

– Z Eksomniuszem było inaczej – powiedział Atiliusz, kucając przy nich. – Założę się, że on zawsze wygrywał. Czyje to kości? – zapytał, zgarniając je z pokładu.

– Moje – odparł Musa.

– Wiecie, co wam powiem? Zagramy o coś innego. Kiedy dopłyniemy do Pompejów, Koraks najpierw objedzie Wezuwiusza, żeby znaleźć wyrwę w Auguście. Ktoś musi mu towarzyszyć. Rzucimy kośćmi o to, komu przypadnie ten zaszczyt.

– Ten, kto wygra, jedzie z Koraksem! – zawołał Musa.

– Nie! Ten, kto przegra – sprostował Atiliusz.

Roześmiali się wszyscy, z wyjątkiem Koraksa.

– Ten, kto przegra – powtórzył Bekko. – A to dobre!

Rzucili po kolei kości, każdy zacisnąwszy wpierw dłonie wokół kubka i odmówiwszy własną prywatną modlitwę do Fortuny. Musa był ostatni i wyrzucił same jedynki. Wydawał się tym bardzo

przybity.

– Przegrałeś! – zanucił Bekko. – Musa pechowiec!

– W porządku – rzucił Atiliusz. – Kości rozstrzygnęły sprawę. Koraks i Musa odnajdą wyrwę.

– A co będą robili inni? – zapytał zrzędliwie Musa.

– Bekko i Korwinus pojadą do Abellinum i zamkną śluzy.

– Nie rozumiem, po co tam mają jechać we dwóch. A czym się zajmie Polites?

– Polites zostanie ze mną i będzie organizował transport i narzędzia.

– No tak, to jest sprawiedliwe – stwierdził z goryczą Musa. – Wolny człowiek wypruwa sobie żyły na zboczu góry, a niewolnik dupczy kurwy w Pompejach! – Złapał kości i cisnął je do morza. – Oto co myślę o moim szczęściu!

– Przed nami Pompeje! – krzyknął pilot z przedniego pomostu i sześć głów odwróciło się jak na komendę w tamtą stronę.

• • •

Miasto wyłaniało się powoli zza cypla i było zupełnie inne, niż wyobrażał sobie inżynier – zamiast ciągnącego się wzdłuż wybrzeża rozległego kurortu w rodzaju Bajów czy Neapolu, zobaczył warowny gród, zdolny wytrzymać oblężenie, wzniesiony na wzgórzu ćwierć mili od brzegu i leżącego niżej portu.

Dopiero kiedy podpłynęli bliżej, Atiliusz dostrzegł, że mury nie opasują go nieprzerwanie; długie lata rzymskiego pokoju przekonały ojców miasta, iż mogą sobie pozwolić na osłabienie czujności. Zezwolono, by domy wystawały nad fortyfikacjami i zajmowały szerokie, ocienione palmami tarasy opadające w stronę portu. Lśniące marmurowe kolumny zwieńczone były czymś, co na pierwszy rzut oka wydawało się przedstawiającym hebanowe postaci fryzem, i dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że fryz żyje. Na tle białego kamienia poruszali się prawie nadzy i poczerniali od słońca robotnicy – harując ciężko mimo święta. W ciepłym powietrzu rozbrzmiewało stukanie uderzających o kamień dłut i chrobot pił.

Wszędzie trwała gorączkowa krzątanina. Ludzie chodzili po murach, pracowali w nadmorskich ogrodach, podążali drogą biegnącą wzdłuż murów – pieszo, konno, rydwanami i wozami, wzniecając obłoki kurzu i blokując strome podejścia do dwóch wielkich miejskich bram. Kiedy *Minerwa* skręciła w stronę wąskiego wejścia do portu, gwar stał się głośniejszy – sądząc z wyglądu, był to świąteczny tłum, przybywający ze wsi do miasta, aby świętować Wulkanalia. Atiliusz omiótł wzrokiem wybrzeże, wypatrując fontann, lecz nie zobaczył ani jednej.

Jego ludzie stali w milczeniu, każdy zatopiony w myślach.

– W którym miejscu woda dochodzi do miasta? – zapytał Koraksa.

– Po drugiej stronie – odparł tamten, przypatrując się bacznie Pompejom. – Przy Bramie Wezuwiańskiej. Jeżeli – zawiesił znacząco głos – wciąż płynie.

To byłby niezły dowcip, pomyślał Atiliusz, gdyby okazało się, że woda jednak nie płynie i przywiódł tutaj ich wszystkich, polegając jedynie na słowach głupiego starego augura.

– Kogo tutaj mamy?

– Tylko jednego miejskiego niewolnika. Niewiele będziesz miał z niego pożytku.

– Dlaczego?

Koraks uśmiechnął się tylko i pokręcił głową. Nie miał zamiaru niczego wyjaśniać. To był jego prywatny żart.

– Dobrze. W takim razie wyruszymy spod Bramy Wezuwiańskiej. – Atiliusz klasnął w dłonie. – Chodźcie, chłopcy. Widzieliście już wcześniej miasto. Wycieczka skończona.

Wchodzili do portu. Cały brzeg zajmowały magazyny i dźwigi. Za nimi płynęła rzeka – według mapy Atiliusza, nazywała się Sarnus – zapchana barkami, które czekały na rozładowanie. Torkwatus przebiegł przez cały okręt, wykrzykując komendy. Uderzenia w bęben stały się coraz rzadsze i w końcu umilkły. Odłożono wiosła. Sternik pchnął lekko ster i sunęli teraz wzdłuż brzegu z szybkością pieszego. Pokład dzieliła od nabrzeża zaledwie jedna stopa. Trzymający cumy marynarze zeskoczyli na brzeg i zarzucili je na dwa kamienne pachołki. Chwilę później liny napięły się i *Minerwa* stanęła z szarpnięciem, które o mało nie zwaliło Atiliusza z nóg.

Kiedy odzyskał równowagę, zobaczył wielki kamienny cokół z głową Neptuna, z którego ust woda tryskała do misy w kształcie muszli ostrygi i przelewała się z niej – to był widok, którego miał nie zapomnieć do końca życia – płynąc kaskadami po bruku i wpadając bez przeszkód do morza. Nikt nie zwracał na to uwagi. Nikt nie stał w kolejce, żeby się napić. Dlaczego miałby to robić? To cud, do którego przywykli. Atiliusz przeskoczył przez niską burtę i kołysząc się, pobiegł ku fontannie. Po rejsie przez zatokę twardy grunt pod stopami wydawał mu się czymś dziwnym. Rzucił na ziemię torbę, podstawił dłonie pod czysty łuk wody, po czym podniósł je do ust. Była słodka i czysta i o mało nie roześmiał się głośno z radości i ulgi. Włożył głowę pod rurę i pozwolił, by woda pociekła mu do ust, nosa, uszu i w dół po karku – nie przejmując się ludźmi, którzy gapili się na niego, jakby odebrało mu rozum.

---

* Pliniusz, *Historia naturalna*, przeł. Józef Łukaszewicz.

** (bliższa) była prowincją wschodnią.

HORA QUARTA

(godzina 9.48)

> *Badania izotopowe neapolitańskiej magmy wulkanicznej wykazują, że jest ona w znacznym stopniu zmieszana z otaczającą skałą, co sugeruje, iż zbiornik nie jest jednym ciągłym roztopionym ciałem. Bardziej przypomina on gąbkę, z magmą, która sączy się przez liczne szczeliny w skale. Masywna warstwa magmy zasila kilka mniejszych zbiorników, które znajdują się bliżej powierzchni i są zbyt małe, by je zidentyfikować technikami sejsmicznymi…*
>
> „Biuletyn informacyjny Amerykańskiego Towarzystwa Rozwoju Nauk”, *Masywna warstwa magmy zasila Wezuwiusz*, 16 listopada 2001pp

Wporcie w Pompejach można było kupić wszystko. Warzywa, owoce i zboża, amfory z winem i skrzynie z prostą ceramiką spływały rzeką z głębi lądu i łączyły się z falą luksusowych dóbr dostarczanych wielkim cesarskim szlakiem handlowym z Aleksandrii. Indyjskie papugi, nubijscy niewolnicy, sól azotowa ze złóż nieopodal Kairu, chiński cynamon, afrykańskie małpy, młode orientalne niewolnice znane ze swoich erotycznych sztuczek… W koniach można było przebierać jak w ulęgałkach. Komorę celną otaczało pół tuzina handlarzy. Najbliższy siedział na stołku pod prymitywnym obrazkiem skrzydlatego Pegaza i napisem „Bakulus. Rumaki dość rącze, by służyć bogom”.

– Potrzebuję pięciu koni – oznajmił mu Atiliusz. – I nie próbuj mi wcisnąć żadnej zajeżdżonej kobyły. Chcę mieć zdrowe, silne zwierzęta, które mogą pracować przez cały dzień. I chcę je natychmiast.

– Nie ma problemu, obywatelu. – Bakulus był niskim łysym mężczyzną o twarzy koloru czerwonej cegły i szklistych oczach opoja. Na palcu miał za duży żelazny pierścień, który bez przerwy nerwowo obracał. – W Pompejach nic nie stanowi problemu, pod warunkiem że masz pieniądze. Musisz zostawić depozyt. W zeszłym tygodniu skradziono mi jednego konia.

– Potrzebuję także wołów. Dwa zaprzęgi i dwa wozy.

– W święto? – Bakulus cmoknął. – Obawiam się, że to potrwa trochę dłużej.

– Jak długo?

– Niech się zastanowię… – Bakulus zerknął, mrużąc oczy, na słońce. Im trudniejsze do zrealizowania wyda się zamówienie, tym więcej będzie mógł zażądać. – Dwie godziny. Może trzy.

– Zgoda.

Przez kilka chwil się targowali. Handlarz zażądał niebotycznie wysokiej kwoty, którą Atiliusz od razu podzielił przez dziesięć. Mimo to, kiedy przypieczętowali uściskiem dłoni umowę, był pewien, że dał się oszukać, co go zirytowało, podobnie jak każde marnotrawstwo. Nie miał jednak czasu szukać

lepszej oferty. Kazał Bakulusowi przyprowadzić natychmiast cztery konie pod Bramę Wezuwiańską i oganiając się od innych handlarzy, ruszył z powrotem w stronę *Minerwy*.

Załodze zezwolono tymczasem wyjść na górny pokład. Większość ściągnęła mokre tuniki, i bijący od nich zapach potu śmiało mógł konkurować z odorem pobliskiej wytwórni sosu rybnego, gdzie w wystawionych na słońce kadziach gniły odpadki. Korwinus i Bekko, lawirując między wioślarzami, przenosili narzędzia i rzucali je przez burtę Musie i Politesowi. Odwrócony plecami do okrętu Koraks zezował w stronę miasta i co rusz stawał na palcach, żeby zobaczyć coś ponad głowami tłumu.

Widząc Atiliusza, spuścił wzrok.

– A więc jednak płynie – powiedział, krzyżując ręce na piersi.

Było coś niemal heroicznego w jego uporze, niechęci, by przyznać, że się mylił. Atiliusz uświadomił sobie ponad wszelką wątpliwość, że kiedy ta wyprawa się skończy, będzie musiał się go pozbyć.

– Owszem, płynie – przytaknął, po czym dał znak innym, żeby przerwali pracę i do niego podeszli. Uzgodniono, że zostawią Politesa, żeby dokończył rozładunku i pilnował narzędzi na nabrzeżu; Atiliusz miał mu dać znać, gdzie spotkają się później. Pozostała piątka ruszyła w stronę najbliższej bramy. Koraks wlókł się za nimi i za każdym razem, gdy Atiliusz oglądał się za siebie, wydawało mu się, że nadzorca kogoś szuka, bo kręcił głową na wszystkie strony.

Inżynier poprowadził ich w stronę murów, poniżej nieukończonej świątyni Wenus, i dalej, w ciemny tunel bramy. Celnik omiótł wszystkich pobieżnym spojrzeniem, żeby sprawdzić, czy nie mają czegoś na sprzedaż, po czym pozwolił im wejść do miasta.

Ulica za bramą, choć nie tak stroma i śliska jak droga na zewnątrz, była jednak węższa i o mało nie zmiażdżyła ich napływająca do Pompejów ciżba ludzi. Popychany przez tłum inżynier minął sklepy i kolejną wielką świątynię – wzniesioną ku czci Apollina – i nagle znalazł się na jasnym, rojącym się od ludzi forum. Otwarty plac był imponujący jak na prowincjonalne miasto: była tu bazylika, zadaszony targ, kolejne świątynie i publiczna biblioteka. Wszystkie budynki mieniły się kolorami i migotały w słońcu; wysoko na cokołach stało kilkadziesiąt posągów cesarzy i różnych lokalnych znakomitości. Nie wszystko było ukończone. Kilka dużych budowli oplatała pajęcza sieć drewnianych rusztowań. Tłum zalewały odbite od wysokich murów dźwięki fletów i bębnów ulicznych artystów, krzyki żebraków i przekupniów, skwierczenie smażonego jedzenia. Sprzedawcy owoców zachęcali do kupna zielonych fig i różowych plastrów arbuzów. Handlarze wina kucali przy rzędach czerwonych amfor stojących w gniazdach żółtej słomy. U stóp posągu siedział ze skrzyżowanymi nogami, grając na piszczałce, zaklinacz węży. Jeden szary gad unosił się sennie z leżącej przed nim maty, drugi wisiał na szyi grajka. Na otwartym palenisku piekły się małe kawałki ryby. Uginający się pod ciężarem wiązek drewna niewolnicy rzucali je w pośpiechu na wielki stos wznoszony pośrodku forum, gdzie wieczorem miano składać ofiary Wulkanowi. Fryzjer reklamował się jako ekspert od wyrywania zębów, co poświadczała pokaźna sterta szarych i czarnych kikutów.

Inżynier zdjął kapelusz i otarł czoło. Coś w atmosferze tego miejsca budziło w nim niechęć. Miasto kanciarzy, pomyślał. Kombinatorów i dorobkiewiczów. Witające miło przybyszów tylko do chwili, gdy uda się ich oskubać. Skinął na Koraksa, żeby zapytać go, gdzie można znaleźć edylów – musiał krzyczeć mu prosto do ucha, osłoniwszy je dłonią – i nadzorca wskazał mu trzy niewielkie budynki przy południowym skraju placu, zamknięte w dzień świąteczny. Długa tablica ogłoszeniowa pokryta była

obwieszczeniami, świadczącymi o kwitnącej biurokracji. Atiliusz zaklął pod nosem. Wszystko szło jak po grudzie.

– Znasz drogę do Bramy Wezuwiańskiej! – krzyknął do Koraksa. – Prowadź.

Woda płynęła przez miasto. Kiedy przeciskali się na drugą stronę forum, słyszał, jak wymywa do czysta wielkie publiczne latryny przy świątyni Jowisza i tryska sąsiednią uliczką. Trzymając się blisko Koraksa, kilka razy musiał przekraczać niewielkie strumienie, które płynęły rynsztokami w dół, niosąc pył i śmieci do morza. Naliczył siedem fontann, wszystkie przepełnione. Pompeje najwyraźniej zyskiwały na awarii Augusty. Cała płynąca akweduktem woda znajdowała ujście wyłącznie tutaj. I podczas gdy inne miasta wokół zatoki usychały z gorąca, dzieci w Pompejach taplały się w kałużach.

Ciężko było iść pod górę. Tłum parł w przeciwnym kierunku, ku atrakcjom forum, i gdy dotarli do wielkiej północnej bramy, Bakulus czekał już na nich z końmi. Przywiązał je do słupka przy niewielkim budynku przylegającym do miejskich murów.

– To jest *castellum aquae*? – zapytał Atiliusz i Koraks kiwnął głową.

Inżynier objął *castellum* jednym spojrzeniem – taka sama jak Piscina Mirabilis konstrukcja z czerwonej cegły, taki sam stłumiony szum wody. Znajdowali się chyba w najwyższym punkcie miasta, i to było logiczne: akwedukt niezmiennie przecinał miejskie mury w najwyżej położonym miejscu. Zerkając w dół, zobaczył wieże, które regulowały ciśnienie płynącej wody. Posłał Musę do środka *castellum*, aby sprowadził pracującego tam niewolnika, a sam zainteresował się końmi. Nie najgorsze. Lepiej było nie wystawiać ich do wyścigu w Circus Maximus, lecz powinny sprostać zadaniu. Przeliczył niewielki stos złotych monet i dał je Bakulusowi, który przygryzł każdą zębami.

– A woły? – zapytał Atiliusz.

Woły, odparł Bakulus, przyciskając uroczyście ręce do serca i zwracając oczy ku niebu, dostarczy o godzinie siódmej. Natychmiast się tym zajmie. Polecił ich łaskawej opiece Merkurego w trakcie podróży, po czym odszedł, kierując się jednak natychmiast, co spostrzegł Atiliusz, do gospody po drugiej stronie ulicy.

Przydzielił ludziom konie, biorąc pod uwagę ich siłę. Najlepsze dostali Bekko i Korwinus, ponieważ czekała ich najdłuższa jazda. Wyjaśniał to właśnie oburzonemu Koraksowi, kiedy pojawił się Musa z wiadomością, że *castellum aquae* jest puste.

– Co takiego? – Atiliusz obrócił się na pięcie. – Nie ma nikogo?

– Są Wulkanalia, pamiętasz?

– Mówiłem, że niewiele będziesz miał z niego pożytku – mruknął Koraks.

– Publiczne święta! – Atiliusz miał ochotę uderzyć pięścią w ceglaną ścianę. – Lepiej, żeby ktoś w tym mieście nabrał ochoty do pracy. – Coraz bardziej obawiając się o losy ekspedycji, uświadomił sobie ponownie, jak nieroztropnie zachował się w bibliotece admirała, myląc to, co teoretycznie możliwe, z tym, czego można dokonać w rzeczywistości. Teraz jednak nie pozostawało mu nic innego, jak to ciągnąć. Odchrząknął. – No dobrze. Wiecie wszyscy, co macie robić? Bekko, Korwinus… czy któryś z was był wcześniej w Abellinum?

– Ja byłem – odparł Bekko.

– Jak wygląda ujęcie?

– Woda ze źródła tryska przy świątyni wodnych bogiń i wpływa do zbiornika w *nymphaeum*[*]. Akwariuszem jest tam Probus, który pełni również funkcję kapłana.

– Akwariusz kapłanem! – Atiliusz roześmiał się gorzko i pokręcił głową. – Cóż, możesz powiedzieć temu bogobojnemu inżynierowi, że boginie chcą w swojej niebiańskiej mądrości, aby zamknął główną śluzę i skierował całą wodę do Benewentu. Dopilnujcie, żeby zrobił to natychmiast po waszym przyjeździe. Ty, Bekko, masz zostać w Abellinum i dopilnować, żeby śluzy pozostały zamknięte przez dwanaście godzin. Potem je otworzysz. Dwanaście godzin. Postaraj się jak najdokładniej mierzyć czas. Rozumiesz?

Bekko pokiwał głową.

– A gdyby jakimś dziwnym trafem nie udało nam się uporać z naprawą w dwanaście godzin – wtrącił zgryźliwie Koraks – to co wtedy?

– Pomyślałem o tym. Kiedy dopływ wody zostanie zamknięty, Korwinus pojedzie w dół wzdłuż Augusty, aż dotrze do nas na północno-wschodnim stoku Wezuwiusza. W tym czasie będzie już wiadomo, ile potrzebujemy czasu. Jeśli nie uda nam się naprawić akweduktu w dwanaście godzin, Korwinus powróci z wiadomością, by Bekko nie otwierał śluzy, dopóki nie skończymy. Czeka cię długa jazda, Korwinusie. Podołasz temu?

– Tak jest, akwariuszu.

– Zuch z ciebie.

– Dwanaście godzin! – powtórzył Koraks, kręcąc głową. – To oznacza, że będziemy pracowali w nocy.

– O co ci chodzi, Koraksie? Boisz się ciemności? – Znów udało mu się rozśmieszyć pozostałych. – Kiedy zlokalizujesz pęknięcie, ocenisz, ile materiału i ilu ludzi potrzebujemy, żeby uporać się z naprawą. Zostaniesz tam i pchniesz z wiadomością Musę. Ja zadbam o to, żebyśmy dostali od edylów dość pochodni i wszystko, czego potrzebujemy. Kiedy załaduję wozy, będę czekał tutaj, w *castellum aquae*, na wiadomość od ciebie.

– A co będzie, jeśli nie znajdę pęknięcia?

Atiliusz uświadomił sobie, że ogarnięty zawiścią Koraks może starać się sabotować całą misję.

– Wtedy i tak wyruszymy i na pewno dotrzemy do ciebie przed zmierzchem – oznajmił z uśmiechem. – Więc nie próbuj mnie orżnąć.

– Nie wątpię, że jest wielu, którzy chcieliby cię przerżnąć, przystojniaku, ale ja do nich nie należę. – Koraks spojrzał na niego spode łba. – Jesteś daleko od domu, młody Marku Atiliuszu. Skorzystaj z mojej rady. W tym mieście miej oczy dookoła głowy, jeśli rozumiesz, co mam na myśli – powiedział i wypchnął do przodu krocze w takim samym obscenicznym geście jak poprzedniego dnia, kiedy Atiliusz spodziewał się odkryć źródło.

• • •

Odprowadził ich do *pomoerium*, świętego obszaru zaraz za Bramą Wezuwiańską, który pozostawiono niezabudowany w hołdzie bóstwom opiekuńczym miasta.

Droga okrążała miasto niczym tor wyścigowy, biegnąc obok zakładów brązowniczych i dużego cmentarza. Kiedy mężczyźni dosiedli koni, Atiliusz poczuł, że powinien coś powiedzieć – wygłosić mowę niczym zagrzewający żołnierzy przed bitwą Cezar – jednak zawsze trudno mu było znaleźć stosowne w takich sytuacjach słowa.

– Kiedy naprawimy akwedukt, stawiam wszystkim wino – oznajmił. – W najlepszym szynku w Pompejach – dodał bez przekonania.

– I kobiety – powiedział Musa, wyciągając w jego stronę palec. – Nie zapomnij o kobietach, akwariuszu!

– Za kobiety możesz zapłacić sam.

– Jeśli znajdzie dziwkę, która zgodzi się z nim przespać.

– Odwal się, Bekko. Do zobaczenia wkrótce, sukinsyny.

I zanim Atiliusz zdążył powiedzieć coś więcej, kopnęli piętami boki koni i odjechali, przedzierając się przez tłum cisnący się do miasta – Koraks i Musa w lewo, żeby skręcić na trakt wiodący do Noli; Bekko i Korwinus w prawo, w kierunku Nucerii i Abellinum. Kiedy przejeżdżali przez nekropolię, tylko Koraks obejrzał się za siebie. Jego wzrok nie pobiegł jednak ku Atiliuszowi, lecz ponad jego głową, ku murom miasta. Po raz ostatni omiótł spojrzeniem szańce i baszty, a potem poprawił się w siodle i skręcił w stronę Wezuwiusza.

Inżynier patrzył w ślad za jeźdźcami, którzy szybko zniknęli mu z oczu, zostawiając za sobą tuman brązowego pyłu, który unosił się nad białymi sarkofagami, wskazując, gdzie się znajdują. Stał jeszcze przez kilka chwil, myśląc o tym, że prawie nie zna tych ludzi, a mimo to pokłada w nich tyle nadziei i w tak dużym stopniu zależy od nich jego przyszłość! W końcu ruszył z powrotem do miasta.

Dopiero stojąc w kolejce tłoczących się przed bramą pieszych, dostrzegł niewielkie wybrzuszenie gruntu w miejscu, gdzie tunel Augusty przechodził pod miejskimi murami. Obrócił się na pięcie i spoglądając w stronę najbliższej studzienki, zorientował się zaskoczony, że linia akweduktu wiedzie prosto ku szczytowi Wezuwiusza. W tumanach kurzu i skwarze wulkan zdawał się górować nad lądem jeszcze potężniej, niż górował wcześniej nad morzem, nie był jednak tak wyraźny, raczej niebieskawoszary niż zielony.

Kanał nie może biec przez cały czas w stronę Wezuwiusza. Atiliusz domyślał się, że gdzieś na skraju zbocza skręca na wschód i prowadzi ku głównej nitce Augusty. Zastanawiał się, w którym to może być miejscu. Żałował, że nie zna dobrze ukształtowania terenu, skał i gleby. Kampania była dla niego ziemią nieznaną.

Wychodząc z ocienionej bramy na zalany światłem placyk, zdał sobie nagle sprawę, że jest sam w obcym mieście. Cóż może obchodzić Pompeje kryzys za ich murami? Cała ta świąteczna krzątanina wydała mu się wymierzonym w niego szyderstwem. Obszedł dookoła *castellum aquae* i skręcił w wąską alejkę, która prowadziła do wejścia.

– Jest tam kto?

Żadnej odpowiedzi. Tutaj słyszał o wiele wyraźniej szum akweduktu i kiedy pchnął niskie drewniane drzwi, natychmiast poczuł na twarzy wodny pył i ostry słodki zapach, który towarzyszył mu przez całe życie – zapach świeżej wody na ciepłym kamieniu.

Wszedł do środka. Chłodny mrok przebijały palce światła, które padało z dwóch osadzonych wysoko nad jego głową małych okienek. Nie potrzebował jednak światła, żeby wiedzieć, jak urządzone jest *castellum*. Przez ostatnie lata widział ich tuziny – wszystkie identyczne, zbudowane zgodnie z zasadami ustanowionymi przez Witruwiusza. Tunel do Pompejów był mniejszy niż główna nitka Augusty, lecz i tak na tyle duży, że mógł wpełznąć tam mężczyzna i wykonać konieczną pracę. Woda tryskała przez wykutą z brązu kratę do podzielonego drewnianymi wrotami płytkiego betonowego zbiornika, który zasilał trzy duże ołowiane rury. Centralna dostarczała wody pitnej do fontann, ta po

lewej stronie do prywatnych domów, ta po prawej do publicznych łaźni i teatrów. Płynąca z niezwykłą siłą woda nie tylko zalała ściany, lecz niosła liście, gałązki, nawet kilka małych kamyków, które zatrzymała krata. Dozór zbiornika pozostawiał wiele do życzenia. Nic dziwnego, że Koraks twierdził, że z niewolnika nie ma dużego pożytku.

Atiliusz przełożył jedną, a potem drugą nogę przez betonową krawędź zbiornika i ześlizgnął się do spienionej wody, która sięgała mu niemal do pasa. Miał wrażenie, że brodzi w ciepłym jedwabiu. Podszedł do kraty, zanurzył głęboko ręce i zaczął obmacywać jej skraj, szukając mocowań. Po chwili znalazł je i odkręcił. Dwa kolejne były na górze. Uporawszy się z nimi, podniósł kratę i stanął z boku, czekając, aż śmieci wypadną z kanału.

– Jest tam kto?

Dobiegający z tyłu głos zaskoczył go. W drzwiach stał młody mężczyzna.

– Oczywiście, że tu jestem, głupcze. Nie widzisz mnie?

– Co tam robisz?

– Jesteś wodnym niewolnikiem? W takim razie odwalam za ciebie pieprzoną robotę… oto co robię. Zaczekaj tam. – Atiliusz zamocował z powrotem kratę, po czym podszedł do skraju zbiornika i podciągnął się do góry. – Jestem Marek Atiliusz, nowy akwariusz Augusty. A ciebie jak zwą, kiedy nie wyzywają cię od leniwych idiotów?

– Tiro, akwariuszu. – Chłopak miał szeroko otwarte, rozbiegane z przerażenia oczy. – Wybacz – powiedział, padając na kolana. – Jest święto, akwariuszu… spałem do późna… i…

– W porządku. Nieważne. – Chłopak, strzępek człowieka, chudy jak bezdomny kundel, mógł mieć najwyżej szesnaście lat i Atiliusz żałował, że potraktował go tak szorstko. – No już, wstawaj. Musisz mnie zaprowadzić do zarządzających miastem. – Wyciągnął do niego rękę, lecz niewolnik zignorował to, tocząc dookoła przerażonym wzrokiem. Atiliusz pomachał mu dłonią przed oczyma. – Jesteś ślepy?

– Tak, akwariuszu.

Ślepy przewodnik. Nic dziwnego, że Koraks szczerzył zęby, kiedy Atiliusz pytał o niewolnika. Ślepy przewodnik w nieprzyjaznym mieście!

– Jak wykonujesz swoje obowiązki, skoro nic nie widzisz?

– Słyszę lepiej niż ktokolwiek. – Mimo zdenerwowania Tiro nie krył dumy. – Mogę poznać po dźwięku wody, jak silny jest nurt i czy nic go nie tamuje. Czuję jej zapach. Poznaję po smaku, czy nie jest zanieczyszczona. – Podniósł głowę i węszył przez chwilę. – Dziś rano nie musiałem poprawiać wrót. Nigdy jeszcze nie słyszałem, żeby płynęła tak mocnym strumieniem.

– To prawda. – Inżynier pokiwał głową. Najwyraźniej nie docenił tego chłopaka. – Główna nitka jest zablokowana gdzieś między tym miejscem i Nolą. Po to tu przybyłem, żeby zorganizować pomoc i naprawić akwedukt. Należysz do miasta? – Tiro pokiwał głową. – Jak nazywają się magistraci?

– Marek Holkoniusz i Kwintus Britiusz – odparł szybko Tiro. – Edylami są Lucjusz Popidiusz i Gajusz Kuspiusz.

– Który z nich odpowiada za dostawy wody?

– Popidiusz.

– Gdzie mogę go znaleźć?

– Jest święto.

– Więc gdzie jest jego dom?

– Na dole, akwariuszu, przy Bramie Stabiańskiej. Po lewej stronie. Zaraz za dużym skrzyżowaniem. – Tiro zerwał się ochoczo na nogi. – Jeśli chcesz, mogę ci pokazać.

– Chyba sam łatwo tam trafię?

– Nie, nie. – Tiro wybiegł już na zewnątrz, pragnąc udowodnić, że jest przydatny. – Zaprowadzę cię. Zobaczysz.

• • •

Zeszli razem do miasta, które opadało mozaiką terakotowych dachów ku roziskrzonemu morzu. Z lewej strony widok ograniczało niebieskie pasmo półwyspu Surrentum, z prawej porośnięte drzewami zbocza Wezuwiusza. Atiliuszowi trudno było sobie wyobrazić bardziej idealne miejsce na miasto; położone dość wysoko, by chłodziła je od czasu do czasu morska bryza, i wystarczająco blisko brzegu, by czerpać korzyści ze śródziemnomorskiego handlu. Nic dziwnego, że po trzęsieniu ziemi tak szybko dźwignęło się z gruzów.

Wzdłuż ulic stały domy, nie szerokie tak jak rzymskie kamienice, lecz wąskie, pozbawione okien domostwa, które odwróciły się plecami od ulicznego gwaru, jakby zapatrzone we własne wnętrze. Za uchylonymi drzwiami można było czasami dostrzec, co znajduje się w środku – wyłożone mozaiką chłodne krużganki, słoneczne ogrody, fontannę – lecz poza tymi migawkami monotonię szarych ścian urozmaicały tylko nabazgrane czerwoną farbą wyborcze hasła.

MASY POPIERAJĄ KANDYDATURĘ KUSPIUSZA NA URZĄD EDYLA.

SPRZEDAWCY OWOCÓW WRAZ Z HELWIUSZEM WESTALISEM JEDNOGŁOŚNIE WZYWAJĄ DO WYBORU MARKA HOLKONIUSZA PRISKUSA NA MAGISTRATA Z WŁADZĄ SĄDOWNICZĄ.

CZCICIELE IZYDY JEDNOGŁOŚNIE DOMAGAJĄ SIĘ WYBORU LUCJUSZA POPIDIUSZA SEKUNDUSA NA EDYLA.

– Twoje miasto ma chyba obsesję na punkcie wyborów, Tiro. Tu jest jeszcze gorzej niż w Rzymie.

– Wolni ludzie co rok w marcu wybierają nowych magistratów, akwariuszu.

Szli szybkim krokiem. Tiro wyprzedzał nieco akwariusza, klucząc zatłoczonym chodnikiem, co jakiś czas zeskakując do płynącego rynsztokiem strumienia. Inżynier kazał mu zwolnić. Tiro przeprosił. Jest ślepy od urodzenia, oznajmił wesoło. Porzucono go na wysypisku za murami miasta, żeby skonał. Ktoś jednak go stamtąd zabrał i od szóstego roku życia był w mieście kimś w rodzaju chłopca na posyłki.

– Ten edyl, Popidiusz… – zaczął Atiliusz, kiedy po raz trzeci zobaczył jego nazwisko – pochodzi chyba z rodziny, u której Ampliatus był kiedyś niewolnikiem.

Ale Tiro, mimo świetnego słuchu, tym razem najwyraźniej go nie dosłyszał.

Doszli do dużego skrzyżowania, nad którym górował olbrzymi łuk triumfalny, wsparty na czterech marmurowych kolumnach. Zastygłe w kamieniu cztery konie rwały z kopyta na tle jasnobłękitnego nieba, ciągnąc złoty rydwan, którym powoziła bogini Wiktoria. Pomnik wzniesiono ku czci kolejnego Holkoniusza, Marka Holkoniusza Rufusa, zmarłego przed sześćdziesięciu laty, i Atiliusz przystanął, żeby przeczytać inskrypcję. Wojskowy trybun, kapłan Augusta, pięciokrotny magistrat, patron miasta.

Zawsze te same nazwiska, pomyślał. Holkoniusz, Popidiusz, Kuspiusz… Zwyczajni obywatele mogli wkładać każdej wiosny swoje togi, słuchać przemówień, wrzucać tabliczki do urn i wybierać

nowych magistratów. Wciąż jednak pojawiały się znajome twarze. Inżynier poświęcał politykom niemal równie mało czasu co bogom.

Zamierzał zejść z chodnika, żeby przeciąć ulicę, ale nagle cofnął stopę. Miał wrażenie, że wielkie kamienne płyty lekko się poruszyły. Przez miasto przechodziła potężna sucha fala. Chwilę później dał nura do przodu, tak jak to zrobił, gdy przycumowano *Minerwę*, i musiał złapać chłopca za ramię, żeby nie upaść. Kilka osób krzyknęło, spłoszył się koń. Po drugiej stronie skrzyżowania ze stromego dachu spadła dachówka i roztrzaskała się na chodniku. Przez kilka chwil w centrum Pompejów panowała niemal zupełna cisza. A potem stopniowo wrócono do codziennej krzątaniny. Ludzie odetchnęli. Podjęto przerwane rozmowy. Woźnica smagnął batem niespokojnego konia i wóz potoczył się dalej.

Tiro wykorzystał przerwę w ruchu, żeby przebiec na drugą stronę ulicy, i po krótkim wahaniu Atiliusz ruszył w ślad za nim, spodziewając się, że wielkie płyty ugną się pod jego skórzanymi podeszwami. To zjawisko wytrąciło go z równowagi bardziej, niż miał ochotę przyznać. Czemu można wierzyć, skoro niepewna jest nawet ziemia, po której się stąpa?

Niewolnik czekał na niego. Jego martwe oczy, bez przerwy wypatrujące tego, czego nie mógł zobaczyć, nadawały mu niespokojny wygląd.

– Nie przejmuj się, akwariuszu. Tego lata zdarza się to przez cały czas. Pięć, nawet dziesięć razy w ciągu ostatnich dwóch dni. Ziemia skarży się na upał!

Podał Atiliuszowi rękę, lecz ten zignorował ją – to poniżające, pomyślał, żeby ślepy dodawał otuchy widzącemu – i wspiął się bez niczyjej pomocy na wysoki chodnik.

– Gdzie jest ten cholerny dom? – zapytał poirytowany i Tiro wskazał mu niepewnym gestem pobliską bramę.

Dom nie był zbyt okazały. Typowe ściany bez okien. Po jednej stronie piekarnia z kolejką klientów czekających na wejście. Smród uryny z mieszczącej się naprzeciwko pralni, przed którą stały na chodniku nocniki. Przechodnie mogli do nich oddawać mocz (nic nie czyści tak dobrze ubrań jak uryna). Obok pralni teatr. Nad wielką bramą domu widniało kolejne z wszechobecnych, wymalowanych czerwoną farbą haseł: SĄSIEDZI LUCJUSZA POPIDIUSZA SEKUNDUSA POPIERAJĄ JEGO WYBÓR NA EDYLA. OKAŻE SIĘ GODNY TEGO URZĘDU. Atiliusz nigdy nie znalazłby sam tego domu.

– Mogę cię o coś zapytać, akwariuszu?

– Tak?

– Gdzie jest Eksomniusz?

– Nikt tego nie wie, Tiro. Zaginął.

Niewolnik przyswajał sobie tę wiadomość, kiwając powoli głową.

– Eksomniusz był podobny do ciebie. Jemu też nie podobały się wstrząsy. Mówił, że przypominają mu okres przed wielkim trzęsieniem ziemi, do którego doszło przed wielu laty. W roku, w którym się urodziłem.

Tiro był bliski łez. Atiliusz położył mu dłoń na ramieniu i uważnie mu się przyjrzał. Chłopak coś wie.

– Czy Eksomniusz był ostatnio w Pompejach?

– Oczywiście. Mieszkał tutaj.

Atiliusz ścisnął mocniej jego ramię.

– Mieszkał tutaj? W Pompejach?

Był zdezorientowany, lecz natychmiast zrozumiał, że to musi być prawda. To wyjaśniało, dlaczego w mieszkaniu Eksomniusza w Misenum tak mało było rzeczy osobistych, dlaczego Koraks nie chciał, żeby Atiliusz tu przyjechał, i dlaczego tak dziwnie się zachowywał: rozglądał się, jakby szukał w tłumie znajomej twarzy.

– Miał mieszkanie u Afrikanusa – wyjaśnił Tiro. – Nie mieszkał tam przez cały czas. Ale często.

– Kiedy z nim ostatnio rozmawiałeś?

– Nie pamiętam.

Chłopak naprawdę zaczynał robić wrażenie wystraszonego. Odwrócił głowę, jakby próbował spojrzeć na spoczywającą na jego ramieniu rękę Atiliusza. Inżynier szybko go puścił i poklepał uspokajająco po plecach.

– Spróbuj sobie przypomnieć, Tiro. To może być ważne.

– Nie wiem.

– Czy to było przed świętem Neptuna, czy już po nim?

Neptunalia obchodzono dwudziestego trzeciego lipca, najświętsza data w kalendarzu ludzi, którzy zajmują się akweduktami.

– Po. Na pewno. Chyba jakieś dwa tygodnie temu.

– Przed dwoma tygodniami? W takim razie byłeś jednym z ostatnich, którzy z nim rozmawiali. I mówisz, że martwiły go wstrząsy? – Tiro pokiwał głową. – A Ampliatus? Eksomniusz był wielkim przyjacielem Ampliatusa, prawda? Często się ze sobą spotykali?

Niewolnik wskazał dłonią swoje oczy.

– Ja nic nie widzę…

Nie widzisz, pomyślał Atiliusz, ale założę się, że coś słyszałeś, bo niewiele rzeczy umyka twojemu słuchowi. Zerknął na stojący po drugiej stronie ulicy dom Popidiusza.

– Dobrze, Tiro, możesz wracać do *castellum*. Zrób to, co robisz codziennie. Jestem ci wdzięczny za pomoc.

– Dziękuję, akwariuszu.

Tiro skłonił się lekko, po czym ujął dłoń Atiliusza i ją pocałował. Następnie odwrócił się i zaczął wspinać z powrotem w stronę Bramy Wezuwiańskiej; kluczył tanecznym krokiem przez świąteczny tłum.

---

* *Nymphaeum* (łac.) – w antycznym Rzymie fontanna, niekiedy w formie dużej budowli, stanowiąca zamknięcie wodociągu.

HORA QUINTA

(godzina 11.07)

> *Iniekcje nowej magmy mogą również spowodować erupcję, ponieważ dochodzi do zakłócenia termicznej, chemicznej bądź też mechanicznej równowagi starszej magmy w płytkim zbiorniku. Nowa magma, wypływająca z głębszych, gorętszych źródeł, może podnieść nagle temperaturę tej, która zalega w zbiorniku, doprowadzając do jej konwekcji i powstania gazowych pęcherzy.*
>
> *Volcanology* (wydanie drugie)

Dom miał dwuskrzydłowe drzwi, nabijane ciężkimi ćwiekami, osadzone na zawiasach z brązu, solidnie zaryglowane. Atiliusz uderzył w nie kilka razy pięścią. Jego dobijania się nie było prawie słychać, tak głośny był uliczny gwar, lecz prawie natychmiast drzwi się uchyliły i Atiliusz zobaczył odźwiernego, niezwykle wysokiego i barczystego Nubijczyka w szkarłatnej tunice bez rękawów. Jego masywne czarne ramiona i kark lśniły niczym polerowane afrykańskie drewno.

– Odźwierny godny bramy, jak widzę – rzucił lekkim tonem Atiliusz.

Nubijczyk nie uśmiechnął się.

– Przedstaw swoją sprawę – powiedział.

– Marek Atiliusz, akwariusz Aqua Augusta, pragnie pozdrowić Lucjusza Popidiusza Sekundusa.

– Jest święto. Nie ma go w domu.

Atiliusz postawił stopę za progiem.

– Teraz już jest. – Otworzył torbę i wyjął list od admirała. – Widzisz tę pieczęć? Daj mu to. Powiedz, że to od głównodowodzącego floty w Misenum. Muszę się z nim widzieć w sprawie wagi państwowej.

Odźwierny przyglądał się jego stopie. Gdyby zatrzasnął drzwi, złamałby ją jak gałązkę.

– Powiedział, że to sprawa wagi państwowej, Massavo? – rozległ się za jego plecami męski głos. – Lepiej wpuść go do środka.

Nubijczyk zawahał się – Massavo, to imię do niego pasuje, pomyślał Atiliusz – a potem dał krok do tyłu i inżynier wślizgnął się szybko za próg. Drzwi zostały zamknięte i zaryglowane, głusząc miejskie hałasy.

Mężczyzna, który się odezwał, nosił taki sam szkarłatny uniform jak odźwierny. Przy pasie miał pęk kluczy, był prawdopodobnie zarządcą domu. Wziął list do ręki i przesunął kciukiem po pieczęci, sprawdzając, czy nie jest złamana, po czym przyjrzał się Atiliuszowi.

– Lucjusz Popidiusz przyjmuje gości z okazji Wulkanaliów. Ale dopilnuję, żeby list został mu przekazany.

– Nie. Sam mu go doręczę. Natychmiast – powiedział Atiliusz, wyciągając rękę.

Zarządca postukał się zwojem papirusu po zębach, zastanawiając się, co robić.

– Dobrze – odparł w końcu, oddając list inżynierowi. – Proszę za mną.

Poprowadził go wąskim korytarzem w stronę zalanego słońcem atrium i Atiliusz dopiero teraz zobaczył, jak ogromny jest ten stary dom. Wąska fasada była iluzją. Nad ramieniem zarządcy widział sięgające czterdziestu albo i więcej kroków kolejne odsłony światła i koloru – ocieniony korytarz z posadzką w czarno-białą szachownicę, marmurową fontannę stojącą pośrodku olśniewająco jasnego atrium, strzeżone przez dwa popiersia z brązu *tablinum*[*] przeznaczone do przyjmowania gości, basen, wokół którego stały kolumny oplecione winoroślą. Słyszał ćwierkające gdzieś w ptaszarni trznadle i kobiecy śmiech.

– Zaczekaj tutaj – nakazał obcesowo zarządca, kiedy weszli do atrium, po czym zniknął w wąskim korytarzu za zasłoną.

Atiliusz rozejrzał się. Oto są pieniądze, stare pieniądze, za które można kupić spokój i ciszę w środku gwarnego miasta. Słońce wisiało prawie pionowo nad jego głową, świecąc przez kwadratowy otwór w dachu atrium. Powietrze było ciepłe i przesycone zapachem róż. Z miejsca, w którym stał, widział prawie cały basen. Stopnie prowadzące do wody ozdobione były misternymi posągami z brązu przedstawiającymi odyńca, lwa, zwiniętego węża podnoszącego głowę i grającego na cytarze Apollina. Przy drugim końcu leżały na sofach cztery kobiety, wachlując się, każda z własną służką. Zauważyły przyglądającego im się Atiliusza i zza wachlarzy dobiegł ich chichot. Poczuł, że czerwieni się ze wstydu, i szybko odwrócił się do nich plecami. W tej samej chwili zza zasłony wychynął zarządca, wzywając go skinieniem ręki.

Wilgotne powietrze i zapach oliwy podpowiedziały mu od razu, że wchodzi do domowej łaźni. Nic dziwnego, pomyślał, skoro ma się tyle pieniędzy, po co mieszać się z plebsem? Zarządca zaprowadził go do szatni, poprosił o zdjęcie butów, po czym przeszli dalej korytarzem do *tepidarium*[**], gdzie gruby jak bela stary mężczyzna leżał nagi na stole, masowany przez młodego niewolnika. Jego białe pośladki drżały, gdy masażysta uderzał go kantem dłoni po plecach. Kiedy mijał go Atiliusz, obrócił lekko głowę, przyjrzał mu się jednym nabiegłym krwią okiem i z powrotem je zamknął.

Zarządca otworzył drzwi, zza których buchnęły kłęby pary, i stanął z boku, wpuszczając Atiliusza do pogrążonego w półmroku *caldarium*[***].

W pierwszej chwili trudno było cokolwiek zobaczyć. Jedyne oświetlenie stanowiło kilka pochodni osadzonych w uchwytach na ścianie i kosz z płonącymi węglami – źródło wypełniającej salę pary. Po kilku chwilach Atiliusz dostrzegł wpuszczoną w podłogę wielką wannę, w której unosiły się trzy ciemnowłose głowy, sprawiające wrażenie bezcielesnych. Woda wzburzyła się, gdy jedna z głów odwróciła się w jego stronę. Obok niej wynurzyła się z pluskiem ręka i dała mu znak.

– Tutaj, akwariuszu – rozległ się ospały głos. – Podobno masz dla mnie wiadomość od cesarza? Nie znam tych Flawiuszów. Pochodzą, zdaje się, od poborcy podatków. Ale Neron był moim wielkim przyjacielem.

Poruszyła się kolejna głowa.

– Daj tutaj pochodnię – rozszedł się głos. – Zobaczmy, kto zakłóca nam świąteczny odpoczynek.

Stojący w rogu sali niewolnik, którego Atiliusz wcześniej nie zauważył, wyciągnął z uchwytu przy ścianie jedną z pochodni i przysunął ją do twarzy inżyniera. Zwrócone były teraz ku niemu wszystkie trzy głowy. Atiliusz czuł, jak otwierają się pory jego skóry i pot spływa po całym ciele. Mozaika pod jego bosymi stopami była gorąca niczym patelnia – zdał sobie sprawę, że pod podłogą jest

hypocaustum[****]. Dom Popidiusza z całą pewnością opływał w luksusy. Zastanawiał się, czy Ampliatus, kiedy był tutaj niewolnikiem, musiał, oblewając się potem, palić w piecu w środku lata.

Nie mógł znieść płomienia pochodni tak blisko policzka.

– To nie jest miejsce, by omawiać cesarskie sprawy – powiedział sztywno, odsuwając od siebie rękę niewolnika. – Z kim mówię?

– To jakiś gbur – słowa popłynęły z ust trzeciej głowy.

– Jestem Lucjusz Popidiusz – przedstawił się mężczyzna o ospałym głosie – a ci panowie to Gajusz Kuspiusz i Marek Holkoniusz. Nasz czcigodny przyjaciel w *tepidarium* nazywa się Kwintus Britiusz. Teraz wiesz już, z kim masz do czynienia?

– Z czterema obieralnymi magistratami Pompejów.

– Zgadza się – powiedział Popidiusz. – To nasze miasto, akwariuszu, więc powściągnij język.

Atiliusz wiedział, jak działa system. Jako edyle Popidiusz i Kuspiusz wydawali licencje wszystkim przedsiębiorstwom, od burdeli po łaźnie, odpowiadali za to, by ulice utrzymywane były w czystości, świątynie otwarte i by w fontannach płynęła woda. Holkoniusz i Britiusz, tak zwani *duoviri*, przewodniczyli wymierzającemu cesarską sprawiedliwość sądowi w bazylice, skazując na chłostę, na ukrzyżowanie oraz, oczywiście, na karę grzywny, aby, kiedy to tylko możliwe, wypełnić miejską szkatułę. Wiedział, że bez nich nie uda mu się wiele zdziałać, stał więc cicho, czekając, aż się odezwą. Tyle czasu, pomyślał, straciłem już tyle czasu.

– No cóż – westchnął po chwili Popidiusz. – Chyba dość się już wygotowałem. – Wyciągnął dłoń po ręcznik i wstał, w kłębach pary podobny do upiora. Niewolnik umieścił pochodnię w uchwycie, ukląkł przed swoim panem i opasał jego biodra ręcznikiem. – Dobrze. Gdzie jest ten list?

Wziął papirus i przeszedł do przyległego pomieszczenia. Atiliusz podążył za nim.

Britiusz leżał na plecach. Młody niewolnik najwyraźniej nie tylko go masował, bo czerwony i nabrzmiały penis grubasa sterczał ponad zwałami brzucha. Britiusz odtrącił ręce niewolnika i sięgnął po ręcznik. Miał szkarłatną twarz.

– Co to za człowiek, Popi? – zapytał, spoglądając spode łba na Atiliusza.

– Nowy akwariusz Augusty. Następca Eksomniusza. Przybył z Misenum.

Popidiusz złamał pieczęć i rozwinął list. Mniej więcej czterdziestoletni, odznaczał się delikatną urodą. Zaczesane do tyłu nad drobnymi uszami ciemne włosy podkreślały jego orli profil, kiedy pochylił się, żeby przeczytać list. Ciało miał białe, gładkie, pozbawione włosów. Kazał je sobie wyskubać, pomyślał z niesmakiem Atiliusz.

Zaciekawieni tym, co się dzieje, towarzysze Popidiusza również wyszli z *caldarium*, ociekając wodą, która kapała na biało-czarną posadzkę. Fresk na ścianach przedstawiał ogród skryty za drewnianym parkanem. W alkowie, na postumencie w kształcie wodnej nimfy, stała okrągła marmurowa umywalka.

Britiusz oparł się na łokciu.

– Przeczytaj na głos, Popi. O co chodzi?

Gładkie czoło Popidiusza przecięła zmarszczka.

– List jest od Pliniusza. *W imieniu cesarza Tytusa Cezara Wespazjana Augusta, zgodnie z władzą powierzoną mi przez Senat i Lud Rzymu…*

– Opuść te dyrdymały! – prychnął Britiusz. – Przejdź do sedna. Czego chce? – zapytał, pocierając kciukiem środkowy palec w geście liczenia pieniędzy.

– Wygląda na to, że doszło do awarii akweduktu gdzieś w okolicy Wezuwiusza. Wszystkie miasta na zachód od Noli są pozbawione wody. Pliniusz chce… rozkazuje nam, pisze… abyśmy zapewnili *siłę roboczą i materiały niezbędne do naprawy Augusty pod komendą Marka Atiliusza Primusa, inżyniera z departamentu* Curatora Aquarum *w Rzymie.*

– Rozkazuje nam? A kto za to wszystko zapłaci, jeśli wolno spytać?

– Tego nie napisał.

– Pieniądze nie są problemem – wtrącił Atiliusz. – Mogę zapewnić szanownych panów, że *Curator Aquarum* pokryje wszelkie koszty.

– Naprawdę? Masz upoważnienie do składania takiej gwarancji?

Atiliusz zawahał się.

– Macie panowie moje słowo.

– Twoje słowo? Twoje słowo nie zwróci nam złota, kiedy już je wydamy.

– I popatrzcie na to – odezwał się jeden z mężczyzn, odkręcając kran nad okrągłą umywalką, z którego trysnęła woda. Muskularny, choć z niewielką głową, miał nieco ponad dwadzieścia lat. Atiliusz domyślił się, że to drugi młodszy magistrat, edyl Kuspiusz. – Tutaj nie ma suszy… widzicie? Pytam więc: co to ma z nami wspólnego? Chcecie ludzi i materiałów? Zwróćcie się do jednego z miast, które nie mają wody. Idźcie do Noli. Tutaj pływamy. Popatrzcie! – Pragnąc podkreślić swoje słowa, odkręcił kran jeszcze bardziej i tak go zostawił.

– Poza tym – dodał chytrze Britiusz – to korzystne dla interesów. Każdy mieszkaniec zatoki, który chce się wykąpać albo choćby napić, będzie musiał przyjechać do Pompejów. Również w święto. Co ty na to, Holkoniuszu?

Najstarszy magistrat owinął się ręcznikiem niczym togą.

– Kapłanów razi widok pracujących w dzień święty robotników – oświadczył z mądrą miną. – Ludzie powinni robić to co my: spotykać się w rodzinnym gronie albo z przyjaciółmi i brać udział w obrzędach religijnych. Moim zdaniem powinniśmy powiedzieć temu młodzieńcowi, aby, z całym szacunkiem należnym admirałowi Pliniuszowi, spieprzał stąd w podskokach.

Britiusz ryknął śmiechem i na znak aprobaty uderzył pięścią w stół. Popidiusz uśmiechnął się i zwinął papirus.

– Słyszałeś chyba naszą odpowiedź, akwariuszu. Może przyjdziesz jutro i wtedy zobaczymy, co da się zrobić?

Chciał oddać list inżynierowi, lecz ten sięgnął za jego ramię i zakręcił mocno kran. Jakiż oni przedstawiali widok: cała trójka, ociekająca wodą – jego wodą! – i Britiusz z nabrzmiałym członkiem, który zniknął teraz gdzieś między fałdami brzucha. Nie mógł znieść mdlącego skwaru. Otarł twarz rękawem tuniki.

– Posłuchajcie mnie, szanowni panowie. Dziś o północy Pompeje również zostaną pozbawione wody. Cały nurt skierowany będzie do Benewentu, abyśmy mogli wejść do tunelu akweduktu i go zreperować. Wysłałem już moich ludzi w góry, żeby zamknęli śluzy. – W *tepidarium* rozległ się gniewny pomruk. Atiliusz podniósł rękę. – Współpraca leży chyba w interesie wszystkich obywateli mieszkających nad zatoką. Owszem – dodał, spoglądając na Kuspiusza – mógłbym udać się po pomoc

do Noli, ale straciłbym wtedy co najmniej jeden dzień. Dodatkowy dzień, w czasie którego będziecie podobnie jak oni pozbawieni wody.

– Z jedną małą różnicą – wtrącił Kuspiusz. – My wiemy o tym z wyprzedzeniem. Co ty na to, Popidiuszu? Moglibyśmy wydać proklamację, zalecając naszym obywatelom, aby napełnili wszystkie zbiorniki, jakie mają. Dzięki temu bylibyśmy jedynym położonym przy zatoce miastem z rezerwą wody.

– Moglibyśmy ją nawet sprzedawać – podsunął Britiusz. – Im dłużej będzie trwała susza, tym wyższą cenę uzyskamy.

– Nie jest wasza, abyście mogli ją sprzedawać! – Atiliusz z trudem trzymał nerwy na wodzy. – Jeśli odmówicie mi pomocy, pierwszą rzeczą, jaką uczynię po naprawieniu głównej nitki, będzie zamknięcie odnogi do Pompejów. – Nie miał upoważnienia, by wysuwać tego rodzaju groźby, lecz mówił dalej, dźgając Kuspiusza palcem w pierś. – Wezwę poza tym z Rzymu komisarza, który przyjedzie tutaj i przeprowadzi dochodzenie w sprawie nadużyć przy korzystaniu z cesarskiego akweduktu. Dopilnuję, żebyście zapłacili za każdą czarkę, którą zużyliście ponad należny wam przydział!

– Cóż za bezczelność! – zawołał Britiusz.

– On mnie dotknął! – oburzył się Kuspiusz. – Widzieliście to wszyscy? Ten łachmyta dotknął mnie swoim brudnym paluchem!

Wysunął do przodu podbródek i ruszył w stronę Atiliusza, gotów do bójki. Inżynier musiałby mu oddać, co okazałoby się katastrofą – dla niego i dla całej misji – gdyby nie odchyliła się zasłona i nie pojawił się kolejny mężczyzna, który stał najwyraźniej przez cały czas w korytarzu, przysłuchując się ich rozmowie.

Atiliusz spotkał go tylko raz, lecz nie był to ktoś, kogo mógłby zapomnieć. Stał przed nim Numeriusz Popidiusz Ampliatus.

• • •

Kiedy doszedł do siebie po szoku, którego doznał na widok milionera, najbardziej zdumiało go to, z jak wielkim szacunkiem traktują go inni. Nawet Britiusz spuścił pulchne nogi ze stołu i wyprostował się, jakby nie miał śmiałości leżeć w obecności tego byłego niewolnika. Ampliatus położył mitygującym gestem dłoń na ramieniu Kuspiusza, szepnął mu kilka słów do ucha, zmierzwił włosy i mrugnął porozumiewawczo, ani przez chwilę nie spuszczając z oka Atiliusza.

Inżynier przypomniał sobie krwawe szczątki niewolnika w basenie z murenami i poranione plecy jego matki.

– Co tu się dzieje, panowie? – Ampliatus nagle się uśmiechnął i wskazał Atiliusza. – Kłótnie w łaźni? W święto religijne? To niestosowne. Gdzie wyście się wychowali?

– To nowy akwariusz akweduktu – poinformował Popidiusz.

– Znam Marka Atiliusza. Poznaliśmy się już, prawda, akwariuszu? Mogę to zobaczyć?

Ampliatus wziął od Popidiusza list Pliniusza, szybko go przeczytał i zerknął na inżyniera. Miał natarte oliwą włosy, obramowaną złotem tunikę i roztaczał wokół siebie ten sam zapach kosztownych maści, który inżynier wyczuł poprzedniego dnia.

– Jaki masz plan? – zapytał.

– Chcę podążać szlakiem bocznej odnogi do miejsca, gdzie łączy się z Augustą, a potem cofać się wzdłuż głównej nitki w kierunku Noli, aż znajdę zator.

– Czego potrzebujesz?

– Dokładnie nie wiem. – Atiliusz zawahał się. Pojawienie się Ampliatusa wytrąciło go z równowagi. – Niegaszonego wapna. Puteolanum. Cegieł. Desek. Pochodni. Ludzi.

– Dokładnie ile czego?

– Na początek chyba sześć amfor wapna. Tuzin koszy puteolanum. Sto łokci desek i pięćset cegieł. Pochodni ile się da. Dziesięć silnych par rąk. Mogę potrzebować mniej, mogę więcej. Zależy od tego, jak bardzo zniszczony jest akwedukt.

– Kiedy będziesz to wiedział?

– Jeden z moich ludzi zda mi raport dzisiaj po południu.

Ampliatus pokiwał głową.

– No cóż… jeśli chcecie poznać moje zdanie, szanowni panowie, powinniśmy chyba udzielić wszelkiej niezbędnej pomocy. Nie wolno pozwolić, aby mówiono, że starożytna kolonia Pompejów nie odpowiedziała na apel cesarza. Poza tym mam w Misenum gospodarstwo rybne, które żłopie wodę tak jak tu obecny Britiusz żłopie wino. Chcę, żeby akwedukt zaczął ponownie działać tak szybko, jak to możliwe. Co wy na to?

Magistraci wymienili zakłopotane spojrzenia.

– Możliwe, że zbyt pochopnie odmówiliśmy akwariuszowi – przyznał w końcu Popidiusz.

Jedynie Kuspiusz odważył się na nieśmiały sprzeciw.

– Uważam, że to zmartwienie Noli… – zaczął.

– W takim razie sprawa jest załatwiona – przerwał mu Ampliatus. – Mogę dostarczyć ci wszystkiego, czego potrzebujesz, Marku Atiliuszu, jeśli będziesz tak uprzejmy i zaczekasz na zewnątrz. – Skutariuszu! – zawołał przez ramię do zarządcy. – Oddaj akwariuszowi jego buty!

Żaden z pozostałych mężczyzn nie odezwał się do Atiliusza ani na niego nie spojrzał. Zachowywali się jak niegrzeczni uczniowie, przyłapani na bójce przez nauczyciela.

Inżynier odebrał buty i wyszedł mrocznym korytarzem z *tepidarium*. Szybko zasunięto za nim zasłonę. Opierając się o ścianę i wkładając obuwie, starał się podsłuchać, co mówią, lecz nic do niego nie docierało. Od strony atrium dobiegł go głośny plusk: ktoś wskoczył do basenu. Uświadomił sobie, że w domu trwają przygotowania do święta, i to pomogło mu podjąć decyzję. Nie chciał, by przyłapano go na podsłuchiwaniu. Odsunął drugą zasłonę i nagle poraziło go słońce. Po przeciwnej stronie atrium, za *tablinum*, w basenie rozchodziły się fale. Żony magistratów wciąż plotkowały w rogu. Dołączyła do nich zaniedbana kobieta w średnim wieku, która usiadła skromnie z boku i złożyła ręce na kolanach. Obok całej grupki przeszli dwaj niewolnicy, niosąc tace obładowane talerzami. Atiliusza uderzyły w nozdrza kuchenne zapachy. Najwyraźniej szykowała się wielka uczta.

Kątem oka dostrzegł pod lśniącą powierzchnią wody ciemny kształt. Chwilę później wynurzyła się z niej pływaczka.

– Korelia Ampliata!

Mimowolnie wymówił na głos jej imię. Nie usłyszała go. Potrząsnęła głową, odgarnęła z zamkniętych oczu czarne włosy, a potem zebrała je oburącz na karku. Łokcie miała wysoko podniesione, bladą twarz zwróconą ku słońcu. Nie zdawała sobie sprawy, że jej się przygląda.

– Korelio! – wyszeptał, nie chcąc, by zwróciły na niego uwagę pozostałe kobiety, i tym razem odwróciła się w jego stronę.

Nim dojrzała go w zalanym blaskiem atrium, minęła chwila, ale kiedy to się stało, ruszyła szybko w jego kierunku. Miała na sobie sukienkę z cienkiego materiału, która sięgała prawie do kolan, i kiedy jej ciało wynurzyło się z wody, zasłoniła jedną mokrą ręką piersi, a drugą uda, niczym wyłaniająca się z morskich fal nieśmiała Wenus. Atiliusz zbliżył się do basenu, mijając po drodze pośmiertne maski Popidiuszów. Czerwone wstążki łączyły wizerunki zmarłych, pokazując, kto był spokrewniony z kim, w sięgającym kilku pokoleń wstecz, krzyżującym się systemie władzy.

– Musisz opuścić ten dom, akwariuszu – syknęła Korelia. Stała na kolistych stopniach, po których schodziło się do basenu. – Wyjdź! Szybko! Jest tu mój ojciec i jeśli cię zobaczy…

– Za późno. Już się spotkaliśmy – odparł Atiliusz, ale cofnął się nieco, żeby nie zobaczyły go kobiety siedzące po drugiej stronie basenu. Powinienem odwrócić wzrok, pomyślał. Tak zrobiłby człowiek honoru. Ale nie mógł oderwać od niej oczu. – Co ty tutaj robisz?

– Co ja tutaj robię? – Spojrzała na niego jak na głupca. – A gdzie mam być? – zapytała, nachylając się ku niemu. – Ten dom należy do mojego ojca.

Z początku nie dotarło do niego pełne znaczenie jej słów.

– Powiedziano mi, że mieszka tutaj Lucjusz Popidiusz.

– Bo mieszka.

Był zdezorientowany.

– Więc…?

– Mamy wziąć ślub.

Powiedziała to obojętnie, wzruszając ramionami, i było w tym geście coś przerażającego, jakaś rozpaczliwa bezradność. Nagle wszystko stało się jasne – dlaczego Ampliatus tak niespodziewanie się pojawił, dlaczego Popidiusz i reszta odnosili się do niego z takim szacunkiem. Ampliatusowi udało się w jakiś sposób wykupić dach nad głową Popidiusza i teraz miał zamiar przejąć władzę, wydając córkę za swojego byłego pana. Myśl o tym starzejącym się bawidamku, z wyskubanym, bezwłosym ciałem, dzielącym łoże z Korelią, wzbudziła w Atiliuszu niespodziewany gniew, mimo iż powtarzał sobie, że to nie jego sprawa.

– Mężczyzna tak stary jak Popidiusz jest już chyba żonaty?

– Był. Zmuszono go do rozwodu.

– I co myśli Popidiusz o tym związku?

– Uważa, że to poniżej jego godności wiązać się z kimś tak niskiego stanu. Ty pewnie też tak sądzisz.

– W żadnym wypadku, Korelio – odparł szybko. Zobaczył lśniące w jej oczach łzy. – Wprost przeciwnie. Moim zdaniem jesteś warta stu Popidiuszów. Tysiąca.

– Nienawidzę go – mruknęła, nie wiedział jednak, czy ma na myśli Popidiusza, czy swojego ojca.

Z korytarza dobiegł odgłos szybkich kroków.

– Akwariuszu! – zawołał Ampliatus.

Korelia zadrżała.

– Proszę, odejdź, błagam cię. Byłeś dobry, starając się wczoraj mi pomóc, ale nie pozwól, by cię osaczył, tak jak osaczył nas wszystkich.

– Jestem wolnym obywatelem Rzymu, pozostającym w służbie cesarza i *Curatora Aquarum*, przybyłym tu w oficjalnej misji, mającej na celu naprawę cesarskiego akweduktu… a nie jakimś

niewolnikiem, którym można nakarmić mureny. Ani, jeśli o to chodzi, zatłuczoną niemal na śmierć staruszką.

Teraz to ona była w szoku. Podniosła dłonie do ust.

– Atia?

– Owszem, Atia… Tak brzmi jej imię? Wczoraj w nocy znalazłem ją leżącą na ulicy i zabrałem do siebie na kwaterę. Wychłostano ją do utraty przytomności i zostawiono, żeby zdechła pod bramą jak pies.

– Potwór!

Wciąż zakrywając usta dłońmi, Korelia dała krok do tyłu i zanurzyła się w wodzie.

– Wykorzystujesz moją wrodzoną dobroć, akwariuszu – odezwał się Ampliatus, idąc ku niemu przez *tablinum*. – Powiedziałem, żebyś na mnie zaczekał, nic więcej. Powinnaś wiedzieć, jak zachowywać się po tym, co ci wczoraj powiedziałem – zwrócił się do Korelii, piorunując ją wzrokiem. – Celsio! – zawołał i wystraszona kobieta, którą Atiliusz zauważył wcześniej, podskoczyła na krześle. – Zabierz naszą córkę z basenu. Nie wypada, żeby pokazywała się publicznie z gołymi cyckami! Spójrz na nie, są niczym tłuste kwoki siedzące na grzędzie – zwrócił się ponownie do inżyniera, po czym zamachał rękami i wydał z siebie serię gdaknięć – koko koko koko-da! – Kobiety uniosły z odrazą wachlarze. – Ale nie bój się, nie polecą. O nie… To jedno wiem o rzymskim arystokracie: zgodzi się na wszystko za darmowy posiłek. A jego kobiety są jeszcze gorsze. Wrócę za godzinę! – zawołał. – Nie siadajcie do stołu beze mnie.

Po czym dając znak Atiliuszowi, że ma mu towarzyszyć, pan Domu Popidiuszów obrócił się na pięcie i ruszył ku drzwiom.

Kiedy mijali atrium, inżynier zerknął na basen, w którym wciąż pływała Korelia, tak jakby wierzyła, że w ten sposób zdoła się oczyścić z całego zła.

---

* *Tablinum* (łac.) – w domu rzymskim główny pokój na wprost wejścia. Przechowywano w nim tabliczki z dokumentami rodzinnymi, niekiedy kosztowności.

** *Tepidarium* (łac. *tepidus* – ciepły) – część term rzymskich, niewielka ogrzewana sala, przez którą po wyjściu z basenów z zimną wodą podchodziło się do *calldarium*.

*** *Caldarium* (łac.) – łaźnia urządzona przy termach, sala z rodzajem centralnego ogrzewania. Źródło ciepła znajdowało się pod podłogą, skąd nagrzane powietrze rozprowadzano rurami w ścianach.

**** *Hypocaustum* (łac.) – urządzenie służące do ogrzewania pomieszczeń – podłoga oparta na słupkach z cegły, pod którą przepływa ogrzane, gorące powietrze.

HORA SEXTA

(godzina 12.00)

> *W unoszącej się z głębin magmie dochodzi do znacznego spadku ciśnienia. Na głębokości 10 metrów ciśnienie wynosi na przykład 300 megapascali (Mpa), a więc jest 3000 razy większe od atmosferycznego. Tak duża zmiana ciśnienia w istotny sposób wpływa na fizyczne właściwości i przepływ magmy.*
>
> *Encyclopaedia of Volcanoes*

Na chodniku przed domem czekała na Ampliatusa lektyka i ośmiu niewolników ubranych, podobnie jak odźwierny i zarządca, w szkarłatne liberie. Widząc swojego pana, stanęli czym prędzej na baczność, lecz on minął ich, ignorując również niewielki tłumek petentów, którzy mimo święta kucali w cieniu po drugiej stronie ulicy i na jego widok zaczęli wołać go po imieniu.

– Pójdziemy pieszo – oznajmił milioner, po czym ruszył w stronę skrzyżowania takim samym szybkim krokiem, jakim chodził w domu.

Atiliusz szedł tuż za nim. Było południe, żar lał się z nieba, ulice były wyludnione. Nieliczni przechodnie w większości uskakiwali przed zbliżającym się Ampliatusem do rynsztoka bądź też cofali się do bramy. Idąc, nucił pod nosem i co jakiś czas pozdrawiał kogoś skinieniem głowy. Odwróciwszy się, inżynier zobaczył, że stanowią czoło pochodu, którego nie powstydziłby się senator – najpierw, w dyskretnej odległości, niewolnicy z lektyką, a za nimi niewielka gromadka klientów, mężczyzn o przygnębionych, zmęczonych twarzach, wyczekujących już od świtu na to, by móc przedstawić swoją sprawę, i świadomych czekającego ich rozczarowania.

Mniej więcej w połowie drogi do Bramy Wezuwiańskiej – inżynier naliczył trzy przecznice – Ampliatus skręcił w prawo, przeszedł na drugą stronę ulicy i otworzył małe drewniane drzwiczki osadzone w murze. Położył dłoń na ramieniu Atiliusza, żeby wprowadzić go do środka, a inżynier wzdrygnął się mimowolnie. Przypomniał sobie ostrzeżenie Korelii: „Nie pozwól, by cię osaczył, tak jak osaczył nas wszystkich”.

Szybko uwolnił ramię z jego uścisku. Ampliatus zamknął za nimi drzwi i Atiliusz zorientował się, że stoją na dużym pustym placu budowy, zajmującym prawie całą przecznicę. Po lewej stronie wznosił się ceglany mur zwieńczony stromym dachem z czerwonych płytek – tylna ściana sklepów z dwuskrzydłową bramą pośrodku. Po prawej kompleks prawie ukończonych budynków, z wielkimi nowoczesnymi oknami wychodzącymi na szeroki pas zarośli i gruzu. Bezpośrednio pod oknami wykopano prostokątny zbiornik.

Ampliatus oparł ręce na biodrach i obserwował inżyniera, czekając na jego reakcję.

– No powiedz, co twoim zdaniem tu buduję? Możesz zgadywać tylko raz.

– Łaźnie.

– Zgadza się. Jak ci się podobają?

– Robią wrażenie – odparł Atiliusz. Były naprawdę imponujące. Nie ustępowały niczemu, co widział w Rzymie w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Ceglane mury i kolumny były przepięknie wykończone. Cała budowla tchnęła spokojem, miała w sobie przestrzeń i światło. Wysokie okna wychodziły na południowy zachód, na popołudniowe słońce, które właśnie zaczynało zaglądać do wnętrza. – Gratuluję.

– Musieliśmy wyburzyć prawie całą przecznicę, żeby zrobić miejsce – wyjaśnił Ampliatus. – I nie przysporzyło nam to popularności. Ale było warto. To będą najwspanialsze łaźnie poza Rzymem. – Rozejrzał się z dumą. – My, prowincjusze, kiedy już się do czegoś zabierzemy, potrafimy pokazać ważniakom z Rzymu to i owo. Januariuszu! – ryknął, przykładając dłonie do ust.

Z drugiego końca budowy rozległ się krzyk i u szczytu schodów pojawił się mężczyzna. Rozpoznawszy swego pana, zbiegł po stopniach i pośpieszył przez plac, wycierając ręce w tunikę i schylając głowę w całej serii ukłonów.

– Januariuszu, to jest mój przyjaciel, akwariusz Augusty. Pracuje dla cesarza!

– Jestem zaszczycony – powiedział Januariusz, kłaniając się nisko inżynierowi.

– Januariusz jest jednym z moich brygadzistów. Gdzie są robotnicy?

– W barakach, panie. – Januariusz miał przerażoną minę, jakby przyłapano go na nieróbstwie. – Jest święto…

– Zapomnij o święcie! Potrzebujemy ich natychmiast. Mówiłeś, że przyda ci się dziesięciu, akwariuszu? Lepiej weź tuzin. Januariuszu, poślij po tuzin najsilniejszych robotników, jakich mamy. Po brygadę Brebiksa. Powiedz, żeby zabrali jedzenie i picie na cały dzień. Co jeszcze jest ci potrzebne?

– Niegaszone wapno – zaczął wyliczać Atiliusz – puteolanum…

– Zgadza się. Deski. Cegły. Pochodnie… Nie zapomnijcie o pochodniach. Musi mieć wszystko, czego potrzebuje. No i jakiś transport, prawda? Wystarczą dwa zaprzęgi wołów?

– Już je wynająłem.

– Możesz skorzystać z moich. Nalegam.

– Nie. – Hojność Ampliatusa zaczynała wprawiać inżyniera w zakłopotanie. Najpierw jest dar. Po jakimś czasie dar zmienia się w pożyczkę, a pożyczka okazuje się długiem, którego nie sposób spłacić. W ten właśnie sposób musiał stracić swój dom Popidiusz. Miasto kanciarzy. Atiliusz zerknął na niebo. – Jest południe. Woły powinny już na mnie czekać w porcie. Mam tam niewolnika, który pilnuje narzędzi.

– Od kogo je wynająłeś?

– Od Bakulusa.

– Od Bakulusa! Tego pijanego złodzieja? Moje woły byłyby lepsze. Pozwól mi przynajmniej z nim pogadać. Załatwię ci pokaźny upust.

Atiliusz wzruszył ramionami.

– Jeśli nalegasz…

– Nalegam. Sprowadź ludzi z baraków, Januariuszu, i pchnij chłopaka do portu, żeby przysłali tu wozy akwariusza do załadunku. Ja tymczasem cię oprowadzę. – Na ramieniu inżyniera znowu znalazła się jego ręka. – Chodź.

• • •

Łaźnie nie są luksusem. Łaźnie są podstawą cywilizacji. Łaźnie są tym, co stawia nawet najpośledniejszego obywatela Rzymu wyżej od najbogatszego barbarzyńcy z owłosionym tyłkiem. Łaźnie narzucają potrójną dyscyplinę: czystości, zdrowia i ścisłej rutyny. Czyż to nie ze względu na konieczność dostarczenia wody do łaźni wynaleziono akwedukty? Czyż to nie łaźnie rozpowszechniły rzymski etos w całej Europie, Afryce i Azji z równą skutecznością jak legiony, dzięki czemu niezależnie od tego, w jakim mieście rozległego cesarstwa człowiek się znalazł, mógł być przynajmniej pewien, że w tym jednym miejscu poczuje się jak w domu?

Takie było przesłanie wykładu Ampliatusa, który oprowadzał inżyniera po pustej łupinie swojego marzenia. W nieumeblowanych pomieszczeniach unosił się silny zapach świeżej farby i tynku. Ich kroki odbijały się głośnym echem, kiedy mijając kolejne kabiny i salę ćwiczeń, szli do głównej części budynku. Tutaj ściany były już pokryte freskami. Widoki zielonego Nilu, w którym pławiły się krokodyle, przechodziły w sceny z życia bogów. Tryton płynął obok Argonautów, wiodąc ich w bezpieczne miejsce. Neptun zmieniał swego syna w łabędzia. Perseusz ratował Andromedę przed morskim potworem wysłanym przeciwko Etiopom. Basen w *caldarium* pomieścić miał jednocześnie dwudziestu ośmiu wykupujących bilety klientów, którzy leżąc na plecach, będą mogli podziwiać szafirowy sufit, oświetlony pięciuset lampami i ozdobiony obrazami najprzeróżniejszych gatunków morskich stworzeń, dzięki czemu będzie im się zdawało, że znajdują się w podwodnej grocie.

Aby zapewnić kąpiącym się najwyższy luksus, Ampliatus zastosował najnowocześniejszą technologię, użył najlepszych materiałów i zatrudnił najlepszych rzemieślników z całej Italii. W kopule służącego do wypacania się *laconium** zamontowano okna z neapolitańskimi szybami grubości palca. Podłogi, ściany i sufity były wklęsłe, a palenisko, które je ogrzewało, tak potężne, że nawet jeśli na ziemi leżał śnieg, zażywający kąpieli mieli się oblewać potem. Budynek mógł wytrzymać trzęsienie ziemi. Wszystkie główne instalacje, rury, otwory odpływowe, kraty, przewody wentylacyjne, krany, zawory, dysze natrysków, nawet rączki do spuszczania wody w latrynach były z mosiądzu, a siedzenia w ubikacjach z frygijskiego marmuru, z podpórkami pod łokcie w kształcie delfinów i chimer. W każdym pomieszczeniu była bieżąca ciepła i zimna woda. Cywilizacja.

Atiliusz nie mógł nie podziwiać wizji tego człowieka. Ampliatus tak puszył się, pokazując to wszystko, że mogło się wydawać, iż szuka inwestora. I prawdę mówiąc, gdyby inżynier miał jakieś pieniądze, gdyby nie wysłał już większej części swojego wynagrodzenia matce i siostrze, mógłby oddać mu wszystko co do grosza, ponieważ nie spotkał w życiu bardziej przekonującego sprzedawcy niż Numeriusz Popidiusz Ampliatus.

– Kiedy łaźnie będą gotowe?

– Za jakiś miesiąc. Muszę jeszcze sprowadzić stolarzy. Chcę tu mieć trochę półek i szafek. Myślałem o tym, żeby położyć w szatni drewnianą podłogę. Z sosnowych desek.

– Nie – odparł Atiliusz. – Użyj olchy.

– Olchy? Dlaczego?

– Nie będzie gniła w kontakcie z wodą. Sosny… a może lepiej cyprysu użyłbym do okiennic. Ale to musi być drewno z nizin, z miejsca, gdzie świeci słońce. Nie bierz sośniny z gór. Nie w budynku tej klasy.

– Masz jeszcze jakieś rady?

– Używaj wyłącznie drewna ciętego jesienią, nigdy wiosną. Na wiosnę drzewa są ciężarne i drewno jest słabsze. Do zacisków używaj opalonego drewna oliwkowego… wytrzyma sto lat. Ale pewnie o tym wszystkim wiesz.

– Bynajmniej. Dużo buduję, to prawda, ale nigdy nie znałem się zbyt dobrze na drewnie i kamieniu. Znam się na pieniądzach. Najlepsze jest w nich to, że nie ma znaczenia, kiedy się je zbiera. Żniwa trwają przez cały rok.

Ampliatus roześmiał się z własnego żartu i spojrzał na inżyniera. Było coś irytującego w jego intensywnym spojrzeniu, które nie zatrzymywało się w jednym miejscu, ale stale przesuwało, jakby milioner bez przerwy oceniał różne aspekty charakteru swojego rozmówcy. Tym, co najlepiej rozumiesz, nie są wcale pieniądze, pomyślał Atiliusz, lecz ludzie. Znasz ich mocne i słabe strony, wiesz, kiedy im pochlebić, a kiedy postraszyć.

– A ty, akwariuszu – zapytał cicho milioner – na czym się znasz?

– Na wodzie.

– To bardzo ważne, żeby znać się na wodzie. Jest prawie tak samo cenna jak pieniądze.

– Naprawdę? Więc dlaczego nie jestem bogaty?

– Może powinieneś… – Ampliatus rzucił tę uwagę lekkim tonem i pozwolił, by zawisła pod masywną kopułą. – Czy kiedykolwiek przestało cię dziwić, jak urządzony jest ten świat, akwariuszu? Kiedy te łaźnie zostaną otwarte, zbiję fortunę. A potem użyję tej fortuny, żeby zarobić następną i tak dalej. Ale bez twojego akweduktu nie mógłbym zbudować moich łaźni. To ciekawe, nieprawdaż? Bez Atiliusza nie byłoby Ampliatusa.

– Tyle że to nie mój akwedukt. Nie ja go zbudowałem, lecz cesarz.

– To prawda. Kosztowało go to dwa miliony za milę! Nieodżałowany August. Czy którykolwiek człowiek bardziej zasługiwał na to, by ogłoszono go bogiem? Zawsze bardziej ceniłem boskiego Augusta niż Jupitera. Codziennie się do niego modlę. – Ampliatus wciągnął powietrze. – Od tej farby boli mnie głowa. Pokażę ci plany przyległych terenów.

Wyprowadził inżyniera tą samą drogą, którą przyszli. Słoneczne światło wpadało teraz prosto przez wielkie otwarte okna. Bogowie na ścianach nabierali kolorów. Mimo to było coś złowieszczego w sennym bezruchu pustych pomieszczeń, unoszącym się w smugach światła kurzu, gruchaniu gołębi na dziedzińcu. Jeden z ptaków musiał wlecieć do *laconium* i nie mógł się teraz wydostać. Trzepocząc skrzydłami, obijał się o kopułę i ten odgłos sprawił, że inżynierowi zabiło szybciej serce.

Na dworze rozświetlone powietrze było gęste niczym płynne szkło, lecz Ampliatus zdawał się w ogóle tego nie odczuwać. Z łatwością wspiął się po schodach i stanął na małym pomoście, z którego roztaczał się widok na całe jego małe królestwo. To będzie plac ćwiczeń, oznajmił. Posadzi na nim platany, żeby dawały cień. Eksperymentuje z metodami ogrzewania wody w otwartym basenie. Poklepał kamienną balustradę.

– W tym miejscu stała moja pierwsza nieruchomość. Kupiłem ją przed siedemnastu laty. Nie uwierzyłbyś, gdybym powiedział ci, jak mało za nią dałem. Co prawda po trzęsieniu ziemi niewiele z niej zostało. Ani kawałka dachu, same ściany. Miałem wtedy dwadzieścia osiem lat. Nigdy przedtem ani potem nie byłem już taki szczęśliwy. Wyremontowałem ją, wynająłem, kupiłem następną i też wynająłem. Te stare domy z czasów Republiki były czasami ogromne. Podzieliłem je i umieszczałem po dziesięć rodzin w każdym. Robię to przez cały czas. Oto moja rada, przyjacielu: w Pompejach nie ma lepszych inwestycji niż nieruchomości.

Ampliatus uderzył się po karku, zabijając muchę, przyjrzał się jej zmiażdżonym szczątkom, po czym strzepnął je z palców. Atiliusz mógł go sobie wyobrazić jako młodego człowieka: brutalnego, energicznego, pozbawionego skrupułów.

– Byłeś już wtedy wyzwolony przez Popidiusza? – zapytał.

Ampliatus zmierzył go ostrym spojrzeniem. Choćby starał się być bardzo miły, zawsze zdradzą go oczy, pomyślał inżynier.

– Jeśli mówiąc to, chciałeś mnie obrazić, zapomnij o tym, akwariuszu. Wszyscy wiedzą, że Numeriusz Popidiusz Ampliatus urodził się w niewoli i wcale się tego nie wstydzi. Tak, byłem już wtedy wolny. Zostałem wyzwolony na mocy testamentu mojego pana, kiedy miałem dwadzieścia lat. Lucjusz, jego syn… właśnie go poznałeś… uczynił mnie swoim zarządcą. Potem odebrałem kilka długów dla starego lichwiarza, niejakiego Jukundusa, od którego dużo się nauczyłem. Ale nigdy nie zdobyłbym bogactwa, gdyby nie trzęsienie ziemi. – Ampliatus spojrzał czule na Wezuwiusz. – Zeszło któregoś ranka z tej góry niczym podziemny wiatr – dodał ciszej. – Widziałem, jak nadciąga, jak chylą się przed nim drzewa. Kiedy się skończyło, całe miasto leżało w gruzach. Nie miało wtedy znaczenia, kto urodził się wolny, a kto w niewoli. Miasto opustoszało. Można było chodzić ulicami przez całą godzinę i nie spotkać nikogo poza trupami.

– Kto kierował odbudową?

– Nikt! To było haniebne. Najbogatsze rodziny uciekły do swoich wiejskich posiadłości. Wszyscy byli przekonani, że nastąpi kolejne trzęsienie.

– Popidiusz też?

– Zwłaszcza Popidiusz! – Ampliatus załamał ręce i przedrzeźniając go, zaczął zawodzić. – „Och, Ampliatusie, bogowie nas opuścili! Och, Ampliatusie, to kara boska!” Bogowie! Jakby bogowie nie mieli nic innego do roboty, tylko troszczyć się, kogo albo co pieprzymy i jak żyjemy. Jakby trzęsienia ziemi nie były takim samym elementem życia w Kampanii jak gorące wiosny i letnie susze! Potem, gdy zorientowali się, że miasto jest bezpieczne, przywlekli się oczywiście z powrotem, ale w tym czasie sytuacja zaczęła się zmieniać. *Salve lucrum!* Niech żyje zysk! Oto dewiza nowych Pompejów. Zobaczysz ją wszędzie. *Lucrum gaudium!* Zysk jest radością! Nie pieniądze, zauważ… każdy głupiec może odziedziczyć pieniądze. Zysk! To wymaga umiejętności. – Ampliatus splunął przez niski murek na ulicę w dole. – Lucjusz Popidiusz! Jakież on ma umiejętności? Potrafi pić zimną wodę i szczać gorącą i na tym mniej więcej koniec. Podczas gdy ty… – mruknął i Atiliusz znowu poczuł, że jego rozmówca stara się go ocenić – ty, jak sądzę, jesteś człowiekiem o nie lada zdolnościach. Widzę w tobie samego siebie, kiedy byłem w twoim wieku. Mógłby mi się przydać ktoś taki jak ty.

– Mógłbym ci się przydać?

– Na początek tutaj. W tych łaźniach potrzebny jest ktoś, kto zna się na wodzie. W zamian za twoje rady mógłbym dopuścić cię do udziału w zyskach.

Atiliusz pokręcił z uśmiechem głową.

– Nie wydaje mi się.

Ampliatus też się uśmiechnął.

– Niełatwo dobija się z tobą targu! Podziwiam to w człowieku. Bardzo dobrze. Proponuję ci zatem również udział we własności.

– Nie, dziękuję. Pochlebiasz mi, ale moja rodzina od stu lat pracuje przy cesarskich akweduktach. Urodziłem się, żeby zostać inżynierem wodnym, i umrę, wykonując ten zawód.

– Dlaczego nie robić jednego i drugiego?

– To znaczy?

– Kierować akweduktem i mi doradzać. Nikt nie musi o niczym wiedzieć.

Atiliusz przyjrzał się uważnie chytrym, podekscytowanym oczom milionera. Pod maską bogactwa, agresywności i żądzy władzy krył się zwykły małomiasteczkowy kanciarz.

– Nie – odparł chłodno. – To nie byłoby możliwe.

Na jego twarzy musiała odbić się pogarda, ponieważ Ampliatus od razu się wycofał.

– Masz rację – przyznał, kiwając głową. – Zapomnij, że w ogóle o tym wspominałem. Czasami jestem zbyt narwany. Rzucam różne pomysły, zanim się dobrze zastanowię.

– Skazując na przykład na śmierć niewolnika, zanim dowiesz się, że mówił prawdę?

Ampliatus uśmiechnął się szeroko i wycelował palec w inżyniera.

– To było dobre! Owszem. Ale jak można spodziewać się dobrych manier po kimś takim jak ja? Można mieć całe pieniądze cesarstwa, ale to nie czyni jeszcze z człowieka kogoś szlachetnie urodzonego. Może mu się wydawać, że naśladuje arystokrację, że zachowuje się z klasą, ale potem okazuje się, że jest potworem. Czyż nie tak właśnie nazwała mnie Korelia? Potworem?

– A Eksomniusz? – wyrzucił z siebie Atiliusz. – Czy też miałeś z nim układ, o którym nikt nie wiedział?

Ampliatus nie przestawał się uśmiechać. Z ulicy w dole dobiegł łoskot toczących się po kamieniach ciężkich drewnianych kół.

– Posłuchaj… nadjeżdżają chyba twoje wozy. Lepiej zejdźmy na dół i wprowadźmy je do środka.

• • •

Mogło się zdawać, że tej rozmowy w ogóle nie było. Ampliatus szedł przez podwórko, omijając sterty gruzu i nucąc pod nosem. Otworzył ciężką bramę i kiedy Polites wjechał pierwszym zaprzęgiem wołów na plac budowy, sztywno mu się ukłonił. Drugi zaprzęg prowadził nieznany Atiliuszowi mężczyzna; dwóch kolejnych siedziało na pustym wozie, machając nogami. Na widok Ampliatusa natychmiast zeskoczyli i stanęli w pozie pełnej szacunku, wbijając wzrok w ziemię.

– Dobra robota, chłopcy – pochwalił ich milioner. – Dopilnuję, żebyście zostali nagrodzeni za pracę w dzień świąteczny. Ale mamy nadzwyczajną sytuację i wszyscy musimy pomóc naprawić akwedukt. Dla wspólnego dobra, nieprawdaż, akwariuszu? – Ampliatus uszczypnął w policzek najbliższego robotnika. – Jesteście teraz pod jego komendą. Służcie mu dobrze. Akwariuszu, bierz, ile ci potrzeba. Wszystko jest na placu budowy. Pochodnie są w magazynie. Czy jest jeszcze coś, co mogę dla ciebie zrobić?

Najwyraźniej bardzo mu się śpieszyło.

– Zrobię spis tego, co zużyliśmy – powiedział oficjalnym tonem Atiliusz. – Otrzymasz zwrot kosztów.

– Nie ma takiej potrzeby. Ale jak sobie życzysz. Nie chciałbym być posądzony o to, że próbowałem cię przekupić! – Ampliatus się roześmiał. – Chętnie zostałbym i pomógł przy załadunku… nikt jeszcze nie zarzucił Numeriuszowi Popidiuszowi Ampliatusowi, że boi się ubrudzić ręce… ale wiesz, jak to

jest. Uczta zaczyna się wcześnie, bo mamy święto, i jako nisko urodzonemu nie wolno mi kazać wszystkim tym dostojnym panom i damom czekać. No! Życzę powodzenia, akwariuszu – zakończył, podając Atiliuszowi rękę.

Atiliusz uścisnął ją. Dłoń Ampliatusa była sucha, mocna i podobnie jak jego własna, stwardniała od ciężkiej pracy.

– Dziękuję – powiedział, chyląc głowę w ukłonie.

Ampliatus mruknął coś w odpowiedzi i odwrócił się na pięcie. Na cichej uliczce czekała na niego lektyka i tym razem natychmiast się do niej wdrapał. Niewolnicy obiegli ją, żeby zająć swoje pozycje, i na dany przez Ampliatusa znak unieśli pokryte brązem żerdzie – najpierw na wysokość piersi, a potem, krzywiąc się z wysiłku, na ramiona. Ich pan rozparł się na poduszkach, wpatrując się przed siebie, zamyślony i obojętny na wszystko. Po chwili odwiązał zasłonę i pozwolił, by opadła. Stojąc w bramie, Atiliusz patrzył, jak się oddala, pod kołyszącym się, sunącym w dół szkarłatnym baldachimem, z małą gromadką biegnących z tyłu klientów.

Wrócił na plac budowy.

• • •

Zgodnie z obietnicą Ampliatusa było tam wszystko i prosty fizyczny wysiłek pozwolił inżynierowi zapomnieć na chwilę o kłopotach. Dobrze było poczuć znowu pod ręką materiały przydatne w jego profesji – ciężkie cegły o ostrych kantach, pasujące wielkością do chwytu rąk i pobrzękujące znajomo, gdy układał je z tyłu wozu; kosze sypkiego czerwonego puteolanum, zawsze cięższe, niż człowiek się tego spodziewa; długie gładkie deski, grzejące go w policzek, kiedy taszczył tarcicę przez podwórko; na koniec niegaszone wapno w pękatych glinianych amforach, które trudno było objąć i załadować na wóz.

Pracował ciężko razem z innymi, nareszcie mając poczucie, że czynią jakieś postępy. Ampliatus był z całą pewnością okrutny, bezwzględny i bogowie wiedzą, jaki jeszcze, ale materiały miał dobre i w uczciwych rękach mogły posłużyć lepszej sprawie. Atiliusz prosił o sześć amfor wapna, ale kiedy przyszło do załadunku, uznał, że weźmie tuzin, i zwiększył odpowiednio ilość puteolanum do dwudziestu koszy. Nie chciał wracać do Ampliatusa i prosić go o więcej. To, czego nie zużyje, zwróci.

Wszedł do łaźni, żeby poszukać pochodni, i znalazł je w największym magazynie. Nawet one były lepszego gatunku – z grubej warstwy lnianych szmat nasączonych żywicą i impregnowanych smołą, z dobrymi, solidnymi uchwytami obwiązanymi liną. Obok nich stały pootwierane skrzynie z lampkami oliwnymi, w większości glinianymi, lecz także mosiężnymi, i dość świec, żeby oświetlić niewielką świątynię. Jakość przede wszystkim, powtarzał Ampliatus. Klienci rzeczywiście mieli się tutaj pławić w luksusie.

„To będą najwspanialsze łaźnie poza Rzymem…”

Nagle w Atiliuszu obudziła się ciekawość. Trzymając w rękach pochodnie, zajrzał do innych magazynów. W jednym zobaczył stosy ręczników, w drugim słoje z pachnącym olejkiem do masażu, w trzecim ciężarki do ćwiczeń, zwoje lin i skórzane piłki. Wszystko gotowe do użytku; brakowało tylko pocących się, gawędzących ludzi, żeby łaźnie ożyły. Ludzi, no i oczywiście wody. Zajrzał przez otwarte drzwi do amfilady pomieszczeń. To miejsce będzie zużywało dużo wody. Cztery albo pięć basenów, prysznice, spłukiwane latryny, *laconium*… Tylko obiekty publiczne, takie jak fontanny, podłączone są do akweduktu za darmo, jako podarunek od cesarza. Opłaty wodne w takich jak te prywatnych łaźniach muszą sięgać olbrzymich kwot. A jeśli Ampliatus zbił fortunę, kupując wielkie posiadłości, dzieląc je na

mniejsze i wynajmując, jego łączne zużycie wody jest z pewnością ogromne. Ciekawe, ile za nią płaci. Być może dowie się tego, kiedy wróci do Misenum i uporządkuje chaos, w jakim Eksomniusz zostawił dokumentację Augusty.

Niewykluczone, że nie płaci ani sestercji.

Stojąc w skąpanej w słonecznym świetle pustej łaźni i słuchając gruchania gołębi, rozważał tę możliwość. Akwedukty zawsze były przyczyną korupcji. Chłopi podłączali się do głównej nitki tam, gdzie przechodziła ona przez ich ziemie. Obywatele zakładali jedną albo dwie dodatkowe rury i płacili inspektorom, żeby odwracali wzrok w inną stronę. Zlecano naprawy prywatnym przedsiębiorcom i płacono rachunki za roboty, które nigdy nie zostały wykonane. Ginęły materiały. Inżynier podejrzewał, że zgnilizna sięgnęła samej góry – krążyły pogłoski, że sam Aciliusz Awiola, *Curator Aquarum*, domagał się udziału w zyskach. Atiliusz nigdy nie miał z tym nic wspólnego. Ale uczciwy człowiek jest w Rzymie rzadkością; uczciwy człowiek to głupiec.

Od ciężaru pochodni rozbolały go ramiona. Wyszedł na podwórze i położył pochodnie na jednym z wozów, a potem oparł się o niego zamyślony. Przybyli kolejni ludzie Ampliatusa. Załadunek dobiegł końca i robotnicy leżeli w cieniu, czekając na rozkazy. Woły stały cierpliwie, machając ogonami, z pyskami w chmarach rojących się owadów.

Czy bałagan w dokumentacji Augusty w Piscina Mirabilis nie wynikał z faktu, że została ona sfałszowana?

Spojrzał na bezchmurne niebo. Słońce minęło zenit. Bekko i Korwinus powinni już dotrzeć do Abellinum. Śluzy zamknięte, Augusta zaczyna wysychać. Ponownie zdał sobie sprawę, że zostało mu mało czasu. Mimo to postanowił coś sprawdzić i dał znak Politesowi.

– Idź do łaźni – rozkazał – i przynieś jeszcze dwanaście pochodni, tuzin lamp i słój oliwy. A także, kiedy już tam będziesz, zwój liny. Ale nic więcej, pamiętaj. Potem, kiedy tu skończycie, zabierz wozy i ludzi do *castellum aquae* przy Bramie Wezuwiańskiej i zaczekaj tam na mnie. Niedługo powinien pojawić się Koraks. A kiedy już tam będziesz, postaraj się kupić dla nas trochę jedzenia. – Dał niewolnikowi swoją torbę. – Tu są pieniądze. Pilnuj ich dobrze. Nie zabawię długo.

Atiliusz strzepnął z tuniki pył z cegieł i puteolanum i wyszedł przez otwartą bramę.

---

* *Laconium* (łac.) – ogrzewany, półokrągły pokój kąpielowy, umieszczony na końcu łaźni. Na środku znajdował się basen z gorącą wodą do kąpieli.

HORA SEPTA

(godzina 14.10)

> *Jeśli magma w znajdującym się wysoko zbiorniku jest gotowa do wylewu, nawet mała zmiana w lokalnych naprężeniach, będąca na ogół wynikiem trzęsienia ziemi, może zakłócić stabilność systemu i doprowadzić do erupcji.*
>
> *Volcanology* (drugie wydanie)

Uczta u Ampliatusa trwała już drugą godzinę i spośród wszystkich rozpartych wokół stołu dwunastu gości tylko jedna osoba wydawała się dobrze bawić – sam Ampliatus.

Najgorszy był upał, który zapierał dech, mimo że jadalnia była z jednej strony całkowicie otwarta, a trzej niewolnicy w szkarłatnych liberiach stali wokół stołu, poruszając wachlarzami z pawich piór. Harfistka przy basenie brzdąkała jakąś niewpadającą w ucho melodię.

I na każdej sofie spoczywało czterech biesiadujących. Zdaniem Lucjusza Popidiusza, który jęczał w duchu, gdy stawiano przed nimi każde nowe danie, przynajmniej o jednego za dużo. Osobiście trzymał się zasady Warrona, że liczba gości na przyjęciu nie powinna być mniejsza od liczby Gracji (trzy) i większa od liczby Muz (dziewięć). Cztery osoby na każdej sofie sprawiały, że siedziało się zbyt blisko sąsiadów. Popidiusz na przykład spoczywał między nudną żoną Ampliatusa, Celsią, i własną matką Taedią – na tyle blisko, iż czuł ciepło emanujące z ich ciał. Odrażające. A kiedy opierając się na lewym łokciu, wyciągał prawą rękę po jakiś przysmak, tył jego głowy ocierał się o płaskie piersi Celsii albo, co gorsza, jego pierścień zaczepiał o blond perukę matki, uplecioną z włosów jakiejś młodej germańskiej niewolnicy i maskującą rzadkie siwe kosmyki starszej pani.

No i to jedzenie! Czy Ampliatus nie rozumie, że upalna pogoda wymaga niewyszukanych zimnych dań, a wszystkie te sosy, całe to wyrafinowanie wyszło z mody już za czasów Klaudiusza? Pierwsze przekąski nie były takie złe – ostrygi hodowane w Brundyzjum, a potem przewiezione dwieście mil wzdłuż wybrzeża i podtuczone w Jeziorze Lukryńskim, aby można było delektować się bogactwem dwóch smaków. Oliwki, sardynki i jajka doprawione siekanymi sardelami – zdecydowanie do przyjęcia. Potem jednak podano langusty, jeżowce i na koniec myszy obtoczone w miodzie i maku. Popidiusz czuł się zobligowany przełknąć przynajmniej jedną mysz, żeby usatysfakcjonować gospodarza. Chrzęst jej małych kosteczek sprawił, że zrobiło mu się niedobrze i oblał się potem.

W następnej kolejności podano wymię maciory, nadziewane cynadrami, i jako przystawkę jej wargi sromowe rozchylone w bezzębnym uśmiechu, a potem pieczonego odyńca wypełnionego żywymi drozdami, które, gdy rozcięto mu brzuch, wyfrunęły, trzepocząc bezradnie skrzydełkami i srając gdzie popadnie. (Co widząc, Ampliatus klaskał i śmiał się do rozpuku). Następnie rarytasy: języki bocianów i flamingów. Te akurat były całkiem niezłe, lecz język gadającej papugi zawsze przypominał

Popidiuszowi robaka i nawet smakował tak, jak jego zdaniem mógł smakować robak, gdyby namoczono go w occie. No i gulasz ze słowiczych wątróbek…

Spojrzał na zaczerwienione twarze innych gości. Nawet tłusty Britiusz, który przechwalał się kiedyś, że zjadł całą trąbę słonia, i którego dewizą była sentencja Seneki: „Jedz, aby wymiotować, wymiotuj, aby jeść", pozieleniał na twarzy. Spostrzegł, że Popidiusz mu się przygląda, i coś cicho do niego powiedział. Popidiusz nie usłyszał go, przystawił więc dłoń do ucha i Britiusz powtórzył to, zasłaniając usta serwetą i wymawiając wyraźnie każdą sylabę.

– Try-mal-chion.

Popidiusz o mało nie wybuchnął śmiechem. Trymalchion! A to dobre! Opisany w satyrze Tytusa Petroniusza niewyobrażalnie bogaty wyzwoleniec, który zmuszał swoich gości do udziału w dokładnie takiej samej uczcie, nie pojmując, w jak wulgarny i śmieszny sposób się popisuje. Cha, cha! Trymalchion! Popidiusz cofnął się na chwilę w czasie o dwadzieścia lat, kiedy był młodym arystokratą na dworze Nerona, a Petroniusz, ten *arbiter elegantiarum*, godzinami zabawiał biesiadników, wyśmiewając bezlitośnie nuworyszów.

Nagle się rozrzewnił. Biedny stary Petroniusz. Zbyt dowcipny i stylowy, by wyszło mu to na zdrowie. Neron, który podejrzewał, iż przedmiotem subtelnej kpiny stał się jego cesarski majestat, przyjrzał mu się po raz ostatni przez swój szmaragdowy monokl i rozkazał, by Petroniusz popełnił samobójstwo. Ten jednak zdołał i to obrócić w żart: otworzył sobie żyły na początku uczty w swoim domu w Kume, następnie podwiązał je, by się posilić i poplotkować z przyjaciółmi, znowu je otworzył i znowu podwiązał, i tak oto stopniowo odszedł. W ostatnim przebłysku świadomości rozbił fluorytową krużę do wina, wartą trzysta tysięcy sestercji, którą spodziewał się odziedziczyć po nim cesarz. To był styl. To był gust.

Ciekawe, co by sądził o mnie, pomyślał z goryczą Popidiusz. O mnie, który bawiłem się i śpiewałem z Władcą Świata, a teraz upadłem tak nisko: w wieku czterdziestu pięciu lat stałem się więźniem Trymalchiona!

Spojrzał na swojego byłego niewolnika, siedzącego u szczytu stołu. W dalszym ciągu nie wiedział dokładnie, jak to się stało. Było oczywiście trzęsienie ziemi. Potem, kilka lat później, umarł Neron. A następnie wybuchła wojna domowa, na cesarskim tronie zasiadł poganiacz mułów i świat Popidiusza stanął na głowie. Ampliatus rósł w siłę, wszędzie było go pełno: odbudowywał miasto, wznosił świątynię, wprowadził nieletniego syna do rady miasta, kontrolował wybory, kupił nawet sąsiedni dom. Popidiusz nigdy nie miał głowy do liczb, więc kiedy Ampliatus powiedział mu, że on też może zarobić trochę pieniędzy, podpisał kontrakty, nawet ich nie czytając. I jakimś dziwnym trafem pieniądze przepadły, okazało się, że rodzinny dom stanowi zabezpieczenie i jedynym ratunkiem przed upokarzającą eksmisją stał się dla niego ślub z córką Ampliatusa. Wyobraźcie sobie: jego własny były niewolnik miał zostać jego teściem! Wiedział, że ta hańba zabije w końcu matkę. Ostatnio prawie się nie odzywała, twarz wychudła jej ze zmartwienia i bezsenności.

Nie żeby miał coś przeciwko dzieleniu łoża z Korelią. Wpatrywał się w nią łakomie. Spoczywała, odwrócona plecami do Kuspiusza, szepcząc coś do swojego brata. Chętnie przerżnąłby również chłopca. Poczuł, jak twardnieje mu członek. Może zaproponuje jakiś trójkącik? Nie… ona nigdy się na to nie zgodzi. Wygląda na zimną dziwkę. Lecz on wkrótce ją rozgrzeje. Jeszcze raz poszukał wzrokiem Britiusza. Wesoły z niego facet. Mrugnął do niego i wskazując oczyma Ampliatusa, wymówił bezgłośnie: „Trymalchion!".

– Co tam szepczesz, Popidiuszu?

Głos Ampliatusa zabrzmiał niczym chlaśnięcie bicza. Popidiusz skulił się.

– Powiedział: „Cóż za wspaniała uczta!”. – Britiusz uniósł kielich. – Wszyscy to powtarzamy, Ampliatusie. Cóż za niezrównana uczta.

Wokół stołu rozległy się pomruki aprobaty.

– Najlepsze jest jeszcze przed nami – oznajmił Ampliatus, po czym pstryknął palcami. Jeden z niewolników pobiegł do kuchni.

Popidiusz uśmiechnął się z trudem.

– Ja na przykład zostawiłem sobie miejsce na desery, Ampliatusie. – Prawdę mówiąc, miał ochotę zwymiotować i żeby to zrobić, nie musiałby wcale łykać ciepłej słonej wody z musztardą. – Cóż to będzie? Kosz śliwek z Góry Damasceńskiej? A może twój kucharz upiekł placek z attyckiego miodu? – Kucharzem Ampliatusa był olbrzymi Gargiliusz, kupiony za ćwierć miliona razem z przepisami. Takie nastały zwyczaje: kucharze cieszą się większym poważaniem aniżeli ci, których karmią. Ich ceny sięgnęły obłędnego pułapu. Pieniądze trafiały do niewłaściwych ludzi.

– Jeszcze nie czas na desery, mój drogi Popidiuszu. A może powinienem do ciebie mówić… jeśli nie jest na to za wcześnie… mój synu?

Ampliatus uśmiechnął się szeroko i Popidiusz zdołał nadludzkim wysiłkiem woli ukryć przepełniającą go odrazę. O Trymalchionie, pomyślał, o Trymalchionie…

Rozległo się szuranie stóp i w progu pojawili się czterej niewolnicy, dźwigający na ramionach model triremy długości mężczyzny, wykutej w srebrze i sunącej po morzu inkrustowanym szafirami. Goście zaczęli bić brawo. Niewolnicy podeszli na kolanach do stołu i z trudem zsunęli triremę na blat, dziobem do przodu. Całe jej wnętrze wypełniała olbrzymia murena. Wyjęto jej oczy i zastąpiono rubinami. W otwartych szczękach tkwiła kość słoniowa, do płetwy grzbietowej przypięty był pierścień z diamentem. Pierwszy odezwał się Popidiusz:

– Ampliatusie… to kolos…

– Z mojego własnego gospodarstwa rybnego w Misenum – odparł z dumą milioner. – Murena. Musi mieć ze trzydzieści lat. Widzicie ten pierścień? Wydaje mi się, Popidiuszu, że to ta sama ryba, do której zwykł śpiewać nasz przyjaciel Neron. Kto chce pierwszy kawałek? – zapytał, biorąc do ręki wielki srebrny nóż. – Ty, Korelio. Chyba właśnie ty powinnaś spróbować go pierwsza.

To z jego strony całkiem miły gest, pomyślał Popidiusz. Aż do tej pory ojciec ostentacyjnie ignorował córkę, zupełnie jakby doszło między nimi do jakiejś scysji. Teraz jednak wyraźnie ją faworyzował. Dlatego Popidiusz z pewnym zdziwieniem ujrzał, że córka mierzy ojca nienawistnym spojrzeniem, odrzuca serwetę, wstaje i wybiega z płaczem z jadalni.

• • •

Pierwsi dwaj przechodnie, do których zwrócił się Atiliusz, przysięgali, że nigdy nie słyszeli o domu Afrikanusa, jednak w mieszczącym się trochę dalej przy tej samej ulicy zatłoczonym szynku Herkulesa mężczyzna za kontuarem przyjrzał mu się podejrzliwie, a potem udzielił cichym głosem wskazówek: trzeba zejść na dół, przy pierwszej przecznicy skręcić w prawo, potem w pierwszą w lewo i znowu zapytać.

– Ale uważaj, z kim mówisz, obywatelu – dodał.

Atiliusz domyślił się, co tamten ma na myśli, i rzeczywiście, kiedy skręcił, uliczki stały się zygzakowate i wąskie, a domy bardziej zaniedbane i tłoczne. Przy kilku nędznych bramach widniały wyryte w kamieniu znaki przedstawiające kutasa i jaja. Jaskrawe suknie prostytutek zakwitały w półmroku niczym niebieskie i żółte kwiaty. A więc w takim miejscu zdecydował się zamieszkać Eksomniusz! Atiliusz zwolnił. Zastanawiał się, czy nie zawrócić. Nic nie powinno odwieść go od zadania, które było tego dnia najważniejsze. Po chwili jednak znów przypomniał mu się ojciec, konający na sienniku w kącie ich małego domu – kolejny uczciwy głupiec, który przez swój upór i prawość pozostawił żonę w biedzie – i ruszył dalej szybszym krokiem, czując, jak budzi się w nim gniew.

Przy końcu ulicy nad chodnikiem wisiał ciężki balkon, zwężając przejście do wąskiego przesmyku. Atiliusz przecisnął się obok grupki mężczyzn z twarzami czerwonymi od upału i wina i wszedł przez najbliższe drzwi do zapuszczonej sieni. W powietrzu unosił się ostry odór potu i spermy. Te miejsca zwano lupanarami, od wycia, jakie wydaje wilczyca, *lupa*, w czasie rui. Słowo *lupa* oznaczało w ulicznym żargonie nierządnicę – *meretrix*. Wszystko to przyprawiało go o mdłości. Na górze słychać było dźwięk fletu, tupot stóp i śmiech mężczyzny. Z klitek po obu stronach korytarza dochodziły odgłosy nocy – sapanie, szepty, kwilenie dziecka.

W półmroku zobaczył przed sobą ubraną w krótką zieloną suknię kobietę, która siedziała na stołku, rozstawiwszy szeroko nogi. Słysząc jego kroki, wstała, wyciągnęła ku niemu ręce i wykrzywiła w uśmiechu cynobrowe usta. Czerniąc antymonem brwi, połączyła je nad nosem, co niektórym mężczyznom bardzo się podobało, lecz Atiliuszowi przypomniało pośmiertne maski Popidiuszów. Była w nieokreślonym wieku – w mrocznej sieni nie widział, czy ma piętnaście, czy pięćdziesiąt lat.

– Afrikanus? – rzucił.

– Kto? – zapytała z wyraźnie obcym akcentem. Chyba cylicyjskim. – Nie ma tutaj – odparła szybko.

– A Eksomniusz?

Słysząc drugie nazwisko, otworzyła umalowane usta. Próbowała stanąć mu na drodze, lecz on złapał ją za nagie ramiona, delikatnie odepchnął i odsunął zasłonę za jej plecami. Nad otwartą latryną kucał nagi mężczyzna z kościstymi, sinawobiałymi udami. Zaskoczony, podniósł wzrok.

– Afrikanus? – zapytał Atiliusz.

Twarz mężczyzny nie wyrażała niczego.

– Wybacz, obywatelu.

Atiliusz opuścił zasłonę i ruszył do klitki po drugiej stronie korytarza, lecz dziwka wyprzedziła go, rozkładając ręce.

– Nie – powiedziała. – Bez awantur. Nie ma tutaj.

– Więc gdzie jest?

– Na górze – odparła po krótkim wahaniu, wskazując podbródkiem sufit.

Atiliusz rozejrzał się. Nie zauważył żadnych schodów.

– Jak się tam dostanę? Pokaż mi.

Nie poruszyła się, więc skoczył ku kolejnej zasłonie, lecz ona znowu była szybsza.

– Pokażę – powiedziała szybko. – Tędy.

Zaprowadziła go do drugich drzwi. W klitce obok mężczyzna krzyczał w ekstazie. Atiliusz wyszedł na ulicę, ona za nim. W świetle dnia zobaczył, że jej starannie upięte włosy przetykane są siwizną.

Strumyczki potu wyżłobiły bruzdy na zapadniętych upudrowanych policzkach. Będzie miała szczęście, jeśli zdoła jeszcze jakiś czas zarabiać na życie w tym miejscu. Wkrótce zostanie wyrzucona przez właściciela, zamieszka na cmentarzu za Bramą Wezuwiańską i będzie oddawała się żebrakom między nagrobkami.

Zgadując chyba jego myśli, osłoniła dłonią indyczą szyję, po czym wskazała odległe o kilka kroków schody i cofnęła się szybko do środka. Wchodząc po kamiennych stopniach, usłyszał jej cichy gwizd. Jestem niczym zagubiony w labiryncie Tezeusz, tyle że nie mam kłębka nici, który zawiódłby mnie z powrotem w bezpieczne miejsce, pomyślał. Gdyby jeden napastnik zaatakował go z góry, a drugi zablokował drogę ucieczki, nie miałby najmniejszych szans. Wspiąwszy się na piętro, nie zawracał sobie głowy pukaniem, lecz od razu otworzył drzwi na oścież.

Mężczyzna, którego szukał, wyłaził właśnie przez okno, ostrzeżony zapewne gwizdem starej dziwki. Ale inżynier był już pośrodku izby i złapał go za pasek, zanim tamten zdążył zeskoczyć na płaski dach poniżej. Był lekki i wychudzony. Atiliusz wciągnął go z łatwością z powrotem, tak jak właściciel wciąga psa za obrożę, i rzucił na dywan.

Najwyraźniej przeszkodził w libacji. Na sofach leżeli dwaj inni mężczyźni. Mały Murzynek przyciskał flet do nagiej piersi. Najwyżej trzynastoletnia dziewczynka o oliwkowej cerze, również naga, z pomalowanymi na srebrny kolor brodawkami piersi, stała na stole, zastygła w tańcu. Przez chwilę nikt się nie poruszał. Oliwne lampki oświetlały prymitywnie namalowane sceny erotyczne – kobietę dosiadającą mężczyzny, mężczyznę spółkującego z kobietą od tyłu, dwóch mężczyzn leżących obok siebie i trzymających się za członki. Jeden z klientów wsunął powoli rękę pod sofę i macał podłogę, szukając noża, który leżał przy talerzu z obranym owocem. Atiliusz wbił mocno stopę w grzbiet Afrikanusa, ten jęknął i mężczyzna szybko cofnął rękę.

– W porządku.

Atiliusz pokiwał głową, uśmiechnął się, po czym znów złapał Afrikanusa za pasek i wywlókł za drzwi.

• • •

– Nastolatki! – mruknął Ampliatus, gdy kroki Korelii ucichły w oddali. – To wszystko przez to, że denerwuje się przed ślubem. Szczerze mówiąc, cieszę się, że już wkrótce to ty, nie ja, będziesz za nią odpowiedzialny, Popidiuszu. Nie, kobieto! Zostaw ją! – krzyknął, widząc, że jego żona wstaje, by pobiec za córką.

Celsia usiadła posłusznie, uśmiechając się przepraszająco do gości. Ampliatus zmierzył ją surowym spojrzeniem. Wolałby, żeby tego nie robiła. Dlaczego ma płaszczyć się przed ludźmi wyższego stanu? On może ich wszystkich kupić i sprzedać!

Wbił nóż w bok mureny, przekręcił go, a potem, poirytowany, dał znak najbliższemu niewolnikowi, żeby kontynuował krojenie. Ryba gapiła się na niego pustymi czerwonymi oczyma. Ulubienica cesarza, pomyślał, księżniczka w swoim własnym małym basenie. Do wczoraj.

Umoczył chleb w miseczce z octem i ssąc kromkę, obserwował wprawną rękę niewolnika, który nakładał na talerze kawałki ościstego szarego mięsa. Nikt nie miał ochoty go jeść, ale też nikt nie chciał być pierwszym, który odmówi. Nad stołem zawisła obawa przed niestrawnością, ciężka niczym powietrze w jadalni, gorące i nieświeże od zapachu potraw. Ampliatus nie przerywał milczenia.

Dlaczego to on ma rozładowywać atmosferę? Kiedy sam był niewolnikiem i usługiwał przy stole, nie wolno mu było odezwać się przy gościach.

Obsłużono go w pierwszej kolejności, lecz zanim odkroił pierwszy kęs, zaczekał, aż przed wszystkimi staną złote talerze. Rozejrzał się i nie włożył ryby do ust, dopóki jeden po drugim, poczynając od Popidiusza, nie poszli niechętnie za jego przykładem.

Czekał na tę chwilę przez cały dzień. Wediusz Pollio rzucał niewolników na pożarcie murenom nie tylko po to, by nacieszyć się nieoglądanym dotąd widokiem człowieka rozrywanego pod wodą, a nie przez dzikie bestie na arenie. Jako smakosz utrzymywał, że karmiona ludzkim mięsem ryba ma bardziej pikantny smak. Ampliatus żuł uważnie, ale niczego nie poczuł. Mięso było mdłe i łykowate – właściwie niejadalne – i doznał podobnego rozczarowania jak wczoraj po południu nad morzem. Po raz kolejny sięgnął po coś, co wydawało się doświadczeniem krańcowym, i po raz kolejny nic nie zostało mu w garści.

Wyciągnął palcami rybę z ust i cisnął ją z niesmakiem na talerz.

– No tak! Wygląda na to, że mureny, podobnie jak kobiety, najlepiej smakują, gdy są młode! – krzyknął, starając się zbagatelizować sprawę, po czym wziął kielich z winem, żeby spłukać nieprzyjemny smak. Nie sposób było jednak zaprzeczyć, że uczta przestała sprawiać mu przyjemność. Goście odkasływali uprzejmie w serwety albo wydłubywali ości z zębów i wiedział, że kiedy tylko uda im się stąd wyrwać, jeszcze długo będą z niego kpili, zwłaszcza Holkoniusz i ten tłusty pedał Britiusz.

„Słyszałeś, mój drogi, ostatnią historię o Ampliatusie? Uważa, że ryba, tak jak wino, im starsza, tym lepsza!”.

Wypił więcej wina, płucząc nim usta, i właśnie zamierzał zaproponować toast – za cesarza! za armię! – gdy spostrzegł zarządcę zbliżającego się doń z małą drewnianą skrzynką. Skutariusz wahał się, nie chcąc najwyraźniej podczas posiłku zawracać mu głowy interesami, i Ampliatus rzeczywiście kazałby mu iść precz, gdyby nie wyraz jego twarzy…

Zwinął serwetę, wstał z sofy i skłoniwszy się lekko gościom, dał znak Skutariuszowi, żeby podążył za nim do *tablinum*.

– O co chodzi? Daj mi to – powiedział, wyciągając rękę, kiedy znaleźli się sami.

To była *capsa*, tanie pudło na dokumenty z drewna bukowego krytego surową skórą, takie, jakiego mógłby używać uczeń do noszenia książek. Zamek został wyłamany. Ampliatus podniósł pokrywkę. Wewnątrz leżało kilkanaście małych zwojów papirusu. Wyciągnął pierwszy z brzegu. Zapisany był rzędami cyfr. Przez chwilę przyglądał im się zdezorientowany, ale potem cyfry ułożyły się w znajomy wzór – zawsze miał głowę do liczb – i zrozumiał.

– Gdzie jest człowiek, który to przyniósł? – zapytał.

– Czeka w westybulu, panie.

– Zaprowadź go do starego ogrodu. Niech podadzą desery. Powiedz moim gościom, że wkrótce do nich wrócę.

Ampliatus obszedł od tyłu jadalnię i wspiął się po szerokich schodach, które prowadziły na duży dziedziniec jego starego domu. Tę właśnie nieruchomość kupił przed dziesięciu laty, celowo osiedlając się tuż obok rodzinnej posiadłości Popidiuszów. Jak przyjemnie było mieszkać na tym samym poziomie co jego byli panowie, nie śpiesząc się i już wtedy wiedząc, iż pewnego dnia zdoła wybić dziurę

w grubym ogrodowym murze i zajmie teren po drugiej stronie, tak jak zajmuje nieprzyjacielskie miasto oblegająca je długo armia.

Usiadł pod oplecioną różami pergolą, na okrągłej kamiennej ławce pośrodku ogrodu. W tym miejscu lubił załatwiać najbardziej tajne interesy. Tutaj mógł zawsze swobodnie rozmawiać, pewien, że nikt się do niego niepostrzeżenie nie zbliży. Ponownie otworzył skrzynkę, wyjął wszystkie papirusy i spojrzał na przestwór bezchmurnego nieba. Słyszał ćwierkające w ptaszarni na strychu szczygły Korelii, a także odgłosy miasta, które budziło się do życia po długiej sjeście. Ludzie wylegli na ulice, czekając na Wulkanalia, więc gospody oraz jadłodajnie powinny się teraz nielicho obłowić.

Salve lucrum!

Lucrum gaudium!

Słysząc zbliżającego się gościa, nie podniósł wzroku.

– Wygląda na to, że mamy problem – mruknął.

• • •

Korelia dostała w prezencie szczygły niedługo po wprowadzeniu się rodziny do nowego domu, na swoje dziesiąte urodziny. Karmiła je, pielęgnowała, gdy chorowały, patrzyła, jak się wylęgają, kopulują, rosną i umierają, i teraz, za każdym razem kiedy chciała być sama, szła do ptaszarni. Klatka zajmowała połowę balkonu w jej pokoju, nad otoczonym krużgankiem ogrodem, i przykryta była materiałem, który chronił ptaki przed słońcem.

Siedziała tam w ocienionym rogu, obejmując rękami nogi i opierając podbródek na kolanach, kiedy usłyszała, że ktoś wszedł na dziedziniec. Przesunęła się do przodu i wyjrzała przez niską balustradę. Jej ojciec usiadł na okrągłej kamiennej ławce i czytał jakieś papiery, które wyjął ze stojącej przy nim skrzynki. Po chwili odłożył na bok ostatni z nich i popatrzył w niebo, odwracając się w jej stronę. Cofnęła szybko głowę. Ludzie mówili, że przypomina go z wyglądu, „Są podobni jak dwie krople wody”. A ponieważ ojciec był przystojnym mężczyzną, kiedyś była z tego dumna.

– Wygląda na to, że mamy problem – usłyszała.

Jeszcze w dzieciństwie odkryła, że krużganek ma szczególne właściwości. Ściany i kolumny odbijały dźwięki i kierowały je w górę, wskutek czego nawet ledwie słyszalny szept brzmiał tu, na górze, na balkonie, niczym mowa wygłaszana z mównicy. Oczywiście przydawało to temu miejscu magii. Większość z tego, co słyszała, dorastając, nic dla niej nie znaczyło – dotyczyło kontraktów, nieruchomości i odsetek – ekscytował ją po prostu fakt, że ma swoje prywatne okno na świat dorosłych. Nigdy nie powiedziała bratu, co wie, ponieważ dopiero od paru miesięcy zaczęła odszyfrowywać tajemniczy język interesów ojca. To tutaj właśnie usłyszała przed miesiącem, jak między ojcem i Popidiuszem toczą się targi o jej przyszłość: tyle a tyle do odliczenia po ogłoszeniu zaręczyn, pełen dług umorzony po zawarciu małżeństwa, mienie, które ma zostać zwrócone w przypadku nieposiadania potomstwa, wiek, po osiągnięciu którego rzeczone potomstwo ma dziedziczyć…

„Moja mała Wenus – nazywał ją kiedyś. – Moja dzielna mała Diana”.

…premia płatna po stwierdzeniu dziewictwa, dziewictwo potwierdzone przez chirurga, Pumponiusza Magonianusa, płatność uchylona po podpisaniu kontraktów w zawarowanym terminie…

„Zawsze powtarzam, Popidiuszu – szepnął kiedyś jej ojciec – i mówię teraz z tobą jak mężczyzna z mężczyzną, abstrahując od kwestii prawnych: dobre rypanie nie ma ceny”.

„Moja mała Wenus…”

„Wygląda na to, że mamy problem…”

– Tak, rzeczywiście mamy problem – usłyszała ochrypły męski głos, którego nie rozpoznała.

– A ten problem nazywa się Marek Atiliusz – stwierdził jej ojciec.

Korelia pochyliła się do przodu, żeby nie uronić ani słowa.

• • •

Afrikanus nie chciał żadnych kłopotów. Afrikanus był uczciwym człowiekiem. Atiliusz sprowadził go na dół, nie zwracając uwagi na bełkotliwe protesty i oglądając się co kilka kroków, żeby sprawdzić, czy nikt za nimi nie idzie.

– Przychodzę tutaj oficjalnie w imieniu cesarza. Muszę zobaczyć, gdzie mieszkał Eksomniusz. Szybko. – Na wzmiankę o cesarzu Afrikanus zaczął go po raz kolejny zapewniać, że cieszy się nieposzlakowaną opinią. Atiliusz potrząsnął nim. – Nie mam czasu tego słuchać. Zabierz mnie do jego izby.

– Jest zamknięta.

– Gdzie klucz?

– Na dole.

– Idź po niego.

Kiedy wyszli na ulicę, wepchnął alfonsa do mrocznej sieni i stanął na straży, gdy ten wyjmował ze schowka kasetkę z gotówką. Prostytutka w krótkiej zielonej sukience wróciła na swój stołek. Zmyrina, mówił na nią Afrikanus.

– Zmyrino, który z nich jest do izby Eksomniusza?

Ręce trzęsły mu się tak bardzo, że kiedy w końcu otworzył kasetkę i wyjął z niej klucze, natychmiast wypadły mu z rąk i Zmyrina musiała je podnieść. Wybrała jeden.

– Czego tak się boisz? – zapytał Atiliusz. – Dlaczego próbowałeś uciec, kiedy wymieniłem jego nazwisko?

– Nie chcę mieć żadnych kłopotów – powtórzył Afrikanus, po czym wziął klucz od Zmyriny i ruszył do sąsiadującego z burdelem taniego szynku.

W środku nie było prawie nic poza kontuarem z surowego kamienia z otworami na dzbany z winem. Większość pijących stała na dworze, podpierając ścianę. Atiliusz przypuszczał, że tutaj właśnie klienci lupanaru czekają na swoją kolej, a potem przychodzą zwilżyć gardło i przechwalać się własną jurnością. Poczuł ten sam smród co w burdelu i doszedł do wniosku, że Eksomniusz musiał upaść bardzo nisko – zepsucie sięgnęło dna jego duszy – skoro wylądował w takim miejscu.

Afrikanus był drobny i zwinny, z owłosionymi jak u małpy nogami i rękami. Być może stąd właśnie wzięło się jego przezwisko, od afrykańskich małp, trzymanych na łańcuchach i pokazujących sztuczki na forum, żeby dostać parę miedziaków dla swoich właścicieli. Przebiegł przez bar, wspiął się po rozklekotanych drewnianych schodach na piętro i trzymając w ręce klucz, przystanął przed drzwiami.

– Kim jesteś? – zapytał, przypatrując się z ukosa Atiliuszowi.

– Otwieraj.

– Niczego tam nie ruszałem. Masz na to moje słowo.

– Na pewno wysoko je tu cenią. Otwieraj.

Alfons odwrócił się do drzwi z wyciągniętym kluczem i nagle krzyknął cicho, wskazując zamek. Atiliusz podszedł bliżej i zobaczył, że jest wyłamany. Wnętrze izby tonęło w mroku, powietrze przesycone było stęchłymi zapachami – posłania, skóry, nieświeżego jedzenia. Siatka jasnych linii na przeciwległej ścianie wskazywała miejsce, gdzie znajdowały się zamknięte okiennice. Afrikanus wszedł pierwszy, potykając się o coś w ciemności, i otworzył okno. Popołudniowe słońce oświetliło poprzewracane sprzęty i walające się na podłodze ubrania. Alfons toczył dookoła przerażonym wzrokiem.

– To nie ma nic wspólnego ze mną… przysięgam.

Atiliusz ogarnął wszystko jednym spojrzeniem. W izbie nie było zbyt wielu rzeczy – łóżko, cienki materac z poduszką i szorstkim brązowym kocem, dzbanek na wodę, nocnik, skrzynia i stołek – lecz przetrząśnięto dosłownie wszystko. Pocięto nawet materac, z którego wyłaziły kępy końskiego włosia.

– Przysięgam… – powtórzył Afrikanus.

– W porządku – mruknął Atiliusz. – Wierzę ci.

I naprawdę mu wierzył. Afrikanus nie wyłamywałby zamka, mając klucz, i nie zostawiłby w izbie takiego bałaganu. Na trójnożnym małym stoliku leżała bryła biało-zielonego marmuru, która po bliższym zbadaniu okazała się zjedzonym do połowy bochenkiem chleba. Obok leżał nóż i nadgniłe jabłko. Na warstwie kurzu odciśnięte były świeże ślady palców. Atiliusz dotknął palcem blatu i przyjrzał się czarnej opuszce. Musieli włamać się niedawno. Kurz nie zdążył jeszcze opaść. Być może dlatego właśnie Ampliatusowi tak bardzo zależało, żeby pokazać mu każdy detal nowych łaźni – żeby zająć go czymś, kiedy przeszukiwano izbę. Jakim okazał się głupcem, ględząc o nizinnej sośnie i opalonym oliwkowym drewnie.

– Od jak dawna Eksomniusz wynajmował tę izbę? – zapytał.

– Trzy lata. Może cztery.

– Ale nie mieszkał tu przez cały czas?

– Przychodził i odchodził.

Atiliusz uświadomił sobie, że nie wie nawet, jak wygląda Eksomniusz. Podążał tropem fantomu.

– Nie miał niewolnika?

– Nie.

– Kiedy go ostatnio widziałeś?

– Eksomniusza?

Afrikanus rozłożył ręce. Jak ma to pamiętać? Tylu jest klientów. Tyle twarzy.

– Kiedy płacił czynsz?

– Z góry. W kalendy każdego miesiąca.

– Więc zapłacił ci na początku sierpnia?

Afrikanus kiwnął głową. Zatem jedno jest pewne: bez względu na to, co się z nim stało, Eksomniusz nie miał zamiaru zniknąć. Wszystko wskazuje na to, że był sknerą. Nie płaciłby za pokój, z którego nie zamierzał korzystać.

– Zostaw mnie – powiedział Atiliusz. – Sam tu posprzątam.

Afrikanus miał ochotę zaprotestować, ale kiedy inżynier ruszył w jego stronę, podniósł ręce i wycofał się na korytarz. Atiliusz zamknął za nim wyłamane drzwi i usłyszał, jak alfons schodzi po schodach do szynku.

Obszedł pokój, porządkując go, by zorientować się, jak wyglądał wcześniej: tak jakby mógł w ten sposób znaleźć wskazówkę, co jeszcze się tu znajdowało. Położył wypatroszony materac na łóżku i umieścił poduszkę – również pociętą – na wezgłowiu. Złożył cienki koc. Wyciągnął się na łóżku. Obracając się do ściany, zobaczył utworzony z czarnych kropek wzór i zorientował się, że to rozgniecione owady. Wyobraził sobie Eksomniusza, leżącego tutaj w upale i zabijającego insekty. Skoro brał łapówki od Ampliatusa, dlaczego zdecydował się wieść życie nędzarza? Może wszystkie pieniądze wydawał na kurwy? Ale to nie było chyba możliwe. Przespanie się z jedną z dziewczyn Afrikanusa nie mogło kosztować więcej niż parę miedziaków.

Zaskrzypiała deska podłogi.

Usiadł powoli i spojrzał w stronę drzwi. Pod tandetnymi drzwiami rysowały się wyraźnie cienie dwóch nóg i przez moment był pewien, że to sam Eksomniusz, przybywający, by domagać się wyjaśnień od intruza, który przejął jego stanowisko, wtargnął do jego mieszkania, a teraz wyleguje się na jego łóżku w splądrowanym pokoju.

– Kto tam?! – zawołał, a kiedy drzwi powoli się uchyliły i zobaczył, że to tylko Zmyrina, ogarnęło go dziwne rozczarowanie.

– No? – zapytał. – Czego chcesz? Powiedziałem twojemu panu, żeby zostawił mnie w spokoju.

Stanęła w progu. Rozcięcie w sukni odsłaniało jej długie nogi. Na udzie miała purpurowy siniec wielkości pięści. Rozejrzała się po pokoju i podniosła dłonie do ust.

– Kto to zrobić? – zapytała przerażona.

– Ty mi powiedz.

– Mówił, troszczyć się o mnie.

– Co?

Zmyrina weszła do pokoju.

– Mówił, kiedy wróci, troszczyć się o mnie.

– Kto?

– Elianus. Tak mówił.

Chwilę trwało, zanim zrozumiał, kogo ma na myśli: Eksomniusza. Eksomniusza Elianusa. Z osób, które do tej pory spotkał, ona jedna użyła imienia akwariusza, a nie jego rodowego nazwiska. To znamienne. Jedyną bliską mu osobą była dziwka.

– Wygląda na to, że nie wróci, żeby się o ciebie zatroszczyć. Ani o ciebie, ani o kogokolwiek innego – oznajmił obcesowo.

Otarła kilka razy nos wierzchem dłoni i zorientował się, że płacze.

– On zginąć?

– Może nie zginął – odparł nieco łagodniej. – Prawdę mówiąc, nikt tego nie wie.

– Kupi mnie od Afrikanusa. Tak mówił. Nie dziwka dla każdego. Tylko dla niego. Rozumiesz?

Dotknęła swojej piersi, wskazała Atiliusza i ponownie dotknęła siebie.

– Tak, rozumiem.

Przyjrzał się Zmyrinie z zainteresowaniem. Wiedział, że nie było to czymś niezwykłym, zwłaszcza w tej części Italii. Odchodząc po dwudziestu pięciu latach z floty i uzyskując rzymskie obywatelstwo, cudzoziemscy marynarze pierwsze kroki kierowali na najbliższy targ niewolników i za otrzymaną odprawę kupowali sobie żonę. Prostytutka uklękła na podłodze i zaczęła zbierać porozrzucane ubrania

i układać je w skrzyni. Może przemawiało to na korzyść Eksomniusza? Fakt, że zdecydował się na nią, a nie na kogoś młodszego i ładniejszego? Choć z drugiej strony niewykluczone, że skłamał i wcale nie miał zamiaru po nią wracać. Tak czy owak, po zniknięciu głównego klienta jej przyszłość nie przedstawia się zbyt różowo.

– Musiał mieć pieniądze, prawda? Dość pieniędzy, żeby cię wykupić? Trudno w to uwierzyć, kiedy się spojrzy, jak mieszkał.

– Nie tutaj. – Zmyrina przycupnęła na piętach i zmierzyła go szyderczym spojrzeniem. – Tutaj niebezpiecznie. Pieniądze schowane. Dużo pieniędzy. Jakieś sprytne miejsce. Nikt nie znajdzie. Tak mówił. Nikt.

– Wygląda na to, że ktoś bardzo starał się je znaleźć.

– Pieniądze nie tutaj.

Powiedziała to z naciskiem i przyszło mu do głowy, że musiała często przeszukiwać tę izbę, kiedy go nie było.

– Nie powiedział ci chyba, co to za miejsce?

Popatrzyła na niego, otwierając szeroko cynobrowe usta, i nagle pochyliła głowę. Zadrżały jej ramiona. Z początku myślał, że płacze, ale kiedy się odwróciła, zobaczył, że w jej oczach lśnią łzy śmiechu.

– Nie!

Znowu zaczęła się kołysać. W tym rozbawieniu była niemal dziewczęca. Klasnęła w dłonie. To była najśmieszniejsza rzecz, jaką w życiu słyszała, i musiał się z nią zgodzić: pomysł, że Eksomniusz zwierzy się dziwce Afrikanusa, gdzie ukrył pieniądze, był naprawdę śmieszny. Atiliusz też się roześmiał i postawił stopy na podłodze.

Nie ma sensu tracić tutaj więcej czasu.

Na korytarzu odwrócił się i spojrzał na nią. Kucała w tej swojej rozciętej sukience, przyciskając do twarzy jedną z tunik Eksomniusza.

• • •

Wracał szybko tą samą ocienioną uliczką, którą przyszedł. To z pewnością regularna trasa Eksomniusza, pomyślał: z burdelu do *castellum aquae*. Ten widok musiał oglądać za każdym razem, gdy tędy szedł – kurwy i pijaków, kałuże moczu i zeskorupiałe rzygowiny w rynsztoku, rysunki na ścianach, małe wizerunki Priapa w bramach, z olbrzymim sterczącym członkiem, z którego zwisały chroniące przed złym urokiem dzwoneczki. O czym myślał, idąc tędy po raz ostatni? O Zmyrinie? O Ampliatusie? O tym, czy bezpieczne są jego ukryte pieniądze?

Miał uczucie, że ktoś go śledzi. Obejrzał się przez ramię, ale nikt nie zwracał na niego uwagi. Mimo to odetchnął z ulgą, dotarłszy do szerokiej, zalanej światłem głównej ulicy.

Miasto było o wiele mniej gwarne niż rano; upał przegonił większość ludzi z ulic i Atiliusz szybko dotarł w pobliże Bramy Wezuwiańskiej. Dochodząc do małego placyku przy *castellum aquae*, zobaczył woły i wozy wyładowane po brzegi narzędziami i materiałami. Kilkunastu mężczyzn leżało na ziemi przed gospodą, z czegoś się zaśmiewając. Wynajęty przez niego koń stał przywiązany do słupka. I był tam Polites, wierny Polites, któremu ufał najbardziej i który szedł mu na spotkanie.

– Długo cię nie było, akwariuszu.

Atiliusz zignorował brzmiącą w głosie niewolnika przyganę.

– Ale już jestem. Gdzie Musa?

– Jeszcze go nie ma.

– Co?

Inżynier zaklął i osłaniając dłońmi oczy, sprawdził pozycję słońca. Minęły już cztery godziny, nie, prawie pięć, odkąd odjechali. Powinien mieć już od nich jakąś wiadomość.

– Ilu mamy ludzi?

– Dwunastu – odparł Polites, zacierając nerwowo dłonie.

– O co ci chodzi?

– Wyglądają na nieokrzesanych, akwariuszu.

– Naprawdę? Cóż, nie obchodzą mnie ich maniery, pod warunkiem że potrafią ciężko pracować.

– Piją już od godziny.

– Więc niech lepiej przestaną.

Atiliusz przeciął plac, kierując się w stronę szynku. Ampliatus obiecał mu tuzin swoich najsilniejszych niewolników i znów dotrzymał słowa. Można pomyśleć, że przysłał mu oddział gladiatorów. Dzban z winem krążył z jednych wytatuowanych rąk do drugich. Żeby zabić jakoś czas, ściągnęli z *castellum* Tiro i bawili się nim. Jeden z nich zabrał mu filcową czapkę i za każdym razem, gdy chłopak obracał się bezradnie w stronę tego, który ją trzymał, rzucano ją komuś innemu.

– Dosyć tego – rzucił inżynier. – Zostawcie chłopaka w spokoju. – Nikt nie zwrócił na niego uwagi. – Jestem Marek Atiliusz, akwariusz Aqua Augusta, i znajdujecie się teraz pod moją komendą – oznajmił głośniej, po czym złapał czapkę niewolnika i oddał mu ją. – Wracaj do *castellum*, Tiro. A wy skończcie pić. Ruszamy w drogę.

Mężczyzna, w którego ręce trafiło wino, zmierzył Atiliusza obojętnym wzrokiem. Podniósł gliniany dzban do ust, odchylił do tyłu głowę i zaczął pić. Wino pociekło mu po podbródku i piersi. Rozległ się pełen uznania rechot i Atiliusz poczuł, jak budzi się w nim gniew. Budowa i utrzymanie akweduktów wymagały tyle pracy, wiedzy i pomysłowości, a wszystko po to, by dostarczać wodę takim jak ci prostakom. Powinno się ich zostawić, pozwolić, by taplali się w malarycznych bagnach.

– Kto jest tutaj najwyższy rangą? – zapytał.

Mężczyzna odjął dzban od ust.

– Najwyższy rangą? – powtórzył, przedrzeźniając go. – Co to ma być? Pieprzona armia?

– Jesteś pijany – odparł cicho Atiliusz – i bez wątpienia silniejszy ode mnie. Ale ja jestem trzeźwy i bardzo mi się śpieszy. Ruszaj się.

Kopnął dzban, wytrącając go z ręki pijącego. Naczynie wylądowało, nie tłukąc się, na boku i wino pociekło na kamienie. Przez chwilę w ciszy, która zapadła, słychać było tylko bulgotanie trunku, a potem dużo rzeczy zaczęło się dziać jednocześnie – mężczyźni zrywali się z ziemi i wrzeszczeli, a pijak pochylił się do przodu z widocznym zamiarem wbicia zębów w łydkę Atiliusza.

– Przestańcie! – rozległ się nagle czyjś głos, donośniejszy od innych. Plac przemierzył olbrzymi mężczyzna, mający ponad sześć stóp wzrostu, i stanął między Atiliuszem a resztą, rozkładając ręce, żeby ich zatrzymać. – Jestem Brebiks. Wyzwoleniec. – Miał gęstą rudą brodę, przystrzyżoną w kształt łopaty. – Jeśli ktoś jest tu najwyższy rangą, to ja.

– Brebiks. – Atiliusz pokiwał głową. Z pewnością zapamięta to imię. Rudzielec rzeczywiście był gladiatorem, a właściwie byłym gladiatorem. Na ramieniu miał wypalone piętno swojego oddziału, węża szykującego się do ataku. – Powinieneś tu być od godziny. Powiedz tym ludziom, że jeżeli mają jakieś pretensje, niech zwrócą się do Ampliatusa. Powiedz im, że nikt nie musi ze mną iść, ale ci, którzy zostaną, odpowiedzą za to przed swoim panem. A teraz wyprowadźcie wozy przez bramę. Spotkam się z wami za murami miasta.

Odwrócił się i tłum pijaków z innych barów, którzy przyszli na plac w nadziei, że będą świadkami bójki, rozstąpił się, żeby go przepuścić. Atiliusz trząsł się i musiał zacisnąć dłonie, żeby nikt tego nie spostrzegł.

– Politesie! – zawołał.

Niewolnik przecisnął się przez ciżbę.

– Tak?

– Przyprowadź mojego konia. Straciliśmy już dość czasu.

Polites spojrzał z niepokojem na Brebiksa, prowadzącego niechętną drużynę do wozów.

– Ci ludzie, akwariuszu… nie ufam im.

– Ja też nie. Ale nie możemy nic na to poradzić. Idź po konia. Spotkamy się z Musą po drodze.

Kiedy Polites się oddalił, Atiliusz popatrzył w górę. Pompeje nie przypominały wcale nadmorskiego kurortu, lecz rozwijające się dynamicznie przygraniczne, garnizonowe miasto. Ampliatus przebudowywał je na swój obraz i podobieństwo. Inżynier nie zmartwiłby się specjalnie, gdyby już nigdy w życiu nie musiał oglądać jego mieszkańców. Z wyjątkiem Korelii. Ciekawiło go, co ona robi, lecz siłą woli odsunął od siebie obraz dziewczyny idącej ku niemu przez roziskrzoną wodę. Musi się stąd wydostać, musi dotrzeć do Augusty, wykonać pracę, a potem wrócić do Misenum, przejrzeć dokumentację akweduktu i sprawdzić, czy nie ma tam dowodów wskazujących, co takiego knuł Eksomniusz. To jest teraz najważniejsze. Myślenie o czymkolwiek innym to głupota.

Tiro kucał w cieniu *castellum aquae*. Atiliusz miał zamiar unieść rękę w geście pożegnania, ale wstrzymał się, dostrzegając jego niewidzące, mrugające oczy.

• • •

Gdy przejechał pod długim sklepieniem Bramy Wezuwiańskiej, zegar słoneczny na ulicy wskazywał godzinę dziewiątą z okładem. Stukot uderzających o kamień podków odbijał się zwielokrotnionym echem i można było pomyśleć, że z miasta wyjeżdża mały oddział kawalerii. Celnik, który wystawił głowę ze swojej budki, żeby zobaczyć, co się dzieje, ziewnął i odwrócił się.

Inżynier nigdy nie czuł się dobrze w siodle, teraz jednak cieszył się, że dosiada konia. Znajdował się dzięki temu wyżej od innych, a to dawało mu nad nimi choćby iluzoryczną przewagę. Kiedy podjechał do Brebiksa i jego ludzi, musieli zerkać w górę, mrużąc oczy przed blaskiem słońca.

– Będziemy podążali wzdłuż linii akweduktu w stronę Wezuwiusza – oznajmił i w tym momencie koń wykonał nagły zwrot. – I nie ociągać się! – zawołał przez ramię. – Chcę, żebyśmy dotarli na miejsce przed zmierzchem.

– Na miejsce, to znaczy gdzie? – zapytał Brebiks.

– Jeszcze nie wiem. Powinno to być oczywiste, kiedy tam dojedziemy.

Mężczyźni zareagowali na tę ogólnikową odpowiedź nerwowym pomrukiem… I któż mógł ich winić? Sam chciałby wiedzieć, dokąd jedzie. Przeklęty Musa. Atiliusz opanował konia, obrócił go w stronę otwartej przestrzeni i uniósł się w siodle, chcąc zobaczyć drogę za nekropolią. Biegła prosto jak strzelił przez szachownicę pszenicznych pól i oliwnych gajów, oddzielonych od siebie niskimi murkami i rowami. Tę ziemię przyznano przed dziesięcioleciami zdemobilizowanym legionistom. Na brukowanej drodze nie było dużego ruchu – dwa wozy, kilku pieszych. Ani śladu obłoku kurzu, który wzbijałby galopujący jeździec. Niech go szlag, niech go szlag…

– Niektórzy z chłopaków boją się przebywać po zmroku w pobliżu Wezuwiusza – powiedział Brebiks.

– A to dlaczego?

– Olbrzymy! – krzyknął jeden z mężczyzn.

– Olbrzymy?

– Widziano olbrzymy, akwariuszu, większe od największych ludzi – wyjaśnił przepraszającym tonem Brebiks. – Włóczą się nad ziemią w dzień i w nocy. Niektóre fruwają. Ich głosy są niczym grzmoty.

– Więc może to są grzmoty – odparł Atiliusz. – Pomyśleliście o tym? Możliwe są grzmoty bez deszczu.

– Ale tych nie słychać w powietrzu. Słychać je na ziemi. A może nawet pod ziemią.

– Więc dlatego tyle wypiliście? – Atiliusz zmusił się do uśmiechu. – Bo baliście się znaleźć po zmroku poza murami miasta? I ty byłeś gladiatorem, Brebiksie? Cieszę się, że nigdy nie postawiłem na ciebie pieniędzy. A może twój oddział walczył tylko ze ślepymi chłopcami? – Brebiks zaklął głośno, ale inżynier zwrócił się ponad jego głową do robotników: – Prosiłem waszego pana, aby użyczył mi mężczyzn, nie baby. Dość już kłótni! Przed zmrokiem musimy pokonać pięć mil. A może dziesięć… Prowadźcie woły za mną.

Uderzył piętami w boki konia i zwierzę ruszyło wolnym kłusem. Droga wiodła między grobami. Na niektórych złożono z okazji Wulkanaliów niewielkie ofiary z kwiatów i jedzenia. Kilka osób urządziło sobie piknik w cieniu cyprysów. Wygrzewające się na grobowcach małe czarne jaszczurki wyglądały z daleka jak rysy na kamieniu. Atiliusz nie oglądał się za siebie. Wiedział, że za nim pojadą. Zawstydził ich i bali się Ampliatusa.

Przy skraju cmentarza ściągnął wodze i zaczekał, aż usłyszy toczące się po kamieniach wozy. Były to prymitywne wiejskie furmanki; ich osie obracały się razem z kołami, które wyciosano z grubych na stopę kawałków pnia. Łoskot słychać było z odległości mili. Najpierw minęły go idące z pochylonymi łbami woły, każdy zaprzęg prowadzony przez mężczyznę z kijem, potem toczące się ciężko wozy, na koniec robotnicy. Policzył ich. Byli wszyscy, łącznie z Brebiksem. Wzdłuż drogi wznosiły się co sto kroków kamienne słupki akweduktu. Między nimi w równych odstępach stały okrągłe studzienki, które zapewniały dostęp do tunelu. Ich regularność i precyzja dodały mu pewności siebie. Jeśli na czymkolwiek się zna, to właśnie na tym.

Spiął konia.

Godzinę później, kiedy popołudniowe słońce zeszło tuż nad zatokę, znajdowali się pośrodku równiny – wszędzie dookoła ciągnęły się spieczone wąskie poletka poprzecinane wyschniętymi na wiór rowami. Ochrowe mury i baszty Pompejów majaczyły w kurzu za ich plecami, a linia akweduktu

wiodła nieubłaganie naprzód, w stronę niebieskoszarej piramidy Wezuwiusza, który z każdą chwilą wydawał się coraz potężniejszy.

HORA DUODECIMA

(godzina 18.47)

> *Skały odznaczają się wyjątkowo dużą ściśliwością, a jednocześnie niskimi naprężeniami (siły wynoszą tu około 1,5 × 10^7 barów). Wskutek tego skały, które pokrywają stygnący i emitujący gazy zbiornik magmy, ulegają odkształceniu na długo przedtem, nim magma przejdzie w stan stały. Kiedy do tego dochodzi, następuje gwałtowna erupcja.*
>
> *Volcanoes: A Planetary Perspective*

Pliniusz obserwował częstotliwość drgań przez cały dzień, a dokładniej rzecz biorąc, robił to jego sekretarz Aleksjon, siedząc przy stole w bibliotece, z zegarem wodnym po jednej i czarą wina po drugiej stronie.

Fakt, że było święto, nie miał znaczenia dla zajęć admirała. Pracował bez względu na to, jaki przypadał dzień. Oderwał się od lektury i dyktowania tylko raz, w połowie poranka, aby pożegnać gości; upierał się przy tym, że odprowadzi ich na dół, do portu. Lucjusz Pomponianus i Liwia udawali się swoim skromnym statkiem do Stabie, po drugiej stronie zatoki, i ustalono, że zabiorą Rektynę do Villa Calpurnia w Herkulanum. Pediusz Kaskus, odpływający na pokładzie własnego liburniana z pełną obsadą wioślarzy, wybierał się sam, bez żony, do Rzymu, na spotkanie rady z cesarzem. Drodzy starzy przyjaciele! Serdecznie ich uściskał. Pomponianus zachowywał się czasami jak głupiec, to prawda, ale jego ojciec, wielki Pomponius Sekundus, był patronem Pliniusza, który czuł, że ma wobec tej rodziny honorowy dług. Co do Pediusza i Rektyny – traktowali go z bezgraniczną wielkodusznością. Gdyby nie dostęp do ich biblioteki, trudno byłoby mu skończyć *Historię naturalną* z dala od Rzymu.

Tuż przed wejściem na pokład liburniana Pediusz wziął go pod ramię.

– Nie mówiłem o tym wcześniej, Pliniuszu, ale czy na pewno dobrze się czujesz?

– Zbytnio utyłem – wysapał Pliniusz. – To wszystko.

– Co mówią lekarze?

– Lekarze? Nie dopuszczam do siebie tych greckich szarlatanów. Lekarze jako jedyni mogą zamordować człowieka i uchodzi to im na sucho.

– Ale spójrz na siebie, człowieku… twoje serce…

– *W przypadku chorób serca jedyna nadzieja poprawy leży niewątpliwie w winie*. Powinieneś przeczytać moją książkę. Wino, mój drogi Pediuszu, to lekarstwo, które sam mogę sobie zaordynować.

Senator zmierzył go uważnym spojrzeniem.

– Cesarz martwi się o ciebie – powiedział posępnie.

Pliniusza zabolało serce, kiedy to usłyszał. On też jest członkiem cesarskiej rady. Dlaczego nie zaproszono go na spotkanie, na które śpieszy Pediusz?

– Co chcesz przez to powiedzieć? Że jego zdaniem jestem skończony?

Pediusz nie odpowiedział, i już samo to było znamienne. Rozłożył nagle ręce. Pliniusz uściskał go, klepiąc senatora po plecach pulchną dłonią.

– Uważaj na siebie, stary przyjacielu.

– Ty też.

Odsuwając się od niego, Pliniusz stwierdził z zażenowaniem, że ma mokre policzki. Stał na nabrzeżu aż do chwili, gdy statki zniknęły mu z oczu. To chyba wszystko, czym się ostatnio zajmuje: patrzy, jak inni odpływają.

Przez cały dzień myślał o rozmowie z Pediuszem, przemierzając tam i z powrotem taras i zaglądając co jakiś czas do biblioteki, żeby sprawdzić równe rządki cyfr Aleksjona. „Cesarz martwi się o ciebie”. To zdanie, podobnie jak ból w boku, nie dawało mu spokoju.

Pociechę znajdował jak zwykle w swoich obserwacjach. Liczba „epizodów harmonicznych”, jak zdecydował się nazwać drgania, stale się zwiększała. Pięć w ciągu pierwszej godziny, siedem w ciągu drugiej, osiem w ciągu trzeciej i tak dalej. Jeszcze bardziej uderzający był czas ich trwania. Rano zbyt krótki, by można go było zmierzyć, po południu stał się na tyle długi, by Aleksjon mógł użyć precyzyjnego zegara wodnego i określić ich trwanie z początku na jedną dziesiątą godziny, potem na jedną piątą. Na koniec w ciągu całej godziny jedenastej odnotował tylko jedno drganie. Wino wibrowało w sposób ciągły.

– Musimy zmienić nomenklaturę – mruknął Pliniusz, pochylając się nad ramieniem Aleksjona. – Nazywanie takich ruchów epizodami nie wydaje się trafne.

A wraz z ruchami ziemi, tak jakby Człowiek i Natura połączeni byli jakimś niewidocznym ogniwem, nadchodziły coraz częstsze doniesienia o niepokojach w mieście: o bójce przy fontannie, kiedy skończyła się pierwsza godzina racjonowania wody i nie wszystkim udało się napełnić dzbany; o zamieszkach przy publicznych łaźniach, gdy nie otworzono ich o godzinie siódmej; o kobiecie zadźganej przy Świątyni Augusta przez pijaka, który zabrał jej dwie amfory wody. Wody! Donoszono też o uzbrojonych bandach, kręcących się przy fontannach i szukających pretekstu do bójki.

Pliniuszowi nigdy nie sprawiało trudności wydawanie rozkazów. To jest istotą dowodzenia. Zarządził, by nie składano wieczorem ofiar Wulkanowi i natychmiast rozebrano stos na forum. Duże publiczne zgromadzenie to zaproszenie do rozruchów. Tak czy owak niebezpiecznie było rozpalać tak ogromne ognisko w środku miasta, kiedy brakuje wody w rurach i fontannach, a domy wyschnięte są na wiór po dwumiesięcznej suszy.

– Kapłanom się to nie spodoba – powiedział Antiusz.

W bibliotece dołączył do niego kapitan okrętu flagowego. Owdowiała siostra admirała, Julia, która prowadziła mu dom, również weszła tam z tacą ostryg i dzbankiem wina na kolację.

– Powiedz kapłanom, że nie mamy wyboru. Jestem pewien, że Wulkan wybaczy nam ten jeden raz w swojej górskiej kuźni. – Pliniusz pomasował z irytacją rękę. Całkiem zdrętwiała. – Wszyscy żołnierze, z wyjątkiem patroli, mają pozostać w koszarach. Trzeba będzie ograniczyć swobodę poruszania się w całym Misenum od *vespery* aż do świtu. Każdy, kto znajdzie się na ulicy, będzie uwięziony i ukarany grzywną. Zrozumiano?

– Tak jest, admirale.

– Czy otworzyliśmy już śluzy w zbiorniku?

– Otwierają je pewnie w tym momencie, admirale.

Pliniusz zadumał się. Nie mogą sobie pozwolić na kolejny taki dzień. Wszystko zależy od tego, na jak długo starczy wody.

– Pojadę to zobaczyć – oznajmił, podejmując decyzję.

Zaniepokojona Julia podeszła do niego z tacą.

– Czy to roztropne, bracie? Powinieneś coś zjeść i odpocząć.

– Nie naprzykrzaj mi się, kobieto! – Jej twarz skurczyła się i natychmiast pożałował swoich słów. I tak nie miała łatwego życia: upokarzana przez wiarołomnego męża i jego upiorne kochanki, a po jego śmierci wychowująca samotnie syna. To nasunęło mu pewną myśl. – Wybacz mi, Julio – mruknął nieco łagodniej. – Zbyt ostro się odezwałem. Zabiorę ze sobą Gajusza, jeśli poprawi ci to humor – powiedział i ruszył ku wyjściu. – Czy dostaliśmy już odpowiedź z Rzymu?! – zawołał do drugiego sekretarza, Alkmana.

– Nie, admirale.

„Cesarz martwi się o ciebie”.

Nie podobała mu się ta cisza.

• • •

Pliniusz był zbyt ciężki, by podróżować lektyką. Do Piscina Mirabilis wybrał się więc dwuosobowym powozem, z wciśniętym obok niego Gajuszem. Przy czerwonym korpulentnym wuju chłopak wydawał się blady i eteryczny niczym widmo. Admirał ścisnął czule jego kolano. Uczynił chłopca swoim spadkobiercą i załatwił mu najlepszych nauczycieli w całym Rzymie – Kwintyliana w dziedzinie literatury i historii oraz pochodzącego ze Smyrny Nicetesa Sacerdosa, który uczył go retoryki. Kosztowało to fortunę, ale powiedzieli mu, że chłopak jest bardzo zdolny. Nigdy jednak nie zostanie żołnierzem. Czeka go kariera prawnika.

Biegnący po obu stronach powozu żołnierze w hełmach torowali im drogę przez tłum cisnący się w wąskich uliczkach. Kilka osób zagwizdało. Ktoś splunął.

– Co będzie z naszą wodą?

– Patrzcie na tego grubego sukinsyna! Założę się, że nie jest spragniony!

– Czy mam zasunąć zasłony, wuju? – zapytał Gajusz.

– Nie, chłopcze. Nigdy nie wolno im pokazać, że się boisz.

Admirał wiedział, że tego wieczoru na ulicach będzie mnóstwo rozwścieczonych ludzi. Nie tylko tutaj, lecz także w Neapolu, Noli i innych miastach, zwłaszcza tam, gdzie miały się odbyć festyny. Być może Matka Natura karze nas za chciwość i samolubstwo, pomyślał. Torturujemy ją bez przerwy żelazem i drewnem, ogniem i kamieniem. Rozkopujemy ją i ciskamy do morza. Dziurawimy ją górniczymi szybami i wywlekamy z niej wnętrzności, a wszystko to dla klejnotu, który ma ozdobić czyjś palec. Któż może ją winić, jeśli co jakiś czas trzęsie się z gniewu?

Przejechali wzdłuż nabrzeża. Przy fontannie z wodą pitną stała olbrzymia kolejka. Każdemu wolno było napełnić tylko jedno naczynie i Pliniusz nie miał wątpliwości, że jedna godzina nie wystarczy, by wszyscy zaczerpnęli wody. Ci, którzy stali na początku kolejki, dostali już swoje racje i oddalali się śpiesznie, obejmując garnki i dzbany, jakby nieśli w nich złoto.

– Musimy przedłużyć dzisiejsze racjonowanie – powiedział – i ufać, że nasz młody akwariusz dotrzyma obietnicy i naprawi akwedukt.

– A jeśli mu się to nie uda, wuju?

– W takim razie połowa miasta stanie jutro w ogniu.

Kiedy wyjechali z tłumu i znaleźli się na grobli, powóz nabrał szybkości. Przemknął z turkotem po drewnianym moście, a potem znowu zwolnił, kiedy ruszyli pod górę w stronę Piscina Mirabilis. Siedząc w podskakującym na wybojach powozie, Pliniusz był przekonany, że zaraz zemdleje. I może rzeczywiście tak się stało, a może tylko przysnął. Kiedy się ocknął, wjeżdżali na dziedziniec przy zbiorniku, mijając zaczerwienione twarze sześciu pilnujących bramy żołnierzy. Pliniusz odpowiedział na ich salut i wspierając się na ramieniu Gajusza, niezdarnie wysiadł. Jeśli cesarz odbierze mi dowództwo, pomyślał, umrę. Równie dobrze może kazać jednemu ze swoich pretorianów ściąć mi głowę. Nigdy już nie napiszę żadnej książki. Moje siły witalne się wyczerpały. Jestem skończony.

– Dobrze się czujesz, wuju?

– Znakomicie, Gajuszu, dziękuję.

Głupcze, skarcił się w duchu. Głupi, roztrzęsiony, naiwny starcze! Jedno zdanie Pediusza Kaskusa, jedno rutynowe spotkanie rady cesarskiej, na które nie zostałeś zaproszony, i zupełnie się rozklejasz. Uparł się, żeby bez niczyjej pomocy zejść po schodkach do zbiornika. Na dworze zmierzchało i towarzyszył mu niewolnik z pochodnią. Minęło kilka lat, odkąd gościł tu ostatnio. Wtedy prawie całe kolumny były zanurzone i łoskot Augusty zagłuszał słowa. Teraz ich głosy odbijały się echem niczym w grobowcu. Wielkość zbiornika była zdumiewająca, a poziom wody tak niski, że Pliniusz zobaczył ją, dopiero gdy niewolnik zbliżył pochodnię do zwierciadlanej tafli. Ujrzał w niej odbicie swojej twarzy – znękanej i pomarszczonej. Zdał sobie sprawę, że woda w zbiorniku wibruje tak samo jak wino.

– Jaka jest jej głębokość? – zapytał.

– Piętnaście stóp, admirale – odpowiedział niewolnik.

Pliniusz przyglądał się swojemu odbiciu.

– *Nie ma nic bardziej godnego podziwu na całym świecie* – mruknął.

– Co masz na myśli, wuju?

– *Jeżeli się weźmie pod uwagę olbrzymie ilości wody potrzebne w zakładach użyteczności publicznej, w łaźniach, basenach, kanałach, domach, ogrodach, dworkach podmiejskich, oraz wielkie odległości, jakie woda musi przebywać, konstrukcje łukowe, przebite tunelami góry, zasypane doliny – przyznać trzeba, że nie ma nic bardziej godnego podziwu na całym świecie*[*]. Obawiam się, że cytuję sam siebie. Jak zwykle. – Pliniusz odchylił głowę. – Spuścimy dzisiaj połowę wody. A resztę jutro rano.

– A potem co?

– Potem, mój drogi Gajuszu? Potem musimy liczyć na to, że nadejdzie lepsze jutro.

• • •

W Pompejach stos ku czci Wulkana miał zapłonąć zaraz po zmierzchu. Przedtem planowano zwyczajne w takich razach igrzyska na forum, fundowane, jak głosiła wieść gminna, przez Popidiusza, w rzeczywistości jednak opłacone przez Ampliatusa – walkę byków, trzy pary krzyżujących miecze gladiatorów oraz trochę boksu w greckim stylu. Nic wymyślnego, po prostu trwająca około godziny

rozrywka dla czekających na nadejście nocy wyborców, spektakl, którego oczekiwano po edylu w zamian za przywileje sprawowanego urzędu.

Korelia udała, że jest chora.

Leżała na łóżku, śledząc padające zza zamkniętych okiennic linie światła, które pełzły powoli do góry, w miarę jak słońce schodziło w dół. Myślała o rozmowie, którą podsłuchała, i o tym inżynierze, Atiliuszu. Zauważyła, jak się jej przyglądał wczoraj w Misenum i dzisiaj rano, kiedy pływała. Kochanek, mściciel, zbawca, tragiczna ofiara – w wyobraźni obsadzała go na moment w każdej z tych ról, lecz wszystkie wizje ustępowały w końcu przed brutalną prawdą: to ona wprowadziła go na orbitę spraw ojca, który teraz miał zamiar go zabić. To ona będzie winna jego śmierci.

Słyszała, jak inni domownicy przygotowują się do wyjścia. Matka zawołała ją, a potem zaczęła wchodzić po schodach. Korelia sięgnęła szybko po piórko, które schowała pod poduszką, otworzyła usta, połaskotała podniebienie i głośno zwymiotowała. Kiedy Celsia pojawiła się w progu, Korelia otarła wargi i pokazała słabym gestem zawartość miski.

Matka usiadła na skraju materaca i położyła dłoń na jej czole.

– Och, moje biedactwo. Masz gorączkę. Powinnam posłać po doktora.

– Nie, nie fatyguj go. – Wizyta Pumponiusza Magonianusa z jego maściami i środkami na przeczyszczenie mogła każdego wpędzić w chorobę. – Muszę się tylko przespać. To wszystko przez tę okropną, niekończącą się ucztę. Za dużo zjadłam.

– Ależ kochanie, przecież prawie niczego nie tknęłaś!

– To nieprawda…

– Ćśśś!

Matka podniosła ostrzegawczo palec. Ktoś wspinał się po schodach, stąpając ciężko, i Korelia zebrała siły, by stawić czoło ojcu. Jego nie da się tak łatwo oszukać. Ale to był tylko jej brat, w długich szatach kapłana Izydy. Czuła od niego zapach kadzidła.

– Pośpiesz się, Korelio. On krzyczy, żebyśmy się zbierali.

Nie było potrzeby dodawać, kim jest „on”.

– Korelia jest chora.

– Naprawdę? Mimo to musi iść. On nie będzie zadowolony.

Ampliatus ryknął z dołu i oboje instynktownie podskoczyli, zerkając w stronę drzwi.

– Może jednak się postarasz, Korelio? – namawiała matka. – Ze względu na niego?

Kiedyś ich trójka tworzyła sojusz: śmiali się z ojca za jego plecami, z jego humorów, ataków złości i z obsesji. Ale wkrótce to się skończyło. Ich domowy triumwirat legł w gruzach pod naporem jego furii. Górę wzięły indywidualne strategie przetrwania. Korelia spostrzegła, że matka stała się wzorową rzymską matroną, z ołtarzykiem ku czci Liwii w przebieralni, a brata całkowicie pochłonął egipski kult. A ona? Cóż miała począć? Poślubić Popidiusza, a więc poddać się innemu panu? Stać się w jego domu niewolnicą traktowaną o wiele gorzej, niż traktowany był kiedykolwiek Ampliatus?

Była zbyt podobna do ojca, by poddać się bez walki.

– Biegnijcie oboje – powiedziała z goryczą. – Jeśli chcecie, zabierzcie miskę z moimi wymiocinami i mu pokażcie. Ale ja nie idę na to jego głupie przedstawienie.

Odwróciła się na drugi bok i wbiła wzrok w ścianę. Z dołu dobiegł kolejny ryk.

Matka westchnęła jak męczennica.

– No dobrze, powiem mu.

• • •

Było tak, jak podejrzewał inżynier. Odnoga akweduktu przez kilka mil biegła na północ, prawie dokładnie w kierunku szczytu, a potem, w miejscu, gdzie teren zaczynał się wznosić, odchodziła nagle na wschód. Droga skręcała wraz z nią i po raz pierwszy mieli morze za plecami i zmierzali w głąb lądu, w stronę odległych Apeninów.

Wodociąg częściej oddalał się teraz od drogi, podążając za linią terenu i przecinając co jakiś czas ich szlak. Atiliusz podziwiał misterność akweduktów. Wielkie rzymskie drogi przebijały się przez Naturę, biegnąc prostą linią i łamiąc wszelki napotkany opór. Natomiast akwedukty, których poziom musiał nieprzerwanie opadać o grubość palca na każde osiemdziesiąt kroków – nawet nieznacznie większy spadek mógł zniszczyć ściany kanału, a nieznacznie mniejszy sprawić, że woda stanie w miejscu – musiały dostosować się do ukształtowania terenu. Największe osiągnięcia techniczne, takie jak trzypoziomowy, najwyższy na świecie most w południowej Galii, którym płynął akwedukt Nemaususa, znajdowały się często daleko od siedzib ludzkich. Czasami tylko orły, szybujące w ciepłych prądach powietrznych nad bezludnymi górami, mogły docenić prawdziwy majestat tego, co wykuł w skale człowiek.

Zostawili już za sobą szachownicę pól przyznanych legionistom i wkraczali do krainy wielkich winnic. Sklecone byle jak chaty drobnych rolników, z przywiązanymi do płotów kozami i kilkoma grzebiącymi w kurzu, chudymi kurami, ustąpiły miejsca eleganckim wiejskim domom, których czerwone dachy znaczyły niższe zbocza góry.

Atiliusza, przyglądającego się z siodła winnicom, porażał obraz tej obfitości, tej zdumiewającej płodności, na którą nie miała najwyraźniej wpływu trwająca od dawna susza. Wybrał chyba złą profesję. Powinien dać sobie spokój z wodą i zająć się winem. Winorośl czepiała się każdej dostępnej ściany i drzewa, sięgając najwyższych gałęzi i okrywając je bujnymi kaskadami zieleni i fioletu. Chroniące przed złym urokiem, wykute w białym marmurze podobizny Bachusa z otworami w miejscu oczu i ust wisiały w nieruchomym powietrzu, wyzierając zza listowia niczym atakujący z zasadzki napastnicy. Trwało winobranie i na polach pełno było niewolników – niewolników na drabinach i niewolników zgarbionych pod ciężarem dźwiganych na plecach koszy z gronami. Zastanawiał się, czy uda im się to wszystko zebrać, zanim owoce zgniją na krzakach.

Po pewnym czasie zbliżyli się do dużej willi zwróconej frontem ku zatoce i Brebiks zapytał, czy mogą zatrzymać się na odpoczynek.

– Dobrze. Ale nie na długo.

Atiliusz zsiadł z konia i rozprostował nogi. Kiedy otarł czoło, na dłoni została mu szara warstwa pyłu, a gdy próbował się napić, zorientował się, że ma popękane wargi. Polites kupił dwa bochenki chleba i jakieś tłuste kiełbaski. Inżynier zaczął łapczywie jeść. Zaskakujące, jak trochę jedzenia na pusty żołądek potrafi zmienić pogląd na świat. Czuł, że z każdym kęsem wstępuje w niego optymizm. To właśnie okolica, w jakiej zawsze pragnął przebywać – nie w jakiejś zawszonej mieścinie, lecz na otwartym terenie, pod czystym niebem, w miejscu, gdzie pulsują ukryte żyły cywilizacji.

Widząc, że Brebiks siedzi sam, podszedł do niego, odłamał pół bochenka i podał mu go wraz z kiełbaskami na znak zgody.

Brebiks zawahał się, ale w końcu skinął głową i wziął jedzenie. Był nagi do pasa. Spocony tors pokrywały liczne blizny.

– W jakiej kategorii walczyłeś?

– Zgadnij.

Atiliusz od dawna już nie oglądał igrzysk.

– Nie jako *retiarius* – powiedział w końcu. – Nie wyobrażam sobie ciebie tańczącego z siecią i trójzębem.

– Masz rację.

– A więc jako *thrax*. A może *murmillo*?

Thrax miał małą tarczę i krótki zakrzywiony miecz; *murmillo* należał do cięższej kategorii i był uzbrojony jak żołnierz, w *gladius*[**] i prostokątną tarczę. Muskuły lewej ręki Brebiksa – tej, w której trzymał tarczę – były tak samo potężne jak prawej.

– Chyba jednak *murmillo* – stwierdził inżynier. Brebiks skinął głową. – Ile stoczyłeś walk?

– Trzydzieści.

Atiliusz był pod wrażeniem. Niewielu gladiatorów przeżyło trzydzieści walk. To oznaczało osiem albo dziesięć lat występów na arenie.

– W czyim byłeś oddziale?

– Allejusza Nigidiusza. Walczyłem wszędzie wokół zatoki. Głównie w Pompejach. W Nucerii. W Noli. Kiedy wywalczyłem sobie wolność, poszedłem do Ampliatusa.

– Nie zostałeś trenerem?

– Dosyć napatrzyłem się na zabijanie, akwariuszu – odparł cicho Brebiks. – Dziękuję za chleb.

Podniósł się z ziemi jednym płynnym ruchem i podszedł do pozostałych. Nietrudno było wyobrazić go sobie w kurzu amfiteatru. Atiliusz domyślał się, jaki błąd popełniali jego przeciwnicy. Myśleli, że jest masywny, powolny, niezgrabny. Lecz on był zwinny jak kot.

Pociągnął kolejny łyk. Po drugiej stronie zatoki widział skaliste wysepki nieopodal Misenum – maleńką Prochytę i wysoki szczyt Enarii – i po raz pierwszy zauważył, że na morzu pojawiły się fale. Plamki białej piany widać było między stateczkami rozsypanymi niczym opiłki na lśniącej, metalicznej tafli wody. Ale na żadnym nie postawiono żagli. I to jest niezwykłe, pomyślał, dziwne, lecz prawdziwe: nie ma wiatru. Falom nie towarzyszy wiatr.

Kolejna zagadka natury, nad którą powinien zastanowić się admirał.

Słońce zaczynało chować się za Wezuwiuszem.

Orzeł zajęczy – mały, czarny i silny, znany z tego, że nigdy nie wydaje krzyku – zataczał w ciszy kręgi nad gęstym lasem. Wkrótce znajdą się w cieniu, i to dobrze, ponieważ będzie chłodniej, ale również źle, ponieważ do zmierzchu nie zostało już wiele czasu.

Wypił całą wodę i zawołał do mężczyzn, żeby ruszali dalej.

• • •

Cisza panowała również w wielkiej willi.

Korelia zawsze potrafiła zgadnąć, kiedy ojca nie ma w domu. Cała rezydencja wydawała się wówczas oddychać z ulgą. Zarzuciła na ramiona płaszcz, przez chwilę nasłuchiwała przy okiennicach, a potem je otworzyła. Okna jej pokoju wychodziły na zachód. Po drugiej stronie dziedzińca niebo miało

barwę dachu z terakoty. Ogród pogrążył się w cieniu. Klatka przykryta była prześcieradłem. Ściągnęła je, żeby wpuścić do środka więcej powietrza, a potem, wiedziona impulsem – wcześniej o tym w ogóle nie pomyślała – podniosła haczyk, otworzyła drzwiczki z boku i cofnęła się do pokoju.

Niełatwo jest pozbyć się nawyków wyniesionych z niewoli. Dopiero po dłuższej chwili szczygły wyczuły okazję. Jeden z nich, śmielszy od reszty, zeskoczył w końcu z żerdki i stanął przy samych drzwiczkach. Przekrzywił w jej stronę czerwono-czarny łepek, zamrugał lśniącym oczkiem, a potem wzbił się w powietrze. Zatrzepotały skrzydła i w półmroku zabłysło złoto. Ptak zatoczył krąg nad ogrodem i przycupnął na skraju dachu po przeciwnej stronie. Po chwili z klatki wyfrunął kolejny szczygieł, a za nim jeszcze jeden. Korelia chętnie popatrzyłaby, jak uciekają wszystkie, lecz zamiast tego zamknęła okiennice.

Kazała swojej służce udać się wraz z innymi niewolnikami na forum. Korytarz prowadzący do pokoju Korelii był pusty, podobnie jak schody i ogród, w którym ojciec prowadził tajne, w swoim mniemaniu, rozmowy. Przebiegła go szybko, trzymając się blisko kolumn, na wypadek gdyby kogoś spotkała. Po chwili weszła do atrium ich starego domu i skręciła w stronę *tablinum*. Tu właśnie załatwiał interesy jej ojciec – witał o świcie swoich klientów, spotykał się z każdym z nich z osobna albo z całymi grupami, a potem, kiedy otwierano sądy, wychodził na ulicę, jak zwykle otoczony orszakiem petentów. Symbolem potęgi Ampliatusa było to, że zamiast jednej stały tu aż trzy skrzynie z ciężkiego, okutego mosiądzem drewna, przymocowane żelaznymi prętami do kamiennej posadzki.

Korelia wiedziała, gdzie przechowywane są klucze, ponieważ w szczęśliwszych czasach – a może ojciec starał się po prostu przekonać w ten sposób swoich wspólników, jakim czarującym jest człowiekiem – wolno jej było zakradać się i siedzieć u jego stóp, kiedy pracował. Otworzyła szufladę niewielkiego biureczka i znalazła je.

Kaseta z dokumentami była w drugiej skrzyni. Nie rozwijając małych papirusów, wcisnęła je do kieszeni płaszcza, następnie zaś zamknęła skrzynię i odłożyła klucz na miejsce. Najbardziej ryzykowne zadanie miała już za sobą i trochę się odprężyła. Gdyby ją zatrzymano, miała przygotowaną bajeczkę – że poczuła się lepiej i postanowiła dołączyć jednak do reszty domowników na forum. W pobliżu jednak nie było nikogo. Zbiegła po schodach, minęła basen z ciurkającą słabo fontanną oraz jadalnię, w której cierpiała katusze podczas tej okropnej uczty, i okrążywszy szybko kolumnadę, skierowała się ku pomalowanej na czerwono bawialni Popidiusza. Wkrótce ma stać się panią tego wszystkiego: upiorna perspektywa.

Niewolnik zapalał właśnie mosiężny kandelabr, ale cofnął się z szacunkiem pod ścianę, pozwalając jej przejść. Odsunęła zasłonę. Kolejne, węższe schody. I nagle znalazła się w innym świecie – niski sufit, byle jak otynkowane ściany, zapach potu. Kwatery niewolników. Usłyszała rozmawiających gdzieś dwóch mężczyzn, brzęk żelaznych garnków, a potem, ku swojej uldze, rżenie konia.

Stajnia znajdowała się przy końcu korytarza i było tak, jak sądziła – ojciec postanowił udać się z gośćmi na forum w lektykach, pozostawiając wszystkie konie w domu. Pogładziła po nosie swoją ulubioną gniadą klacz i szepnęła jej do ucha kilka słów. Powinien ją osiodłać któryś z niewolników, ale przyglądała się na tyle często, jak to robią, żeby sobie z tym poradzić. Kiedy wiązała skórzaną uprząż pod jej brzuchem, klacz poruszyła się i uderzyła zadem o drewnianą przegrodę. Korelia wstrzymała oddech, ale nikt się nie pojawił.

– Spokojnie, mała, to tylko ja, wszystko w porządku – szepnęła.

Ze stajni wychodziło się bezpośrednio na boczną uliczkę. Każdy dźwięk wydawał się jej absurdalnie głośny – brzęk podnoszonej przez nią żelaznej zasuwy, skrzypienie zawiasów, stukot kopyt, kiedy wyprowadziła klacz ze stajni. Chodnikiem po drugiej stronie przemykał jakiś mężczyzna. Odwrócił się, żeby na nią spojrzeć, ale nie przystanął – śpieszył się prawdopodobnie na ceremonię i już był spóźniony. Od strony forum dobiegała muzyka, a potem rozległ się niski pomruk podobny do odgłosu łamiącej się fali.

Korelia skoczyła na siodło, lecz tego wieczoru nie uczyniła tego tak, jak przystoi damie. Tego wieczoru dosiadła konia okrakiem. Wypełniało ją poczucie niczym nieograniczonej wolności. Ta ulica – najzwyklejsza w świecie ulica z warsztatami krawieckimi i szewskimi, które mijała tyle razy – stała się nagle krańcem świata. Wiedziała, że jeśli będzie się wahała jeszcze przez chwilę, górę weźmie ogarniająca ją panika. Ścisnęła kolanami boki klaczy, ściągnęła mocno wodze i zaczęła oddalać się od forum. Na pierwszym skrzyżowaniu skręciła w lewo. Trzymała się pustych bocznych uliczek i wyjechała na główną drogę dopiero wtedy, gdy uznała, że jest już wystarczająco daleko od domu, by nie spotkać nikogo znajomego. Z forum dobiegła kolejna fala oklasków.

Korelia ruszyła pod górę; minęła opustoszałe łaźnie, które budował jej ojciec, a potem *castellum aquae* i sklepienie miejskiej bramy. Przejeżdżając obok komory celnej, pochyliła głowę i naciągnęła na nią kaptur płaszcza, po czym znalazła się poza Pompejami, na drodze wiodącej w stronę Wezuwiusza.

---

* Pliniusz, *Historia naturalna*, przeł. Irena i Tadeusz Zawadzcy.

** *Gladius* (łac.) – krótki obosieczny miecz.

VESPERA

(godzina 20.00)

Pojawienie się magmy w warstwach powierzchniowych powoduje pęcznienie zbiornika i podnosi jego poziom…

Encyclopaedia of Volcanoes

Atiliusz ze swoimi ludźmi dotarł do głównej nitki Augusty dokładnie pod koniec dnia. Słońce chowało się właśnie za wielką górą, rysując jej kontur na tle czerwonego nieba i przeświecając przez drzewa, które wyglądały, jakby stanęły w ogniu. Chwilę później zniknęło. Wpatrując się przed siebie, Atiliusz zobaczył na ciemniejącej równinie coś, co przypominało lśniące sterty jasnego piasku. Przyglądał im się przez chwilę, mrużąc oczy, a potem spiął klacz i wyprzedzając wozy, ruszył galopem.

Sięgający pasa kolisty mur z cegieł otaczały cztery piramidy żwiru. To odstojnik. Inżynier wiedział, że wzdłuż Augusty jest co najmniej tuzin takich miejsc – wedle zaleceń Witruwiusza miały się znajdować co trzy, cztery mile. Nurt wody był tutaj celowo zwalniany, aby nieczystości mogły opaść na dno. Co kilka tygodni trzeba było wydobywać masy wygładzonych przez wodę, idealnie zaokrąglonych drobnych kamyków, które układano w stosy przy akwedukcie, a następnie wyrzucano lub używano do budowy dróg.

Odstojnik był zawsze najlepszym miejscem do wyprowadzenia bocznej nitki akweduktu. Zeskoczywszy z konia i zbliżywszy się do zbiornika, Atiliusz stwierdził, że podobnie jest i tutaj. Ziemia pod jego stopami była miękka, roślinność bardziej zielona i bujna. Woda przelewała się przez skraj zbiornika, omywając cegły migotliwą, przezroczystą warstewką. Ostatnia studzienka prowadzącej do Pompejów odnogi znajdowała się tuż przed murem.

Inżynier oparł dłonie o krawędź zbiornika i zajrzał do środka. Odstojnik miał dwadzieścia stóp szerokości i zapewne co najmniej piętnaście głębokości. Po zachodzie słońca trudno było dostrzec wysłane żwirem dno, ale wiedział, że na dole znajdują się trzy otwory kanałów – jeden, którym Augusta wpływa do środka, drugi, którym wypływa, oraz trzeci, który łączy z całym systemem Pompeje. Woda przeciekała mu między palcami. Zastanawiał się, czy Korwinus i Bekko zamknęli już śluzy w Abellinum. Przy odrobinie szczęścia nurt już wkrótce powinien zacząć słabnąć.

Usłyszał za sobą plaskanie błota. Od wozów szedł ku niemu Brebiks wraz z kilkoma innymi mężczyznami.

– To tutaj, akwariuszu?

– Nie, Brebiksie. Jeszcze nie. Ale już niedaleko. Widzisz, jak woda tryska tu spod ziemi? Dzieje się tak, ponieważ gdzieś niżej zablokowana jest główna nitka akweduktu. – Atiliusz wytarł ręce o tunikę. – Musimy ruszać dalej.

Jego decyzja nie spotkała się z aprobatą, zwłaszcza kiedy odkryli, że wozy zapadły się aż po osie w błoto. Ku niebu popłynęły głośne przekleństwa i musieli zdobyć się na maksymalny wysiłek – ramiona i plecy podparły najpierw pierwszy, potem następny wóz – żeby przepchnąć je na twardszy grunt. Tam pół tuzina mężczyzn padło na ziemię i nie chciało ruszyć się z miejsca. Atiliusz musiał chodzić w kółko, podawać im rękę i podnosić. Byli zmęczeni, głodni i przesądni. Gorsi od stada narowistych mułów.

W końcu przywiązał konia do jednego z wozów i kiedy Brebiks zapytał go, po co to robi, odparł, że będzie szedł, tak jak pozostali. Złapał za kantar stojącego najbliżej wołu i pociągnął go do przodu. Powtarzała się ta sama historia co przy wymarszu z Pompejów. Z początku nikt się nie ruszył, ale potem niechętnie powlekli się w ślad za nim. Naturalnym impulsem mężczyzn jest podążanie za kimś. Ten, kto odznacza się największą determinacją, będzie zawsze dominował nad resztą. Ampliatus rozumiał to lepiej od wszystkich, których do tej pory spotkał inżynier.

Przecinali wąską równinę między wzniesieniami. Po lewej stronie był Wezuwiusz, po prawej wznosiły się podobne do muru urwiska Apeninów. Akwedukt ponownie oddalił się od drogi i wlekli się traktem obok Augusty – słup drogowy, studzienka, słup drogowy, studzienka i tak dalej – mijając stare gaje oliwne i cytrynowe. Pod drzewami skupiał się mrok. Słychać było tylko skrzypienie kół i rozbrzmiewające co jakiś czas w ciemności kozie dzwoneczki.

Atiliusz co chwila spoglądał w stronę akweduktu. Z niektórych studzienek wypływała z bulgotem woda i było to niepokojące. Tunel miał sześć stóp wysokości. Skoro nurt był tak silny, że podważył ciężkie pokrywy, ciśnienie musiało być olbrzymie, a to oznaczało, że równie duży musi być zator – w przeciwnym razie woda sama by sobie z nim poradziła. Gdzie się podziewają Koraks i Musa?

Od strony Wezuwiusza dobiegł nagle podobny do pioruna potężny łoskot, który przetoczył się obok nich i odbił z głuchym hukiem od skalnej ściany. Ziemia zafalowała, a woły wpadły w popłoch, odwracając się instynktownie od źródła hałasu i pociągając Atiliusza za sobą. Zdołał je zatrzymać, zapierając się piętami, i w tej samej chwili usłyszał za sobą wrzask.

– Olbrzymy! – krzyczał jeden z mężczyzn, wyciągając przed siebie rękę.

W zapadającym zmroku spod ziemi wyłaniały się podobne do upiorów wielkie białe stworzenia, zupełnie jakby zawalił się dach Hadesu i wyfruwały z niego duchy zmarłych. Nawet Atiliusz poczuł, jak jeży mu się skóra na karku. W końcu to Brebiks roześmiał się pierwszy.

– Głupcy! To tylko ptaki! – zawołał. – Popatrzcie!

Stado ptaków – olbrzymich ptaków, chyba flamingów? – wzniosło się niczym wielkie białe prześcieradło, a potem zatrzepotało, zniżyło się i po chwili zniknęło z pola widzenia. Flamingi, pomyślał Atiliusz, wodne ptaki.

W oddali zobaczył dwóch mężczyzn wymachujących rękami.

• • •

Sam Neron, gdyby wyznaczył rok na wykonanie zadania, nie mógłby marzyć o piękniejszym sztucznym jeziorze niż to, które Augusta stworzyła zaledwie w ciągu półtora dnia. Płytka niecka na północ od akweduktu wypełniła się wodą na głębokość trzech, czterech stóp. Jej lśniącą w półmroku taflę urozmaicały kępy listowia zanurzonych do połowy oliwnych drzewek. Między nimi pływało wodne ptactwo. Drugi brzeg zajęły flamingi.

Robotnicy Atiliusza, nie pytając o pozwolenie, zrzucili tuniki i pobiegli na golasa do wody. Spalone przez słońce ciała i białe jak śnieg podrygujące pośladki upodabniały ich do stada egzotycznych antylop, które zeszły wieczorem do wodopoju. Do Atiliusza, stojącego z Musą i Korwinusem, dobiegały okrzyki radości i plusk wody. Nie próbował ich powstrzymać. Niech się nacieszą, póki mogą. Poza tym musiał się zmierzyć z nową zagadką.

Zaginął Koraks.

Według Musy, on i nadzorca odkryli sztuczne jezioro w niespełna dwie godziny po wyjeździe z Pompejów – musiało to być koło południa – i spełniły się przewidywania Atiliusza: nie sposób było przeoczyć rozlewiska tej wielkości. Po krótkim oszacowaniu szkód Koraks wsiadł na konia i wyruszył z powrotem do Pompejów, żeby, tak jak uzgodniono, zdać raport na temat skali problemu.

Atiliusz zacisnął usta w ponurą kreskę.

– Ale od tego czasu musiało minąć siedem albo osiem godzin – powiedział. Nie mógł w to uwierzyć. – Daj spokój, Muso… powiedz, co się naprawdę wydarzyło?

– Mówię prawdę, akwariuszu, przysięgam! – Musa otworzył szeroko oczy w autentycznym, jak się zdawało, przerażeniu. – Myślałem, że wróci z tobą. Na pewno coś mu się przytrafiło!

Przy otwartej studzience Musa i Korwinus rozpalili ognisko, nie żeby się ogrzać – wciąż było parno – lecz by odpędzić złe duchy. Opał, który znaleźli, był suchy jak pieprz. Z jasnych płomieni strzelały fontanny czerwonych iskier, które wirowały w powietrzu wraz z dymem. Wielkie białe ćmy zlewały się z płatkami popiołu.

– Może minęliśmy się jakimś trafem po drodze…

Atiliusz zerknął za siebie w gęstniejący mrok. Wiedział, że to niemożliwe. Tak czy owak jadący konno mężczyzna, nawet jeśli obrał inną trasę, zdążyłby dawno dotrzeć do Pompejów, odkryć, że wyjechali, i ich dogonić.

– To nie ma sensu. Poza tym wyraziłem się chyba jasno, że to ty, a nie Koraks, miałeś przekazać nam wiadomość.

– Wyraziłeś się jasno, akwariuszu.

– I co?

– Koraks uparł się, że pojedzie sam.

Uciekł, pomyślał Atiliusz. To najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie. Uciekł razem ze swoim przyjacielem Eksomniuszem.

– To miejsce… – mruknął Musa, rozglądając się. – Będę z tobą szczery, Marku Atiliuszu… to miejsce przyprawia mnie o dreszcze. Ten łoskot przed chwilą… słyszeliście go?

– Oczywiście, że słyszeliśmy. Musieli go usłyszeć nawet w Neapolu.

– Poczekaj, aż zobaczysz, co się stało z akweduktem.

Atiliusz podszedł do jednego z wozów, wziął pochodnię, wrócił i wsunął ją w płomienie. Zapaliła się natychmiast. Cała trójka stanęła wokół otworu w ziemi i znów dał się wyczuć zapach siarki.

– Przynieś mi linę, Musa. Leży przy narzędziach. A wam jak poszło? – zapytał, zerkając na Korwinusa. – Zamknęliście śluzy?

– Tak, akwariuszu. Musieliśmy się użerać z kapłanem, ale Bekko w końcu go przekonał.

– O której godzinie je zamknęliście?

– O siódmej.

Atiliusz pomasował skronie, próbując się skupić. Poziom wody w zalanym tunelu powinien za kilka godzin opaść. Jednak jeśli Korwinus nie wyruszy zaraz z powrotem do Abellinum, Bekko zrobi to, co mu kazano: odczeka dwanaście godzin i ponownie otworzy śluzy w trakcie szóstej nocnej wachty. Czasu jest rozpaczliwie mało. Nie dadzą rady tego zrobić.

Kiedy Musa wrócił, Atiliusz oddał mu pochodnię, obwiązał się w pasie liną i usiadł na skraju otwartej studzienki.

– Tezeusz w labiryncie – mruknął.

– Co?

– Nieważne. Bądź tak dobry i postaraj się nie puścić liny.

Trzy stopy ziemi, pomyślał, potem dwie stopy cegieł i na koniec sześć stóp pustki od sklepienia do dna tunelu. Razem jedenaście stóp. Lepiej, żebym miękko wylądował. Odwrócił się, zsunął w głąb wąskiego szybu, zaciskając mocno palce na krawędzi włazu, i na chwilę zawisł w powietrzu. Ile razy już to robił? Mimo to od ponad dekady nie potrafił przezwyciężyć paniki, która ogarniała go na myśl o tym, że jest żywcem zakopany pod ziemią. Nikomu, nawet ojcu, nie zwierzył się z tych sekretnych lęków. Zwłaszcza ojcu. Zamknął oczy i skoczył, zginając kolana, żeby zamortyzować wstrząs przy lądowaniu. Przez chwilę kucał, odzyskując równowagę i czując w nozdrzach zapach siarki, a potem ostrożnie pomacał wokół siebie rękami. Tunel miał tylko trzy stopy szerokości. Suchy cement pod palcami. Ciemność, kiedy otworzył oczy – taka sama, jak w chwili, gdy je zaciskał. Wyprostował się i dał krok do tyłu.

– Rzuć mi pochodnię! – krzyknął do Musy.

Kiedy pochodnia leciała w dół, płomień zamigotał i omal nie zgasł, ale gdy inżynier pochylił się, żeby ją podnieść, zapłonęła ponownie, oświetlając ściany. W niższej części pokrywał je wapienny osad, który przez dziesięciolecia naniosła woda. Szorstka, nierówna faktura bardziej przypominała ścianę pieczary aniżeli wytwór ludzkich rąk i Atiliusz uświadomił sobie, jak szybko Natura odzyskuje to, co oddała – ceglane ściany kruszyły się pod wpływem mrozu i deszczu, drogi zarastały mchem i trawą, akwedukty zatykała ta sama woda, która nimi płynęła. Cywilizacja polega na nieustającej wojnie, w której Człowiek jest skazany na klęskę. Zdrapał paznokciem warstwę osadu. Oto kolejny dowód lenistwa Eksomniusza. Gruba prawie na palec. Powinno się ją zdrapywać co kilka lat. Na tym odcinku od ponad dekady nie prowadzono żadnych prac konserwatorskich.

Trzymając przed sobą pochodnię, obrócił się sztywno w ograniczonej przestrzeni i wbił oczy w mrok. Niczego nie dostrzegł. Ruszył do przodu, licząc kroki, i kiedy naliczył ich osiemnaście, mruknął zaskoczony. Tunel był nie tylko zablokowany – tego się spodziewał – lecz całe jego dno podniosło się w górę, jakby wypchnęła je od spodu jakaś potężna siła. Gruby betonowy fundament, na którym spoczywało koryto kanału, pękł i jego część uniosła się ku sklepieniu.

– Widzisz to? – usłyszał za sobą stłumiony okrzyk Musy.

– Tak, widzę.

Tunel zdecydowanie się zwęził. Atiliusz musiał uklęknąć i pełznąć dalej na czworakach. Pęknięcie fundamentów spowodowało, że zawaliły się ściany i sklepienie. Woda sączyła się przez zbitą masę cegieł, ziemi i kawałków betonu. Poskrobał je wolną ręką, ale odór siarki był w tym miejscu najsilniejszy i Atiliusz zauważył, że kurczy się płomień pochodni. Wycofał się szybko do studzienki. Spoglądając w górę, ujrzał rysujące się na tle wieczornego nieba twarze Musy i Korwinusa. Oparł pochodnię o ścianę tunelu.

– Trzymajcie mocno linę. Wychodzę. – Rozwiązał opasującą go pętlę i ostro pociągnął. Twarze mężczyzn zniknęły. – Gotowi?

– Tak!

Nie chciał myśleć, co może się zdarzyć, jeżeli go puszczą. Złapał linę prawą ręką, podciągnął się, a potem złapał ją lewą i podciągnął się jeszcze wyżej. Lina kołysała się wściekle. Wsuwając głowę i ramiona w szyb studzienki, myślał przez moment, że opuściły go siły, ale po kolejnych dwóch szarpnięciach dotknął kolanami otworu i mógł oprzeć się plecami o ścianę szybu. Uznał, że łatwiej będzie puścić linę i przesuwać się do góry, zapierając się i odpychając na zmianę kolanami i plecami aż do momentu, gdy jego ramiona znajdą się nad otworem i będzie mógł wygramolić się na zewnątrz.

Leżąc na ziemi, nabrał w płuca świeżego nocnego powietrza. Musa i Korwinus bacznie mu się przyglądali. Wschodził księżyc w pełni.

– No i co? – zapytał Musa. – Co o tym myślisz?

Inżynier pokręcił głową.

– Nigdy się z czymś takim nie spotkałem. Oglądałem zawalone sklepienia i kanały zasypane ziemią, która zsunęła się po zboczu góry. Ale to? To wygląda, jakby cały fundament się uniósł. To dla mnie coś nowego.

– Koraks powiedział dokładnie to samo.

Atiliusz wstał i zajrzał do studzienki. Na dnie tunelu wciąż paliła się pochodnia.

– Co za teren – mruknął. – Wydaje się solidny, ale jest tak samo niepewny jak woda.

Ruszył w tym samym kierunku, w którym szedł pod ziemią. Po osiemnastu krokach zatrzymał się, przyjrzał uważniej ziemi i zauważył, że lekko się wybrzuszyła. Zaznaczył to miejsce krawędzią buta i poszedł dalej, licząc kroki. Wybrzuszenie nie wydawało się zbyt szerokie. Pięć, może siedem kroków. Trudno było to precyzyjnie określić. Zrobił kolejny znak na kamieniu. Po lewej stronie niewolnicy Ampliatusa wygłupiali się w wodzie.

Poczuł nagły optymizm. Zator nie jest w gruncie rzeczy taki duży. Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym mniej wydawało się prawdopodobne, że to skutek trzęsienia ziemi, które spowodowałoby zawalenie się całego sklepienia. To dopiero byłaby katastrofa! To zjawisko było bardziej zlokalizowane: tak jakby z jakiegoś dziwnego powodu ziemia uniosła się na wąskim odcinku o cztery albo pięć stóp.

Odwrócił się. Tak, teraz to widzi. Grunt się podniósł. Akwedukt został zablokowany. Siła, która podniosła fundament, spowodowała jednocześnie pęknięcie ściany tunelu. Woda wylała się do położonej niżej niecki i utworzyła jezioro. Ale gdyby zdołali usunąć zator i opróżnili Augustę…

Postanowił, że nie będzie wysyłał Korwinusa do Abellinum. Spróbuje naprawić Augustę w ciągu jednej nocy. Dokona tego, co niemożliwe. W prawdziwie rzymskim stylu!

– W porządku, panowie! – zawołał, zwijając dłonie w trąbkę. – Zamykamy łaźnię i zabieramy się do roboty!

• • •

Kobiety nieczęsto wędrowały same po drogach Kampanii. Harujący na suchych, wąskich zagonach, mijani przez Korelię chłopi wodzili za nią wzrokiem. O tej godzinie nawet uzbrojona w porządną motykę krzepka wieśniaczka bałaby się wybrać sama w podróż, a cóż dopiero dosiadająca pięknego

konia bogata młoda dziewczyna! Może się okazać naprawdę smacznym kąskiem. Dwukrotnie próbowali zatarasować jej drogę i złapać za cugle jacyś mężczyźni, ale Korelia za każdym razem spinała klacz piętami i po kilkuset krokach dawali jej spokój.

Dzięki podsłuchanej po południu rozmowie wiedziała, jaką drogę obrał akwariusz. Ale to, co w słonecznym ogrodzie wydawało się dość prostą wycieczką – jazda wzdłuż pompejańskiego akweduktu aż do miejsca, w którym łączył się on z Augustą – stało się nader ryzykownym przedsięwzięciem, gdy trzeba było wędrować tamtędy o zmierzchu. Docierając do winnic u podnóża Wezuwiusza, żałowała, że w ogóle wybrała się w tę podróż. Jej ojciec miał rację – jest uparta, nieposłuszna i głupia i nie zastanawia się nigdy nad konsekwencjami tego, co robi. To właśnie rzucił jej w twarz poprzedniego wieczoru w Misenum, po śmierci niewolnika, kiedy wchodzili na pokład statku, który miał ich zawieźć z powrotem do Pompejów. Teraz było jednak za późno, żeby zawrócić.

Kończył się dzień pracy i skrajem drogi szli skuci łańcuchami, półżywi ze zmęczenia milczący niewolnicy. Słychać było tylko brzęk wleczonych po kamieniach łańcuchów i świst bata, którym smagał ich po plecach nadzorca. Słyszała o tych nieszczęśnikach, gnieżdżących się w więziennych blokach budowanych przy większych gospodarstwach. W rok albo dwa zaharowywali się na śmierć. Nigdy jednak nie widziała ich z bliska. Co jakiś czas któryś z nich znajdował dość siły, by podnieść wbity w ziemię wzrok i popatrzeć jej w oczy; miała wówczas wrażenie, że spogląda w sam środek piekła.

Mimo to nie poddawała się, nawet kiedy po zachodzie słońca droga opustoszała i coraz trudniej było podążać wzdłuż akweduktu. Krzepiący widok willi na niższych zboczach góry stopniowo rozpłynął się w mroku i teraz widać było tylko migoczące z rzadka światła pochodni i lamp. Klacz zwolniła i Korelia kołysała się w siodle w rytm jej kroku.

Było gorąco. Chciało jej się pić (zapomniała oczywiście zabrać ze sobą wodę; zawsze przynosili ją niewolnicy). Jej skóra w miejscach, gdzie ubranie dotykało spoconego ciała, była obtarta. Tylko myśl o akwariuszu i grożącym mu niebezpieczeństwie kazała jej jechać dalej. A może jest już za późno? Może zdążyli go zabić? Zastanawiała się właśnie, czy zdoła go kiedykolwiek dogonić, kiedy otaczające ją ciężkie powietrze zeszkliło się jakby i chwilę później z głębi góry po jej lewej stronie dobiegł głośny huk. Klacz stanęła dęba i Korelia o mało nie spadła z siodła. Cugle wysunęły się z jej spoconych palców i nie była w stanie ścisnąć mokrymi nogami boków wierzchowca. Kiedy puścił się galopem, nie pozostało jej nic innego, jak wbić palce w gęstą grzywę i przywrzeć do jego karku.

Pędziła tak milę albo dwie. Gdy klacz zaczęła w końcu zwalniać, Korelia zdołała unieść głowę i zorientowała się, że zjechała z drogi i galopuje przez otwarty teren. Gdzieś blisko słyszała plusk wody i klacz również musiała to usłyszeć bądź też wyczuć, ponieważ ruszyła w tamtą stronę. Przyciskając policzek do końskiego karku, Korelia miała zamknięte oczy, ale teraz podniosła głowę i dostrzegła sterty białych kamieni, a także niski ceglany murek, który otaczał olbrzymią studnię. Klacz pochyliła łeb, żeby się napić. Korelia szepnęła do niej i delikatnie, żeby jej nie spłoszyć, zeskoczyła z siodła. Drżała z emocji.

Jej stopy zapadły się w błoto. W oddali płonęły ogniska.

• • •

Pierwszym celem Atiliusza było usunięcie zwałowiska z tunelu: niełatwe zadanie. Tunel był tak wąski, że tylko jeden mężczyzna mógł pracować na przodku, rąbiąc rumosz kilofem i zgarniając go łopatą. Kiedy kosz był pełny, trzeba go było przenieść, podając z ręki do ręki, pod studzienkę,

przywiązać do liny, wydobyć na powierzchnię i opróżnić. W tym czasie z przodka wędrował już kolejny załadowany kosz.

Atiliusz, jak to on, pierwszy stanął przy zwałowisku. Oddarł od tuniki pasek materiału i obwiązał nim nos i usta, próbując osłabić w ten sposób odór siarki. Usuwanie ziemi oraz cegieł i napełnianie nimi kosza wymagało wyjątkowej siły, ale manipulowanie w ciasnej przestrzeni kilofem i rozbijanie betonu na mniejsze kawałki było zadaniem na miarę Herkulesa. Aby przenieść niektóre fragmenty, trzeba było dwóch mężczyzn. Po krótkim czasie otarł łokcie do krwi o ściany tunelu. Spocone ciała, parna noc i płonące pochodnie sprawiały, że w akwedukcie panował nieznośny skwar, w mniemaniu Atiliusza jeszcze gorszy niż w kopalniach złota w Hiszpanii. Mimo to miał poczucie, że czynią postępy, i to dodawało mu sił. Odnalazł miejsce, w którym zablokowana została Augusta. Czuł, że jeśli teraz uprzątnie te kilka kroków, uda mu się rozwiązać wszystkie nękające go problemy.

Po jakimś czasie Brebiks klepnął go po ramieniu i zaproponował zmianę. Atiliusz przyjął to z wdzięcznością i patrzył z podziwem, jak rosły gladiator, który ledwie mieścił się w tunelu, wymachuje kilofem z taką łatwością, jakby trzymał w ręce zabawkę. Inżynier wycofał się, a pozostali stanęli przy ścianie, żeby go przepuścić. Pracowali teraz jak zgrana drużyna, jak jeden mąż. Znowu w rzymskim stylu. Był to może zbawienny wpływ kąpieli w jeziorze, a może rezultat tego, że mieli czym zająć myśli, ale wyraźnie poprawił im się humor. Doszedł do wniosku, że wcale nie są tacy źli. Można mówić, co się chce o Ampliatusie, ale milioner potrafił przynajmniej wyszkolić swoich niewolników. Atiliusz odebrał ciężki kosz od stojącego obok mężczyzny – tego samego, któremu kopniakiem wytrącił z ręki wino – po czym odwrócił się i poczłapał z nim do następnego w szeregu.

Stopniowo tracił poczucie czasu; jego świat ograniczył się do tych kilku kroków tunelu, do pulsującego w plecach i ramionach bólu, do pokaleczonych przez ostry rumosz dłoni, otarć na łokciach, dławiącego gorąca. To wszystko tak go zaabsorbowało, że w pierwszej chwili nie usłyszał wołającego go Brebiksa.

– Akwariuszu! Akwariuszu!

– Tak? – Przeciskając się w głąb, uświadomił sobie nagle, że woda w tunelu sięga mu do kostek. – Co jest? – zapytał.

– Sam zobacz.

Atiliusz wziął pochodnię od stojącego za nim niewolnika i przysunął ją do rumowiska. Ściana w pierwszym momencie wydawała się solidna, a jednak po chwili zobaczył, że wszędzie sączy się przez nią woda. Małe strumyczki ciekły po nierównościach, jakby cegły oblały się potem.

– Rozumiesz, o co mi chodzi? – Brebiks trącił cegły kilofem. – Jeśli ten kawałek ustąpi, potopimy się tu jak szczury.

Atiliusz zdał sobie sprawę z ciszy, która właśnie zapadła. Niewolnicy przestali pracować i pilnie ich słuchali. Oglądając się, zobaczył, że uprzątnęli już dwanaście albo piętnaście stóp rumoszu. Ile go jeszcze zostało? Kilka stóp? Nie chciał przerywać pracy. Ale nie chciał też ich wszystkich pozabijać.

– Dobrze – powiedział niechętnie. – Opuśćcie tunel.

Nie trzeba było im tego dwa razy powtarzać. Oparli pochodnie o ściany, porzucili kosze i narzędzia i ustawili się w kolejce do liny. Wspinali się jeden za drugim, łapiąc ją, kiedy tylko stopy poprzednika zniknęły w szybie. Atiliusz ruszył w ślad za Brebiksem. Kiedy dotarli do studzienki, poza nimi na dole nie było już nikogo.

Brebiks podał mu linę, lecz Atiliusz jej nie wziął.

– Nie. Ty wyjdź. Ja zostanę i zobaczę, co jeszcze da się zrobić. – Uświadomił sobie, że Brebiks patrzy na niego jak na szaleńca. – Na wszelki wypadek obwiążę się liną. Kiedy wyjdziesz na górę, odwiąż ją od wozu i poluzuj tak, żebym mógł dojść do końca tunelu. I mocno trzymaj.

Brebiks wzruszył ramionami.

– Jak chcesz.

Gdy gladiator się odwracał, Atiliusz złapał go za ramię.

– Masz dość siły, żeby mnie utrzymać, Brebiksie? – zapytał.

Na wargach gladiatora zaigrał uśmiech.

– Dość siły, żeby utrzymać ciebie… i twoją pieprzoną matkę!

Mimo swojej wagi, Brebiks wspiął się na górę ze zwinnością małpy i Atiliusz został sam. Obwiązując się po raz drugi liną, pomyślał, że być może naprawdę jest szalony, nie miał jednak chyba innego wyjścia. Nie zdołają naprawić wodociągu, dopóki nie spłynie z niego woda, a musieliby za długo czekać, aż cała przesączy się przez ścianę. Pociągnął za linę.

– W porządku, Brebiksie?

– Gotowy!

Wziął pochodnię i znów ruszył tunelem. Woda sięgała mu do kostek i omywała łydki, gdy stąpał po porzuconych narzędziach i koszach. Szedł powoli, żeby Brebiks mógł stopniowo wypuszczać linę. Gdy dotarł do ściany, był spocony ze zdenerwowania i gorąca. Czuł przed sobą całą masę Augusty. Przełożył pochodnię do prawej ręki, a lewą zaczął ciągnąć cegłę sterczącą z rumoszu na wysokości jego twarzy, szarpiąc ją w górę, w dół i na boki. Potrzebował małej wyrwy, kontrolowanego spustu ciśnienia gdzieś na samej górze. Z początku cegła nie chciała ustąpić, lecz po chwili pojawiły się wokół niej bąbelki wody i nagle wymknęła mu się z palców, wystrzelona przez strumień z taką siłą, że obtarła mu ucho.

Atiliusz krzyknął i skoczył do tyłu. Zbita masa wokół wyrwy wybrzuszyła się i pękła, odpadając płatami w dół i na boki – wszystko to wydarzyło się w ciągu jednej chwili, lecz na tyle wolno, by zdążył zarejestrować poszczególne stadia – a potem runęła na niego ściana wody, wytrącając mu z ręki pochodnię i pogrążając go w mroku. Bardzo szybko poszedł na dno – głową do przodu, na wznak. Płynąc tunelem, wodził rozpaczliwie palcami po gładkim cementowym murze, ale nie było tam nic, czego mógłby się złapać. Niesiony prądem, poczuł nagle silny ból: lina zacisnęła się pod jego żebrami i szarpnęła w górę. Uderzył plecami o sklepienie i przez chwilę myślał, że jest uratowany, lecz zaraz potem lina puściła i ponownie poszedł na dno. Woda porwała go, jakby był płynącym rynsztokiem liściem, i poniosła w ciemność.

NOCTE CONCUBIA

(godzina 22.07)

> *Wielu obserwatorów zwraca uwagę na fakt, że erupcje zaczynają się albo stają silniejsze podczas pełni księżyca, kiedy dochodzi do największych ruchów pływowych w skorupie ziemskiej.*
>
> *Volcanology* (wydanie drugie)

Ampliatus nigdy nie lubił Wulkanaliów. Festiwal przypadał na czas, kiedy noce były długie, a poranki zaczynały się przy świetle świecy; oznaczał pożegnanie z latem i początek melancholijnego marszu ku zimie. Sama ceremonia napawała go niesmakiem. Wulkan mieszkał w jaskini pod zboczem góry i posyłał na ziemię trawiący wszystko ogień. Bało się go każde stworzenie, z wyjątkiem ryb, w związku z czym – zgodnie z zasadą, że bogowie, podobnie jak ludzie, pożądają tego, co najtrudniej zdobyć – musiał zostać przebłagany ofiarą z żywych ryb rzucanych na płonący stos.

Nie chodziło o to, że Ampliatus nie był zdolny do religijnych uniesień. Zawsze lubił patrzeć, jak zarzynane jest jakieś piękne zwierzę – weźmy choćby byka, to, jak podchodził łagodnie do ołtarza i wpatrywał się z lękiem w kapłana. Pomocnik ogłuszał go młotkiem i błyskał nóż, którym podrzynano zwierzęciu gardło. Byk padał jak kłoda, karmazynowe potoki krwi krzepły w pyle, a z przeciętego brzucha wypadały żółte wnętrzności, które potem badali wróżbici. W tym rzeczywiście było coś religijnego. Ale oglądanie setek małych rybek ciskanych w płomienie przez zabobonnych obywateli, defilujących przed świętym ogniem, oglądanie tych wszystkich srebrzystych stworzeń wijących się i podrygujących w żarze… Gdyby go ktoś spytał, powiedziałby, że nie ma w tym nic wzniosłego.

W tym roku rytuał był wyjątkowo nużący z powodu rekordowej liczby osób, które chciały złożyć ofiarę. Niekończąca się susza, wysychające źródła i studnie, wstrząsy ziemi, widma, które widziano i słyszano na zboczach góry – wszystko to przypisywano Wulkanowi i w mieście zapanował strach. Ampliatus dostrzegał go na zaczerwienionych, spoconych twarzach ludzi, którzy sunęli dookoła forum, wpatrując się w ogień. Lęk był niemal namacalny.

Ampliatus nie miał zbyt dobrego miejsca. Włodarze miasta zgodnie z tradycją stali na stopniach świątyni Jupitera – magistraci i kapłani z przodu, członkowie rady miejskiej, *ordo*[*], wśród których był jego syn, tuż za nimi – podczas gdy on, jako pozbawiony oficjalnych tytułów wyzwoleniec, musiał nieodmiennie zadowolić się miejscem gdzieś z tyłu. Nie, nie przejmował się tym. Wprost przeciwnie. Radością napawał go fakt, że władza, prawdziwa władza, sprawowana jest z ukrycia. To dzięki niej można zapewnić ludziom tego rodzaju rozrywkę i przez cały czas poruszać nimi jak marionetkami. Poza tym, i to sprawiało mu największą satysfakcję, mieszkańcy wiedzieli, że tak naprawdę to on rządzi tym miastem – trzeci od końca mężczyzna w dziesiątym rzędzie. Popidiusz i Kuspiusz, Holkoniusz i Britiusz byli tego świadomi i czuł, że przyjmując hołdy tłumu, w głębi duszy aż się skręcają. Tłum też

o tym wiedział i w rezultacie darzył go jeszcze większym respektem. Dostrzegał, jak szukają jego twarzy, trącają się i pokazują go palcem.

Wyobrażał sobie, jak mówią: „To Ampliatus. Człowiek, który odbudował miasto, kiedy inni uciekli! Niech żyje Ampliatus! Niech żyje Ampliatus! Niech żyje Ampliatus!”.

Wymknął się przed końcem uroczystości.

I tym razem zdecydował, że zamiast lektyką wróci do domu pieszo. Minąwszy stojących na stopniach świątyni widzów – jednym kiwając głową, innych ujmując pod łokieć – przeszedł wzdłuż budynku i pod triumfalnym łukiem Tyberiusza, a potem skręcił w pustą uliczkę. Niewolnicy nieśli za nim lektykę, stanowiąc jednocześnie jego ochronę, lecz on nie bał się Pompejów po zmroku. Znał każdy kamień tego miasta, każdy wertep i dziurę w drodze, każdy sklep i każdy ściek. Wielki księżyc w pełni i palące się tu i ówdzie latarnie – kolejna z jego innowacji – oświetlały drogę do domu. Ampliatus znał dobrze nie tylko budynki Pompejów. Znał obywateli tego miasta i sekretny mechanizm jego funkcjonowania, zwłaszcza podczas wyborów. Istniało pięć okręgów wyborczych – Forenses, Campanienses, Salinienses, Urbulanenses i Pagani – i w każdym miał swojego człowieka. Również we wszystkich cechach – praczy, piekarzy, rybaków, perfumiarzy czy złotników – to on pociągał za sznurki. Mógł nawet rzucić na szalę głosy połowy wyznawców Izydy, swojej bogini, a w zamian za powołanie na urząd tego czy innego figuranta otrzymywał te wszystkie licencje i koncesje, zezwolenia na budowę oraz korzystne orzeczenia w sądzie, które były niewidzialną walutą władzy.

Skręcił w dół w stronę swojego domu – powinien powiedzieć: swoich domów – i przystanął na chwilę, by nasycić się nocnym powietrzem. Kochał to miasto. Wczesnym rankiem upał mógł wydawać się przykry, ale już wkrótce na morzu od strony Capri pojawiały się granatowe fale. O godzinie czwartej miasto owiewała szeleszcząca liśćmi morska bryza i przez pozostałą część dnia Pompeje pachniały słodko niczym strumyk. To prawda, w takie jak dzisiaj gorące i parne dni bardziej wykwintni obywatele skarżyli się, że miasto śmierdzi, lecz on wolał, gdy powietrze przesycone było ciężkimi woniami: zaśmiecającego ulice końskiego nawozu, uryny w pralniach, produkowanego w portowych wytwórniach sosu rybnego, potu dwudziestu tysięcy ludzkich ciał stłoczonych w obrębie miejskich murów. Dla Ampliatusa był to zapach życia – zapach energii, pieniędzy, zysku.

Po chwili ruszył dalej i dotarłszy do frontowych drzwi domu, stanął pod latarnią i głośno zapukał. Sprawiał mu satysfakcję fakt, że korzysta z wejścia, którym nie wolno mu było wchodzić jako niewolnikowi. Nagrodził uśmiechem odźwiernego. Był w tak znakomitym nastroju, że w połowie westybulu odwrócił się do Nubijczyka.

– Wiesz, jaki jest sekret szczęśliwego życia, Massavo? – zapytał.

Odźwierny pokręcił olbrzymią głową.

– Umrzeć. – Ampliatus wymierzył mu żartobliwego kuksańca w brzuch i skrzywił się, bo było to jak uderzenie w deskę. – Umrzeć, a potem zmartwychwstać i każdy dzień traktować jak zwycięstwo odniesione nad bogami.

Nie bał się niczego i nikogo. A najzabawniejsze było to, że wcale nie był taki bogaty, jak się wszystkim zdawało. Willę w Misenum – kosztowała dziesięć milionów sestercji, o wiele za drogo, ale po prostu musiał ją mieć! – kupił wyłącznie za pożyczone pieniądze, głównie pod zastaw tego domu, którego spłata obciążyła hipotekę nieukończonych jeszcze łaźni. Mimo to Ampliatusowi udawało się jakoś nad tym wszystkim panować dzięki sile woli, sprytowi i zaufaniu, jakim się cieszył. Jeśli ten

głupiec, Lucjusz Popidiusz, myśli, że żeniąc się z Korelią, odzyska swój stary rodzinny dom… No cóż, niestety, przed podpisaniem ugody powinien wynająć dobrego prawnika.

Mijając oświetlony pochodniami basen, przystanął, żeby popatrzeć na fontannę. Wodna mgiełka przesycona była zapachem róż, ale strumień zdawał się na jego oczach tracić moc i Ampliatus pomyślał o poważnym młodym akwariuszu, który starał się gdzieś w mroku naprawić akwedukt. Już stamtąd nie wróci. Szkoda. Mogliby razem prowadzić interesy. Ale był uczciwy, a Ampliatus zawsze powtarzał: „Niechaj bogowie strzegą nas przed uczciwymi ludźmi". Niewykluczone, że już nie żyje.

Leniwy strumień fontanny zaczynał go niepokoić. Pomyślał o podrygujących i skwierczących w płomieniach srebrzystych rybach i próbował wyobrazić sobie reakcję mieszkańców, kiedy odkryją, że akwedukt nie działa. Przesądni głupcy obwinią o to oczywiście Wulkana. Nie wziął tego wcześniej pod uwagę. W takim razie nadszedł odpowiedni moment, by ujawnić w końcu proroctwo pompejańskiej wieszczki, Birii Onomastii, proroctwo, które zamówił przezornie tego lata. Biria mieszkała w domu nieopodal amfiteatru i w nocy, w kłębach dymu, komunikowała się ze starodawnym bogiem, Sabaziusem, któremu składała ofiary z węży – odrażające widowisko – na ołtarzu wspartym na dwóch magicznych dłoniach z brązu. Cała ceremonia przyprawiła go o dreszcze, ale wieszczka przepowiedziała Pompejom wspaniałą przyszłość i dobrze będzie to rozgłosić. Postanowił, że jutro wezwie do siebie magistratów. Na razie jednak, dopóki pozostali domownicy wciąż przebywali na forum, miał pilniejsze sprawy na głowie.

Członek stwardniał mu już na schodach, kiedy zmierzał do prywatnych apartamentów Popidiuszów, drogą, którą przemierzał tyle razy, dawno temu, gdy jego stary pan wykorzystywał go jak psa. Ileż tajemnych gorączkowych schadzek oglądały przez lata te ściany, ileż zaślinionych czułości słyszały, kiedy Ampliatus kładł się i poddawał wnikającym głęboko palcom pana domu. Był wówczas o wiele młodszy od Celsinusa, młodszy nawet od Korelii – za kogo ona się uważa, żeby skarżyć się na brak miłości w małżeństwie? Co prawda, jego pan zawsze szeptał, że go kocha, i być może mówił prawdę – podarował mu przecież w testamencie wolność. Wszystko, do czego doszedł Ampliatus, miało swoje źródło w rozlanym tutaj gorącym nasieniu. Nigdy o tym nie zapominał.

Drzwi sypialni nie były zamknięte i wszedł bez pukania. Nisko na toaletce paliła się lampka oliwna. Przez otwarte okiennice sączyło się światło księżyca i w jego miękkim blasku zobaczył nagą Taedię Sekundę, która leżała płasko na brzuchu niczym zwłoki na katafalku. Kiedy wszedł, odwróciła głowę. Miała co najmniej sześćdziesiąt lat. Jej peruka spoczywała przy lampce, na głowie manekina, niewidomego widza tego, co miało nastąpić. W dawnych czasach to ona zawsze wydawała polecenia – tutaj, tam, tam! – lecz teraz role się odwróciły i nie wiedział, czy nie spodobało jej się to jeszcze bardziej, chociaż nigdy się nie odzywała. W milczeniu uniosła się na czworaki, ofiarowując mu swoje skąpane w księżycowej poświacie kościste pośladki, i bez ruchu czekała, aż jej były niewolnik, a teraz jej pan, wdrapie się na nią.

• • •

Atiliusz zdołał dwa razy zaprzeć się kolanami i łokciami o wąskie ściany tunelu i dwa razy ciśnienie wody okazało się zbyt silne i nurt poniósł go w głąb kanału. Osłabiony, czuł, że pękają mu płuca i zginie, jeśli nie wykorzysta ostatniej szansy. Spróbował ponownie i tym razem zatrzymał się, rozpłaszczony niczym rozgwiazda. Wynurzył głowę z wody i krztusząc się i charcząc, zaczerpnął powietrza.

Nie wiedział, gdzie się znajduje i jak daleko poniósł go prąd. Nic nie widział, nic nie słyszał i nic nie czuł, z wyjątkiem cementu pod kolanami i dłońmi, i wody, która sięgała mu do szyi i smagała po całym ciele. Nie miał pojęcia, jak długo tu tkwi, ale po chwili zdał sobie sprawę, że ciśnienie słabnie i poziom wody się obniża. Czując na ramionach powiew powietrza, uświadomił sobie, że najgorsze minęło. Zaraz potem woda sięgnęła mu do piersi. Stanął ostrożnie. W pierwszej chwili zatoczył się do tyłu, ale zaraz wyprostował, niczym drzewo, które przetrwało powódź.

Jego umysł znów zaczął pracować. Spiętrzone wody spłynęły, a ponieważ śluzy w Abellinum zamknięto przed dwunastoma godzinami, zabrakło ich dopływu. To, co zostało, ujarzmiła i zredukowała nieskończenie znikoma pochyłość akweduktu. Poczuł, że coś zwisa mu u pasa. Wymacał w ciemności linę, przyciągnął ją i nawinął na ramię. Dotykając jej końca, stwierdził, że nie jest urwana. Brebiks po prostu ją puścił. Dlaczego? Poczuł, że ogarnia go panika, i nagle zapragnął uciec. Pochylił się i zaczął brnąć naprzód, lecz przypominało to senny koszmar – powłócząc nogami niczym starzec, wyciągał przed siebie ręce i macał kryjące się w nieprzeniknionym mroku ściany. Czuł się podwójnie uwięziony, bo otaczała go i ziemia, i woda. Bolały go żebra. Ramię piekło, jakby przypalano je żelazem.

Nagle usłyszał plusk i zobaczył w oddali żółte światło, które spłynęło w dół niczym spadająca gwiazda. Przystanął i z trudem łapiąc powietrze, zaczął nasłuchiwać. Dobiegły go czyjeś krzyki, a potem ponowny plusk. Pojawiła się kolejna pochodnia. Szukają go.

– Akwariuszu! – usłyszał.

Zastanawiał się, czy powinien odpowiedzieć.

Niedługo chyba zacznie bać się własnego cienia. Zwałowisko ustąpiło tak nagle i z taką siłą, że przeciętny człowiek nie zdołałby go utrzymać. Brebiks obdarzony był jednak nieprzeciętną siłą, a to, co się wydarzyło, nie było czymś nieoczekiwanym, gladiator był na to przygotowany.

– Akwariuszu!

Zawahał się. Z tunelu nie ma innego wyjścia, to nie ulega kwestii. Musi wrócić i stawić im czoło. Lecz instynkt podpowiadał mu, że powinien zachować wszystkie podejrzenia dla siebie.

– Tu jestem! – zawołał i ruszył, brnąc przez coraz płytszą wodę ku kołyszącym się światłom.

• • •

Przywitali go z mieszaniną podziwu i szacunku. Brebiks, Musa i młody Polites dotykali go z niedowierzaniem; ich zdaniem nikt nie zdołałby przeżyć takiej przygody. Brebiks utrzymywał, że lina wyślizgnęła mu się z rąk niczym wąż i na dowód tego pokazał dłonie. W świetle pochodni widać było na nich krwawe otarcia. Może mówi prawdę? Sprawiał wrażenie zawstydzonego. Ale każdy zabójca miałby nieszczególną minę, pomyślał Atiliusz, gdyby okazało się, że jego niedoszła ofiara uszła z życiem.

– Jeśli dobrze pamiętam, Brebiksie, twierdziłeś, że utrzymasz mnie i moją matkę.

– Owszem, ale twoja matka okazała się cięższa, niż myślałem.

– Jesteś ulubieńcem bogów, akwariuszu – stwierdził Musa. – Mają dla ciebie w zanadrzu jakąś szczególną misję.

– Moją misją jest naprawić ten przeklęty akwedukt i wrócić do Misenum – mruknął Atiliusz.

Rozwiązał opasującą go linę, wziął od Politesa pochodnię i ruszył przodem, oświetlając ściany tunelu. Jak szybko opadała woda! Sięgała mu poniżej kolan. Wyobraził sobie jej strumień płynący do

Noli i innych miast. W końcu obiegnie całą zatokę, arkadami na północ od Neapolu, wielkim mostem w Kume i grzbietem półwyspu aż do Misenum. Cały ten odcinek będzie wkrótce zupełnie suchy – na betonie zostanie najwyżej parę kałuż. Bez względu na to, co się stało, spełnił obietnicę daną admirałowi. Naprawił akwedukt.

W miejscu, gdzie tunel był zablokowany, panował bałagan, ale większość pracy wykonała za nich woda. Teraz trzeba tylko uprzątnąć resztki ziemi i gruzu, wyrównać powierzchnię tunelu, wylać beton na dno i obmurować nowymi cegłami ściany – innymi słowy, zabezpieczyć wodociąg do chwili, kiedy będą mogli wrócić tu jesienią i zrobić wszystko porządnie. Mimo to muszą się uwijać, żeby zdążyć z robotą do świtu, nim dotrze do nich świeży potok wody z Abellinum, gdzie Bekko już wkrótce ma otworzyć śluzy. Atiliusz powiedział im, jak sobie to wszystko wyobraża, a Musa zaczął zgłaszać własne sugestie. Jeśli już teraz zniosą na dół cegły, powiedział, będą mogli ustawić je przy ścianach, żeby stały gotowe, kiedy spłynie woda. Mogą także, nie zwlekając, zacząć mieszać na górze cement. Po raz pierwszy, odkąd Atiliusz objął funkcję akwariusza, Musa przejawił chęć współpracy. Fakt, że inżynier ocalał, wywarł na nim ogromne wrażenie. Powinienem częściej wracać z królestwa umarłych, pomyślał Atiliusz.

– Przestało przynajmniej śmierdzieć – stwierdził Brebiks.

Atiliusz nie zauważył tego wcześniej. Wciągnął powietrze. Gladiator miał rację. Wszechobecny odór siarki ulotnił się. Nie miał pojęcia, jak wytłumaczyć, skąd wziął się ten zapach i dlaczego teraz wyparował, brakowało jednak czasu, żeby się nad tym zastanowić. Usłyszał, że ktoś go woła, i cofnął się pod studzienkę. To był Korwinus.

– Akwariuszu!

– Tak?

Twarz niewolnika wyglądała jak czarna plama na tle czerwonej poświaty.

– Powinieneś chyba wyjść i coś zobaczyć – rzucił i jego głowa zniknęła Atiliuszowi z pola widzenia.

Co się tam dzieje? Atiliusz złapał linę, pociągnął ją mocno kilka razy i zaczął się wspinać. Był poobijany i wyczerpany i szło mu to gorzej niż poprzednio. Podciągając się powoli – prawa ręka, lewa ręka, prawa ręka – wpełzł w wąski szyb, oparł się ramionami o skraj studzienki i wygramolił na zewnątrz.

Kiedy był na dole, wzeszedł księżyc – wielki, okrągły i czerwony. Podobnie jak gwiazdy i wszystko w tej części świata, wydawał się nienaturalnie wielki. Okolice studzienki zmieniły się w prawdziwy plac budowy: sterty ziemi wydobytej z tunelu, kilka dużych ognisk, z których sypały się iskry, dociągnięte bliżej i w większości rozładowane wozy, pochodnie wbite w ziemię, aby dostarczały dodatkowego oświetlenia. Wokół płytkiego jeziora, z którego w większości spłynęła już woda, widział w świetle księżyca gruby pas błota. Niewolnicy Ampliatusa siedzieli, opierając się o wozy i czekając na rozkazy. Obserwowali go z zaciekawieniem, kiedy wychodził spod ziemi. Zdawał sobie sprawę, że musi wyglądać dziwnie, przemoczony i brudny. Krzyknął w głąb tunelu do Musy, żeby zapędził ich z powrotem do roboty, a potem poszukał wzrokiem Korwinusa. Niewolnik stał w odległości jakichś trzydziestu kroków, przy wołach, odwrócony plecami do studzienki.

– Co jest? – zawołał niecierpliwie Atiliusz.

Korwinus odwrócił się i zamiast odpowiedzieć, odsunął się na bok, odsłaniając stojącą za nim postać w płaszczu z kapturem. Atiliusz ruszył w ich stronę. Rozpoznał dziewczynę, dopiero kiedy

podszedł bliżej i zsunęła kaptur. Nie zdziwiłby się bardziej, gdyby sama Egeria, bogini strumienia, zmaterializowała się nagle w świetle księżyca. Jego pierwszą myślą było, że musiała przyjechać z ojcem, i rozejrzał się za innymi jeźdźcami, innymi końmi. Ale był tylko jeden koń, skubiący leniwie rzadką trawę. Korelia przybyła sama i podchodząc do niej, podniósł ręce w geście zdumienia.

– Co się stało, Korelio?

– Nie powiedziała mi, czego chce – odezwał się Korwinus. – Mówi, że będzie rozmawiała tylko z tobą.

– Korelio?

Dziewczyna wskazała głową Korwinusa, przyłożyła palec do ust i pokręciła głową.

– Widzisz, o co mi chodzi? – mruknął niewolnik. – Od samego początku, kiedy się wczoraj pojawiła, wiedziałem, że przysporzy nam kłopotów…

– W porządku, Korwinusie. Dosyć tego. Wracaj do pracy.

– Ale…

– Do roboty!

Kiedy niewolnik się oddalił, Atiliusz przyjrzał się dziewczynie uważniej. Miała brudne policzki, włosy w nieładzie, zabłocony płaszcz i suknię. Ale najbardziej zaniepokoiły go jej oczy, nienaturalnie wielkie i lśniące. Wziął ją za rękę.

– To nie jest miejsce dla ciebie – powiedział łagodnie. – Co tutaj robisz?

– Chciałam ci to przywieźć – szepnęła, wyjmując spomiędzy fałd płaszcza małe zwoje papirusów.

• • •

Dokumenty, w liczbie sześciu, pochodziły z różnych okresów i były w różnym stanie, dość małe, by zmieścić się na rozłożonej ręce.

Atiliusz wziął pochodnię i razem z Korelią przeszedł w bardziej osłonięte miejsce za jednym z wozów, skąd roztaczał się widok na rozlewisko. Środkiem jeziora biegła migotliwa księżycowa ścieżka, szeroka i prosta niczym rzymska droga. Przy drugim brzegu słychać było trzepot skrzydeł i krzyk wodnego ptactwa.

Zdjął z jej ramion płaszcz, położył go na ziemi, żeby miała na czym usiąść, a potem wbił obok pochodnię, ukucnął i rozwinął najstarszy z dokumentów. Był to plan jednego z odcinków Augusty, a dokładniej odcinka, przy którym się znajdowali. Pompeje, Nola i Wezuwiusz zaznaczone były czarnym tuszem, który z biegiem czasu wyblakł i zmienił się w jasnoszary. Na dole widniała pieczęć boskiego Augusta, co wskazywało, że plan został sprawdzony i oficjalnie zatwierdzony. Oryginalny rysunek, sporządzony przez mierniczego przed ponad stuleciem. Może trzymał go w rękach sam wielki Marek Agryppa? Odwrócił papirus. Tego rodzaju dokument może pochodzić tylko z dwóch miejsc: z archiwum *Curatora Aquarum* w Rzymie albo z Piscina Mirabilis w Misenum. Zwinął go ostrożnie.

Następne trzy papirusy zawierały głównie kolumny liczb i dopiero po chwili zrozumiał, o co w nich chodzi. Jeden nosił nagłówek *Colonia Veneria Pompeianorum* i podzielony był na lata – DCCCXIV, DCCCXV i tak dalej. Wyliczenia i adnotacje sięgały prawie dwudziestu lat wstecz, a liczby były z roku na rok coraz większe; w ubiegłym zaś, 833. od założenia Rzymu, podwoiły się. Drugi dokument wydawał się na pierwszy rzut oka identyczny z pierwszym i dopiero przyjrzawszy mu się uważniej, Atiliusz odkrył, że liczby są w nim na ogół o połowę niższe. Odnotowana na przykład w pierwszym

papirusie za ubiegły rok łączna suma trzystu pięćdziesięciu dwóch tysięcy zredukowana została w drugim do stu siedemdziesięciu ośmiu tysięcy.

Trzeci dokument był mniej oficjalny. Wyglądał jak miesięczne zestawienie czyichś dochodów. Również obejmował prawie dwa dziesięciolecia i liczby również stopniowo rosły, na koniec niemal się podwajając. Były to całkiem pokaźne dochody – tylko w ubiegłym roku wynosiły mniej więcej pięćdziesiąt tysięcy sestercji, a łącznie może jedną trzecią miliona.

Korelia siedziała z kolanami podciągniętymi pod brodę, obserwując go.

– No? O co tutaj chodzi?

Nie od razu jej odpowiedział. Czuł się zbrukany: hańba jednego człowieka okrywa hańbą wszystkich. I kto mógł wiedzieć, jak daleko rozprzestrzeniła się gangrena? Po chwili się zmitygował: nie mogła sięgać Rzymu, bo gdyby zamieszany był w to Rzym, Awiola nigdy nie wysłałby go na południe, do Misenum.

– Wygląda to na rzeczywiste ilości wody zużywanej w Pompejach – powiedział, pokazując jej pierwszy papirus. – Trzysta pięćdziesiąt tysięcy kwinarii w zeszłym roku… to odpowiada mniej więcej miastu tej wielkości. Ten drugi zestaw to, jak przypuszczam, kwoty, które mój poprzednik, Eksomniusz, oficjalnie przedstawiał w Rzymie. Fałszerstwo było niemożliwe do wykrycia, zwłaszcza po trzęsieniu ziemi, chyba że przysłaliby tutaj inspektora. A to – dodał, nie starając się nawet ukryć pogardy i wymachując trzecim dokumentem – są sumy, jakie twój ojciec płacił mu za milczenie. – Korelia spojrzała na niego skonsternowana. – Woda jest droga – wyjaśnił. – Zwłaszcza kiedy odbudowuje się pół miasta. „Przynajmniej tak samo cenna jak pieniądze”, powiedział mi twój ojciec.

Bez wątpienia to właśnie od darmowej wody zależało, czy strata zmieni się w zysk. *Salve lucrum!*

Zwinął papirusy. Musieli je wykraść z brudnej izby nad szynkiem. Zastanawiał się, dlaczego Eksomniusz podejmował takie ryzyko, przechowując obciążające go dowody. Po chwili zdał sobie jednak sprawę, że robił to właśnie dlatego, że były obciążające. Pozwalały mu trzymać w szachu Ampliatusa: „Nie myśl nawet o tym, żeby mnie wykiwać – uciszyć, pozbawić udziału w zyskach albo grozić zdemaskowaniem – ponieważ jeśli zostanę zrujnowany, pociągnę cię za sobą”.

– A te dwa? – zapytała Korelia.

Ostatnie dwa dokumenty różniły się od innych tak bardzo, że mogło się wydawać, iż nie mają z nimi nic wspólnego. Przede wszystkim były znacznie nowsze i zamiast cyfr zawierały opisy. Pierwszy był po grecku.

> *Szczyt jest przeważnie płaski i całkowicie jałowy. Ziemia przypomina popiół i są tam podobne do jaskiń jamy w poczerniałej, wypalonej skale. Teren ten wygląda, jakby w przeszłości stał w ogniu i pokryty był płonącymi kraterami, które w końcu zgasły z braku paliwa. Tym bez wątpienia można tłumaczyć urodzajność okolicznych ziem, podobnie jak w Katanii, gdzie pokryte wyrzucanymi przez Etnę popiołami tereny szczególnie nadają się, jak powiadają, do uprawy winorośli. Wzbogacona gleba zawiera zarówno materiały, które się palą, jak i materiały, które zwiększają plony. Kiedy nasycona jest użyźniającą substancją, łatwo płonie, podobnie jak to się dzieje w przypadku wszystkich substancji zawierających siarkę. Gdy jednak ta się wypali i ogień zgaśnie, ziemia staje się podobna do popiołu i zdatna do uprawy.*

Atiliusz musiał dwa razy przeczytać ten ustęp, trzymając papirus tuż przy pochodni, zanim zrozumiał, o co chodzi. Podał go Korelii. Szczyt? Jaki szczyt? Chyba Wezuwiusz… to jedyny szczyt w okolicy. Ale czy Eksomniusz – leniwy, nadużywający wina, starzejący się dziwkarz Eksomniusz – naprawdę znalazł w sobie dość energii, by wdrapać się w środku suszy na szczyt Wezuwiusza i zapisać swoje wrażenia po grecku? To nie do uwierzenia. I ten język – *podobne do jaskiń jamy w poczerniałej skale, urodzajność okolicznych ziem*… Inżynier nie wyraża się w ten sposób. Opis był zbyt literacki, zupełnie niepodobny do tego, co mogło się wydawać naturalne w ustach Eksomniusza, który z pewnością nie mówił językiem Hellenów płynniej od Atiliusza. Musiał to skądś przepisać. Albo komuś to zlecił. Być może jakiemuś skrybie w miejskiej bibliotece przy forum.

Ostatni dokument był dłuższy i po łacinie, lecz jego treść była równie zagadkowa.

Lucyliuszu, mój dobry przyjacielu, dowiedziałem się właśnie, że Pompeje, słynne niegdyś miasto w Kampanii, rozpadło się w gruzy wskutek trzęsienia ziemi, które spustoszeniem objęło również sąsiednie tereny. Tym razem runęły nie tylko Pompeje, ale i część Herkulanum, a reszta, która została, też grozi zawaleniem. W Neapolu zawaliło się wiele poszczególnych domów. Jak podają, były jeszcze inne skutki tej katastrofy: zginęło stado liczące sześćset sztuk owiec, posągi pękły w spojeniach, a ludzie potracili rozumy i błąkali się jak szaleni.

*Wspomniałem już, że na terenie Pompejów zginęło stado liczące sześćset sztuk owiec. Nie myśl przypadkiem, że te owce zginęły z przestrachu. Jak powiedziałem, po wielkim trzęsieniu ziemi wybucha najczęściej zaraza i jest to rzecz zrozumiała i naturalna. Ziemia kryje w swym wnętrzu niejedną uśmiercającą truciznę. Już samo powietrze jest szkodliwe i zabójcze dla organizmu, ponieważ uległo infekcji, czy to przez miazmaty ziemi, czy przez ciągłe gnicie w bezruchu i wiecznych ciemnościach. Szczególnie owce z natury są mniej odporne i nie można się temu dziwić, że giną pierwsze, ponieważ trzymają głowy nad samą ziemią i bezpośrednio z ziemi wdychają zatrute wyziewy powietrza, które byłyby oczywiście zabójcze również dla ludzi, gdyby wydobywały się z ziemi w większej ilości. Na szczęście przewaga czystego powietrza unieszkodliwia zabójczą siłę tych miazmatów, zanim się wzniosą na taką wysokość, aby mógł je wdychać człowiek**.*

Język listu znów wydawał się zbyt kwiecisty, a charakter pisma zbyt wyrobiony, by jego autorem był Eksomniusz. Poza tym dlaczego miałby twierdzić, iż *dowiedział się właśnie* o trzęsieniu ziemi, które zdarzyło się przed siedemnastu laty? I kim był ten Lucyliusz? Korelia nachyliła się, by przeczytać list. Czuł jej perfumy, czuł jej oddech na swoim policzku i pierś opierającą się o jego ramię.

– Jesteś pewna, że te papirusy były razem z innymi? – zapytał. – Nie wyjęłaś ich z innego miejsca?

– Były w tej samej skrzynce. O co tutaj chodzi?

– I nie widziałaś mężczyzny, który przyniósł je twojemu ojcu?

Korelia pokręciła głową.

– Tylko go słyszałam. Rozmawiali o tobie. I to, co usłyszałam, sprawiło, że postanowiłam cię odnaleźć. – Przysunęła się do niego bliżej i ściszyła głos. – Mój ojciec powiedział, że nie chce, abyś wrócił żywy z tej wyprawy.

– Naprawdę? – Atiliusz roześmiał się nieszczerze. – A co odpowiedział ten drugi?

– Odpowiedział, że to żaden problem.

Cisza. Poczuł, jak jej dłoń dotyka jego dłoni – jej chłodne palce spoczęły na zadrapaniach i otarciach – a potem położyła mu głowę na piersi. Przez chwilę, po raz pierwszy od trzech lat, poczuł, jak to jest, kiedy ma się blisko siebie kobiece ciało.

A więc tak wygląda prawdziwe życie, pomyślał. Już o tym zapomniał.

• • •

Po chwili zasnęła. Ostrożnie, żeby jej nie obudzić, cofnął dłoń, wstał i podszedł do akweduktu.

Praca w tunelu weszła w decydującą fazę. Niewolnicy przestali wydobywać gruz i zaczęli spuszczać na dół cegły. Atiliusz ostrożnie ruszył w stronę rozmawiających Brebiksa i Musy. Gdy się zbliżył, umilkli i zerknęli tam, gdzie leżała Korelia, lecz on zignorował ich zaciekawione spojrzenia.

W głowie miał mętlik. To, że Eksomniusz był skorumpowany, zbytnio go nie zdziwiło – dawno już się z tym pogodził. I zakładał, że akwariusz zniknął, ponieważ był nieuczciwy. Ale te inne dokumenty, ten po grecku oraz fragment listu, stawiały sprawę w zupełnie innym świetle. Wyglądało na to, że Eksomniusza już trzy tygodnie przed zanieczyszczeniem akweduktu niepokoiła gleba, przez którą płynęła Augusta – zasiarczona, skażona gleba. Niepokoiła go do tego stopnia, że przejrzał oryginalne plany i wybrał się do publicznej biblioteki w Pompejach.

Atiliusz spojrzał z roztargnieniem w głąb tunelu. Przypomniał sobie rozmowę, jaką wczoraj po południu odbył w Piscina Mirabilis z Koraksem. „Nikt nie znał tej wody tak dobrze jak on. Na pewno przewidziałby coś takiego”, powiedział nadzorca. „Może przewidział i dlatego uciekł”, odparł wtedy Atiliusz bez głębszego zastanowienia.

Po raz pierwszy ogarnęły go złe przeczucia. Nie potrafił ich określić, ale działo się zbyt wiele rzeczy, które odbiegały od normy – awaria akweduktu, drżenie ziemi, źródła, które płynęły w głąb ziemi, skażenie siarką… Eksomniusz też to przeczuwał.

Z tunelu bił blask pochodni.

– Muso?

– Tak, akwariuszu?

– Skąd był Eksomniusz? Skąd pochodził?

– Z Sycylii, akwariuszu.

– Wiem, że z Sycylii. Ale z jakiego konkretnie regionu?

– Chyba ze wschodu. – Musa zmarszczył czoło. – Z Katanii? Dlaczego pytasz?

Inżynier nie odpowiedział. Wpatrywał się w ciemną bryłę Wezuwiusza, który wznosił się nad skąpaną w księżycowej poświacie równiną.

---

* *Ordo* (łac.) – tym terminem, oznaczającym w zasadzie właściwy porządek, Rzymianie określali m. in. zwartą grupę, np. oddział wojskowy, senat rzymski, radę miejską czy ludzi o jednakowej randze zawodowej lub klasę społeczną.

** Seneka, *O zjawiskach natury*, przeł. Leon Joachimowicz.

JUPITER

24 sierpnia
Dzień erupcji

HORA PRIMA

(godzina 6.20)

> *W pewnym momencie gorąca magma weszła w interakcję z sączącymi się przez wulkan wodami gruntowymi, inicjując pierwsze wydarzenie, niewielką erupcję freato-magmatyczną, która zasypała drobną szarą tefrą wschodnie zbocza wulkanu. Miało to prawdopodobnie miejsce w nocy albo rankiem 24 sierpnia.*
>
> *Volcanoes: A Planetary Perspective*

Przez całą parną noc, w trakcie której naprawiali akwedukt przy świetle pochodni, nie zwierzał się ze swoich obaw nikomu.

Pomagał Korwinusowi i Politesowi mieszać cement w drewnianych korytach, dodając gaszone wapno, sproszkowane puteolanum i niewielkie ilości wody – nie więcej niż czarkę, ponieważ na tym właśnie polegała tajemnica dobrego cementu: im bardziej sucha mieszanina, tym mocniej krzepł – a potem pomagał niewolnikom spuszczać go w koszach do tunelu i rozprowadzać na dnie. Rozbijał razem z Brebiksem gruz, który wydobyli wcześniej i teraz dodawali do cementu, żeby wzmocnić fundament. Pomagał piłować deski, które były potrzebne do szalowania ścian i wyrównywania mokrego cementu. Podawał cegły Musie, który je układał. Na koniec stanął ramię w ramię z Korwinusem, aby pokryć je cienką warstwą zaprawy. (I na tym właśnie polegała druga tajemnica idealnego cementu: trzeba go było ubijać tak mocno, jak to tylko możliwe, „rąbać tak, jak rąbie się drewno”, wycisnąć z niego ostatnią bańkę wody lub powietrza, która mogłaby osłabić mur).

Kiedy niebo nad studzienką zaczęło szarzeć, wiedział już, że zrobili dosyć, by przywrócić drożność Auguście. Oczywiście musi tu jeszcze wrócić, żeby naprawić ją porządnie. Na razie jednak, przy odrobinie szczęścia, powinna wytrzymać. Przemierzył z pochodnią w ręce cały załatany odcinek, sprawdzając każdą cegłę. Wodoodporna zaprawa zacznie krzepnąć, kiedy akweduktem popłynie woda. Pod koniec pierwszego dnia stwardnieje, pod koniec trzeciego będzie mocniejsza od skały.

Jeśli fakt, że coś jest mocniejsze od skały, jeszcze cokolwiek znaczy, przemknęło mu przez myśl, lecz nikomu nie zwierzył się ze swoich obaw.

– Cement, który schnie pod wodą – powiedział do Musy, wracając pod studzienkę. – To dopiero jest cud.

Ostatni wyszedł na powierzchnię. W świetle wstającego dnia okazało się, że rozbili obóz na usianym kamieniami, przylegającym do zbocza pastwisku. Na wschodzie rysowały się strome urwiska Apeninów i wyłaniające się z porannej mgiełki, oddalone o pięć albo sześć mil miasto – najprawdopodobniej Nola. Prawdziwym szokiem była jednak bliskość Wezuwiusza. Wznosił się dokładnie na zachód od nich i teren zaczynał biec w górę już kilkaset kroków od akweduktu, wznosząc się tak stromo, że inżynier musiał zadzierać głowę, żeby dostrzec szczyt. Teraz, kiedy zrobiło się jaśniej, najbardziej niepokojące były szarawobiałe smugi, które pojawiły się na jednym z jego zboczy. Odbijały

się wyraźnie od otaczającego lasu, przypominając skierowane ku szczytowi groty strzał. Gdyby to nie był sierpień, Atiliusz przysiągłby, że to śnieg. Inni też je zauważyli.

– Lód? – mruknął Brebiks, przyglądając się górze. – Lód w sierpniu?

– Widziałeś już kiedyś coś podobnego, akwariuszu? – zapytał Musa.

Atiliusz pokręcił głową. Przypomniał mu się opis przeczytany w greckim papirusie: *pokryte wyrzucanymi przez Etnę popiołami tereny szczególnie nadają się do uprawy winorośli*.

– Czy to może być… – mruknął z wahaniem, jakby do siebie. – Czy to może być popiół?

– Ale czy popiół może się pojawić bez ognia? – zaprotestował Musa. – A gdyby płonął tam tak wielki ogień, zobaczylibyśmy go w nocy.

– To prawda.

Atiliusz omiótł wzrokiem ich zmęczone, przestraszone twarze. Wszędzie widać było ślady nocnej harówki – sterty gruzu, puste amfory, pogaszone pochodnie, spalona ziemia w miejscach, gdzie w nocy płonęły ogniska. Jezioro zniknęło, a razem z nim ptaki. Nie słyszał, jak odlatują. Zza grani naprzeciwko Wezuwiusza zaczęło się wyłaniać słońce. Powietrze było dziwnie nieruchome. Zdał sobie sprawę, że nie słychać śpiewu ptaków. Żadnych porannych chórów. Już samo to wprawiłoby augurów w przerażenie.

– Jesteś pewien, że nie było tych smug wczoraj, kiedy przyjechałeś z Koraksem? – zapytał.

– Nie było. – Musa przyglądał się Wezuwiuszowi jak urzeczony. Po chwili wytarł ręce o brudną tunikę. – To musiało wydarzyć się w nocy. Pamiętasz ten huk, który wstrząsnął ziemią? To musiało być to. Góra pękła i rzygnęła.

Wśród mężczyzn dał się słyszeć niespokojny pomruk.

– To mogły być tylko olbrzymy! – krzyknął któryś z nich.

Atiliusz otarł pot z oczu. Zaczynało robić się gorąco. Czeka ich kolejny skwarny dzień. I coś jeszcze oprócz skwaru – ziemia była niczym membrana bębna, którą ktoś zbyt mocno naciągnął. Czy to złudzenie, czy też grunt naprawdę lekko wibrował? Ze strachu zjeżyły mu się włosy na karku. Etna i Wezuwiusz… zaczynał dostrzegać ten sam złowrogi związek, który odkrył Eksomniusz.

– W porządku – powiedział dziarsko. – Wynosimy się stąd. Usuńcie wszystko z kanału! – zawołał przez ramię, ruszając w stronę Korelii. – I dobrze sprawdźcie, czy nic nie zostało. Już tu skończyliśmy.

• • •

Korelia jeszcze spała, przynajmniej tak mu się zdawało. Zwinięta w kłębek, leżała na boku przy dalszym z wozów, z podkurczonymi nogami i zaciśniętymi pięściami, przysuniętymi do twarzy. Stał przez chwilę, podziwiając jej urodę, która zupełnie nie pasowała do tego pustkowia – Egerię, spoczywającą pośród pospolitych narzędzi jego fachu.

– Nie śpię już od paru godzin – powiedziała, po czym obróciła się na plecy i otworzyła oczy. – Skończyliście pracę?

– Kończymy. – Atiliusz ukląkł i zaczął zbierać papirusy. – Robotnicy wracają do Pompejów. Chcę, żebyś wyjechała przed nimi. Dam ci eskortę.

Korelia szybko usiadła.

– Nie!

Wiedział, że tak zareaguje. Rozmyślał nad tym pół nocy. Ale jaki miał wybór?

– Musisz odłożyć te dokumenty tam, skąd je wzięłaś. Jeśli wyruszysz już teraz, będziesz w Pompejach przed południem. Jeżeli dopisze ci szczęście, on nigdy się nie dowie, że je wykradłaś i przywiozłaś, żeby mi pokazać.

– Ale to dowód jego korupcji…

– Nie. – Atiliusz podniósł ręce, żeby ją uciszyć. – To żaden dowód. Same papirusy nic nie znaczą. Dowodem byłoby zeznanie, jakie Eksomniusz złożyłby przed magistratem. Ale Eksomniusza nie ma. Nie ma pieniędzy, które zapłacił mu twój ojciec, i nie ma nawet jednego dowodu, na co je wydał. Był bardzo ostrożny. Dla świata Eksomniusz jest uczciwy niczym Katon. Poza tym w tej chwili ważniejsze jest wyekspediowanie cię stąd. Coś złego dzieje się z górą. Nie wiem co. Eksomniusz spodziewał się tego od kilku tygodni. Wygląda, jakby… – Atiliusz urwał. Nie miał pojęcia, jak ująć to w słowa. – Wygląda, jakby ożywała. Będziesz bezpieczniejsza w Pompejach.

Korelia pokręciła głową.

– A ty co chcesz zrobić?

– Wracam do Misenum. Złożę raport admirałowi. On jeden potrafi zrozumieć, co tu się dzieje.

– Kiedy zostaniesz sam, będą próbowali cię zabić.

– Nie wydaje mi się. Gdyby chcieli to zrobić, mieli dość okazji tej nocy. Teraz to będzie trudniejsze. Mam konia. Oni są pieszo. Nie dogonią mnie, nawet jeśli będą próbowali.

– Ja też mam konia. Zabierz mnie ze sobą.

– To niemożliwe.

– Dlaczego? Potrafię jeździć.

Przez moment wyobrażał sobie, jak pojawiają się oboje w Misenum. Córka właściciela Villa Hortensia zamieszkuje w jego ciasnej izbie w Piscina Mirabilis. Ukrywa się, kiedy przychodzi po nią Ampliatus. Jak długo to może trwać? Dzień, dwa? A potem co? Prawa, którymi rządzi się społeczeństwo, są tak samo niewzruszone jak prawa inżynierii.

– Posłuchaj, Korelio – powiedział, biorąc ją za ręce. – Gdybym mógł ci jakoś pomóc i odwdzięczyć się za wyświadczoną przysługę, zrobiłbym to. Ale sprzeciwianie się woli twojego ojca to szaleństwo.

– Nic nie rozumiesz. – Korelia ściskała gorączkowo jego palce. – Nie mogę wrócić. Nie zmuszaj mnie, żebym wracała. Nie zniosę znowu jego widoku i nie mogę wyjść za tego człowieka…

– Znasz przecież prawo. Jeśli chodzi o małżeństwo, należysz do swojego ojca tak samo jak którykolwiek z tych niewolników. – Cóż mógł jej powiedzieć? Wstrętem napawały go własne słowa. – Może to nie będzie takie straszne, jak myślisz. – Korelia jęknęła, cofnęła ręce i zasłoniła nimi twarz. – Nie możemy uciec przed przeznaczeniem – brnął dalej. – I wierz mi, są gorsze rzeczy od ślubu z bogaczem. Mogłabyś pracować na polu i umrzeć w wieku dwudziestu lat. Albo być młodocianą prostytutką w Pompejach. Pogódź się z tym, co musi się wydarzyć. Przeżyjesz. Zobaczysz.

Patrzyła na niego długo, a on nie wiedział, czy w jej oczach maluje się pogarda, czy nienawiść.

– Wolałabym zostać kurwą, przysięgam.

– A ja przysięgam, że byś nie wolała – odparł ostrzejszym tonem. – Jesteś młoda. Co ty wiesz o tym, jak żyją ludzie?

– Wiem, że nie mogę wyjść za kogoś, kim pogardzam. Ty byś mógł? – Spiorunowała go wzrokiem. – Może i mógłbyś.

– Nie mów tak, Korelio – powiedział, odwracając się.

– Jesteś żonaty?

– Nie.

– Ale byłeś?

– Tak – odparł cicho. – Byłem żonaty. Moja żona umarła.

To na chwilę ją uciszyło.

– Pogardzałeś nią?

– Oczywiście, że nie.

– A ona tobą?

– Może pogardzała…

– Jak umarła? – zapytała Korelia po chwili.

Nigdy o tym nie mówił. Nigdy nawet o tym nie myślał. A jeśli zdarzało się, zwłaszcza w bezsennej godzinie przed świtem, że jego umysł zmierzał w tę nieszczęsną stronę, nauczył się ściągać mu cugle i kierować gdzie indziej. Ale teraz – to miało jakiś związek z Korelią, zalazła mu za skórę – ku własnemu zdziwieniu zaczął opowiadać.

– Była do ciebie trochę podobna. I tak jak ty miała ognisty temperament. – Zaśmiał się. – Byliśmy małżeństwem przez trzy lata. – To jakiś obłęd; nie mógł przestać mówić. – Rodziła dziecko, ale wychodziło z niej nogami do przodu, tak jak Agryppa. To właśnie znaczy Agryppa: *aegre partus*, „z trudem urodzony”… Wiedziałaś o tym? Z początku myślałem, że to dobry omen dla przyszłego akwariusza, fakt, że urodził się tak samo jak wielki Agryppa. Byłem pewien, że to chłopak. Ale minął cały dzień… to było w Rzymie, w czerwcu, gorąco… prawie tak samo gorąco jak tutaj… i mimo że czuwali przy niej lekarz i dwie akuszerki, dziecko nie chciało wyjść na zewnątrz. A potem zaczęła krwawić. – Atiliusz zamknął oczy. – Przyszli do mnie przed zmrokiem. „Marku Atiliuszu, wybieraj. Żona czy dziecko?” Odparłem, że wybieram oboje. Ale oni powiedzieli, że to niemożliwe, odpowiedziałem więc, że oczywiście żonę. Poszedłem, żeby przy niej być. Była bardzo słaba, ale nie zgodziła się ze mną. Kłóciła się nawet wtedy! Mieli nożyce, wiesz… podobne do tych, jakich używają ogrodnicy. I nóż. I hak. Obcięli najpierw jedną, potem drugą stopę, poćwiartowali nożem ciało, a potem wyciągnęli hakiem główkę. Ale Sabina nie przestała krwawić i nazajutrz rano ona także umarła. Więc sam nie wiem… Może pod koniec mną pogardzała.

• • •

Odesłał ją do Pompejów z Politesem. Nie dlatego, że grecki niewolnik był najsilniejszym obrońcą czy najlepszym jeźdźcem, jakiego miał do dyspozycji, lecz dlatego, że jemu jednemu ufał. Dał mu wierzchowca Korwinusa i polecił nie spuszczać Korelii z oka, dopóki nie znajdzie się bezpieczna w domu.

W końcu spotulniała i prawie się nie odzywała, a on wstydził się tego, co jej wcześniej powiedział. Uciszył ją dość skutecznie, lecz uczynił to w sposób tchórzliwy, niegodny mężczyzny, użalając się nad sobą. Czy któryś z rzymskich prawników posłużył się kiedykolwiek bardziej tandetną sztuczką retoryczną niż on, przywołując duchy zmarłej żony i dziecka? Korelia włożyła płaszcz, a potem odrzuciła do tyłu długie czarne włosy i w tym geście było coś imponującego: zrobi to, o co ją prosił, ale nigdy nie przyzna mu racji. Wskakując lekko na siodło, nie spojrzała nawet w jego stronę. Cmoknęła, zebrała cugle i ruszyła w ślad za Politesem.

Musiał zmobilizować całą siłę woli, żeby za nią nie pobiec. Nędzną otrzymała nagrodę za ryzyko, jakie dla mnie podjęła, pomyślał. Ale czego się po nim spodziewała? A co do przeznaczenia – tematu jego pobożnego krótkiego kazania – tak się składało, że wierzył w przeznaczenie. Człowiek jest doń przykuty od urodzenia, niczym do toczącego się wozu. Cel podróży pozostaje zawsze ten sam – można najwyżej wybrać sposób, w jaki się tam dotrze: krocząc z podniesionym czołem lub będąc wleczonym w pyle, skarżąc się i skamląc.

Mimo to zbierało mu się na mdłości, kiedy patrzył, jak odjeżdża w słońcu, które świeciło coraz jaśniej, w miarę jak się oddalała. Śledził ją wzrokiem bardzo długo, aż do chwili, gdy konie minęły gaj oliwny i zniknęły.

• • •

Admirał leżał na materacu w swojej sypialni bez okien w Misenum i wspominał dawne dzieje.

Myślał o płaskich błotnistych lasach Górnej Germanii, deszczach, wiatrach i wielkich dębach, rosnących przy brzegu północnego morza – jeśli można w ogóle mówić o brzegu tam, gdzie trudno odróżnić ląd od wody. Wspominał, jak podczas sztormu drzewa odrywały się czasami ze straszliwym trzaskiem od brzegu i dryfowały na wysepkach ziemi uwięzionej między ich korzeniami, z listowiem rozwiniętym niczym żagle, rozbijając kruche rzymskie galery. Wciąż miał przed oczami rozświetlającą mroczne niebo błyskawicę, migające między drzewami blade twarze chaukijskich jeźdźców, zapach błota i deszczu, przerażający widok drzew zderzających się z zakotwiczonymi okrętami, swoich żołnierzy tonących w tym brudnym barbarzyńskim morzu…

Zadrżał, otworzył oczy w półmroku i podparłszy się na łokciu, zapytał, w którym są miejscu.

Siedzący przy świecy z rylcem w dłoni Aleksjon spojrzał na woskową tabliczkę.

– Przy Domitiuszu Korbulo, admirale – odparł. – Kiedy służyłeś w kawalerii i walczyłeś z Chaukami*.

– No właśnie. Chaukowie. Pamiętam…

Ale co właściwie pamiętał? Admirał od kilku miesięcy usiłował pisać pamiętniki – swoją ostatnią książkę, nie miał co do tego wątpliwości – i chętnie do tego wrócił, by oderwać myśli od kryzysu związanego z akweduktem. Jednak to, co sam widział i czego sam dokonał, oraz to, o czym tylko czytał albo słyszał, zlało się ostatnimi czasy w jeden nieprzerwany sen. Iluż rzeczy był świadkiem! Pamiętał cesarzową Lollię Paulinę, żonę Kaliguli, skrzącą się niczym fontanna na swoim urodzinowym przyjęciu, ozdobioną kaskadami pereł i szmaragdów wartych czterdzieści milionów sestercji. A także cesarzową Agrypinę, którą poślubił śliniący się Klaudiusz. Widział, jak przechadzała się w płaszczu utkanym ze złotych nitek. Widział też oczywiście kopalnie złota, kiedy był prokuratorem w północnej Hiszpanii – widział górników, zawieszonych na linach i wgryzających się w zbocze, tak że z oddali wyglądali niczym olbrzymie ptaki dziobiące skalną ścianę. Tyle znoju, tyle ofiar, i po cóż to wszystko? Biedna Agrypina zginęła właśnie tutaj, w tym mieście, zamordowana przez Anicetusa, jego poprzednika na stanowisku admirała misenijskiej floty, na rozkaz jej syna, Nerona, który wysłał matkę na morze na pokładzie skazanego na zagładę statku, a gdy ten zatonął i zdołała jakoś dotrzeć do brzegu, kazał ją zadźgać marynarzom. Historie! Na tym polegał jego problem. Znał zbyt wiele historii, by pomieścić je w jednej książce.

– Chaukowie… – Ile miał wtedy lat? Dwadzieścia cztery? To była jego pierwsza kampania. – Chaukowie, jak pamiętam – zaczął ponownie – mieszkali na wysokich drewnianych pomostach, ażeby

uniknąć zdradzieckich przypływów. Zbierali gołymi rękami błoto, które potem suszyli na lodowatym północnym wietrze i używali jako opału. Pili wyłącznie wodę deszczową, którą trzymali w zbiornikach przed domami, oczywisty dowód braku cywilizacji. Żałosne sukinsyny z tych Chauków! Wykreśl ten ostatni fragment – dodał po chwili.

Drzwi uchyliły się na moment i padł zza nich snop jaskrawego światła. Usłyszał szum Morza Śródziemnego i walenie młotów w stoczni. A więc już ranek. Nie spał od wielu godzin. Drzwi zamknęły się. Niewolnik podszedł na palcach do sekretarza i szepnął mu coś do ucha. Pliniusz obrócił swoje tłuste ciało na bok, żeby mieć lepszy widok.

– Która godzina?

– Kończy się pierwsza, admirale.

– Czy otwarto śluzy w zbiorniku?

– Tak, admirale. Mamy wiadomość, że zużyto resztę wody.

Pliniusz jęknął i opadł na poduszkę.

– I wygląda na to, admirale, że dokonano niezwykłego odkrycia.

• • •

Robotnicy odjechali mniej więcej pół godziny po Korelii. Obyło się bez długich pożegnań. Niewolnicy Ampliatusa zarazili swoim lękiem Musę i Korwinusa i wszyscy chcieli jak najszybciej schronić się w bezpiecznych Pompejach. Nawet Brebiks, były gladiator, niepokonany bohater trzydziestu walk, co chwila zwracał nerwowo małe ciemne oczy ku Wezuwiuszowi. Uprzątnęli tunel i załadowali na wozy narzędzia, niewykorzystane cegły oraz puste amfory. Na koniec dwaj niewolnicy zasypali ziemią resztki nocnych ognisk i zakopali szare plamy po cemencie. Kiedy skończyli, mogło się wydawać, że ich tu w ogóle nie było.

Atiliusz stał przy studzience, nieufny, ze skrzyżowanymi na piersi rękami, patrząc, jak szykują się do odjazdu. Teraz, gdy praca dobiegła końca, groziło mu największe niebezpieczeństwo. To byłoby jak najbardziej w stylu Ampliatusa: pozbyć się inżyniera, dopiero kiedy zostanie bezwzględnie wykorzystany. Atiliusz czuł, że jest gotów do walki. Jeśli będzie musiał, drogo sprzeda swoją skórę.

Musa, który jako jedyny oprócz niego miał konia, skoczył na siodło.

– Jedziesz?! – zawołał do Atiliusza.

– Jeszcze nie. Dogonię was.

– Dlaczego nie ruszasz razem z nami?

– Ponieważ mam zamiar wjechać na górę.

Musa posłał mu zdumione spojrzenie.

– Po co?

Trafne pytanie. Ponieważ odpowiedź na to, co działo się na dole, musi znajdować się tam, na górze. Ponieważ moim zadaniem jest dopilnować, by akweduktem płynęła woda. Ponieważ się boję. Inżynier wzruszył ramionami.

– Z ciekawości. Nie martw się. Nie zapomniałem o mojej obietnicy, jeśli to cię niepokoi. Masz. – Rzucił Musie skórzaną sakiewkę. – Dobrze się spisałeś. Kup ludziom wino i coś do jedzenia.

Musa otworzył sakiewkę i sprawdził jej zawartość.

– Jest tutaj dużo pieniędzy, akwariuszu. Starczy i na kobietę.

Atiliusz roześmiał się.

– Bezpiecznej podróży, Muso. Wkrótce się zobaczymy. W Pompejach albo w Misenum.

Musa znów na niego popatrzył i miał chyba ochotę coś powiedzieć, ale nagle się rozmyślił. Ruszył w ślad za wozami i Atiliusz został sam.

Uderzył go dziwny bezruch dnia, zupełnie jakby Natura wstrzymywała oddech. Terkot ciężkich drewnianych kół powoli cichł w oddali i Atiliusz słyszał teraz tylko rozlegające się co jakiś czas kozie dzwoneczki i wszechobecne granie cykad. Słońce było już całkiem wysoko. Rozejrzał się po pustkowiu, a potem położył na brzuchu i zajrzał w głąb kanału. Na ramionach i plecach czuł ciężar upału. Pomyślał o Sabinie, Korelii i o strasznym widoku swego martwego syna. Z oczu popłynęły mu łzy. Nie próbował ich powstrzymać, ten jeden raz poddał się rozpaczy, trzęsąc się i zachłystując, łykając stęchłe powietrze, wdychając zimną gorzką woń mokrego cementu. Czuł się dziwnie oddalony od samego siebie, jakby składał się z dwóch osób: jednej płaczącej i drugiej patrzącej, jak płacze.

Po jakimś czasie uspokoił się, wstał, otarł twarz rękawem tuniki i dopiero gdy ponownie spojrzał do tunelu, coś przyciągnęło jego wzrok – w ciemności błysnęło odbite światło. Odsunął się trochę, żeby słońce mogło zaświecić bezpośrednio w głąb studzienki, i zobaczył, że koryto akweduktu zaczyna lśnić. Przetarł oczy i ponownie spojrzał w dół. Na jego oczach lśnienie stawało się coraz wyraźniejsze, falując i poszerzając się, w miarę jak tunel wypełniał się wodą.

– Płynie! – szepnął.

Kiedy upewnił się, że nie jest w błędzie i Augustą naprawdę znów płynie woda, zasunął ciężką kamienną pokrywę studzienki i powoli ją opuścił, cofając w ostatniej chwili palce. Tunel zamknął się z hukiem.

Odwiązał konia i wskoczył na siodło. W falującym od żaru powietrzu słupki akweduktu przypominały wynurzające się z morza podwodne skały. Ściągnął cugle, odwrócił się ku Wezuwiuszowi, a potem spiął konia i ruszył traktem prowadzącym w górę; z początku jechał powoli, a potem, w miarę jak grunt zaczął się podnosić, puścił się kłusem.

• • •

Z Piscina Mirabilis spłynęła resztka wody i olbrzymi zbiornik był pusty, co stanowiło rzadki widok. Ostatnim razem spuszczono ją przed dziesięcioma laty, żeby niewolnicy mogli uprzątnąć osad i sprawdzić, czy nie ma pęknięć na ścianach. Admirał słuchał uważnie, kiedy niewolnik wyjaśniał mu, jak funkcjonuje cały system. Zawsze interesowały go kwestie techniczne.

– Jak często powinno się to robić? – zapytał.

– Przyjmuje się, że co dziesięć lat, admirale.

– A zatem czekało nas to już wkrótce?

– Tak jest, admirale.

Stali na schodach zbiornika, w połowie drogi w dół – Pliniusz, jego siostrzeniec Gajusz, sekretarz Aleksjon oraz niewolnik wodny, Dromo. Pliniusz rozkazał, żeby niczego nie ruszano do jego przybycia, i przy drzwiach objął wartę marynarz, który nie wpuszczał do środka osób nieupoważnionych. Wieść o odkryciu rozeszła się jednak po mieście i na dziedzińcu zgromadził się zwykły w takich okolicznościach tłum.

Dno zbiornika wyglądało jak błotnista plaża podczas odpływu. Tu i tam widać było pozostałe w zagłębieniach osadu niewielkie kałuże oraz rozmaite przedmioty – zardzewiałe narzędzia, kamienie, buty – które w ciągu tych lat wpadły do wody i zatonęły. Niektóre, całkowicie przykryte osadem, wyglądały niczym niewielkie garby na gładkiej powierzchni. Ślady kilku stóp prowadziły od schodów do miejsca pośrodku zbiornika, gdzie leżało coś większego. Dromo zapytał, czy ma to przynieść admirałowi.

– Nie – odparł Pliniusz. – Chcę sam zobaczyć. Bądź tak dobry, Gajuszu – dodał, wskazując swoje buty.

Jego siostrzeniec ukląkł i rozpiął je, podczas gdy admirał opierał się o Aleksjona. Myśl o tym, co go czeka, wypełniała go niemal dziecinną radością i uczucie to spotęgowało się, kiedy pokonał ostatnie stopnie i ostrożnie postawił stopę na warstwie osadu. Spomiędzy jego palców wypłynął cudownie chłodny czarny muł i na moment admirał znów stał się chłopcem, bawiącym się przy brzegu jeziora, nieopodal rodzinnego domu w Comum w Italii Transpadańskiej. Wszystkie późniejsze lata – prawie pół stulecia – wydały się ulotne jak sen. Ile razy przytrafiało mu się to każdego dnia? Dawniej nigdy tego nie doświadczał. Ostatnio jednak sygnałem mógł być jakikolwiek drobiazg – dotyk, zapach, dźwięk, barwa – i natychmiast zalewały go wspomnienia, o których nie wiedział nawet, że istnieją, jakby był już tylko sapiącym ciężko workiem zapamiętanych wrażeń.

Uniósł poły togi i zaczął ostrożnie stawiać kroki, czując, jak zapada się w błoto, które wydawało rozkosznie ssący odgłos za każdym razem, gdy wynurzał z niego stopę.

– Uważaj, wuju! – usłyszał za sobą okrzyk Gajusza, ale w odpowiedzi pokręcił tylko ze śmiechem głową.

Nie stąpał po śladach zostawionych przez innych: przyjemniej było rozrywać skorupę błota tam, gdzie było jeszcze świeże i zaczynało dopiero krzepnąć w ciepłym powietrzu. Pozostali podążali za nim z szacunkiem w stosownej odległości.

Cóż to za niezwykła budowla, pomyślał, ten podziemny loch, którego kolumny dziesięciokrotnie przewyższają wzrost człowieka! Cóż za umysł stworzył tę wizję, czyjaż wola i energia powołała ją do życia tylko po to, by magazynować wodę, która i tak już pokonała odległość sześćdziesięciu mil! Nigdy nie miał nic przeciwko deifikacji cesarzy. „Bóg to człowiek pomagający człowiekowi”, taka była jego filozofia. Boski August zasłużył sobie na miejsce w panteonie choćby dlatego, że wybudował kampanijski akwedukt i Piscina Mirabilis. Pośrodku zbiornika admirałowi zabrakło tchu, tak bardzo zmęczyło go wyciąganie stóp z lepkiego błota. Oparł się o jedną z kolumn. Mimo to cieszył się, że zadał sobie tyle trudu. Niewolnik mądrze zrobił, posyłając po niego. To było coś, co powinien zobaczyć na własne oczy: tajemnica Natury stała się również tajemnicą Człowieka.

Przedmiotem odnalezionym w błocie była amfora do przechowywania niegaszonego wapna. Stała niemal pionowo, w dolnej części zanurzona w miękkiej warstwie osadu. Obok leżał zwój długiej cienkiej liny, której koniec przymocowany był do uchwytów amfory. Zapieczętowaną woskiem przykrywkę podważono. W błocie lśniło może ze sto małych srebrnych monet.

– Niczego tu nie ruszano, admirale – powiedział niespokojnie Dromo. – Kazałem im zostawić wszystko dokładnie tak, jak jest.

– Ile twoim zdaniem może tu być, Gajuszu? – zapytał Pliniusz, wydymając policzki.

Jego siostrzeniec zanurzył obie dłonie w amforze, wydobył je i pokazał admirałowi. Sypały się z nich srebrne denary.

– To prawdziwa fortuna, wuju.

– I z pewnością nielegalna. Kala uczciwe błoto. – Ani na glinianym naczyniu, ani na linie nie było grubej warstwy osadu, co oznaczało, że amfora nie leżała w zbiorniku zbyt długo, najwyżej miesiąc. Pliniusz podniósł wzrok ku sklepionemu sufitowi. – Ktoś musiał wypłynąć łodzią – powiedział – i spuścić amforę przy kolumnie.

– A potem rzucić linę? – Gajusz posłał mu zdumione spojrzenie. – Ale kto mógł zrobić coś takiego? Jaką miałby nadzieję, że odzyska pieniądze? Żaden nurek nie dopłynąłby tak głęboko!

– To prawda. – Pliniusz zanurzył pulchną dłoń w amforze i przyjrzał się monetom, rozsuwając je kciukiem. Z jednej strony zdobił je znajomy surowy profil Wespazjana, z drugiej święte insygnia augurów. Napis przy krawędzi – IMP CAES VESP AVG COS III – oznaczał, że zostały wybite w czasach trzeciego cesarskiego konsulatu, przed ośmioma laty. – To skłania nas do wniosku, Gajuszu, że właściciel nie planował odzyskać ich, nurkując, lecz spuszczając wodę z Piscina Mirabilis. A jedyną osobą, która miała prawo w każdej chwili opróżnić zbiornik, był nasz zaginiony akwariusz, Eksomniusz.

---

* Chaukowie (Chauci) – szczep germański zamieszkujący obszary między dolną Amizą (Ems) i Łabą.

HORA QUARTA

(godzina 10.37)

> *Uzyskane w trakcie niedawnych badań dane na temat średniego tempa wznoszenia się magmy sugerują, że magma w komorze pod Wezuwiuszem mogła zacząć się wznosić kominem wulkanu z szybkością >0,2 metra na sekundę mniej więcej na cztery godziny przed erupcją – czyli około godziny dziewiątej rano 24 sierpnia.*
>
> Wolfgang Grassmann (red.), *Dynamics of Volcanism*

Q*uattuorviri* – Rada Czterech, wybieralni magistraci Pompejów – zebrali się na nadzwyczajnym posiedzeniu w bawialni Lucjusza Popidiusza. Niewolnicy wnieśli dla nich fotele oraz mały stół; urzędnicy siedzieli wokół niego, przeważnie w milczeniu, ze skrzyżowanymi na piersi rękami. Ampliatus, ze względu na to, iż nie był magistratem, spoczywał na stojącej w kącie sofie i obserwował ich, jedząc figę. Przez otwarte drzwi widział pływalnię, niedziałającą fontannę, a także kota, który bawił się małym ptaszkiem w rogu wyłożonego płytkami ogrodu. Intrygował go rytuał powolnego zadawania śmierci. Egipcjanie uważali kota za święte zwierzę, ze wszystkich stworzeń najbardziej zbliżone inteligencją do człowieka. I w całej Naturze tylko koty i ludzie – z tego, co wiedział – czerpią oczywistą przyjemność z okrucieństwa. Czy to oznacza, że okrucieństwo i inteligencja są ze sobą w nieunikniony sposób połączone? Ciekawe…

Zjadł kolejną figę. Popidiusz skrzywił się, słysząc jego mlaskanie.

– Można powiedzieć, że nic nie mąci twojego spokoju, Ampliatusie – stwierdził, a w jego głosie zabrzmiała lekka irytacja.

– Jestem absolutnie spokojny. I wy powinniście się odprężyć.

– Łatwo ci powiedzieć. To nie twoje nazwisko widnieje na rozlepionych w całym mieście pięćdziesięciu afiszach, zapewniających mieszkańców, że woda znów popłynie koło południa.

– Publiczna odpowiedzialność… oto cena wybieralnego urzędu, mój drogi Popidiuszu. – Ampliatus pstryknął mokrymi od soku palcami i niewolnik podał mu małą srebrną miseczkę. Milioner zanurzył w niej dłoń i wytarł ją o jego tunikę. – Powinniście pokładać więcej wiary w rzymskiej inżynierii, dostojni panowie. Wszystko będzie dobrze.

Minęły już cztery godziny, odkąd w Pompejach nastał kolejny skwarny, bezchmurny dzień i mieszkańcy odkryli, że w mieście nie ma wody. Ich reakcja zgodna była z oczekiwaniami Ampliatusa. Fontanny wyschły nazajutrz po tym, jak miasto złożyło ofiarę Wulkanowi, i nawet ci najmniej przesądni dostrzegali w tym oznakę boskiego gniewu. Wczesnym rankiem na ulicach zaczęły gromadzić się nerwowe grupki. Podpisane przez L. Popidiusza Sekundusa afisze, które wywieszono na forum oraz przy większych fontannach, oznajmiały, że prowadzone są prace naprawcze i woda popłynie ponownie

o godzinie siódmej. Nie pokrzepiło to jednak na duchu tych, którzy pamiętali straszliwe trzęsienie ziemi sprzed siedemnastu lat – wówczas również zabrakło wody – i przez cały ranek w mieście utrzymywało się napięcie. Część sklepów pozostała zamknięta. Kilka osób załadowało swój dobytek na wozy i wyjechało, ogłaszając wszem wobec, że Wulkan zniszczy Pompeje po raz drugi. A teraz rozeszły się wieści, że *quattuorviri* radzą w domu Popidiusza. Na ulicy zebrał się tłum. Co jakiś czas w wykwintnej bawialni słychać było jego pomruk, podobny do tego, jaki wydają dzikie bestie w klatkach w podziemiach amfiteatru, zanim wypuści się je, żeby walczyły z gladiatorami.

Britiusz zadrżał.

– Mówiłem wam, że nie powinniśmy w ogóle pomagać temu inżynierowi – mruknął.

– To prawda – zgodził się Kuspiusz. – Mówiłem tak od samego początku. Zobaczcie, do czego nas to doprowadziło.

Jak wiele rzeczy można wyczytać z ludzkiej twarzy, pomyślał Ampliatus. Do jakiego stopnia folguje sobie w jedzeniu i piciu, jaki wykonuje rodzaj pracy, jak bardzo jest dumny, tchórzliwy czy silny. Choćby Popidiusz: przystojny i słaby; Kuspiusz, podobnie jak jego ojciec, odważny, brutalny i głupi; Britiusz, bezwolny i nieznający umiaru; Holkoniusz cierpki jak ocet i sprytny – zbyt wiele było sardeli i sosu *garum* w jego diecie.

– Bzdura – parsknął Ampliatus. – Zastanówcie się, gdybyśmy mu nie pomogli, pojechałby po prostu do Noli, a my i tak stracilibyśmy dostawy wody, tyle że dzień później. I jak by to wyglądało, gdyby dowiedziano się o tym w Rzymie? Poza tym, wiemy dzięki temu, gdzie się znajduje. Mamy go w garści.

Inni nie zwrócili na to uwagi, lecz stary Holkoniusz od razu się odwrócił.

– Dlaczego to takie ważne, żebyśmy wiedzieli, gdzie on jest?

Ampliatus przez moment nie wiedział, co odpowiedzieć. W końcu pokrył zmieszanie śmiechem.

– Daj spokój, Holkoniuszu! Zawsze dobrze jest wiedzieć jak najwięcej, nieprawdaż? W tym celu warto było dać mu kilku niewolników, parę desek i trochę niegaszonego wapna. Czyż nie jest łatwiej kontrolować kogoś, kto jest twoim dłużnikiem?

– Wyjąłeś mi to z ust – odparł oschle Holkoniusz, zerkając na siedzącego po drugiej stronie stołu Popidiusza.

Ten nie był aż tak głupi, żeby nie zrozumieć kryjącej się w tych słowach zniewagi.

– Co to ma znaczyć? – zapytał, odsuwając krzesło i oblewając się szkarłatnym rumieńcem.

– Posłuchajcie! – przerwał im Ampliatus. Chciał zakończyć tę rozmowę, zanim ktoś powie o jedno słowo za dużo. – Chcę was poinformować o przepowiedni, którą zamówiłem latem, kiedy zaczęły się wstrząsy.

– O przepowiedni? – Popidiusz usiadł z powrotem, nie kryjąc zainteresowania. Ampliatus wiedział, że uwielbia te rzeczy: starą Birię, jej pokryte mistycznymi napisami magiczne dłonie z brązu, jej klatkę z wężami i mlecznobiałe oczy, którymi nie widziała rozmówcy, lecz potrafiła ujrzeć przyszłość. – Zwróciłeś się do wieszczki? Co powiedziała?

Ampliatus zrobił odpowiednio poważną minę.

– Złożyła Sabaziusowi w ofierze węże i obdarła je ze skóry, aby odczytać przyszłość z ich wnętrzności. Byłem przy niej przez cały czas.

Pamiętał płomienie na ołtarzu, dym, lśniące dłonie, kadzidło i głos wieszczki, załamujący się i piskliwy, prawie nieprzypominający ludzkiego, podobny do głosu tej miotającej przekleństwa starej

kobiety, której syna rzucił na pożarcie murenom. Wbrew rozsądkowi dał się porwać temu widowisku.

– Widziała miasto… nasze miasto… w dalekiej przyszłości. Za tysiąc, może nawet więcej lat. – Umyślnie zniżył głos do szeptu. – Widziała miasto cieszące się sławą na całym świecie. Nasze świątynie, nasze amfiteatry, nasze ulice… pełne były ludzi mówiących wszystkimi językami. To właśnie zobaczyła we wnętrznościach węży. To, co zbudowaliśmy, będzie trwało długo po tym, jak cesarze obrócą się w pył i przeminie chwała imperium.

Odchylił się do tyłu. Przekonał niemal sam siebie. Popidiusz wypuścił z ust powietrze.

– Biria Onomastia – powiedział – nigdy się nie myli.

– Ale czy wszystko to powtórzy? – zapytał z niedowierzaniem Holkoniusz. – Pozwoli nam wykorzystać proroctwo?

– Pozwoli – zapewnił go Ampliatus. – Lepiej, żeby to zrobiła. Dużo jej za nie zapłaciłem.

Zdawało mu się, że coś usłyszał. Wstał z sofy i wyszedł do skąpanego w słońcu ogrodu. Fontanna, która zasilała basen, miała postać nimfy przechylającej dzban. Podchodząc bliżej, usłyszał znowu ten sam dźwięk, niewyraźny bulgot, a potem ze skraju naczynia pociekła woda. Na chwilę przestała, po czym trysnęła mocniej i po kolejnej przerwie zaczęła lać się równym strumieniem. Poczuł, że owładnęły nim mistyczne siły, które sam uwolnił. Dał znak innym, żeby podeszli i zobaczyli to na własne oczy.

– Widzicie? Mówiłem wam. Przepowiednia się spełniła.

Rozległy się okrzyki radości i ulgi. Nawet Holkoniusz krzywo się uśmiechnął.

– To dobrze – mruknął.

– Skutariuszu! – zawołał Ampliatus do zarządcy. – Przynieś członkom rady nasze najlepsze wino… niech będzie cekubijskie, czemu nie? Popidiuszu, czy mam przekazać wieści pospólstwu, czy sam to zrobisz?

– Ty im powiedz, Ampliatusie. Ja muszę się napić.

Ampliatus ruszył przez atrium ku wielkim frontowym drzwiom. Dał znak, żeby Massavo je otworzył, i stanął w progu. Na ulicy zgromadziło się koło setki ludzi – jego ludzi, jak lubił o nich myśleć. Podniósł ręce, żeby się uciszyli.

– Wiecie wszyscy, kim jestem! – krzyknął, kiedy to zrobili. – I wiecie, że możecie mi ufać!

– Dlaczego mielibyśmy ci ufać?! – zawołał ktoś.

Ampliatus zignorował go.

– Woda znowu płynie! Jeśli mi nie wierzycie… jak ten bezczelny typek tam z tyłu… spójrzcie na fontanny i zobaczcie sami. Akwedukt jest naprawiony. Dzisiaj zostanie ogłoszone wspaniałe proroctwo wieszczki Birii Onomastii. Parę wstrząsów i skwarne lato nie wystarczy, aby zastraszyć kolonię Pompejów!

Kilka osób zaczęło klaskać. Ampliatus rozpromienił się i pomachał im.

– Życzę wam wszystkim dobrego dnia, obywatele. Wracajcie do swoich zajęć. *Salve lucrum! Lucrum gaudium!* – wzniósł okrzyk, cofając się do sieni. – Rzuć im trochę pieniędzy, Skutariuszu – syknął, wciąż uśmiechając się do tłumu. – Ale niezbyt dużo. Dosyć, żeby starczyło na łyk wina.

Kiedy tłum zaczął walczyć o monety, Ampliatus ociągał się przez chwilę, żeby podziwiać efekty swojej hojności, a potem, zacierając z radości ręce, cofnął się do atrium. Zniknięcie Eksomniusza zakłóciło nieco spokój jego ducha, nie mógł temu zaprzeczyć, lecz w niecały dzień uporał się z problemem, z fontanny biła silnym strumieniem woda, a młody akwariusz, nawet jeśli jeszcze żyje,

powinien wkrótce odejść w zaświaty. To dopiero powód do świętowania! Z bawialni dobiegł go śmiech i brzęk kryształowych kieliszków. Miał zamiar obejść basen, aby dołączyć do pozostałych, lecz jego uwagę przyciągnął nagle ptaszek, którego śmierć wcześniej obserwował. Trącił go palcem u nogi, a potem podniósł z ziemi. Małe ciałko było jeszcze ciepłe. Czerwony czub, biel koło dziobka, czarno-żółte skrzydełka. Jedno oko nabiegłe krwią.

Szczygieł. Same piórka i trzepot. Trzymał go przez chwilę w dłoni, snując mroczne myśli, a potem upuścił na ziemię i szybko wbiegł po schodach do otoczonego kolumnadą ogrodu w swoim starym domu. Kot zobaczył go i czmychnął w krzaki, ale Ampliatus nie miał zamiaru go ścigać. Wzrok miał utkwiony w pustej klatce na balkonie Korelii i zamkniętych okiennicach jej pokoju.

– Celsio! – ryknął i jego żona nadbiegła po chwili. – Gdzie jest Korelia?

– Była chora. Pozwoliłam jej spać…

– Przyprowadź ją! Natychmiast.

Pchnął żonę w stronę schodów, a sam skręcił do swojego gabinetu.

To niemożliwe…

Nie ośmieliłaby się…

Domyślił się, że coś jest nie w porządku, w chwili kiedy wziął lampę i podszedł z nią do biurka. Nauczył się tego od swojego byłego pana – włos w szufladzie mówił mu, czy czyjaś wścibska ręka nie wtrącała się w jego sprawy – metoda była stara, ale skuteczna i dał wyraźnie do zrozumienia, że ukrzyżuje każdego niewolnika, któremu nie będzie mógł ufać.

Włosa nie było. A kiedy otworzył skrzynię i wyjął pudło na dokumenty, nie było w nim papirusów. Stał z głupią miną, obracając na wszystkie strony pustą *capsę* i potrząsając nią niczym magik, który zapomniał dalszego ciągu swojej sztuczki, a potem cisnął ją przez pokój. Roztrzaskała się o ścianę, a on wybiegł na dziedziniec. Jego żona otworzyła okiennice w pokoju Korelii i stała na balkonie z dłońmi przyciśniętymi do twarzy.

• • •

Wjeżdżając przez Bramę Wezuwiańską na plac przy *castellum aquae*, Korelia miała szczyt za plecami. Fontanny znów działały, ale bił z nich słaby strumień i z miejsca, gdzie się znajdowała, widać było, że nad Pompejami wisi tuman kurzu, wzbity przez wozy poruszające się po pozbawionych wody ulicach. Miejski gwar unosił się nad czerwonymi dachami, zlewając się w jednostajne brzęczenie.

Okrążając podnóże Wezuwiusza i jadąc stępa przez równinę, ani razu nie spięła konia. Nie widziała powodu, żeby się śpieszyć. Kiedy zjeżdżała ze wzgórza w stronę skrzyżowania, z wlokącym się za nią posłusznie Politesem, pozbawione okien ściany domów wydawały jej się więziennymi murami. Miejsca, które od dzieciństwa cieszyły jej oko – ukryte sadzawki i wonne ogrody, sklepy z błyskotkami i tkaninami, teatry i hałaśliwe łaźnie – teraz zdawały się martwe niczym popiół. Zauważyła gniewne i zmartwione twarze ludzi, którzy rozpychali się łokciami przy fontannach, żeby napełnić naczynia ledwo cieknącą wodą, i znów pomyślała o akwariuszu. Ciekawe, gdzie teraz jest i co robi. Historia jego żony i dziecka nie dawała jej spokoju przez całą drogę powrotną do Pompejów.

Wiedziała, że miał rację. Nie ucieknie przed przeznaczeniem. Zbliżając się do ojcowskiego domu, nie była już wściekła ani wystraszona, lecz zobojętniała, wyczerpana, brudna i spragniona. Może tak będzie odtąd wyglądało jej życie: ciało poddane kieratowi codzienności, a dusza przebywająca gdzie indziej, uważna i odrębna. Na ulicy zobaczyła tłum większy od typowej gromady klientów, którzy

czekali godzinami, by zamienić choć słowo z jej ojcem. Na jej oczach puścili się nagle w dziwny taniec: podskakiwali z wyciągniętymi rękami, a potem padali na kolana i wodzili dłońmi po kamieniach. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że rzucono im pieniądze. To w stylu mojego ojca, pomyślała. Prowincjonalny Cezar! Stara się kupić miłość tłumu, sądząc, że zachowuje się jak arystokrata, i nigdy nie zdaje sobie sprawy z własnej nadętej wulgarności.

Jej pogarda stała się nagle silniejsza od nienawiści i to dodało jej odwagi. Objechała dom, kierując się do stajni. Na odgłos stukających o kamienie podków pojawił się starszy stajenny. Widząc ją w takim stanie, otworzył szeroko oczy ze zdumienia, lecz ona nawet tego nie zauważyła. Zeskoczyła z siodła i podała mu cugle.

– Dziękuję – zwróciła się do Politesa. – Dopilnuj, żeby nakarmiono i napojono tego człowieka – poleciła stajennemu.

Weszła szybko z zalanej słońcem ulicy do pogrążonego w półmroku domu, minęła kwatery niewolników i wspięła się po schodach. Idąc, wyciągnęła spod płaszcza papirusy. Marek Atiliusz powiedział, żeby odniosła je do gabinetu ojca i liczyła na to, że nikt niczego nie zauważy. Ale ona tego nie zrobi. Odda mu je sama. Co więcej, powie mu, gdzie była. Będzie wiedział, że jego córka odkryła prawdę, i niech robi z nią, co zechce. Nie obchodziło jej to. Czy może być coś gorszego od losu, który już jej zgotował? Nie można ukarać kogoś, kto nie żyje.

W takim właśnie buntowniczym nastroju weszła do domu Popidiusza i ruszyła w stronę basenu, który znajdował się w samym sercu willi. Usłyszała po prawej stronie jakieś głosy i zobaczyła w bawialni swojego przyszłego męża i magistratów Pompejów. Spojrzeli w jej stronę i dokładnie w tym samym momencie na stopniach prowadzących do ich starego domu pojawił się ojciec, a za nim matka i brat. Ampliatus zobaczył, co niesie jego córka, i przez krótką cudowną chwilę widziała na jego twarzy panikę.

– Korelio! – ryknął i ruszył ku niej, lecz ona wbiegła do bawialni i cisnęła jego sekrety na stół i dywan, zanim ją powstrzymał.

• • •

Inżynier miał wrażenie, że Wezuwiusz bawi się z nim w kotka i myszkę, nie przybliżając się ani na krok bez względu na to, jak szybko się wspinał. Tylko czasami, spoglądając za siebie i osłaniając oczy przed słońcem, uświadamiał sobie, jak wysoko zawędrował. Wkrótce miał doskonały widok na Nolę. Otaczający ją zielony czysty kwadrat nawadnianych pól nie był większy od dziecinnej chusteczki rozłożonej na brunatnej równinie Kampanii. A sama Nola, stara samnicka forteca, przypominała klocki rozsypane przy skraju odległego górskiego pasma. Jej obywatele powinni już mieć bieżącą wodę. Ta myśl dodała mu otuchy.

Skierował się ku najbliższemu szarobiałemu pasmu i dotarł do niego w połowie ranka, w miejscu, gdzie kończyły się pastwiska i zaczynał las. Nie spotkał po drodze żywego ducha, ani człowieka, ani zwierzęcia. Stojące z rzadka przy ścieżce gospodarstwa były opuszczone. Domyślił się, że wszyscy musieli uciec w nocy, kiedy usłyszeli wybuch, albo o świcie, gdy po przebudzeniu zobaczyli ten upiorny całun. Popiół leżał na ziemi niczym sypki śnieg, a ciszy nie mącił najlżejszy podmuch wiatru. Zeskakując z konia, Atiliusz wzbił w powietrze tuman pyłu, który przykleił się do jego spoconych nóg. Nabrał go w dłoń. Był bezwonny, drobnoziarnisty, nagrzany słońcem. Na rosnących dalej drzewach pokrył liście dokładnie tak, jak zrobiłby to padający śnieg.

Wsypał go trochę do kieszeni, żeby pokazać po powrocie admirałowi, i zaczął płukać usta wodą, by zmyć suchy smak pyłu. Spoglądając w dół, zobaczył jakiegoś jeźdźca, oddalonego mniej więcej o milę i podążającego w to samo miejsce, powodowanego chyba podobną ciekawością, chęcią ustalenia, co się stało. Zastanawiał się, czy na niego nie zaczekać i nie wymienić opinii, lecz w końcu się rozmyślił. Nie miał zbyt dużo czasu. Wypluł wodę, dosiadł konia i ruszył w poprzek zbocza, oddalając się od smugi popiołu, żeby dotrzeć do traktu prowadzącego do lasu.

Kiedy tam dotarł, ze wszystkich stron otoczyły go drzewa i szybko stracił orientację. Mógł tylko podążać dalej myśliwską ścieżką, wijącą się przez las, przecinającą wyschnięte koryta strumieni i przez cały czas się wznoszącą. Po pewnym czasie zeskoczył z konia, żeby się wysikać. Między suchymi liśćmi szeleściły jaszczurki. Zobaczył małe czerwone pająki, ich delikatne sieci i owłosione gąsienice grubości ludzkiego palca. Obok rosły grona szkarłatnych jagód o słodkim smaku. Roślinność była typowa – olchy, jeżyny, bluszcz. Torkwatus, kapitan liburniana, miał rację: Wezuwiusz jest łatwiejszy do zdobycia, niż na to wygląda, i kiedy strumieniami płynie woda, można tu nakarmić i napoić całą armię. Potrafił z łatwością wyobrazić sobie trackiego gladiatora, Spartakusa, który półtora wieku wcześniej prowadził wojsko tą samą ścieżką, wspinając się do sanktuarium na szczycie.

Przejazd przez las zajął Atiliuszowi kolejną godzinę. Stracił poczucie czasu. Słońce kryło się za drzewami, przebłyskując przez gęsty baldachim liści. Pocętkowany przez nie błękit tworzył jaskrawy ruchomy deseń. Gorące powietrze pachniało suchą sosną i ziołami. Nad drzewami fruwały motyle. Od czasu do czasu słychać było tylko ciche pohukiwanie grzywaczy. Kołysząc się w siodle, poczuł senność. Głowa opadła mu na pierś. Wydawało mu się raz, że słyszy podążające za nim większe zwierzę, ale kiedy zatrzymał się i nadstawił ucha, hałas umilkł. Wkrótce drzewa zaczęły rzednąć. Wyjechał na polanę.

I teraz Wezuwiusz postanowił zabawić się z nim inaczej. Wierzchołek, który poprzednio całymi godzinami wydawał się w ogóle nie przybliżać, teraz pojawił się nagle tuż przed nim – wysoki na kilkaset stóp, o wiele bardziej stromy, przeważnie skalisty, pozbawiony ziemi, na której wyrosłoby coś poza badylowatymi krzakami i małymi żółtymi kwiatkami. I było dokładnie tak, jak to opisywał grecki autor: wierzchołek był czarny, niedawno osmalony przez ogień. W niektórych miejscach skały sterczały tak, jakby coś wypchnęło je od spodu, zsyłając w dół grad małych kamyków, w innych doszło do większych osypisk. Olbrzymie głazy wielkości człowieka runęły na las. Sądząc z ich wyglądu, stało się to całkiem niedawno. Atiliusz przypomniał sobie, jak niechętnie niewolnicy wyruszali z Pompejów. „Olbrzymy fruwają w powietrzu, ich głosy brzmią niczym grzmoty…” To wyjaśniało jedną z zagadek.

Stok był zbyt stromy dla konia. Atiliusz zeskoczył z siodła, znalazł ocienione miejsce i przywiązał zwierzę do drzewa. Rozejrzał się za jakimś kijem, wybrał o połowę cieńszy od przedramienia – gładki, szary i suchy – i wspierając się na nim, rozpoczął ostatni etap wspinaczki.

Słońce było bezlitosne, niebo tak jasne, że aż białe. Mijał kolejne żużlowate skały, czując, jak powietrze wypala mu płuca. Suchy żar przypominał ostrze wyjęte z ognia. Pod stopami nie kręciły się jaszczurki, nad głową nie unosiły się ptaki – miał wrażenie, że wspina się ku samemu słońcu. Czuł gorąco przez podeszwy butów. Przez cały czas zmuszał się, by iść dalej, i w końcu grunt przestał się wznosić i zamiast czarnej skały Atiliusz zobaczył przed sobą błękitne niebo. Wspiął się na grań i spojrzał na dach świata.

Wierzchołek Wezuwiusza nie był ostrym szczytem, jak mogło się wydawać z dołu, lecz popękanym owalnym płaskowyżem o średnicy może dwustu kroków, skalistą równiną z kilkoma brązowymi

skrawkami rachitycznej roślinności, która podkreślała tylko jego martwotę. I płonął nie tylko w przeszłości, jak zapisano w greckim papirusie, lecz dokładnie w tej chwili. Co najmniej w trzech miejscach w górę unosiły się z sykiem kolumny szarego dymu. Czuć było ten sam odór siarki co w kanałach Villa Hortensia. To tutaj, pomyślał Atiliusz. Tutaj tkwi źródło całego zła. Czuł obecność wielkiej, złowrogiej siły. Można ją nazwać Wulkanem albo jakkolwiek inaczej. Można ją czcić jak boga. Ale stanowiła namacalną siłę. Zadrżał.

Trzymając się blisko krawędzi, zaczął okrążać wierzchołek, z początku urzeczony sączącymi się spod ziemi siarkowymi wyziewami, a potem zdumiewającą panoramą roztaczającą się ze szczytu. Po jego prawej stronie naga skała opadała aż ku skrajowi lasu; niżej widać było pofalowaną masę zieleni. Torkwatus twierdził, że widok rozpościera się na pięćdziesiąt mil, lecz Atiliuszowi wydawało się, że ma przed sobą całą Italię. Kiedy szedł dalej z północy na zachód, jego oczom ukazała się Zatoka Neapolitańska. Widział cypel Misenum, leżące za nim wyspy, cesarski kurort Capri, a za nim wyraźną jak cięcie brzytwy linię, gdzie ciemny błękit morza spotykał się z jaśniejszym błękitem nieba. Woda upstrzona była plamkami piany, które spostrzegł poprzedniego ranka – grzywiaste fale na bezwietrznym morzu – ale teraz miał wrażenie, że zaczyna się zrywać lekka bryza. Na policzku czuł tchnienie wiatru, nazywanego *Caurusem* i wiejącego z północnego zachodu w stronę leżących u jego stóp Pompejów, które wydawały się co najwyżej odsunięte od wybrzeża smugą piaskowego koloru. Wyobraził sobie Korelię, która zbliża się do murów miasta, teraz całkowicie nieosiągalna, drobna niczym pyłek, stracona dla niego na zawsze.

Od patrzenia w tamtą stronę zakręciło mu się w głowie, jakby sam był pyłkiem kwiatu, który w każdej chwili może pofrunąć w błękit. Poczuł przemożne pragnienie, by poddać się gorącym powietrznym prądom, tęsknotę za ową niebieską nicością, tęsknotę tak silną, że musiał użyć całej siły woli, żeby się odwrócić. Roztrzęsiony, zaczął iść w poprzek szczytu, w kierunku, z którego nadszedł; omijał po drodze mnożące się dookoła pióropusze siarki. Ziemia drżała i wybrzuszała się. Teraz chciał się stąd wynieść najszybciej jak to możliwe, lecz teren był nierówny, po obu stronach ścieżki ziały głębokie rozpadliny – *podobne do jaskiń jamy w poczerniałej skale*, jak ujął to grecki autor – i musiał uważać, gdzie stawia stopy. Dlatego właśnie, ponieważ szedł z pochyloną głową, poczuł zapach ciała, zanim je zobaczył.

Zatrzymał się w pół kroku – słodki i mdlący odór wpadł mu w nos i w usta i pokrył je śliską warstewką. Wydobywał się z niecki na wprost przed nim. Głęboka może na sześć stóp i szeroka na trzydzieści, pyrkotała niczym kocioł na wolnym ogniu, a najokropniejsze było to, że kiedy zajrzał do środka, wszystko było w niej martwe. Nie tylko mężczyzna, który miał na sobie białą tunikę i którego kończyny były tak fioletowoczarne, że w pierwszej chwili wydał mu się Nubijczykiem, lecz również leżące w tym dole śmierci zwierzęta: wąż, duży ptak oraz kilka drobniejszych stworzeń. Nawet roślinność była pobielała i zatruta.

Zwłoki mężczyzny spoczywały na boku. Jego ręce były wyciągnięte w stronę leżącej nieco dalej tykwy oraz słomkowego kapelusza, jakby umarł, próbując po nie sięgnąć. Musiał tu leżeć co najmniej od dwóch tygodni, rozkładając się w upale, choć zwłoki były prawie zupełnie nienaruszone. Nie zaatakowały ich insekty, nie obgryzły do kości ptaki czy inne zwierzęta. Nad przypieczonym ciałem nie unosiły się chmary much. Wszystkie stworzenia, które próbowały się nim pożywić, najwyraźniej się zatruły.

Atiliusz z trudem przełknął ślinę, żeby nie zwymiotować. Domyślił się od razu, że to Eksomniusz. Zniknął mniej więcej przed dwoma tygodniami i któż inny zapuściłby się tutaj w sierpniu? Czy rozstrzyga to jednak sprawę? Atiliusz nigdy przecież go nie spotkał. Mimo to nie miał ochoty zejść na dół i postawić stopy na tym dywanie śmierci. Przykucnął przy skraju zagłębienia i przyjrzał się poczerniałej twarzy. Zobaczył rząd wyszczerzonych zębów podobnych do pestek w pękniętym melonie; zamglone, półprzymknięte oko wpatrujące się w wyciągniętą dłoń. Ani śladu ran. Bo też całe ciało było jedną wielką raną, siniejącą i ropiejącą. Co mogło go zabić? Może upał? Może nie wytrzymało serce? Atiliusz pochylił się jeszcze bardziej, próbując trącić go kijem, i natychmiast zrobiło mu się słabo. Przed oczyma zatańczyły mu jaskrawe światła i o mało nie runął w dół. Grzebiąc rękami w pyle i kurczowo łapiąc powietrze, zdołał się cofnąć.

Zatrute wyziewy powietrza, wdychane bezpośrednio z ziemi…

Łomotało mu w głowie. Zwymiotował gorzką żółcią i nadal kaszlał i pluł śluzem, gdy gdzieś przed nim trzasnęła nadepnięta stopą sucha gałązka. Podniósł nieprzytomny wzrok. Po drugiej stronie zagłębienia, w odległości mniej więcej pięćdziesięciu kroków, szedł w jego stronę mężczyzna. W pierwszej chwili inżynier wziął go za zjawę wywołaną oparami. Podniósł się z wysiłkiem, zatoczył i mrugając szybko, próbował skupić wzrok, ale postać się zbliżała, obramowana syczącymi strugami siarki. W jej ręce błysnął nóż.

Koraks.

Atiliusz nie był w stanie walczyć. Powinien rzucić się do ucieczki. Nie potrafił jednak unieść stopy z ziemi.

Nadzorca podszedł ostrożnie do zagłębienia, ukucnął, rozłożył szeroko ręce i przestępując lekko z nogi na nogę, nie spuszczał oczu z inżyniera, jakby podejrzewał go o jakiś fortel. Zerknął na martwe ciało, spiorunował Atiliusza wzrokiem, a potem ponownie spojrzał w dół.

– Co to wszystko ma znaczyć, przystojniaku? – zapytał cicho.

Wydawał się niemal obrażony. Dokładnie zaplanował tę napaść, przebył długą drogę, by jej dokonać, czekał w ciemności, aż nastanie dzień, podążał za swoją ofiarą – to on musiał być tym jeźdźcem, którego widział za sobą Atiliusz – przez cały czas delektując się smakiem spodziewanej zemsty, i w ostatniej chwili jego plany wzięły w łeb. To niesprawiedliwe, mówiła jego mina, oto kolejna z długiej serii kłód, które los rzuca pod nogi Gawiusza Koraksa.

– Pytam się, co to wszystko znaczy?

Atiliusz próbował się odezwać. Głos miał ochrypły i bełkotliwy. Chciał powiedzieć, że Eksomniusz się nie mylił, że czai się tutaj straszliwe niebezpieczeństwo, ale nie mógł wykrztusić ani słowa. Koraks łypał okiem na trupa i kręcił głową.

– Głupi stary sukinsyn. Żeby wspinać się tutaj w jego wieku! Niepokoiła go góra. I co mu z tego przyszło? Nic! Nic prócz tego, że dostaliśmy się pod twoją komendę. – Znów zainteresował się Atiliuszem. – Przemądrzały młody piździel z Rzymu przyjechał, żeby uczyć nas naszego fachu. W dalszym ciągu myślisz, że masz jakieś szanse, przystojniaku? Widzę, że nie masz nic do powiedzenia. Może wykroję ci drugą gębę i coś z niej usłyszymy?

Pochylił się do przodu i przerzucił nóż z ręki do ręki. Na jego zaciętej twarzy malowała się żądza mordu. Zaczął okrążać rozpadlinę i Atiliusz mógł teraz tylko pokuśtykać w przeciwnym kierunku. Kiedy nadzorca zatrzymał się, on zatrzymał się również, a kiedy tamten ruszył w drugą stronę, Atiliusz zrobił to samo. Trwało to przez jakiś czas. Jego taktyka najwyraźniej rozwścieczyła Koraksa.

– Kurwa mać! Nie będę się z tobą bawił w kotka i myszkę! – wrzasnął i rzucił się nagle na swoją ofiarę.

Czerwony na twarzy, z trudem łapiąc oddech, zbiegł na dół, przeciął dno rozpadliny i zaczął się wspinać. Nagle coś go zatrzymało. Spojrzał zdziwiony na swoje nogi. W straszliwie wolnym tempie próbował brnąć dalej, otwierając i zamykając usta niczym wyciągnięta na brzeg ryba, a potem upuścił nóż i osunął się na kolana. Przez chwilę młócił słabo pięściami powietrze i w końcu runął na twarz.

Atiliusz mógł tylko patrzeć, jak jego przeciwnik tonie w suchym żarze. Koraks próbował kilkakrotnie wykonać jakiś ruch, za każdym razem wyciągając ręce ku czemuś, co było poza jego zasięgiem, dokładnie tak, jak musiał to robić Eksomniusz. A potem poddał się i położył cicho na boku. Jego oddech stawał się coraz płytszy i w końcu ustał zupełnie, lecz Atiliusz zostawił go na długo, nim to się stało – stąpając po pęczniejącym, drżącym wierzchołku góry, poprzez gęstniejące pióropusze siarki, które coraz silniejsza bryza spłaszczała teraz i porywała w stronę Pompejów.

• • •

Na dole, w mieście, wiejący w najgorętszej porze dnia lekki wietrzyk przyniósł miłą ulgę. *Caurus* przebiegał pustoszejącymi przed sjestą ulicami, wzbijając małe tumany kurzu, trzepocząc kolorowymi markizami szynków i jadłodajni, poruszając liśćmi wielkich platanów koło amfiteatru. W Domu Popidiusza zmarszczył wodę w basenie i zadzwonił maskami tańczących faunów i bachantek, które wisiały między kolumnami. Jeden z leżących na dywanie papirusów potoczył się niesiony podmuchem w stronę stołu. Holkoniusz zatrzymał go stopą.

– Co tu się dzieje? – zapytał.

Ampliatus miał ochotę od razu uderzyć Korelię, ale zdołał się opanować: gdyby pobił ją na oczach wszystkich, w pewnym sensie odniosłaby zwycięstwo. Jego umysł pracował szybko. Wiedział wszystko, co trzeba wiedzieć na temat władzy. Wiedział, że są chwile, kiedy najmądrzej jest trzymać sekrety w ukryciu: mieć je tylko dla siebie niczym kochankę, której nie dzieli się z nikim. Bywają jednak chwile, gdy umiejętnie ujawniane sekrety są niczym stalowe pętle wiążące cię z innymi. W błysku olśnienia ujrzał, że nadarza się jedna z tych rzadkich okazji.

– Przeczytajcie to – oznajmił. – Nie mam nic do ukrycia przed przyjaciółmi.

Pochylił się, zebrał papirusy i położył je na stole.

– Powinniśmy już iść – powiedział Britiusz, wychylając do końca kielich wina i unosząc się z fotela.

– Przeczytajcie to! – rozkazał Ampliatus. Magistrat usiadł. Ampliatus uśmiechnął się. – Wybaczcie mi. Proszę. Nalegam. Papirusy były w izbie Eksomniusza. Czas już, żebyście się dowiedzieli. Poczęstujcie się winem. Zaraz wrócę. Korelio, ty pójdziesz ze mną.

Złapał ją pod łokieć i pociągnął w stronę schodów. Opierała się, ale był od niej silniejszy. Uświadomił sobie, że idą za nimi jego żona i syn. Kiedy zeszli z oczu magistratom i znaleźli się w otoczonym kolumnadą ogrodzie starego domu, zacisnął palce na przedramieniu córki.

– Naprawdę sądziłaś – syknął – że zdołasz mi zaszkodzić? Taka słaba dziewczyna jak ty?

– Nie – odparła, krzywiąc się i usiłując wyrwać z jego uścisku. – Ale pomyślałam, że mogę przynajmniej spróbować.

Jej spokój wyprowadzał go z równowagi.

– Tak? – zapytał, przyciągając ją do siebie. – A jak zamierzałaś to zrobić?

– Pokazując te dokumenty akwariuszowi. Pokazując je wszystkim. Żeby ludzie przekonali się, kim jesteś.

– To znaczy kim?

Jego twarz była tuż przy jej twarzy.

– Złodziejem. Mordercą. Kimś podlejszym od niewolnika.

Wypluła z siebie ostatnie słowo, a on cofnął rękę i tym razem na pewno by ją uderzył, gdyby nie Celsinus, który złapał go za nadgarstek.

– Nie, ojcze – powiedział stanowczo. – Nie będziemy tego dłużej tolerowali.

Przez chwilę Ampliatus był zbyt zdumiony, żeby się odezwać.

– Ty? – wyjąkał. – Ty także? – Potrząsnął wolną ręką i spiorunował syna wzrokiem. – Nie masz żadnych religijnych ceremonii, w których powinieneś uczestniczyć? A ty? – naskoczył na żonę. – Czy nie powinnaś modlić się do świętej matrony Liwii o to, żeby wskazała ci drogę? Ech! – Splunął. – Zejdźcie mi z drogi oboje.

Powlókł Korelię w stronę schodów. Żona i syn nie ruszyli się z miejsca. Ampliatus wepchnął córkę na górę i zaciągnął do jej pokoju, gdzie padła na łóżko.

– Zdradzieckie, niewdzięczne dziecko!

Rozejrzał się za czymś, czym mógłby ją wychłostać, ale widział tylko starannie poukładane kruche kobiece przedmioty – grzebień z kości słoniowej, jedwabny szal, parasol, sznury paciorków – a także kilka starych zabawek, które zachowano, by ofiarować je Wenus przed weselem Korelii. W kącie stała oparta o ścianę drewniana lalka z ruchomymi kończynami, którą przed wielu laty kupił córce na urodziny. Jej widok wstrząsnął nim. Co się stało z Korelią? Tak bardzo ją kochał – swoją małą dziewczynkę! – jak to uczucie mogło zmienić się w nienawiść? Nagle stracił rezon. Czyż nie robił wszystkiego, nie zgromadził całej tej fortuny, nie wyrwał się z gnoju ze względu na nią i jej brata? Stał, ciężko dysząc, pokonany. Korelia mierzyła go nienawistnym spojrzeniem. Nie wiedział, co powiedzieć.

– Zostaniesz tutaj – oświadczył nieprzekonująco – dopóki nie zdecyduję, co z tobą zrobić.

Wychodząc, zaryglował drzwi. Jego żona i syn zdążyli już wyjść z ogrodu. Typowy dla nich niedowarzony bunt, pomyślał, słabnący, gdy tylko odwracał się plecami. Korelia miała zawsze więcej jaj niż cała reszta razem wzięta. Jego mała dziewczynka! W bawialni magistraci pochylali się nad stołem, rozmawiając przyciszonymi głosami. Kiedy się zbliżył, umilkli i patrzyli, jak podchodzi do kredensu i nalewa sobie wina. Szyjka karafki zadzwoniła o kielich. Czyżby drżała mu dłoń? Przyjrzał jej się z obu stron. To do niego niepodobne, nie dostrzegł drżenia. Wychylił wino i od razu poczuł się lepiej. Nalał sobie kolejny kielich, wykrzywił twarz w uśmiechu i odwrócił się do magistratów.

– No i co?

Holkoniusz odezwał się pierwszy.

– Skąd masz te papirusy?

– Przyniósł mi je wczoraj po południu Koraks, nadzorca Augusty. Znalazł je w izbie Eksomniusza.

– Chcesz powiedzieć „ukradł”?

– Znalazł, ukradł… – Ampliatus machnął ręką.

– Te papirusy powinny zostać nam natychmiast przedstawione.

– A to dlaczego, dostojni panowie?

– Czyż to nie oczywiste? – wtrącił podekscytowany Popidiusz. – Eksomniusz uważał, że Pompejom grozi następne wielkie trzęsienie ziemi!

– Uspokój się, Popidiuszu. Straszysz nas trzęsieniami ziemi od siedemnastu lat. Nie traktowałbym tego wszystkiego poważnie.

– Eksomniusz traktował to poważnie.

– Eksomniusz! – Ampliatus posłał mu pogardliwe spojrzenie. – Eksomniusz zawsze był kłębkiem nerwów.

– Może i był. Ale dlaczego kazał przepisać te dokumenty? Zwłaszcza ten? Do czego, twoim zdaniem, był mu potrzebny? – zapytał Popidiusz, potrząsając jednym z papirusów.

Ampliatus przyjrzał mu się i pociągnął kolejny łyk wina.

– Jest po grecku. Nie potrafię czytać greki. Zapomniałeś, Popidiuszu? W przeciwieństwie do ciebie nie otrzymałem starannego wykształcenia.

– Ale ja potrafię czytać po grecku i chyba wiem, co to za dokument. To opis geografa Strabona, który podróżował po tych stronach w czasach boskiego Augusta. Pisze tutaj o szczycie, który jest płaski, jałowy i trawiony ogniem w przeszłości. Z pewnością mowa o Wezuwiuszu. Twierdzi, że żyzne gleby wokół Pompejów przypominają mu Katanię, gdzie ziemię pokrywa popiół wyrzucony przez płomienie buchające z Etny.

– I co z tego?

– Czy Eksomniusz nie był przypadkiem Sycylijczykiem? – chciał wiedzieć Holkoniusz. – Z jakiego pochodził miasta?

Ampliatus machnął lekceważąco ręką.

– Chyba z Katanii. I co z tego?

Musi nauczyć się podstaw greki. Jeśli potrafił ją opanować ktoś tak głupi jak Popidiusz, nie powinna sprawiać trudności nikomu.

– Co do tego łacińskiego tekstu… na pewno go rozpoznaję – kontynuował Popidiusz. – To fragment książki. Znam zarówno jego autora, jak i osobę, do której adresowany był list. To Annaeus Seneka, nauczyciel Nerona. Nawet ty musiałeś o nim słyszeć.

Ampliatus zaczerwienił się.

– Znam się na budowaniu, nie na książkach – burknął. Dlaczego się tak tym wszystkim ekscytują?

– Lucyliusz, do którego pisze, to Lucyliusz Młodszy, mieszkaniec naszego miasta. Miał dom niedaleko teatru. Był prokuratorem gdzieś za morzami… jeśli dobrze pamiętam, na Sycylii. Seneka opisuje wielkie trzęsienie ziemi w Kampanii. List pochodzi z jego książki *O zjawiskach natury*. Wydaje mi się, że mamy jej egzemplarz w bibliotece na forum. To dzieło zawiera podstawy filozofii stoickiej.

– „Filozofii stoickiej!” – powtórzył kpiąco Ampliatus. – A do czegóż staremu Eksomniuszowi potrzebna była „filozofia stoicka”?

– Powtórzę jeszcze raz: czyż to nie oczywiste? – odparł coraz bardziej poirytowany Popidiusz, kładąc dwa dokumenty obok siebie. – Eksomniusz uważał, że istnieje tutaj związek. Widzicie? – Wskazał najpierw jeden, potem drugi papirus. – Etna i Wezuwiusz. Żyzne ziemie wokół Katanii i ziemie wokół Pompejów. Straszliwe omeny przed siedemnastu laty… zatrucie owiec… i omeny, które oglądamy tego lata. Eksomniusz pochodził z Sycylii. Dostrzegał oznaki niebezpieczeństwa. A teraz zniknął.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Maski wokół basenu pobrzękiwały poruszane bryzą.

– Uważam, że te dokumenty powinny zostać przedstawione na pełnym zebraniu *ordo* – powiedział Britiusz. – Najszybciej jak to możliwe.

– Nie – zaprotestował Ampliatus.

– *Ordo* jest najwyższym organem władzy w mieście! Mają prawo być poinformowani…

– Nie! – powtórzył z naciskiem Ampliatus. – Ilu obywateli jest członkami *ordo*?

– Osiemdziesięciu pięciu – odparł Holkoniusz.

– No właśnie. Za godzinę o wszystkim będzie wiedziało całe miasto. Chcecie wywołać panikę dokładnie w momencie, kiedy zaczynamy stawać na nogi? Kiedy mamy przepowiednię wieszczki, która ma im dodać otuchy? Pamiętajcie, kto na was głosował, dostojni panowie. Kupcy! Nie podziękują wam za to, że przepłoszyliście im klientów. Widzieliście, co działo się dziś rano, tylko dlatego że przez kilka godzin nie działały fontanny. Poza tym, do czego to wszystko się sprowadza? Że Eksomniusza martwiły wstrząsy? Że w Kampanii podobnie jak na Sycylii mamy glebę przesyconą popiołem i cuchnące fumarole? I co z tego? Fumarole tryskają nad tą zatoką od czasów Romulusa. – Widział, że zaczyna trafiać im do przekonania. – A zresztą prawdziwym problemem jest zupełnie co innego – dodał.

– Co jest tym prawdziwym problemem? – zapytał Holkoniusz.

– Pozostałe dokumenty… te, które pokazują, ile pieniędzy otrzymywał Eksomniusz za to, żeby to miasto miało tanią wodę.

– Uważaj, Ampliatusie – powiedział szybko Holkoniusz. – Nie interesują nas twoje drobne kombinacje.

– Moje drobne kombinacje! – Ampliatus się roześmiał. – To ci się udało! – Postawił kielich na stole i wziął karafkę, żeby znowu nalać sobie wina. Ciężki kryształ zadzwonił. Wino zaczynało uderzać mu do głowy, ale nie dbał o to. – Naprawdę, dostojni panowie, nie udawajcie, że o niczym nie wiedzieliście! Dzięki czemu, waszym zdaniem, miasto tak szybko dźwignęło się z ruin po trzęsieniu ziemi? Przysporzyłem wam fortuny dzięki tym „moim drobnym kombinacjom”. Owszem, przy okazji sam też ją zgromadziłem… wcale temu nie przeczę. Ale nie byłoby was tutaj, gdyby nie ja! Twoje drogocenne łaźnie, Popidiuszu… gdzie obecny tu Britiusz lubi być obmacywany przez małych chłopców… Ile za nie płacisz? Nic! I ty, Kuspiuszu, za swoje fontanny. I ty, Holkoniuszu, za swój basen. Za wszystkie te prywatne łaźnie, nawadniane ogrody, wielki publiczny basen, a także wodociągi w nowych apartamentach! To miasto od ponad dziesięciu lat prosperuje wyłącznie dzięki „moim drobnym kombinacjom” z Eksomniuszem. A teraz jakiś wścibski sukinsyn z Rzymu ma się o tym dowiedzieć. To jest prawdziwy problem.

– To oburzające – stwierdził drżącym głosem Britiusz. – Oburzające… żeby ten bezczelny niewolnik przemawiał do nas w ten sposób.

– Ja jestem bezczelny, tak? Nie byłem taki bezczelny, kiedy płaciłem za igrzyska, dzięki którym wybrano cię na twój urząd, Britiuszu. Biała broń, bez prawa łaski i krwawe jatki na samym środku areny, żeby było je widać ze wszystkich trybun. O to prosiłeś i to właśnie ci dałem.

Holkoniusz podniósł ręce.

– Spokojnie, panowie. Załatwmy to w sposób cywilizowany.

– Możemy chyba zawrzeć z nowym akwariuszem układ podobny do tego, jaki miałeś z poprzednim? – zapytał Kuspiusz.

– Obawiam się, że nie. Zarzuciłem wczoraj przynętę, ale on spojrzał na mnie, jakbym dobierał się do jego kutasa. Poczułem się urażony w mojej hojności. Nie, obawiam się, że znam tego rodzaju ludzi. Pojedzie z tym do Rzymu, a oni sprawdzą rachunki i przed końcem roku będziemy mieli na karku cesarską komisję.

– Więc co mamy robić? – zapytał Popidiusz. – Jeśli to wyjdzie na jaw, wszystkim nam dobiorą się do skóry.

Ampliatus uśmiechnął się do niego znad kielicha.

– Nie martw się – powiedział. – Już się tym zająłem.

– Jak?

– Popidiuszu! – syknął ostrzegawczo Holkoniusz. – Uważaj…

Ampliatus milczał. Nie chcieli o niczym wiedzieć. Byli w końcu magistratami tego miasta. Niewinność wynikająca z niewiedzy – oto czego pragnęli. Ale dlaczego mieliby zachować spokój ducha? Unurza ich ręce we krwi tak jak swoje.

– Zostanie zabity – powiedział i rozejrzał się. – Jeszcze przed powrotem do Misenum. Wypadek gdzieś poza bramami miasta. Czy ktoś ma coś przeciwko temu? Jeżeli tak, niechaj przemówi. Popidiuszu? Holkoniuszu? Britiuszu? Kuspiuszu? – Czekał przez chwilę. Wszystko to było komedią. Akwariusz już teraz mógł być martwy, bez względu na to, co powiedzą. Koraks nie mógł się doczekać, żeby poderżnąć mu gardło. – Milczenie traktuję jako wyraz poparcia. Może za to wypijemy?

Sięgnął po karafkę, lecz jego ręka zastygła nagle w powietrzu. Ciężki kryształowy kielich nie tylko dygotał, lecz przesuwał się po wypolerowanym drewnianym blacie kredensu. Ampliatus wpatrywał się weń z głupim wyrazem twarzy. To niemożliwe. A jednak. Na jego oczach naczynie dotarło do skraju mebla, zsunęło się i roztrzaskało na podłodze. Spojrzał na płytki posadzki. Pod stopami czuł wibrację, która stopniowo stawała się coraz silniejsza, a potem przez dom przeszedł podmuch gorącego powietrza, na tyle potężny, że trzasnęły okiennice. Chwilę później, z daleka, ale bardzo wyraźnie, dobiegł podwójny huk, niepodobny do niczego, co on i ktokolwiek z nich w życiu słyszał.

HORA SEXTA

(godzina 12.57)

Powierzchnia wulkanu pękła krótko po godzinie dwunastej, powodując eksplozywną dekompresję głównego zbiornika magmy. Prędkość wyjściowa magmy wynosiła około 1440 kilometrów na godzinę (Mach 1). Konwekcja uniosła płonący gaz i klasty pumeksu na wysokość 28 kilometrów.

Łącznie, energia cieplna uwolniona w trakcie całej eksplozji może zostać obliczona na postawie następującego równania:

$Et = V \cdot d \cdot T \cdot K$

gdzie Et mierzona jest w dżulach, V jest objętością w kilometrach sześciennych, d jest ciężarem właściwym (1,0), T temperaturą wyrzucanego materiału, a K stałą uwzględniającą ciepło właściwe magmy oraz mechaniczny ekwiwalent ciepła ($8{,}37 \times 10^{14}$).

Obliczona w ten sposób energia cieplna, uwolniona podczas erupcji w 79 roku n.e., wynosiłaby około 2×10^{18} dżuli – a więc była mniej więcej 100 000 razy większa od energii bomby zrzuconej na Hiroszimę.

Dynamics of Volcanism

Porównując później swoje relacje, ocaleni za każdym razem dziwili się, w jak odmienny sposób usłyszeli erupcję. W odległym o sto dwadzieścia mil Rzymie podobna była do głuchego łupnięcia, zupełnie jakby przewrócił się ciężki posąg albo drzewo. Ludzie, którzy uciekli z Pompejów, leżących pięć mil dalej na linii wiatru, zawsze przysięgali, iż słyszeli dwa ostre huki. Za to w odległej o dwadzieścia mil Kapui hałas od samego początku przypominał nieustający przeciągły grzmot. Z kolei w Misenum, położonym bliżej niż Kapua, nie odnotowano żadnego hałasu, lecz tylko wąską kolumnę brunatnego pyłu, która strzelała bezgłośnie w bezchmurne niebo.

Atiliusz zapamiętał moment erupcji jako wielką suchą falę, która przewaliła się nad jego głową. Od szczytu dzieliły go mniej więcej dwie mile i zjeżdżał szybko starą myśliwską ścieżką, która wiodła przez porośnięte lasem zachodnie stoki góry. Efekty zatrucia ograniczyły się do łupiącego między oczyma bólu. Senność ustąpiła i teraz widział wszystko dziwnie ostro. Nie miał wątpliwości, co niebawem nastąpi. Zamierzał dotrzeć do nadmorskiej drogi w Herkulanum i popędzić prosto do Misenum, by ostrzec admirała. Oceniał, że pojawi się tam po południu. Między drzewami migotała w słońcu zatoka, tak bliska, że mógł dostrzec fale przyboju. Widział lśniące desenie pajęczyn zwisających między listowiem i chmarę muszek krążących pod gałęzią. Nagle wszystko to zniknęło.

Fala uderzeniowa natarła na jego plecy i pchnęła do przodu. Poczuł gorący podmuch, jakby ktoś otworzył drzwi pieca. A potem coś pyknęło mu w uszach i świat stał się pozbawionym dźwięków miejscem, w którym wirowały liście i kładły się ku ziemi drzewa. Koń potknął się i o mało nie

wywrócił. Atiliusz przywarł do jego karku i pomknęli w dół ścieżką na szczycie parzącej fali, która nagle przetoczyła się gdzieś dalej. Drzewa wyprostowały się, gałązki opadły, znowu można było oddychać. Chciał uspokoić konia, ale okazało się, że stracił głos, a kiedy spojrzał w stronę wierzchołka, zobaczył, że go nie ma. W jego miejscu pojawił się bijący w górę słup ziemi i skał.

• • •

W Pompejach mogło się zdawać, że ze szczytu wyłania się potężna brązowa ręka i zamierza wybić dziurę w sklepieniu niebieskim – bang, bang, to był ten podwójny huk. Następnie przez równinę przetoczył się ostry łoskot niepodobny do żadnego innego dźwięku spotykanego w Naturze. Ampliatus wybiegł z domu razem z magistratami. Z sąsiedniej piekarni i innych lokali położonych wzdłuż ulicy wychodzili ludzie, żeby osłaniając oczy, popatrzeć na Wezuwiusz i nowe mroczne słońce, które wschodziło na północy, wspierając się na grzmiącej kolumnie skał. Słychać było krzyki, ale nie wybuchła jeszcze panika. Było na to zbyt wcześnie, całe zjawisko wydawało się tak niesamowite, tak dziwne i odległe, że nie dostrzegano w nim bezpośredniego zagrożenia.

To zaraz się skończy, pomyślał Ampliatus. Chciał, żeby tak się stało. Niech się skończy i sytuację da się jeszcze opanować. Nie brakowało mu odwagi ani siły charakteru; wszystko było tylko kwestią interpretacji. A z tym na pewno sobie poradzi: „Bogowie dali nam znak, obywatele! Postępujmy zgodnie z ich wskazaniami! Zbudujmy wielką kolumnę na obraz i podobieństwo tej niebiańskiej! Żyjemy w miejscu wybranym przez bogów!”.

Ale to nie chciało się skończyć. Kolumna, wąska u podstawy, rozszerzała się u góry, jej wierzchołek rozpłaszczał się na niebie. Wznosiła się coraz wyżej. Tysiąc zadartych głów śledziło jej ruchy i coraz częściej słychać było okrzyki grozy.

Ktoś krzyknął, że wiatr niesie ją w ich stronę.

W tym momencie Ampliatus uświadomił sobie, że już nad nimi nie panuje. Plebs kieruje się kilkoma prostymi instynktami – pożądliwością, chciwością, okrucieństwem. Potrafił grać na nich niczym na strunach harfy, ponieważ on też pochodził z plebsu. Jednak ślepy strach zagłuszał wszystkie inne nuty. Mimo to postanowił spróbować.

Wyszedł na środek ulicy i rozłożył szeroko ręce.

– Zaczekajcie! – zawołał. – Kuspiuszu, Britiuszu… wszyscy… weźcie się za ręce! Dajcie im przykład!

Ci tchórze nawet na niego nie spojrzeli. Holkoniusz zrejterował pierwszy, rozpychając się kościstymi łokciami. Zaraz potem w dół pobiegli za nim Britiusz i Kuspiusz. Popidiusz podkulił pod siebie ogon i schronił się w willi. Wylewający się z bocznych uliczek ludzie zmienili się w zbitą masę, zwróconą plecami do szczytu, twarzą do morza i ożywioną jednym impulsem: uciekać jak najdalej. Ampliatusowi mignęła przed oczyma blada twarz stojącej w progu żony i zaraz potem motłoch porwał go i obrócił niczym drewnianą figurę, używaną do ćwiczeń w szkołach gladiatorów. Poleciał na bok, zachwiał się i runąłby im pod nogi, gdyby Massavo nie zobaczył, że jego pan pada, i nie odciągnął go w bezpieczne miejsce na schodach. Zobaczył, jak jakaś matka gubi dziecko, i słyszał jego krzyki, kiedy zostało stratowane, widział starszą matronę, która uderzyła głową w mur po drugiej stronie ulicy i padła nieprzytomna pod naporem niezważającego na nic tłumu. Niektórzy krzyczeli. Inni szlochali. Ale większość parła naprzód z zaciśniętymi ustami, zachowując siły na bitwę, którą musieli stoczyć na dole, żeby przecisnąć się przez Bramę Stabiańską.

Opierając się o framugę drzwi, uświadomił sobie, że ma mokrą twarz. Wytarł nos wierzchem dłoni i zobaczył na niej krew. Spojrzał ponad głowami tłumu w stronę góry, lecz ta zdążyła już zniknąć. Ku miastu zbliżał się wielki czarny wał burzowych chmur. Ale to nie była burza i to nie były chmury; to była hucząca lawina skał. Spojrzał szybko w przeciwną stronę. W porcie stał jego złocistokarmazynowy statek. Mogli wypłynąć nim na morze i poszukać schronienia w willi w Misenum, lecz ulica, która wiodła do bramy, była już do połowy długości wypełniona tłumem. Nigdy nie zdoła dotrzeć do portu. A nawet gdyby mu się to udało, załoga wcześniej spróbuje ratować się sama.

Decyzja została podjęta za niego. A zatem niech tak będzie, pomyślał. Podobnie wyglądało to przed siedemnastu laty. Tchórze uciekli, a on został i później wszyscy przyczołgali się z powrotem. Poczuł, jak wraca jego dawna energia i pewność siebie. Były niewolnik ponownie udzieli swym panom lekcji rzymskiej odwagi. Wieszczka nigdy się nie myli. Spojrzał po raz ostatni z pogardą na płynący obok potok ogarniętych paniką ludzi, po czym cofnął się i kazał Massavo zamknąć drzwi. Zamknąć je i zaryglować. Zostaną tutaj i przetrwają.

• • •

W Misenum wyglądało to jak dym. Siostra Pliniusza, Julia, która spacerowała po tarasie z parasolką i zrywała kwiaty bugenwilli, aby ozdobić nimi wieczorny stół, uznała, że to kolejny z pożarów, które wybuchały na wzgórzach nad zatoką przez całe lato. Jednak wysokość chmury, jej rozmiary i szybkość, z jaką się wznosiła, nie przypominały niczego, co do tej pory widziała. Doszła do wniosku, że powinna obudzić brata, który drzemał nad książkami w położonym niżej ogrodzie.

Nawet w gęstym cieniu drzewa jego twarz była szkarłatna niczym kwiaty w jej koszyku. Przez chwilę wahała się, czy go niepokoić, wiedziała bowiem, że na pewno wpadnie w wielkie podniecenie. Przypominał ich ojca na kilka dni przed śmiercią – ta sama otyłość, ten sam krótki oddech, ta sama nietypowa dla niego drażliwość. Ale jeśli pozwoli mu spać, będzie się bez wątpienia jeszcze bardziej wściekał, żałując, że nie zobaczył tego dziwnego dymu.

– Obudź się, bracie – powiedziała, gładząc go po włosach. – Powinieneś chyba to zobaczyć.

Pliniusz od razu otworzył oczy.

– Woda? Czy płynie?

– Nie. Nie chodzi o wodę. Wygląda to jak wielki pożar, który nadciąga od strony Wezuwiusza.

– Wezuwiusza? – Pliniusz zamrugał. – Moje buty! – krzyknął do najbliższego niewolnika. – Migiem!

– Nie przemęczaj się za bardzo, bracie…

Nie zaczekał na buty. Po raz drugi tego dnia ruszył na bosaka; poczłapał po suchej trawie w stronę tarasu. Kiedy tam dotarł, większość niewolników stała już przy balustradzie, patrząc na wschód w kierunku czegoś, co wyglądało jak gigantyczna rosochata sosna utkana z dymu, unoszącego się po drugiej stronie zatoki. Pokryty czarnymi i białymi smugami brązowy gruby pień miał wiele mil wysokości i wyrastały z niego kępy podobnych do pióropuszy gałęzi. Ich szerokie liście zdawały się roztapiać na dolnych brzegach i spływała z nich ku ziemi delikatna, piaskowego koloru mgiełka.

Admirał lubił powtarzać, że im dłużej obserwuje Naturę, tym mniej skłonny jest twierdzić, że coś jest w niej niemożliwe. Lecz to, co widział, z całą pewnością było niemożliwe. Nic, o czym przeczytał, a przeczytał wszystko, co było do przeczytania, nie dało się przyrównać do tego spektaklu. Może Natura dała mu przywilej bycia naocznym świadkiem czegoś, co nigdy przedtem nie zostało opisane? Czyżby

te długie lata gromadzenia faktów i modlitwa, którą zakończył *Historię naturalną: Bądź pozdrowiona, Naturo, matko wszelkiego stworzenia. Pamiętaj, że ja jeden spośród wszystkich Rzymian wielbiłem cię we wszystkich przejawach, i postaraj mi się za to odwdzięczyć*, zostały w końcu nagrodzone? Gdyby nie był taki otyły, padłby na kolana.

– Dziękuję – szepnął. – Dziękuję.

Musi natychmiast przystąpić do pracy. *Rosochata sosna… wysoki pień… pióropusze gałęzi*… Musi zapisać to wszystko dla potomności, póki ma w głowie wyraźne obrazy. Krzyknął do Aleksjona, żeby wziął pióro i papier, a do Julii, żeby sprowadziła Gajusza.

– Jest w domu, pracuje nad przekładem, który mu dałeś – odparła.

– Więc niech tutaj natychmiast przyjdzie. Nie będzie chciał stracić czegoś takiego. – To nie może być dym, pomyślał. Pień jest na to zbyt gruby. Poza tym nie ma śladu ognia przy podstawie. – Cicho tam, do diaska! – zawołał, dając znak niewolnikom, żeby przestali trajkotać.

Wytężając słuch, usłyszał niski nieustający łoskot dobiegający z drugiej strony zatoki. Jeśli tak to brzmi z odległości piętnastu mil, jaki hałas musi być bliżej?

Dał znak Alkmanowi.

– Pchnij gońca do szkoły morskiej. Niech odnajdzie kapitana okrętu flagowego i przekaże mu, że chcę, aby przygotowali liburniana i oddali go do mojej dyspozycji.

– Bracie… nie!

– Julio! – uciszył siostrę, podnosząc rękę. – Wiem, że chcesz dobrze, ale nie strzęp na próżno języka. Czymkolwiek jest to zjawisko, to znak dany mi przez Naturę. Należy do mnie.

• • •

Korelia otworzyła na oścież okiennice i wyszła na balkon. Po jej prawej stronie nad płaski dach atrium nadciągała ogromna chmura, czarna jak atrament, przypominająca zakrywającą niebo zasłonę. Powietrze drżało od grzmotów. Słyszała dolatujące z ulicy krzyki. Niewolnicy biegali tam i z powrotem po dziedzińcu. Przypominali jej orzesznice, zanim kucharz wyciągnie je z dzbana. Czuła się dziwnie niezwiązana z całą tą sceną – niczym obserwujący skomplikowany spektakl widz w najwyższym rzędzie teatru. W każdym momencie ze skrzydeł wiatru mógł spłynąć jakiś bóg i przenieść ją w bezpieczne miejsce.

– Co się dzieje?! – zawołała, ale nikt nie zwracał na nią uwagi. Krzyknęła ponownie i zdała sobie sprawę, że o niej zapomniano.

Łoskot chmury stawał się coraz głośniejszy. Podbiegła do drzwi i próbowała je otworzyć, ale zamek był zbyt mocny, żeby go wyłamać. Wybiegła z powrotem na balkon, lecz był zbyt wysoki, by mogła z niego skoczyć. Na dole po lewej stronie zobaczyła Popidiusza, który wychodził ze swojej części domu, prowadząc przed sobą matkę, Taedię Sekundę. Za nimi szła para niewolników obładowanych torbami.

– Popidiuszu! – krzyknęła, a on, słysząc ją, zatrzymał się i rozejrzał. – Pomóż mi! – wołała, machając ręką. – On zamknął mnie na klucz!

Zdesperowany Popidiusz pokręcił głową.

– Próbuje zamknąć nas wszystkich! Oszalał!

– Proszę, wejdź na górę i otwórz drzwi!

Popidiusz zawahał się. Chciał jej pomóc. I pewnie by to zrobił, ale kiedy dał krok w jej stronę, coś uderzyło za jego plecami w dach i spadło do ogrodu. Lekki kamyk, wielkości dziecinnej pięści. Widział, jak ląduje. Kolejny uderzył w pergolę. I nagle zapadł zmierzch, a w powietrzu zaroiło się od pocisków. Popidiusz oberwał nimi kilka razy po głowie i ramionach. Wyglądały dziwnie, niczym kawałki skamieniałej białej gąbki. Nie były ciężkie, ale ich uderzenia bolały. Miał wrażenie, że zaskoczył go grad – ciepły, ciemny grad, jeśli można w ogóle wyobrazić sobie coś takiego. Popychając przed sobą matkę i ignorując krzyki Korelii, schronił się pod dachem atrium. Drzwi po drugiej stronie – stare wejście Ampliatusa – były otwarte i potykając się, wybiegł przez nie na ulicę.

Korelia nie widziała, jak wychodzi. Cofnęła się już wcześniej do pokoju, aby uniknąć gradu odłamków. Przez chwilę widziała jeszcze szary od kurzu świat, a potem zapadła nieprzenikniona ciemność, w której nie było nic, nawet jednego krzyku, tylko hucząca lawina skał.

• • •

W Herkulanum życie toczyło się dziwnie normalnym trybem. Świeciło słońce, niebo i morze były olśniewająco błękitne. Docierając do nadbrzeżnej drogi, Atiliusz zobaczył rybaków zarzucających sieci na łodziach. Wyglądało to na kaprys letniej pogody, w wyniku którego połowa zatoki zniknęła z pola widzenia, ogarnięta gwałtowną burzą, a druga połowa zażywała w najlepsze przyjemności dnia. Nawet hałas nie wydawał się taki straszny – stłumiony łoskot dryfował wraz z welonem pyłu w stronę półwyspu Surrentum.

Przy miejskich bramach zebrał się niewielki tłumek, obserwujący to, co się dzieje. Kilku rzutkich kupców rozstawiło stragany i sprzedawało słodycze i wino. Drogą wlókł się już sznur zakurzonych podróżnych, głównie idących pieszo i dźwigających bagaże. Część ciągnęła wózki, na których piętrzył się ich dobytek. Za nimi biegły dzieci podekscytowane przygodą, lecz twarze ich rodziców wykrzywiał strach. Atiliusz miał wrażenie, że śni. Jakiś grubas, siedzący na drogowym słupku i pałaszujacy ciastko, pytał wesoło przechodzących, jaka jest sytuacja tam, skąd przybywają.

– W Oplontis jest ciemno jak o północy – odparł ktoś – a w Pompejach musi być jeszcze gorzej.

Atiliusz nagle oprzytomniał.

– W Pompejach? – zapytał ostro. – Co się dzieje w Pompejach?

Podróżny pokręcił głową i przesunął palcem po gardle, a Atiliusz pomyślał o Korelii. Zmuszając dziewczynę do opuszczenia miejsca, gdzie naprawiali akwedukt, był przekonany, że uchroni ją przed niebezpieczeństwem. Jednak teraz, widząc punkt, w którym prowadząca do Pompejów droga ginęła w mroku, uświadomił sobie, że zrobił coś dokładnie przeciwnego. Niesione przez wiatr wyziewy Wezuwiusza zmierzały bezpośrednio w stronę tego miasta.

– Nie jedź tam, obywatelu – ostrzegł go mężczyzna. – Nie przebijesz się.

Lecz Atiliusz kierował już konia pod prąd strumienia uchodźców.

• • •

Im dalej jechał, tym bardziej zatłoczona była droga i tym żałośniej wyglądali uciekający ludzie. Większość z nich pokryta była grubą warstwą szarego pyłu, miała zlepione włosy i pokrwawione twarze, które przypominały pośmiertne maski. Niektórzy nieśli wciąż zapalone pochodnie: pobita armia posiwiałych starców, duchów wlokących się po przegranej bitwie, niepotrafiących wykrztusić słowa.

Ich zwierzęta – woły, osły, konie, psy i koty – przypominały ożywające z trzaskiem alabastrowe posągi. Na drodze zostawiali białe ślady kół i stóp.

Jadąc, usłyszał dobiegające z oliwnych gajów pojedyncze trzaski. Morze z drugiej strony jakby się zagotowało, tryskając miriadami małych fontann. O drogę przed nim zagrzechotały kamienie. Jego koń zatrzymał się, pochylił głowę i nie chciał dalej iść. Skraj chmury, która przed chwilą jeszcze wydawała się odległa o pół mili, znalazł się nagle tuż nad nimi. Pociemniałe niebo wypełniły wirujące pociski, słoneczne popołudnie zmieniło się momentalnie w późny zmierzch i Atiliusz znalazł się pod obstrzałem. Nie twardych kamieni, lecz białych kawałków żużlu, małych grudek zbitego popiołu, spadających z jakiejś niewyobrażalnej wysokości. Uderzały go po głowie i ramionach. W półmroku majaczyli ludzie i wozy. Krzyczały kobiety. Ćmiły się pochodnie. Jego koń spłoszył się i zawrócił. Atiliusz nie był już ratownikiem – stał się częścią spanikowanego strumienia uchodźców, starających się gorączkowo uciec przed gradem pocisków. Jego koń ześlizgnął się do biegnącego obok drogi rowu i pocwałował nim. Chwilę później powietrze rozjaśniło się, stało się brązowe i wypadli na słońce.

Wszyscy przyśpieszyli kroku, zmobilizowani czającym się za ich plecami niebezpieczeństwem. Atiliusz zdał sobie sprawę, że nie uda mu się dotrzeć do Pompejów i że nawet drobna zmiana kierunku wiatru może sprawić, że zagrożenie obejmie teren położony bardziej na zachód. Przy drodze stało, płacząc, dwoje staruszków, zbyt zmęczonych, by biec dalej. Jakiś wózek przewrócił się i właściciel starał się go desperacko podnieść, podczas gdy jego żona uspokajała niemowlę i małą dziewczynkę trzymającą się jej sukni. Strumień uciekinierów opływał ich z obu stron. Atiliusz dał mu się porwać i ruszył drogą do Herkulanum.

Przy miejskiej bramie dostrzeżono zmieniający się kierunek gradu kamieni i kiedy Atiliusz tam dotarł, kupcy pakowali w pośpiechu swoje towary. Tłum podzielił się: część szukała schronienia w mieście, inni opuszczali je, żeby dołączyć do exodusu. I mimo tego wszystkiego na morzu widział nieprzejmujących się niczym rybaków, a trochę dalej wielkie zbożowe statki z Egiptu, zmierzające do portu w Puteoli. Morze, pomyślał. Gdyby zdołał spuścić na wodę jakąś łódź, mógłby ominąć kamienną ulewę i dotrzeć do Pompejów od południa, drogą morską. Domyślał się, że nie warto przeciskać się do nabrzeża w samym Herkulanum, ale miał nadzieję, że być może będą mieli jakiś statek w wielkiej willi na peryferiach miasta, w domu senatora Pediusza Kaskusa i jego drużyny filozofów.

Po pokonaniu kilkuset kroków zatłoczoną drogą zobaczył wysoką bramę, która, jak przypuszczał, musiała prowadzić do Villa Calpurnia. Przywiązał konia do balustrady na dziedzińcu i rozejrzał się za jakimś znakiem życia, olbrzymi pałac wydawał się jednak opuszczony. Wszedł przez otwarte drzwi do wielkiego atrium, a potem do przylegającego doń ogrodu. Usłyszał czyjeś krzyki i zbliżające się marmurowym korytarzem kroki. Chwilę później zza rogu wybiegł niewolnik, pchający przed sobą taczkę, na której piętrzyły się zwoje papirusów. Nie reagując na wołanie Atiliusza, skierował się ku szerokim drzwiom prowadzącym na dwór i w tym samym momencie inny niewolnik, również pchający taczkę – tym razem pustą – wbiegł z ogrodu do domu. Inżynier stanął mu na drodze.

– Gdzie jest senator? – zapytał.

– W Rzymie.

Młody niewolnik był wystraszony i spocony.

– A twoja pani?

– Przy basenie. Przepuść mnie, panie, proszę.

Atiliusz odsunął się, pozwalając mu przejść, i wybiegł na zalany słońcem taras. Niżej był wielki basen, który widział z pokładu liburniana, kiedy płynął do Pompejów, a wokół niego tłum ludzi: kilkudziesięciu niewolników i odziani w białe szaty uczeni, biegający tam i z powrotem z naręczami papirusów i układający je w skrzyniach przy skraju wody. Z boku stała grupka kobiet obserwujących odległą burzę, która z tego miejsca przypominała brązową mgłę. Wypływające z Herkulanum statki wyglądały na jej tle niczym małe patyczki. Rybacy nie łowili już ryb. Fale się podniosły. Atiliusz słyszał, jak uderzają o brzeg, załamując się jedna na drugiej. Część kobiet lamentowała, lecz stojąca pośrodku starsza matrona w granatowej sukni zachowywała spokój. Zapamiętał ją – kobietę w naszyjniku z wielkich pereł.

– Jesteś pani żoną Pediusza Kaskusa?

Skinęła głową.

– Marek Atiliusz. Cesarski inżynier. Przed dwoma dniami spotkałem się z twoim mężem w willi admirała.

Spojrzała na niego z nadzieją.

– Przysyła cię Pliniusz?

– Nie. Przyszedłem, aby prosić o przysługę. Potrzebna mi łódź.

Na jej twarzy odbił się zawód.

– Myślisz, że stałabym tutaj, gdybym miała statek? Mój mąż popłynął nim wczoraj do Rzymu.

Atiliusz omiótł spojrzeniem rozległy pałac, posągi, ogrody i leżące na trawnikach dzieła sztuki i książki, po czym odwrócił się, by odejść.

– Zaczekaj! – zawołała za nim. – Musisz nam pomóc.

– Nie jestem w stanie nic zrobić. Musisz, pani, uciekać drogą razem z innymi.

– Nie boję się o siebie. Chodzi mi o bibliotekę… musimy ratować bibliotekę. Nie przewieziemy tylu książek drogą.

– Troszczę się o ludzi, nie o książki.

– Ludzie sczezną. Książki są nieśmiertelne.

– Skoro są nieśmiertelne, przetrwają bez mojej pomocy – odparł i ruszył pod górę w stronę domu.

– Zaczekaj! – Żona Kaskusa podciągnęła suknię i pobiegła za nim. – Dokąd idziesz?

– Znaleźć jakąś łódź.

– Pliniusz ma łodzie. Pliniusz ma pod swoim dowództwem największą flotę na świecie.

– Pliniusz jest po drugiej stronie zatoki.

– Spójrz! Za chwilę zwali się na nas cała góra! Myślisz, że jeden człowiek w małej łodzi może coś na to poradzić? Potrzebujemy całej floty. Chodź ze mną!

To jedno musiał jej przyznać: niewielu mężczyzn ma taką siłę woli. Ruszył za nią wzdłuż otaczającej basen kolumnady i wspiął się po kilku schodkach do biblioteki. Większość przegródek została już opróżniona. Dwaj niewolnicy ładowali to, co zostało, na taczki. Wyciosani w marmurze starożytni filozofowie patrzyli w niemym przerażeniu na to, co się dzieje.

– Tutaj właśnie trzymaliśmy tomy, które moi przodkowie przywieźli z Grecji. Sto dwadzieścia sztuk samego tylko Sofoklesa. Wszystkie dzieła Arystotelesa, niektóre skreślone jego własną ręką. Są nie do odzyskania. Nigdy nie pozwoliliśmy ich skopiować. – Złapała go za ramię. – Co godzina rodzą się i umierają tysiące ludzi. Co my znaczymy? Te wielkie dzieła to wszystko, co po nas pozostanie. Pliniusz

to zrozumie. – Usiadła przy małym stoliku, wzięła pióro i umoczyła je w niewielkim mosiężnym kałamarzu. Obok paliła się czerwona świeczka. – Zawieź mu ten list. On zna tę bibliotekę. Powiedz mu, że Rektyna błaga o ratunek.

Za jej plecami Atiliusz widział złowieszczy mrok, który sunął powoli wokół zatoki niczym wskazówka słonecznego zegara. Wcześniej miał nadzieję, że jego intensywność się zmniejszy, lecz przeciwnie, zwiększała się. Rektyna ma rację. Trzeba wielkich okrętów – wojennych okrętów – żeby zrobić wrażenie na tak potężnym nieprzyjacielu.

– Masz konia? – zapytała, zwijając list i pieczętując go pierścieniem, który odcisnęła w skapującym ze świecy miękkim wosku.

– Szybciej dojadę na świeżym.

– Będziesz go miał. Zabierz Marka Atiliusza do stajni! – zawołała do jednego z niewolników. – I osiodłaj najszybszego konia, jakiego mamy.

Wręczyła mu list i kiedy go odbierał, zacisnęła suche kościste palce na jego nadgarstku.

– Nie zawiedź mnie, inżynierze.

Atiliusz wyzwolił rękę z jej uścisku i pobiegł za niewolnikiem.

HORA NONA

(godzina 15.32)

> *W wyniku nagłego uwolnienia się wielkich ilości magmy może dojść do zmiany geometrii całego systemu kanałów, destabilizacji płytkiego zbiornika i strukturalnego kolapsu. Tego rodzaju zjawiska zwiększają często intensywność erupcji, doprowadzając do kontaktu pomiędzy cieczami freatycznymi i magmą, a także do eksplozywnej dekompresji systemu hydrotermalnego powiązanego z płytkim zbiornikiem.*
>
> *Encyclopaedia of Volcanoes*

Pędząc co koń wyskoczy, Atiliusz dotarł do Misenum w niespełna dwie godziny. Droga wiła się wzdłuż wybrzeża, czasami tuż przy brzegu, innym razem wznosząc się wyżej i biegnąc obok okazałych willi rzymskiej elity. Co jakiś czas mijał małe grupki gapiów, którzy gromadzili się przy skraju drogi i obserwowali daleki fenomen. Górę miał na ogół za swoimi plecami, ale kiedy okrążył północny skraj zatoki i zaczął zjeżdżać w kierunku Neapolu, zobaczył ją ponownie po swojej lewej stronie – i był to widok niebywałej piękności. Centralną kolumnę otaczał cylindryczny welon świetlistej białej mgły, który wznosił się mila po mili aż do wiszącej nad zatoką chmury w kształcie grzyba.

Nie było żadnej paniki w Neapolu, który sprawiał wrażenie dość sennej mieściny nawet w pełni sezonu. Inżynier dawno już wyprzedził wyłaniających się spod gradu kamieni, obładowanych dobytkiem znużonych uchodźców i do miasta nie dotarły jeszcze żadne wieści o katastrofie, która spotkała Pompeje. Zwrócone ku morzu, utrzymane w greckim stylu świątynie i teatry lśniły bielą w popołudniowym słońcu. Ludzie spacerowali po ogrodach. Na wzgórzach za miastem widział wzniesione z czerwonej cegły arkady Augusty, która biegła w tym miejscu nad ziemią. Zastanawiał się, czy płynie już nią woda, ale nie zatrzymał się, żeby to sprawdzić. W gruncie rzeczy, mało go to obchodziło. To, co wcześniej wydawało się najważniejszą rzeczą na świecie, teraz było błahe, zupełnie nieistotne. Czym są teraz Eksomniusz i Koraks, jeśli nie garstką pyłu? Właściwie nawet nie pyłem, co najwyżej wspomnieniem. Zastanawiał się, co się stało z innymi, lecz najczęściej myślał o Korelii – nie mógł zapomnieć, jak siadając na konia, odrzuciła do tyłu włosy, jak znikała w oddali, podążając ku przeznaczeniu, które zgotował jej on, a nie Opatrzność.

Minął Neapol i ruszył dalej, przejeżdżając przez olbrzymi tunel, który Agryppa wykuł pod wysokim cyplem Pausilyponu – gdzie, jak zauważył Seneka, palone przez niewolników pochodnie nie tyle rozjaśniały mrok, co go uwidoczniały – następnie obok wielkich betonowych pirsów zbożowych portu w Puteoli – kolejnego projektu Agryppy – obok Kume – gdzie, jak powiadano, Sybilla wisiała w swojej butelce i pragnęła śmierci – obok rozległych hodowli ostryg w Jeziorze Awerneńskim, obok położonych na tarasach łaźni w Bajach, obok pijaków na plażach i sklepów z pomalowanymi na jaskrawe kolory wyrobami ze szkła, obok puszczających latawce dzieci, naprawiających lniane sieci rybaków,

mężczyzn, którzy grali w kości w cieniu oleandrów, centurii marynarzy w pełnej zbroi, którzy biegli dwójkami do bazy morskiej – mijając całe to rojne życie rzymskiego supermocarstwa, podczas gdy po drugiej stronie zatoki Wezuwiusz wydał z siebie drugi przeciągły łoskot, zmieniając kolor fontanny kamieni z szarego na czarny i dźwigając ją jeszcze wyżej.

• • •

Największym zmartwieniem Pliniusza było, że cała rzecz dobiegnie końca, zanim tam dotrze. Co chwila dreptał z biblioteki, żeby przyjrzeć się kolumnie, i za każdym razem wracał uspokojony. Wydawała się raczej rosnąć niż maleć. Dokładne określenie jej wysokości było niemożliwe. Posidoniusz utrzymywał, że mgły, wiatry i chmury unoszą się najwyżej do wysokości pięciu mil nad ziemią, lecz większość ekspertów – a Pliniusz podzielał w zasadzie pogląd większości – przyjmowała wartość 111 mil. Bez względu na to jak naprawdę jest, ta kolumna, „manifestacja", jak zdecydował się ją nazwać, była olbrzymia.

Aby obserwacje były jak najdokładniejsze, kazał znieść do portu zegar wodny i ustawić na rufie liburniana. Czekając, aż statek będzie gotowy do wyjścia w morze, poszukał w bibliotece wzmianek o Wezuwiuszu. Nigdy nie interesował się zbytnio tą górą. Była tak wielka, tak oczywista, tak nachalna, że wolał koncentrować się na bardziej ezoterycznych aspektach Natury. Jednak pierwsze dzieło, do którego zajrzał, *Geografia* Strabona, postawiło go na baczność. *Teren ten wygląda, jakby w przeszłości stał w ogniu i pokryty był płonącymi kraterami*… Dlaczego nie zwrócił na to wcześniej uwagi? Zawołał Gajusza, żeby rzucił okiem na ten ustęp.

– Widzisz tutaj? Porównuje górę do Etny. Ale jak to możliwe? Etna ma krater o szerokości dwóch mil. Widziałem na własne oczy, jak żarzył się w nocy po drugiej stronie morza. I wszystkie te wyspy, które wypluwają z siebie płomienie… Strongyle rządzona przez boga wiatrów Eola, Wyspy Liparyjskie oraz Wyspa Święta, gdzie, jak powiadają, mieszka Wulkan… wszystkie one płoną. Nikt nie zaobserwował nigdy płomieni na Wezuwiuszu.

– Strabon pisze, że płonące kratery *w końcu zgasły z braku paliwa* – wskazał jego siostrzeniec. – Być może w środku góry trysnęło jakieś świeże źródło paliwa i przywróciło ją do życia? – Gajusz podniósł z przejęciem wzrok. – Czy to może tłumaczyć obecność siarki w dostarczanej akweduktem wodzie?

Pliniusz spojrzał na niego z uznaniem. Owszem. To musi być to. Chłopak ma rację. Siarka była uniwersalnym paliwem wszystkich tych zjawisk – płomienia w Comphantium w Baktrii, płonącego stawu rybnego na Równinie Babilońskiej i gwiezdnego pola nieopodal Góry Hesperyjskiej w Etiopii. Lecz implikacje, jakie stąd wynikały, były straszne. Wyspy Liparyjskie i Wyspa Święta płonęły kiedyś całymi dniami pośrodku morza, dopóki nie dopłynęła tam i nie odprawiła błagalnych modłów delegacja Senatu. Podobna eksplozja na gęsto zamieszkanym terenie w środku Italii mogła okazać się katastrofą.

Admirał dźwignął się na nogi.

– Muszę udać się na statek. Aleksjonie! – krzyknął. – Popłyniesz ze mną, Gajuszu? – zapytał siostrzeńca. – Możesz odłożyć na później swój przekład – dodał z uśmiechem i podniósł rękę. – Zwalniam cię z lekcji.

– Naprawdę, wuju? – Gajusz spojrzał na drugi brzeg zatoki i przygryzł wargę. Najwyraźniej i on zdawał sobie sprawę z konsekwencji, jakie pociągało za sobą pojawienie się nad zatoką drugiej Etny. –

To miło z twojej strony, ale szczerze mówiąc, ślęczę akurat nad bardzo trudnym fragmentem. Chociaż, oczywiście, jeśli nalegasz…

Pliniusz widział, że chłopak się boi, i wcale się temu nie dziwił. On sam, choć stary żołnierz, czuł nieprzyjemny ucisk w żołądku. Zastanawiał się, czy nie rozkazać chłopcu, żeby z nim popłynął – żaden Rzymianin nie powinien pozwolić, by owładnął nim lęk: co się stało z surowymi cnotami jego młodości? – lecz zaraz potem pomyślał o Julii. Czy wolno mu wystawiać jej jedynego syna na niepotrzebne niebezpieczeństwo?

– Nie, nie – powiedział z wymuszonym uśmiechem. – Nie będę nalegał. Morze jest wzburzone. Możesz się pochorować. Zostań tutaj i zaopiekuj się matką. – Uszczypnął siostrzeńca w pryszczaty policzek i zmierzwił mu tłuste włosy. – Będzie z ciebie dobry adwokat, Gajuszu Pliniuszu. Może nawet wielki. Któregoś dnia znajdziesz się w Senacie. Będziesz moim dziedzicem. Moje książki będą należeć do ciebie. W twojej osobie będzie żyło nazwisko Pliniuszów. – Przerwał. Zaczynało to brzmieć jak mowa pożegnalna. – Wracaj do nauki – dodał oschle. – Powiedz matce, że wrócę przed zachodem słońca.

Admirał wsparł się na ramieniu sekretarza i nie oglądając się za siebie, wyszedł z biblioteki.

• • •

Atiliusz minął Piscina Mirabilis i groblę prowadzącą do portu i zaczynał właśnie wspinać się stromą drogą prowadzącą do willi admirała, kiedy zobaczył oddział marynarzy, którzy torowali drogę powozowi Pliniusza. Zeskoczył z siodła i w tym samym momencie pochód się z nim zrównał.

– Admirale!

Pliniusz, który patrzył prosto przed siebie, odwrócił się w jego stronę. Zobaczył postać, której nie rozpoznawał: pokrytą kurzem, w podartej tunice, z zaschniętą krwią na twarzy, ramionach i nogach.

– Admirale! – odezwało się ponownie widmo. – To ja! Marek Atiliusz!

– Inżynierze? – Pliniusz dał znak, by zatrzymano powóz. – Co ci się stało?

– To katastrofa, admirale. Góra eksploduje… z nieba spadają kamienie. – Atiliusz oblizał popękane wargi. – Setki ludzi uciekają nadmorską drogą. Oplontis i Pompeje są zasypane. Jadę z Herkulanum. Mam dla ciebie wiadomość… – poszukał w kieszeni – od żony Pediusza Kaskusa.

– Od Rektyny?

Pliniusz wziął od niego list i złamał pieczęć. Przeczytał go dwukrotnie, marszcząc czoło, i nagle wyraźnie stracił energię, jakby zmożony niemocą. Wychylił się z powozu i pokazał pośpiesznie skreśloną wiadomość Atiliuszowi: *Pliniuszu, najdroższy przyjacielu, biblioteka w niebezpieczeństwie. Jestem sama. Jeśli kochasz te stare książki i twoją wierną starą Rektynę, błagam, przybądź po nas drogą morską – natychmiast.*

– Czy to prawda?! – zawołał. – Zagrożona jest Villa Calpurnia?

– Zagrożone jest całe wybrzeże, admirale – odparł inżynier. Co się dzieje z tym starcem? Czy wino i podeszły wiek całkiem odebrały mu rozum? A może myślał, że to wszystko jest tylko spektaklem wystawianym na jego cześć w amfiteatrze? – Niebezpieczeństwo przesuwa się wraz z wiatrem. Zmienia kierunek niczym wiatrowskaz. Nawet Misenum może nie być bezpieczne.

– Nawet Misenum może nie być bezpieczne – powtórzył Pliniusz. – A Rektyna jest sama. – W jego oczach zalśniły łzy. Zwinął list i skinął na swojego sekretarza, który wcześniej biegł wraz z żołnierzami

obok pojazdu. – Gdzie jest Antiusz?

– Przy nabrzeżu, admirale.

– Musimy działać szybko. Siadaj obok mnie, Atiliuszu. – Admirał postukał pierścieniem w bok powozu. – Naprzód! – Inżynier wcisnął się obok niego i powóz potoczył się w dół. – Opowiedz mi wszystko, co widziałeś.

Atiliusz próbował zebrać myśli, lecz trudno było mu składnie mówić. Mimo to starał się opisać potęgę tego, co zobaczył, gdy wierzchołek góry uniósł się w powietrze, co było zaledwie kulminacją szeregu innych zjawisk – siarki w glebie, złóż trującego gazu, wstrząsów ziemi, wyniesienia gruntu, które zniszczyło kanał akweduktu, zniknięcia lokalnych źródeł. Wszystkie te zjawiska były ze sobą powiązane.

– I żaden z nas tego nie dostrzegł – mruknął Pliniusz, kręcąc głową. – Byliśmy ślepi podobnie jak stary Pomponianus, którego zdaniem wszystko to było dziełem Jupitera.

– To nie do końca prawda, admirale. Był człowiek, który to dostrzegł. Mój poprzednik, Eksomniusz, który wychował się w okolicy Etny.

– Eksomniusz? – powtórzył ostro Pliniusz. – Ten, który ukrył ćwierć miliona sestercji na dnie własnego zbiornika? Odkryto to dziś rano, kiedy wyciekła reszta wody – dodał, spostrzegłszy konsternację na twarzy inżyniera. – Dlaczego to zrobił? Wiesz może, jak wszedł w ich posiadanie?

Wjeżdżali do portu. Atiliusz zobaczył znajomy widok – stojącą przy nabrzeżu z podniesionym masztem, gotową do wyjścia w morze *Minerwę*. Jakie to wszystko dziwne, pomyślał, cały ten łańcuch zdarzeń i okoliczności, które doprowadziły go do tego miejsca. Gdyby Eksomniusz nie urodził się na Sycylii, nigdy nie wybrałby się na szczyt Wezuwiusza i nie zaginął. Atiliusza nie wysłano by z Rzymu, nigdy nie postawiłby stopy w Pompejach, nie poznał Korelii, Ampliatusa ani Koraksa. Na moment olśniła go niezwykła, idealna logika tego wszystkiego, od zatrutych ryb po ukryte srebro, i zastanawiał się, jak najlepiej opisać to admirałowi. Pliniusz jednak kazał mu zamilknąć już po kilku słowach.

– Małoduszność i chciwość człowieka! – parsknął niecierpliwie. – Można by o niej napisać całą księgę. Ale jakie to teraz może mieć znaczenie? Umieść to w raporcie i postaraj się go skończyć do mojego powrotu. A akwedukt?

– Naprawiony, admirale. W każdym razie był naprawiony, kiedy odjeżdżałem stamtąd dziś rano.

– W takim razie dzielnie się spisałeś, inżynierze. I dowiedzą się o tym w Rzymie, obiecuję ci. A teraz wracaj na kwaterę i odpocznij.

Liny obijały się z trzaskiem o maszt *Minerwy*. Torkwatus stał na tylnym trapie, rozmawiając z kapitanem okrętu flagowego Antiuszem i siedmioma innymi oficerami. Kiedy podjechał do nich powóz Pliniusza, stanęli na baczność.

– Jeśli zezwolisz, admirale, wolałbym raczej pożeglować z tobą – powiedział Atiliusz.

Pliniusz przyjrzał mu się zdumiony, a potem uśmiechnął się i klepnął go pulchną dłonią po kolanie.

– Uczony! Jesteś taki sam jak ja! Wyczułem to, kiedy tylko cię zobaczyłem. Dokonamy dzisiaj wielkich rzeczy, Marku Atiliuszu. – Nie czekając, aż sekretarz pomoże mu wysiąść z powozu, admirał zaczął wydawać świszczącym głosem rozkazy. – Torkwatusie, natychmiast wypływamy. Inżynier popłynie z nami. Antiuszu, ogłoś ogólny alarm. I wyślij w moim imieniu świetlną depeszę do Rzymu: „Wezuwiusz wybuchł tuż przed godziną siódmą. Ludność zatoki zagrożona. Wysyłam całą flotę na morze, by ewakuować tych, którzy ocaleli”.

Antiusz wbił w niego wzrok.

– Całą flotę, admirale?

– Wszystko, co unosi się na wodzie. Co tutaj macie? – Pliniusz omiótł krótkowzrocznym spojrzeniem okręty, które stały na redzie, kołysząc się na coraz silniejszej fali. – To chyba *Concordia*, prawda? *Libertas*. *Justitia*. A ta tam… to chyba *Pietas*? *Europa*. Wszystkie – zdecydował, machając ręką. – I wszystkie jednostki z wewnętrznego portu, które nie stoją w suchym doku. Śmiało, Antiuszu. Skarżyłeś się onegdaj, że mamy najpotężniejszą flotę na świecie, ale nie wyruszyliśmy nigdy do boju. Oto bój, o który ci chodziło.

– Ale bój wymaga przeciwnika, admirale.

– Oto twój przeciwnik. – Pliniusz wskazał rozpościerający się w oddali ciemny obłok. – Potężniejszy od jakiegokolwiek wroga, z jakim walczył Cezar.

Antiusz przez chwilę nie ruszał się z miejsca i Atiliusz miał wrażenie, że waha się, czy wykonać rozkaz, lecz kapitan odwrócił się nagle z błyskiem w oku do swoich oficerów.

– Słyszeliście rozkazy. Wyślijcie depeszę do cesarza i zarządźcie alarm. I ogłoście, że utnę jaja każdemu kapitanowi, którego statek nie wyjdzie w morze w ciągu pół godziny.

• • •

W połowie godziny dziewiątej, według zegara wodnego admirała, *Minerwa* została odepchnięta od nabrzeża i zaczęła obracać się powoli ku otwartemu morzu. Atiliusz zajął swoje stare miejsce przy relingu i skinieniem pozdrowił Torkwatusa. W odpowiedzi kapitan pokręcił lekko głową, jakby uważał całą tę wyprawę za szaleństwo.

– Notujcie czas – rozkazał Pliniusz i kucający przy nim Aleksjon umoczył pióro w kałamarzu i zapisał cyfry.

Dla admirała ustawiono na małym podwyższeniu wygodny fotel z poręczami i wysokim oparciem, skąd mógł obserwować całą rozgrywającą się przed nim scenę. Od dwóch lat marzył o tym, by dowodzić flotą w boju, by wysunąć ten olbrzymi miecz z pochwy – mając oczywiście świadomość, iż Wespazjan widzi w nim tylko administratora na czas pokoju, kogoś, kto pilnuje, by nie zardzewiało ostrze. Ale ćwiczenia się skończyły. Teraz może w końcu zobaczyć, jak wyglądają prawdziwe przygotowania do bitwy: przeszywające dźwięki trąbek, wzywające do portu wszystkich marynarzy w Misenum, łodzie wiozące pierwszych wioślarzy na wielkie kwadriremy, rojący się na pokładach ludzie, którzy podnosili wielkie maszty i stawiali wiosła. Antiusz obiecał mu dwadzieścia okrętów natychmiast gotowych do akcji. To oznaczało cztery tysiące ludzi – cały legion!

Po chwili dziób *Minerwy* skierował się na wschód, dwa rzędy wioseł zanurzyły się w wodzie, pod pokładem zadudnił bęben i zaczęli pruć fale. Admirał usłyszał, jak na rufie łopocze jego ozdobiony cesarskim orłem osobisty proporzec. Na twarzy czuł powiew bryzy, w dołku dreszcz oczekiwania. Żegnało go całe miasto. Ludzie stali na ulicach, wychylali się z okien, oblegali płaskie dachy. W porcie rozległy się mizerne wiwaty. Poszukał wzrokiem swojej willi, zobaczył Gajusza i Julię stojących przed biblioteką i podniósł rękę. W odpowiedzi na ten gest rozległy się kolejne wiwaty.

– Widzisz, jak kapryśny jest tłum?! – zawołał wesoło do Atiliusza. – Wczoraj wieczorem opluwano mnie na ulicy. Dzisiaj jestem bohaterem. Liczą się dla nich tylko pozory – stwierdził i znów pomachał ręką.

– Zobaczycie, jaka będzie ich reakcja jutro – mruknął Torkwatus – kiedy stracą połowę swoich mężczyzn.

Atiliusza zaskoczyły jego słowa.

– Uważasz, że grozi nam aż tak wielkie niebezpieczeństwo? – zapytał cicho.

– Te okręty wydają się mocne, inżynierze, ale są związane sznurem. Chętnie stawiłbym czoło każdemu śmiertelnikowi, ale tylko głupiec wyzywa na bój Naturę.

Pilot na dziobie ostrzegł krzykiem stojącego za admirałem sternika, który oparł się o rumpel. *Minerwa* przepłynęła między stojącymi na kotwicy okrętami tak blisko, że Atiliusz zobaczył twarze marynarzy na pokładzie, a potem skręciła ponownie, mijając naturalną skalną ścianę portu, która otworzyła się powoli jak toczące się na kółkach wrota wielkiej świątyni. Po raz pierwszy mieli niczym nieosłonięty widok na to, co działo się po drugiej stronie zatoki.

Pliniusz zacisnął palce na poręczach fotela. Przez kilka chwil był zbyt przejęty, by się odezwać. W końcu przypomniał sobie o obowiązkach wobec nauki.

– Za cyplem Pausilyponu – zaczął powoli dyktować – cały Wezuwiusz i wybrzeże w jego pobliżu zasłonięte jest dryfującą chmurą, koloru białawoszarego, z czarnymi smugami… – Zdał sobie sprawę, że to zbyt łagodny opis: musi spróbować jakoś oddać tę grozę. – Powyżej, rozciągając się i pęczniejąc, tak jakby z ziemi wywlekano gorące wnętrzności i ciągnięto je ku niebu, wznosi się centralna kolumna manifestacji. – Tak lepiej. – Rośnie ona – podjął po chwili – jakby zasilał ją nieprzerwany wybuch. W najwyższym miejscu ciężar wyrzuconego materiału staje się jednak zbyt wielki i powoduje rozszerzanie się kolumny na boki. Chyba się ze mną zgodzisz, inżynierze?! – zawołał. – To ciężar powoduje rozszerzanie się kolumny?!

– Ciężar, admirale! – odkrzyknął Atiliusz. – Albo wiatr!

– Owszem, słuszna uwaga. Dodaj to do opisu, Aleksjonie. Na dużej wysokości wiatr wydaje się silniejszy i spycha manifestację na południowy wschód. Powinniśmy wykorzystać ten wiatr, kapitanie! – zawołał do Torkwatusa. – Postaw żagiel!

– To szaleństwo. Cóż to za dowódca, który sam szuka burzy? – mruknął kapitan do Atiliusza. – Postawić główny żagiel! – zawołał do oficerów.

Utrzymującą żagiel poprzeczną belkę podniesiono z miejsca pośrodku kadłuba. Marynarze po obu stronach złapali za liny i zaczęli wciągać ją na maszt. Atiliusz musiał przejść na rufę. Żagiel był zwinięty i kiedy znalazł się na swojej pozycji pod *carchesium* – czyli „krużą”, jak nazywano pomost obserwacyjny – chłopak, który nie miał więcej niż dziesięć lat, wspiął się po maszcie, żeby go spuścić. Przebiegając po rei, luzował węzły i wkrótce ciężki płócienny żagiel opadł, natychmiast wypełniając się wiatrem. *Minerwa* zaskrzypiała i zaczęła nabierać szybkości; pruła fale, zostawiając wstęgi białej piany po obu stronach ostrego dzioba niczym dłuto, które przecina miękkie drewno.

Pliniusz poczuł, jak jego serce rośnie wraz z żaglem.

– To nasz cel, kapitanie. – Wskazał na lewo. – Herkulanum! Sterujcie prosto w stronę brzegu. Do Villa Calpurnia!

– Tak jest, admirale! Sterniku, kurs na wschód!

Żagiel załopotał i okręt przechylił się na burtę. Wodny tuman zmoczył Atiliusza, co za wspaniałe uczucie! Starł pył z twarzy i przeczesał palcami brudne włosy. Pod pokładem tempo werbla zwiększyło się; pióra wioseł zlewały się z falami i grzywami piany. Sekretarz Pliniusza musiał przytrzymywać

oburącz papiery, żeby nie odleciały. Atiliusz spojrzał na admirała. Uśmiechnięty Pliniusz pochylił się do przodu w fotelu. Na jego pulchnych policzkach lśniły kropelki wody, oczy błyszczały z podniecenia i ulotniło się gdzieś całe jego zmęczenie. Znowu był siedzącym w siodle kawalerzystą, siejącym postrach wśród barbarzyńców, pędzącym z oszczepem w dłoni po germańskiej równinie.

– Uratujemy Rektynę i bibliotekę, przewieziemy je w bezpieczne miejsce, a potem razem z Antiuszem i resztą floty zaczniemy ewakuować ludzi z położonego dalej odcinka wybrzeża. Jak ci się to podoba, kapitanie?

– Jak sobie życzysz, admirale – odparł sztywno Torkwatus. – Czy mogę zapytać, którą godzinę pokazuje twój zegar?

– Początek dziesiątej – powiedział Aleksjon.

Kapitan uniósł brwi.

– W takim razie… zostały nam tylko trzy godziny dziennego światła.

Admirał zbył machnięciem dłoni jego wątpliwości.

– Spójrz, jaką osiągamy prędkość, kapitanie. Wkrótce dobijemy do brzegu.

– Owszem, lecz wiatr, który popycha nas do przodu, utrudni nam ponowne wypłynięcie.

– Żeglarze! – prychnął drwiąco Pliniusz, przekrzykując szum fal. – Słyszałeś, inżynierze? W kwestiach pogody są jeszcze gorsi od wieśniaków, przysięgam! Marudzą, kiedy nie ma wiatru, i narzekają jeszcze głośniej, kiedy wieje!

– Pozwolisz, admirale, że się oddalę?

Torkwatus zasalutował, odwrócił się i ruszył z zaciśniętymi szczękami w stronę dziobu.

– Obserwacje o godzinie dziesiątej – powiedział Pliniusz. – Jesteś gotów, Aleksjonie?

Połączył koniuszki palców i zmarszczył czoło. Opisanie zjawiska, dla którego nie wymyślono jeszcze odpowiedniego języka, okazało się dużym stylistycznym wyzwaniem. Przeróżne metafory – kolumny, pnie drzew, fontanny i tak dalej – po jakimś czasie wydawały się raczej zaciemniać aniżeli rozjaśniać istotę rzeczy. Nie oddawały wysublimowanej potęgi tego, czego właśnie był świadkiem. Powinien zabrać ze sobą poetę – więcej byłoby z niego pożytku niż z ostrożnego kapitana.

– Z bliższej odległości – zaczął – manifestacja wygląda jak gigantyczna ciężka deszczowa chmura, coraz bardziej czarna. Podobnie jak w przypadku sztormu obserwowanego z dystansu kilku mil, można w niej dostrzec pojedyncze smugi deszczu, przesuwające się niczym dym po ciemnej powierzchni. A jednak według inżyniera Marka Atiliusza, nie są to opady deszczu, lecz skał. Podejdź tutaj, inżynierze. – Wskazał miejsce obok siebie. – Opisz nam, co widziałeś. Do protokołu.

Atiliusz wdrapał się po krótkiej drabince na pomost. Biorąc pod uwagę furię tego, czemu chcieli stawić czoło, było coś skrajnie niestosownego w tym, jak admirał wyprawił się w tę podróż – z niewolnikiem, przenośnym biurkiem, podobnym do tronu fotelem i zegarem wodnym. Mimo że wiatr wiał im w plecy, inżynier słyszał już dochodzący od strony góry łoskot. Niebotyczna kaskada skał znalazła się nagle o wiele bliżej – ich okręt był wobec niej kruchy niczym liść u podnóża wodospadu. Atiliusz zaczął po raz kolejny zdawać relację i nagle z masy kotłujących się chmur wystrzelił zygzak błyskawicy – nie białej, lecz jaskrawoczerwonej. Na krótką chwilę zawisł w powietrzu niczym krwawa żyła i Aleksjon zaczął cmokać. Ludzie przesądni oddawali w ten sposób cześć błyskawicom.

– Dodaj to do listy zjawisk – rozkazał Pliniusz. – Błyskawica, złowrogi znak.

– Płyniemy za blisko! – krzyknął Torkwatus.

Za ramieniem admirała Atiliusz widział wychodzące z portu kwadriremy misenijskiej floty. Wciąż płynęły w pełnym słońcu, w szyku o kształcie litery V, niczym stado dzikich gęsi. Nagle uświadomił sobie, że niebo pociemniało. Spadające kamienie eksplodowały na powierzchni morza po ich prawej stronie i szybko się zbliżały. Dzioby i żagle kwadrirem upodobniły się do statków-widm, w powietrzu zawirowały odłamki skał.

• • •

W szalejącym pandemonium Torkwatus dwoił się i troił, wykrzykując rozkazy. Marynarze biegali w półmroku po pokładzie. Liny podtrzymujące rejȩ zostały odczepione i spuszczono żagiel. Sternik skręcił ostro w lewo. Chwilę później kulisty grom dotknął szczytu masztu, zjechał po nim w dół, a potem w bok po rei. Atiliusz zobaczył w jego oślepiającym blasku admirała z pochyloną głową i dłońmi przyciśniętymi do karku. Aleksjon schylał się, żeby ratować papiery. Kulisty piorun dotarł do końca rei, po czym wpadł do morza i z głośnym sykiem zgasł, pozostawiając po sobie opary siarki. Atiliusz zamknął oczy. Gdyby nie spuszczono żagla, z pewnością zająłby się ogniem. Czuł uderzające go po ramionach kamyki, słyszał ich grzechot o deski pokładu. *Minerwa* musiała płynąć tuż przy skraju chmury, Torkwatus starał się spod niej uciec… i nagle mu się to udało. Pociski po raz ostatni zabębniły o deski i znów wypłynęli na słońce.

Słysząc kaszel Pliniusza, Atiliusz otworzył oczy i zobaczył, że admirał stoi i strzepuje kamyki z fałd togi. Garść z nich zachował i siadając w fotelu, zważył w dłoni. Na całym statku ludzie otrzepywali ubrania i obmacywali się, szukając skaleczeń. *Minerwa* nadal płynęła w stronę Herkulanum, odległego o niespełna milę i widocznego jak na dłoni, lecz wiatr wzmagał się, a wraz z nim fale, które uderzały z furią o lewą burtę. Sternik z trudem utrzymywał ich na kursie.

– Spotkanie z manifestacją – oznajmił spokojnie Pliniusz, po czym otarł twarz rękawem i ponownie odkaszlnął. – Zapisujesz, Aleksjonie? Która jest godzina?

Niewolnik zgarnął kamyki z papierów, zdmuchnął z nich kurz i nachylił się nad zegarem.

– Mechanizm jest zepsuty, admirale.

Miał drżący głos i był bliski łez.

– No cóż, nieważne. Powiedzmy, że jest godzina jedenasta. – Pliniusz wziął jeden z kamyków i uważnie mu się przyjrzał. – Materiałem jest gąbczasty, porowaty pumeks. Szarawobiały. Lekki jak popiół, spadający we fragmentach nie większych od palca. – Pliniusz na chwilę przerwał. – Weź pióro do ręki, Aleksjonie – powiedział łagodnie. – Jeśli istnieje coś, czego nie toleruję, jest to tchórzostwo.

Dłoń sekretarza drżała. Trudno mu było pisać na kołyszącym się pokładzie liburniana. Pióro ślizgało się po powierzchni papirusu, pozostawiając nieczytelny gryzmoł. Fotel admirała przesunął się nagle w bok i Atiliusz musiał go przytrzymać.

– Powinieneś zejść pod pokład, admirale – powiedział i w tej samej chwili podszedł do nich z gołą głową Torkwatus.

– Weź mój hełm, admirale.

– Dziękuję, kapitanie, ale moja stara czaszka zapewnia mi wystarczającą ochronę.

– Błagam cię, admirale… ten wiatr gna nas w sam środek burzy… musimy zawrócić!

Pliniusz zignorował go.

– Pumeks jest w mniejszym stopniu skałą, a w większym zwiewnym kawałkiem zmrożonej chmury. – Przekręcił głowę, żeby spojrzeć za burtę. – Unosi się na powierzchni morza niczym lodowa kra. Widzicie? Coś nadzwyczajnego!

Atiliusz nie zauważył tego wcześniej. Woda pokryta była kamiennym dywanem. Wiosła odgarniały go na boki przy każdym pociągnięciu, ale jego miejsce natychmiast zajmowały kolejne okruchy. Torkwatus podbiegł do niskiej burty. Byli osaczeni.

Fala pumeksu załamała się nad dziobem okrętu.

– Admirale…

– Fortuna sprzyja odważnym, Torkwatusie. Sterujcie do brzegu!

Jeszcze przez krótką chwilę udawało im się brnąć naprzód, ale wiosła poruszały się coraz wolniej, pokonane nie przez wiatr czy fale, lecz przez unoszący się na wodzie pumeks, w którym grzęzły. W miarę jak zbliżali się do brzegu, jego warstwa była coraz grubsza – dwie albo trzy stopy szeleszczącego suchego przyboju. Pióra wioseł młóciły ją bezradnie, nie napotykając żadnego oporu, i okręt zaczął dryfować z wiatrem ku ulewie kamieni. Villa Calpurnia była zwodniczo blisko. Atiliusz poznawał miejsce, gdzie stał z Rektyną. Widział biegających wzdłuż brzegu ludzi, sterty książek, łopoczące białe szaty epikurejczyków.

Pliniusz przestał dyktować i z pomocą Atiliusza dźwignął się na nogi. Wszędzie dookoła skrzypiało drewno miażdżone przez napierający na kadłub pumeks. Inżynier zauważył, że admirał podupadł nieco na duchu. Po raz pierwszy zdał sobie chyba sprawę, że zostali pokonani.

– Rektyna – mruknął, wyciągając rękę w stronę brzegu.

Reszta floty szła w rozsypkę, szyk złamał się i każdy z okrętów ratował się na własną rękę. A potem znowu zapadł zmierzch i znajomy grzechot pumeksu zagłuszył wszelkie inne dźwięki.

– Okręt jest niesterowny! – krzyknął Torkwatus. – Wszyscy pod pokład! Inżynierze, pomóż mi go stąd znieść.

– Moje zapiski! – zaprotestował Pliniusz.

– Twoje zapiski ma Aleksjon, admirale.

Atiliusz złapał go za jedną rękę, kapitan za drugą. Admirał był bardzo ciężki. Potknął się na ostatnim schodku i o mało nie wyłożył jak długi, ale w ostatniej chwili zdołali go złapać i powlec przez pokład do otwartej klapy, która prowadziła w dół ku stanowiskom wioślarzy.

– Miejsce dla admirała! – wysapał Torkwatus, a potem zrzucili go niemal po szczeblach drabiny.

Aleksjon zszedł zaraz po nim, ściskając drogocenne papiery i prawie depcząc Pliniuszowi po ramionach. W ulewie pumeksu pod pokład zeskoczył Atiliusz i na koniec Torkwatus, zatrzaskując za sobą klapę.

VESPERA

(godzina 20.02)

> *Podczas [pierwszej] fazy promień komina mierzył prawdopodobnie około 100 metrów. W miarę trwania erupcji nieuniknione poszerzanie się komina przyczyniło się do wzrostu jej tempa. Wieczorem 24 [sierpnia] wysokość kolumny zwiększyła się. Stopniowo zasilana była magmą pochodzącą z coraz głębszych warstw, aż mniej więcej po siedmiu godzinach erupcja sięgnęła kolejnej warstwy maficznego szarego pumeksu. Został on wyrzucony w ilości mniej więcej 1,5 miliona ton na sekundę i wyniesiony przez konwekcję na wysokość około 33 kilometrów.*
>
> *Volcanoes: A Planetary Perspective*

Siedząc w kucki w prawie zupełnej ciemności i dławiącym skwarze pod pokładem *Minerwy*, słuchali dochodzącego z góry grzechotu kamieni. Powietrze było gęste od potu i oddechów dwustu marynarzy. Co jakiś czas rozlegał się krzyk w niezrozumiałym obcym języku, który natychmiast uciszał jeden z oficerów. Jakiś mężczyzna w pobliżu Atiliusza powtarzał ciągle po łacinie, że nadszedł koniec świata – i rzeczywiście, tak to wyglądało w oczach inżyniera. Natura stanęła na głowie i oto toną pod skałami pośrodku morza, pogrążeni w mrokach nocy o jasnej godzinie dnia. Okręt kołysał się gwałtownie, mimo że nie poruszało się żadne wiosło. Jakiekolwiek działanie nie miało sensu, ponieważ nie wiedzieli, w którą zwróceni są stronę. Mogą tylko próbować jakoś to przetrwać, każdy zatopiony we własnych myślach.

Atiliusz nie wiedział, jak długo to trwało. Godzinę, może dwie. Nie zdawał sobie nawet sprawy, w którym dokładnie miejscu pod pokładem się znajduje. Wiedział, że trzyma się kurczowo wąskiego drewnianego legaru, który biegł chyba przez całą długość okrętu i do którego z obu stron przylegały ławki wioślarzy. Słyszał rzężącego gdzieś blisko Pliniusza i Aleksjona, posapującego jak dziecko. Torkwatus zachowywał milczenie. Nieustanny grzechot spadającego pumeksu, z początku ostry, gdy kamyki bębniły o deski pokładu, stawał się coraz bardziej stłumiony, kiedy pumeks lądował na pumeksie, odgradzając ich od świata. I to było dla inżyniera najgorsze – świadomość przytłaczającej ich powoli masy, pod którą zostali żywcem pogrzebani. W miarę upływu czasu zaczął się zastanawiać, jak długo jeszcze wytrzymają belki pokładu i czy sam ciężar tego, co jest na górze, nie wepchnie ich pod fale. Próbował pocieszać się myślą, że pumeks jest lekki; budujący wielkie kopuły inżynierowie w Rzymie dodawali go czasami do cementu zamiast okruchów skały i kawałków cegieł. Mimo to uświadamiał sobie, że okręt zaczyna się przechylać. Wkrótce potem kilku spanikowanych wioślarzy po jego prawej stronie zaczęło krzyczeć, że woda wlewa się przez otwory na wiosła.

Torkwatus kazał im się przymknąć, po czym krzyknął do Pliniusza, że zabiera drużynę ludzi na górę, żeby spróbować zgarnąć pumeks z pokładu.

– Czyń swoją powinność, kapitanie – odparł admirał. Miał spokojny głos. – Mówi Pliniusz! – zawołał nagle, przekrzykując odgłosy burzy. – Oczekuję, że będziecie się zachowywali, jak przystało na rzymskich żołnierzy. Po powrocie do Misenum zostaniecie wszyscy sowicie wynagrodzeni, obiecuję.

W mroku rozległy się urągania.

– Jeżeli w ogóle wrócimy!

– To ty nas w to wpakowałeś!

– Cisza! – ryknął Torkwatus. – Możesz mi pomóc, inżynierze?

Kapitan wspiął się po krótkiej drabince prowadzącej do włazu i próbował otworzyć drewnianą klapę, ale ta nie chciała się unieść, przywalona pumeksem. Atiliusz ruszył po omacku wzdłuż legara i stanąwszy obok Torkwatusa, jedną ręką złapał się drabinki, a drugą pchnął w górę klapę. Razem zdołali ją powoli podnieść, uwalniając kaskadę odłamków, które poleciały im na głowy i zagrzechotały o deski na dole.

– Potrzebuję dwudziestu ludzi! Pięć rzędów wioślarzy, za mną! – rozkazał Torkwatus.

Atiliusz wspiął się w ślad za nim w wir fruwającego pumeksu. Świat przenikało dziwne, niemal brązowe światło, jak podczas burzy piaskowej. Kiedy się wyprostował, Torkwatus złapał go za ramię i wskazał coś ręką. Atiliusz nie od razu zorientował się, o co mu chodzi, lecz po chwili on również zobaczył mrugające słabo w półmroku żółte światełka. Pompeje, pomyślał. Korelia!

– Przepłynęliśmy przez najgorsze i teraz jesteśmy blisko brzegu! – krzyknął kapitan. – Tylko bogowie wiedzą, gdzie. Spróbujemy osadzić okręt na mieliźnie! Pomóż mi przy rumplu! – Odwrócił się i pchnął najbliższego z wioślarzy w stronę włazu. – Wracaj na dół i powiedz, żeby wzięli się do wioseł. Mają wiosłować tak, jakby od tego zależało ich życie! Reszta niech podnosi żagiel!

Kapitan pobiegł w stronę rufy i Atiliusz ruszył za nim z pochyloną głową i stopami zapadającymi się w białym pumeksie, który pokrył pokład niczym płatki śniegu. Byli zanurzeni tak głęboko, że miał wrażenie, iż może zejść z pokładu i ruszyć po dywanie skał do brzegu. Wdrapał się na rufę i razem z Torkwatusem chwycili wielkie wiosło, które służyło jako ster liburniana. Ale nawet dwie osoby nie były w stanie poruszyć pióra, które ugrzęzło w unoszącej się na wodzie masie.

Widział niewyraźny kształt unoszącego się za nimi żagla, który po chwili załopotał na wietrze. Jednocześnie poruszyły się rzędy wioseł. Rumpel zadrżał lekko w dłoniach Atiliusza. Torkwatus pchał, a on ciągnął, próbując znaleźć jakieś oparcie dla stóp w zwałach luźnego pumeksu. Czuł, jak drewniany drąg zaczyna powoli się poruszać. Przez chwilę wydawało się, że liburnian przechyla się, stojąc w miejscu, lecz zaraz podmuch wiatru pchnął ich do przodu. Spod pokładu ponownie dobiegł rytm bębna, wiosła zaczęły regularnie zanurzać się w wodzie i w półmroku zamajaczył kształt wybrzeża – falochron, rząd willi z płonącymi na tarasach pochodniami, ludzie biegający po piaszczystej plaży, fale, które unosiły łodzie i ciskały je z powrotem na brzeg. Nie wiedział, gdzie są, ale na pewno nie były to Pompeje.

Rumpel poddał się nagle i Atiliusz był przekonany, że jest złamany. Torkwatus pchnął go mocno, kierując okręt w stronę plaży. Zostawili za sobą ławicę pumeksu i pruli teraz wysokie fale, popychani do przodu przez wiatr i morskie prądy. Zobaczył, jak ludzie, którzy ładowali swój dobytek do łodzi, przyglądają im się zdumieni i pierzchają na boki, umykając przed sunącym na plażę liburnianem.

– Trzymać się! – wrzasnął Torkwatus i chwilę później kadłub zachrobotał o skałę. Atiliusz poleciał na dolny pokład i wylądował miękko na grubym kamiennym materacu.

Przez chwilę leżał bez tchu, z policzkiem przyciśniętym do ciepłego, suchego pumeksu. Czuł pod sobą kołysanie okrętu. Słyszał krzyki wioślarzy, którzy gramolili się spod pokładu i skakali z pluskiem do wody. W końcu dźwignął się na nogi i zobaczył, że spuszczono żagiel i rzucono kotwicę. Marynarze z linami biegli w górę plaży, szukając miejsc, gdzie można przycumować okręt. Zapadał zmierzch – nie zmierzch spowodowany przez erupcję, pod którą najwyraźniej przepłynęli, lecz zmierzch wczesnego wieczoru. Ulewa kamieni nie była zbyt gęsta i ich grzechotanie o pokład zagłuszał teraz ryk fal i szum wiatru. Pliniusz wynurzył się z włazu i podtrzymywany przez Aleksjona, stąpał ostrożnie po pumeksie – pełna godności, okazała postać w samym środku spanikowanego tłumu. Jeśli czegoś się obawiał, w ogóle tego nie okazywał i kiedy podszedł do niego Atiliusz, podniósł radośnie rękę.

– Uśmiechnęło się do nas szczęście, inżynierze. Widzisz, gdzie jesteśmy? Znam dobrze to miasto. To Stabie, miejsce, w którym można spędzić nader przyjemny wieczór. Torkwatusie! – Skinął na kapitana. – Proponuję, abyśmy zostali tutaj na noc.

Torkwatus spojrzał na niego jak na obłąkanego.

– Nie mamy wyboru, admirale. Żaden okręt nie wypłynie przy takim wietrze. Pytanie brzmi: kiedy znowu zasypie nas ulewa skał?

– Być może w ogóle do tego nie dojdzie – pocieszył go Pliniusz i spojrzał ponad falami przyboju na światła położonego na niskich wzgórzach miasteczka.

Od plaży oddzielała je biegnąca wzdłuż całej zatoki nadmorska droga. Płynął nią teraz strumień znużonych uchodźców, podobny do tego, który Atiliusz widział wcześniej pod Herkulanum. Przy samym brzegu zgromadziło się wraz z dobytkiem może ze sto osób, które zamierzały uciec drogą morską, lecz w tym momencie mogły co najwyżej bezradnie obserwować szalejący żywioł. Nieco na uboczu stał otoczony wianuszkiem domowników tęgi starszy mężczyzna, załamujący co jakiś czas ręce w lamencie, i Atiliusz miał wrażenie, że chyba go poznaje. Pliniusz również go zauważył.

– To mój przyjaciel, Pomponianus. Biedny, stary głupiec – rzekł ze smutkiem. – Nerwowy jegomość w najbardziej sprzyjających okolicznościach. Będzie potrzebował otuchy. Musimy nadrabiać miną. Pomóż mi zejść na brzeg.

Atiliusz skoczył do morza, a w ślad za nim Torkwatus. Woda sięgała im w jednym momencie do pasa, w następnym do szyi. W takich warunkach trudno było przenieść na brzeg kogoś tak tęgiego i niedomagającego jak admirał. Z pomocą Aleksjona Pliniusz położył się w końcu na plecach na pokładzie i kiedy wzięli go pod ramiona, zsunął się do wody. Przez jakiś czas udawało im się utrzymywać jego głowę na powierzchni, a potem, z imponującą zimną krwią admirał odepchnął ich od siebie i bez niczyjej pomocy wyszedł na brzeg.

– Uparty, stary głupiec – mruknął Torkwatus, patrząc, jak admirał maszeruje w górę plaży i obejmuje Pomponianusa. – Wspaniały, odważny, uparty stary głupiec. Dwa razy o mało nas nie zabił i zaręczam ci, że spróbuje to zrobić ponownie, zanim sam odejdzie z tego świata.

Atiliusz spojrzał w stronę Wezuwiusza, lecz w zapadającym zmroku widział tylko białe grzywy fal rozbijających się o brzeg, a za nimi atramentową czerń spadających kamieni. Niebo przecięła kolejna czerwona błyskawica.

– Jak daleko jesteśmy od Pompejów? – zapytał.

– Trzy mile – odparł Torkwatus. – Może mniej. Wygląda na to, że spotkał ich, nieszczęsnych, najgorszy los. Ten wiatr… Marynarze powinni zacząć szukać jakiegoś schronienia – dodał i ruszył do brzegu, zostawiając Atiliusza samego.

Jeżeli miasteczko Stabie leży trzy mile od Pompejów, a Wezuwiusz pięć mil po drugiej stronie miasta, w takim razie ta monstrualna chmura musi mieć osiem mil długości. Osiem mil długości i ile? – przynajmniej pięć szerokości, biorąc pod uwagę, jak daleko sięga w morze. Jeśli Korelia nie wymknęła się z miasta bardzo wcześnie, nie miała szansy ucieczki.

Atiliusz stał przez chwilę, chłostany przez fale, aż w końcu admirał zawołał go po imieniu. Wtedy odwrócił się i zaczął brnąć bezradnie przez płytką rozkołysaną wodę, by dołączyć do reszty.

• • •

Pomponianus mieszkał w nadmorskiej willi, od której dzielił ich krótki spacer drogą, i Pliniusz zaproponował, żeby tam się udali. Podchodząc do nich, Atiliusz słyszał, jak się spierają. Spanikowany Pomponianus dowodził piskliwym głosem, że jeśli opuszczą plażę, stracą szansę na miejsce w łodzi. Pliniusz zbył jego obawy machnięciem ręki.

– Nie ma sensu tutaj czekać – oświadczył stanowczo. – Poza tym, kiedy morze i wiatr będą bardziej sprzyjające, możesz zawsze pożeglować z nami. Chodź, Liwio… Podaj mi rękę – powiedział i z żoną Pomponianusa po jednej i Aleksjonem po drugiej stronie oraz niewolnikami, którzy dźwigali za nim marmurowe popiersia, dywany, skrzynie i kandelabry, poprowadził ich w stronę drogi.

Szedł najszybciej, jak mógł, wydymając policzki. On wie, pomyślał Atiliusz, wie na podstawie wcześniejszych obserwacji, co zaraz nastąpi. I rzeczywiście, kiedy tylko dotarli do bramy willi, kamienna ulewa dopadła ich ponownie, podobna do letniej burzy – najpierw kilka ciężkich ostrzegawczych kropel, a potem powietrze eksplodujące nad krzakami mirtu i brukowanym dziedzińcem. Atiliusz poczuł, jak czyjeś ciało napiera na niego z tyłu, sam też popchnął idącego przed nim mężczyznę i razem wpadli do pogrążonej w mroku opustoszałej willi. Ludzie lamentowali, obijając się po ciemku o meble. Usłyszał kobiecy krzyk i głośny trzask. Ujrzał twarz niewolnika, oświetloną od dołu lampką oliwną, a potem rozległ się znajomy syk i zapłonęła pochodnia. Wszyscy, panowie i niewolnicy, garnęli się do światła, podczas gdy pumeks bębnił o terakotowy dach willi i pustoszył ogrody na zewnątrz. Ktoś wyszedł z lampką oliwną, żeby przynieść więcej pochodni i trochę świec, i niewolnicy zaczęli je zapalać. Robili to nawet wtedy, gdy w środku zrobiło się jasno jak w dzień, jakby światło mogło uchronić ich przed niebezpieczeństwem. W zatłoczonej sieni zapanował wkrótce niemal świąteczny nastrój, a Pliniusz, obejmując drżącego Pomponianusa, oznajmił, że ma ochotę coś zjeść.

• • •

Admirał nie wierzył w życie pozagrobowe: „Ani ciało, ani umysł nie mają po śmierci więcej doznań, aniżeli miały przed urodzeniem”. Mimo to w ciągu kilku następnych godzin dał im przykład odwagi, której nikt, kto przeżył ten wieczór, nigdy nie zapomniał. Znacznie wcześniej postanowił, że kiedy przyjdzie po niego śmierć, powita ją w duchu Marka Sergiusza, którego w *Historii naturalnej* ogłosił najodważniejszym człowiekiem, jaki kiedykolwiek chodził po tej ziemi – ranny dwadzieścia trzy razy w trakcie swoich kampanii, okaleczony, dwa razy wzięty do niewoli przez Hannibala i trzymany przezeń w łańcuchach przez dwadzieścia miesięcy, Sergiusz wyruszył na swą ostatnią bitwę z żelazną prawą ręką, zastępującą mu tę, którą utracił. Nie odnosił takich sukcesów jak Cezar i Scypion, ale jakież to miało znaczenie? *Wszyscy inni zwycięzcy tak naprawdę pokonywali ludzi*, napisał Pliniusz, *jedynie Sergiusz pokonał również los*.

„Pokonać los” – do tego właśnie powinien dążyć człowiek. W związku z czym, gdy niewolnicy przygotowywali kolację, admirał oznajmił zdumionemu Pomponianusowi, że najpierw weźmie kąpiel, i eskortowany przez Aleksjona, oddalił się, by zanurzyć się w zimnej wodzie. Zdjął brudne szaty i wgramolił się do wanny, pogrążając się razem z głową w milczącym świecie. Wynurzywszy się, ogłosił, że chce podyktować kilka dalszych spostrzeżeń – podobnie jak inżynier, oceniał, iż rozmiary manifestacji wynoszą mniej więcej osiem na sześć mil – następnie zaś pozwolił, by jeden z niewolników Pomponianusa wytarł go do sucha, natarł olejkiem szafranowym i ubrał w czystą togę pożyczoną od przyjaciela.

Do kolacji zasiadło ich pięcioro – Pliniusz, Pomponianus, Liwia, Torkwatus i Atiliusz. Nie była to idealna liczba z punktu widzenia etykiety, a brzęczenie bombardującego dach pumeksu utrudniało prowadzenie rozmowy. Z drugiej strony oznaczało to, że każdy ma sofę wyłącznie dla siebie i może się na niej wygodnie wyciągnąć. Stół i sofy przeniesiono z jadalni i ustawiono w jasno oświetlonej sieni. I chociaż jedzenie nie było nadzwyczajne – ogień w kuchni wygasł i kucharz mógł zaoferować wyłącznie zimne mięsiwa, ptactwo i ryby – Pomponianus, namawiany przez Pliniusza, zrekompensował ten niedostatek winem. Podał liczącego dwieście lat falerniana, pamiętającego konsulat Lucjusza Opimiusza. Była to jego ostatnia amfora. („Nie ma sensu zachowywać go na później”, stwierdził ponuro).

W blasku świec ciecz miała kolor surowego miodu i kiedy przelano ją do innego naczynia – zanim jeszcze zmieszano z młodszym winem, ponieważ była zbyt gorzka, by pić ją nierozcieńczoną – Pliniusz wziął kielich od niewolnika i wciągnął w nozdrza stęchły aromat, wyczuwając w nim zapach starej Republiki, w której żyli ludzie pokroju Katona i Sergiusza; miasta, które aspirowało do tego, by stać się cesarstwem; pyłu Pola Marsowego; próby ognia i miecza.

Przy stole odzywał się głównie admirał, starając się, by rozmowa była lekka i unikając wszelkich wzmianek o Rektynie oraz bezcennej bibliotece w Villa Calpurnia, a także o losie floty, która, jak przypuszczał, została rozbita i rozproszyła się wzdłuż wybrzeża. (Już samo to, uświadomił sobie, stanowi wystarczający powód, by zmusić go do samobójstwa. Wyprawił okręty na morze, nie czekając na rozkaz cesarza. Tytus może mu tego nie darować). Mówił natomiast o winie. A na winach znał się dobrze. Julia nazywała go „winiarskim nudziarzem”. Wcale się tym zresztą nie przejmował. Nudziarstwo to przywilej wieku i urzędu. Gdyby nie wino, jego serce przestałoby bić przed wieloma laty.

– Z ówczesnych relacji wynika, że lato za konsulatu Opimiusza było bardzo podobne do obecnego. Długie upalne dni, palące słońce… „dojrzałe”, jak je nazywają winiarze. – Pliniusz zakręcił winem w kielichu i powąchał je. – Kto wie? Może za dwieście lat ludzie będą pili ten rocznik i zastanawiali się, jacy byliśmy. Co potrafiliśmy? Czy byliśmy odważni?

Grzechot pumeksu stawał się coraz głośniejszy. Gdzieś trzasnęło drewno. Brzęczały pękające dachówki. Pliniusz przyjrzał się współbiesiadnikom – Pomponianusowi, który spoglądał z niepewną miną na dach i ściskał rękę żony; Liwii, która uśmiechnęła się do niego z przymusem (zawsze była o wiele mężniejsza od małżonka); Torkwatusowi, wbijającemu wzrok w podłogę; i na koniec inżynierowi, który nie odezwał się ani słowem przez całą kolację. Poczuł sympatię do tego akwariusza – bliskiego mu człowieka nauki, który popłynął z nim, ponieważ chciał się czegoś dowiedzieć.

– Wznieśmy toast – zaproponował. – Za geniusz rzymskiej inżynierii, za Aqua Augusta, która ostrzegła nas przed tym, co się wydarzy, tyle że my nie mieliśmy dość rozumu, by to pojąć! – Uniósł

kielich, zwracając się do Atiliusza: – Za Aqua Augusta!

– Za Aqua Augusta!

Wypili, z większym lub mniejszym entuzjazmem. Wino było wyborne, ocenił admirał, oblizując wargi. Idealna mieszanka starego i młodego. Tak jak on i inżynier. A jeśli okaże się, że to jego ostatni toast? I bardzo dobrze: to wino świetnie się do tego nadaje.

Kiedy oznajmił, że idzie spać, przez moment myślano, iż żartuje. Ależ nie, zapewnił ich, że mówi poważnie. Nauczył się zasypiać na zawołanie, nawet siedząc w siodle w mroźnej germańskiej puszczy. A to? To nic takiego!

– Bądź tak dobry, inżynierze, i podaj mi ramię – poprosił i życzył wszystkim dobrej nocy.

Atiliusz wziął do jednej ręki zapaloną pochodnię, drugą podał admirałowi i razem wyszli na główny dziedziniec. W ciągu ostatnich lat Pliniusz często się tu zatrzymywał. To było jego ulubione miejsce: cętki światła na różowym kamieniu, zapach kwiatów, gruchanie dochodzące z gołębnika nad werandą. Teraz jednak ogród był pogrążony w ciemnościach, powietrze drżało od huku spadających kamieni. Na posadzce zadaszonego przejścia leżały okruchy pumeksu, unoszące się w powietrzu tumany kurzu przyprawiały go o kaszel. Przystając pod drzwiami pokoju, który zwykle zajmował, zaczekał, aż Atiliusz odgarnie odłamki i można będzie je otworzyć. Zastanawiał się, co się stało z ptakami. Czy odfrunęły, zanim zaczęła się manifestacja, dając tym samym znak, który mógłby odczytać augur, gdyby był akurat pod ręką? Czy może tkwiły gdzieś w ciemności, poranione i stłoczone?

– Boisz się, Marku Atiliuszu?

– Tak.

– To dobrze. Z samej definicji odwagi wynika, iż aby ją okazać, trzeba się najpierw bać. – Pliniusz oparł dłoń na ramieniu inżyniera i zzuł buty. – Natura to dobrotliwe bóstwo – mówił. – Jej gniew nigdy nie trwa wiecznie. Pożar gaśnie. Burza mija. Powódź ustępuje. To też się skończy, zobaczysz. Odpocznij trochę – dodał i podreptał do środka pokoju bez okien, pozwalając, by Atiliusz zamknął za nim drzwi.

• • •

Inżynier został sam; opierał się o ścianę obserwował spadający z nieba pumeks. Po chwili usłyszał dobiegające z sypialni głośne chrapanie. Coś niebywałego. Albo admirał udaje, że śpi – w co wątpił – albo rzeczywiście zasnął. Popatrzył na niebo. Pliniusz miał chyba rację: „manifestacja”, jak uparł się ją nazywać, w końcu zacznie słabnąć. Na razie jednak wcale się na to nie zanosiło. Wprost przeciwnie, burza stawała się coraz silniejsza. Rozpoznał inny – ostrzejszy – dźwięk spadającej skały; ziemia pod jego stopami drżała, tak jak to się działo w Pompejach. Wyszedł ostrożnie spod baldachimu, trzymając pochodnię blisko ziemi, i natychmiast poczuł silne uderzenie w ramię. O mało nie upuścił pochodni. Zgarnął kawałek świeżo spadłej skały i stanąwszy tuż przy ścianie, przyjrzał mu się uważnie.

Była ciemniejsza od padającego wcześniej pumeksu – gęstsza, większa, zlepiona jakby z kilku fragmentów – i uderzała w ziemię z większą siłą. Ulewa porowatych białych kamyków była nieprzyjemna i przerażająca, lecz niezbyt bolesna. Uderzenie czymś takim mogło pozbawić przytomności. Od jak dawna to trwa?

Zaniósł pumeks do sieni i podał go Torkwatusowi.

– Sytuacja się pogarsza – oznajmił. – Kiedy jedliśmy, kamyki stały się cięższe. Jakiego rodzaju dachy macie tutaj, panie? – zapytał Pomponianusa. – Płaskie czy nachylone?

– Płaskie – odparł Pomponianus. – Tworzą tarasy. Z widokiem na zatokę.

No tak, pomyślał Atiliusz, słynne widoki. Może gdyby mniej gapili się na morze, a częściej oglądali przez ramię na górę, zdołaliby się lepiej przygotować.

– Jak stary jest dom? – zapytał.

– Należy do naszej rodziny od pokoleń – odparł z dumą Pomponianus. – Dlaczego pytasz?

– Nie jest bezpieczny. Przy tym ciężarze spadającej skały… biorąc pod uwagę, że drewno jest stare… belki wcześniej czy później się załamią. Musimy wyjść na zewnątrz.

Torkwatus zważył kamyk w dłoni.

– Na zewnątrz? Tam?

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Nagle Pomponianus zaczął lamentować, że są skazani na zagładę, że powinni złożyć ofiarę Jupiterowi tak, jak to proponował na samym początku, ale nikt go nie słuchał…

– Zamknij się – przerwała mu żona. – Mamy przecież poduszki, prawda? I prześcieradła. Możemy osłonić się przed kamieniami.

– Gdzie jest admirał? – zapytał Torkwatus.

– Śpi – odparł inżynier.

– Pogodził się już chyba ze śmiercią. To całe bajdurzenie o winie! Ale ja nie jestem jeszcze gotów umrzeć. A ty, Atiliuszu?

– Nie.

Atiliusza zdumiał jego stanowczy ton. Po śmierci Sabiny żył jakby w odrętwieniu. Gdyby ktoś powiedział, że jego egzystencja ma się ku końcowi, niespecjalnie by się tym przejął. Teraz jednak już się tak nie czuł.

– Więc wracajmy na plażę.

Liwia krzyknęła na niewolników, żeby przynieśli poduszki i pościel, a Atiliusz pośpieszył na wewnętrzny dziedziniec. Słyszał chrapanie Pliniusza. Uderzył kilka razy w drzwi i spróbował je otworzyć, lecz w tym krótkim czasie, kiedy go nie było, posadzkę znowu zasypały odłamki. Musiał uklęknąć i je odgarnąć. Otworzył drzwi, wbiegł do środka z pochodnią i potrząsnął pulchnym ramieniem admirała. Starzec jęknął i zamrugał, oślepiony światłem.

– Zostaw mnie – mruknął i próbował przewrócić się na bok.

Atiliusz nie zamierzał się z nim kłócić. Ujął go pod pachę, postawił na nogi i zataczając się pod ciężarem, popchnął protestującego admirała ku drzwiom. Nie przekroczyli jeszcze progu, kiedy jedna z belek podtrzymujących sufit trzasnęła i część dachu zwaliła się na podłogę.

• • •

Założyli na głowy poduszki tak, że ich końce zakrywały uszy, i owinęli je pasami oddartymi z prześcieradeł, zawiązując je mocno pod brodą. Z białymi wielkimi głowami wyglądali niczym ślepe podziemne insekty. Potem każdy wziął pochodnię albo lampkę i opierając dłoń na ramieniu poprzedzającej osoby – z wyjątkiem Torkwatusa, który prowadził pochód i wolał swój hełm od poduszki – ruszyli pośród gradu kamieni na plażę.

Powietrze wypełniał ogłuszający hałas – huczało morze, dudniły kamienie, waliły się dachy. Atiliusz słyszał co jakiś czas stłumione łupnięcie uderzającego w czaszkę pocisku, po którym dzwoniło

mu w uszach. Nie zaznał tego uczucia od czasu, gdy jako dziecko obrywał w głowę od nauczycieli. Miał wrażenie, że skazano ich na ukamienowanie, że bogowie pozwolili Wulkanowi na triumf i ten bolesny, pozbawiony wszelkiej godności pochód jest sposobem, w jaki postanowił on upokorzyć swoich jeńców. Posuwali się naprzód powoli, grzęznąc po kolana w pumeksie i dostosowując tempo do admirała, który coraz głośniej kaszlał i rzęził po każdym potknięciu. Pliniusz trzymał się Aleksjona i był podtrzymywany przez Atiliusza; za inżynierem szła Liwia, za nią Pomponianus. Pochód zamykali niewolnicy z pochodniami.

Siła bombardowania przepłoszyła z drogi uchodźców, lecz na plaży migotały światła i ku nim właśnie poprowadził ich Torkwatus. Obywatele Stabie i marynarze *Minerwy* rozbili jedną z bezużytecznych łodzi i podpalili ją, a przy ognisku postawili wielki namiot, wykorzystując w tym celu ciężki żagiel liburniana, liny oraz tuzin wioseł. Ludzie, którzy uciekali drogą, zeszli na dół, błagając, by pozwolono im się tam schronić, i pod żaglem kłębił się teraz liczący kilkaset osób tłum. Nie chcieli wpuścić dziwnie wyglądających przybyszów i przy wejściu doszło do urągań i przepychanek. Torkwatus krzyknął w końcu, że jest z nim admirał Pliniusz i ukrzyżuje każdego marynarza, który nie wypełni jego rozkazów.

Niechętnie zrobiono im miejsce. Aleksjon i Atiliusz położyli Pliniusza na piasku tuż przy wejściu. Admirał poprosił słabym głosem o wodę. Aleksjon wziął od niewolnika tykwę i przytknął mu ją do warg. Pliniusz wypił trochę, zakasłał i legł na boku. Aleksjon delikatnie odwiązał poduszkę, włożył mu ją pod głowę i zerknął na Atiliusza. Inżynier wzruszył ramionami. Nie wiedział, co powiedzieć. Wydawało mu się mało prawdopodobne, by starzec zdołał to wszystko przeżyć.

Odwrócił się i spojrzał w głąb namiotu. Ludzie byli stłoczeni tak gęsto, że prawie nie mogli się poruszać. Żagiel uginał się pod ciężarem pumeksu i marynarze zrzucali go od czasu do czasu, unosząc płótno końcówkami wioseł. Dzieci płakały. Jakiś chłopiec szlochał, wzywając matkę. Poza tym nikt się nie odzywał ani nie krzyczał. Atiliusz próbował zgadnąć, która godzina – zakładał, że jest środek nocy, ale nawet gdyby świtało, nie sposób było się tego domyślić. Zastanawiał się, jak długo wytrzymają. Wcześniej czy później głód, pragnienie albo nacisk pumeksu gromadzącego się po obu stronach namiotu zmuszą ich do porzucenia schronienia. A potem co? Powolne uduszenie przez skałę? Śmierć bardziej pomysłowa i wydłużona w czasie niż cokolwiek, co wymyślił dotąd w tej dziedzinie Człowiek? To tyle, jeśli chodzi o pogląd Pliniusza, że Natura jest dobrotliwym bóstwem!

Atiliusz ściągnął poduszkę ze spoconej głowy i dopiero teraz usłyszał, że ktoś wymawia chrapliwym głosem jego imię. W ciemności nie widział z początku, kto to taki, i nawet kiedy mężczyzna przecisnął się do niego, Atiliusz nie poznał go, ponieważ wyglądał jak wykuty z kamienia, z twarzą pokrytą białym kredowym pyłem i włosami w strąkach niczym u Meduzy.

– To ja, Lucjusz Popidiusz – wychrypiała zjawa i inżynier uświadomił sobie, że to jeden z edylów Pompejów.

– Korelia? – zapytał, łapiąc go za ramię. – Jest z tobą?

– Moja matka… osłabła w drodze. – Popidiusz płakał. – Nie mogłem jej dłużej nieść. Musiałem ją zostawić.

Atiliusz potrząsnął nim.

– Gdzie jest Korelia?

Oczy Popidiusza były pustymi otworami w masce twarzy. Wyglądał jak jeden z portretów przodków na ścianie jego domu. Z trudem przełknął ślinę.

– Ty tchórzu – wycedził Atiliusz.

– Chciałem ją ze sobą zabrać – zaskomlał Popidiusz. – Ale ten szaleniec zamknął ją w pokoju.

– Więc ją porzuciłeś?

– A co miałem zrobić? On chciał uwięzić nas wszystkich! – Popidiusz złapał go za tunikę. – Zabierz mnie ze sobą. Tam leży Pliniusz, prawda? Macie okręt. Na litość boską… nie mogę sam iść dalej…

Atiliusz odepchnął go i pokuśtykał do wyjścia. Ognisko zgasło, zasypane ulewą skał, i teraz, kiedy przestało płonąć, panujący na plaży mrok nie był nawet mrokiem nocy, lecz mrokiem zamkniętej piwnicy. Wytężając wzrok, spojrzał w stronę Pompejów. Kto może powiedzieć, czy nie wali się w gruzy cały świat? Że siła, która utrzymuje wszechświat – *logos*, jak nazywali ją filozofowie – nie ulega właśnie dezintegracji? Osunął się na kolana, wbił ręce w piasek i w tym momencie, czując między palcami jego ziarenka, uświadomił sobie, że wszystko obróci się w nicość – on, Pliniusz, Korelia, biblioteka w Herkulanum, flota, miasta wokół zatoki, akwedukt, Rzym, cesarz, wszystko, co kiedykolwiek żyło bądź zostało zbudowane. Wszystko to zostanie w końcu zredukowane do zalewanej morskimi falami skały. Po nikim nie zostanie nic poza odciskiem stopy. Nie pozostawią po sobie nawet jednego wspomnienia. Umrze wraz z innymi na tej plaży, a ich kości rozsypią się w pył.

Góra jednak jeszcze z nimi nie skończyła. Atiliusz usłyszał krzyk kobiety i podniósł wzrok. Daleko na niebie zobaczył niewyraźną, lecz płonącą coraz silniejszym blaskiem cudowną koronę ognia.

WENUS

25 sierpnia
Ostatni dzień erupcji

INCLINATIO

(godzina 00.12)

> *Nadchodzi moment, kiedy magmy jest zbyt wiele i wyrzucana jest zbyt szybko. Gęstość kolumny erupcji staje się zbyt wielka, by dalej trwała stabilna konwekcja. Następuje wówczas załamanie się kolumny, co pociąga za sobą wypływy i lawiny piroklastyczne, znacznie bardziej śmiercionośne aniżeli opad tefry.*
>
> *Volcanoes: A Planetary Perspective*

Światło wędrowało powoli na dół od prawej do lewej strony. Sierpowata świecąca chmura – tak właśnie opisał ją Pliniusz, jako „sierpowatą świecącą chmurę" – sunęła po zachodnim stoku Wezuwiusza, zostawiając za sobą mozaikę pożarów. Niektóre z nich były izolowanymi kropkami – w płomieniach stanęły gospodarstwa i wille. Gdzie indziej płonęły całe połacie lasu. Plamy czerwonego i pomarańczowego ognia wyrzynały w mroku postrzępione jasne dziury. Sierp sunął nieubłaganie dalej, co najmniej tak długo, ile zajmuje policzenie do stu, po czym zabłysnął krótko i zgasł.

– Manifestacja – podyktował Pliniusz – przeszła w inną fazę.

Dla Atiliusza było coś nieskończenie złowrogiego w tej poruszającej się bezgłośnie koronie – w jej tajemniczym pojawieniu się i enigmatycznej śmierci. Zrodzona w rozdartym wierzchołku góry, musiała stoczyć się i zatonąć w morzu. Przypomniał sobie żyzne winnice, ciężkie nabrzmiałe grona, skutych łańcuchami niewolników. Nie będzie w tym roku zbiorów. Ani dobrych, ani złych.

– Trudno stąd dokładnie ocenić – powiedział Torkwatus – ale sądząc po położeniu tej chmury płomieni, musiała się przetoczyć przez Herkulanum.

– A mimo to miasto nie płonie – zauważył Atiliusz. – Ta część wybrzeża wydaje się zupełnie ciemna. Tak jakby miasto całkowicie zniknęło.

Lustrowali wzrokiem podnóże góry, lecz nie paliły się tam żadne światła.

Na plaży w Stabie pojawienie się chmury naruszyło równowagę strachu, najpierw w jedną, potem w drugą stronę. Wkrótce wyczuli w powietrzu woń pożarów, ostry, gryzący zapach siarki i zwęglonego drewna. Ktoś krzyknął, że wszyscy spłoną żywcem. Ludzie szlochali, a najgłośniej z nich wszystkich Lucjusz Popidiusz, który wzywał swoją matkę. Nagle ktoś inny – jeden z marynarzy, którzy trącali dach namiotu wiosłem – oznajmił, że ciężkie płótno już się nie ugina. To uspokoiło ludzi.

Atiliusz wysunął ostrożnie rękę z namiotu, dłonią do góry, jakby sprawdzał, czy pada deszcz. Marynarz miał rację. W powietrzu wciąż fruwały małe pociski, ale burza nie była już taka gwałtowna. Zupełnie jakby góra znalazła inne ujście dla swojej śmiercionośnej energii – zamiast bombardować ich skałami zesłała lawinę ognia. W tym momencie podjął decyzję. Lepiej umrzeć, robiąc coś – lepiej polec przy drodze i spocząć w bezimiennym grobie, niż kryć się pod tą lichą osłoną, poddając się strachowi

i czekając na koniec. Sięgnął po porzuconą poduszkę, nałożył ją na głowę i zaczął obmacywać piasek, szukając oddartego z prześcieradła paska. Torkwatus zapytał go szeptem, co robi.

– Odchodzę.

– Odchodzisz? – Leżący na piasku Pliniusz uniósł gwałtownie głowę. Wokół niego leżały obciążone pumeksem notatki. – Nie ma mowy. Nie udzielam ci pozwolenia.

– Z całym należnym szacunkiem, admirale, moje rozkazy odbieram w Rzymie, a nie od ciebie.

Dziwiło go, że nie próbował uciec żaden z niewolników. Dlaczego tego nie robią? Przypuszczał, że zatrzymuje ich siła przyzwyczajenia. Siła przyzwyczajenia i brak miejsca, w którym mogliby się schronić.

– Ale ja cię potrzebuję. – W ochrypłym głosie Pliniusza zabrzmiał przymilny ton. – Co będzie, jeśli coś mi się stanie? Ktoś musi zadbać, żeby moje zapiski przetrwały dla potomności.

– Są inni, którzy o to zadbają, admirale. Ja wolę spróbować szczęścia na drodze.

– Ale jesteś przecież człowiekiem nauki, inżynierze. Widzę to. Dlatego tu przypłynąłeś. Jesteś dla mnie o wiele cenniejszy tutaj. Zatrzymaj go, Torkwatusie!

Kapitan zawahał się, a potem rozwiązał pasek pod brodą i zdjął hełm.

– Weź go – powiedział. – Metal daje lepszą ochronę niż pierze. – Atiliusz chciał zaprotestować, lecz Torkwatus wcisnął mu hełm w ręce. – Weź go… i niech sprzyja ci szczęście.

– Dziękuję. – Atiliusz uścisnął jego dłoń. – Tobie też niech sprzyja fortuna.

Hełm pasował. Inżynier nigdy dotąd nie nosił takiego nakrycia głowy. Wstał i wziął pochodnię. Czuł się jak wychodzący na arenę gladiator.

– Ale dokąd pójdziesz? – pytał Pliniusz.

Atiliusz wyszedł na zewnątrz. Drobne kamyki odbiły się z brzękiem od hełmu. W ciemności widać było tylko kilka pochodni wetkniętych w piasek wokół namiotu i gorejący w oddali stos Wezuwiusza.

– Do Pompejów.

• • •

Torkwatus oceniał odległość między Stabie i Pompejami na trzy mile – godzinę spaceru porządną drogą w pogodny dzień. Ale góra zmieniła prawa rządzące czasem i przestrzenią i Atiliusz miał wrażenie, że prawie w ogóle nie posuwa się do przodu.

Udało mu się bez większego trudu wspiąć z plaży na drogę. Wezuwiusz był na szczęście dobrze widoczny – kierunek marszu wyznaczały pożary. Wiedział, że podążając w ich stronę, trafi w końcu do Pompejów. Szedł jednak pod wiatr i nawet gdy pochylił nisko głowę, wpatrując się w swoje blade nogi i wąski pas pumeksu, przez który brnął, kamienna ulewa smagała go po twarzy i zalepiała usta i nos kurzem. Przy każdym kroku zapadał się po kolana i miał wrażenie, że usiłuje wdrapać się na stos żwiru albo wypełniające stodołę zwały ziarna, po niekończącej się, pozbawionej kształtu pochyłości, od pokonywania której rwały go mięśnie ud. Co kilkaset kroków chwiejnie przystawał i trzymając w ręce pochodnię, wyciągał najpierw jedną, a potem drugą stopę z pumeksu i wytrząsał kamyki z butów.

Dręczyła go przemożna pokusa, żeby położyć się i odpocząć, ale nie mógł jej ulec, ponieważ co jakiś czas potykał się o ciała tych, którzy dali za wygraną. Światło pochodni wyłuskiwało z mroku miękkie ludzkie kształty z wystającą czasami z pumeksu stopą albo zaciśniętą w powietrzu dłonią. Na drodze umierali nie tylko ludzie. Trafił również na zaprzęg wołów, które ugrzęzły w pumeksowych

zaspach, i konia leżącego między dyszlami porzuconej, zbyt ciężkiej furmanki – kamiennego konia zaprzężonego do kamiennego wozu. Wszystko to pojawiało się na krótko w migotliwym płomieniu pochodni. O wiele więcej musiało być tego, czego na szczęście nie widział. Z ciemności oprócz martwych wyłaniali się również żywi – mężczyzna niosący kota; młoda kobieta, naga i obłąkana; para dźwigająca na ramionach długi mosiężny kandelabr, mężczyzna z przodu, kobieta z tyłu. Zmierzali w przeciwnym kierunku. Z obu stron drogi dobiegały odosobnione, prawie nieludzkie krzyki i jęki, podobne do tych, które w jego przekonaniu można usłyszeć na pobojowisku. Nie zatrzymywał się, z wyjątkiem jednego razu, gdy usłyszał dziecko wzywające rodziców. Przez chwilę nasłuchiwał i kręcił się w kółko, próbując odnaleźć źródło głosu i wołając w odpowiedzi, ale dziecko umilkło, być może ze strachu przed obcym, i w końcu przestał go szukać.

Wszystko to trwało kilka godzin.

W którymś momencie na szczycie Wezuwiusza znowu pojawił się sierp światła i zaczął sunąć w dół, mniej więcej wzdłuż tej samej trajektorii, co poprzednio. Łuna była jaśniejsza i kiedy dotarła do wybrzeża, albo do tego, co brał za wybrzeże, nie zgasła od razu, lecz toczyła się jeszcze jakiś czas po morzu. Również i tym razem kamienna ulewa znacznie po niej osłabła, a łuna wydawała się raczej gasić, aniżeli wzniecać na nowo pożary na zboczach. Wkrótce potem zaczęła gasnąć pochodnia Atiliusza. Większość smoły już się wypaliła. Ruszył dalej z nową energią zrodzoną z lęku, ponieważ wiedział, że kiedy płomień zgaśnie, nic nie pomoże mu w ciemności. I kiedy ten moment nadszedł, był naprawdę straszny – straszniejszy, niż Atiliusz się obawiał. Jego nogi zniknęły i nie widział już nic, nawet dłoni przysuniętej do twarzy.

Pożary na zboczach Wezuwiusza również skurczyły się do tryskającej co jakiś czas fontanny pomarańczowych iskier. Kolejna czerwona błyskawica skąpała w różowym blasku bok czarnej chmury. Nie był już pewien, w którą stronę jest zwrócony. Był pozbawiony ciała, zupełnie sam, zakopany prawie po uda w kamieniu, a wokół niego wirowała i grzmiała ziemia. Odrzucił pochodnię i pochylił się, a potem rozłożył ręce i położył się tam, gdzie stał. Czuł, jak wokół jego ramion powoli gromadzi się całun pumeksu, i było to miłe uczucie, zupełnie jakby był dzieckiem i ktoś opatulał go w łóżku. Przyłożył policzek do ciepłych kamyków i ogarnął go wielki spokój. Jeżeli tak wygląda śmierć, nie jest wcale taka zła, może ją zaakceptować, nawet powitać, jak wita się dobrze zasłużony odpoczynek po trwającej przez cały dzień ciężkiej harówce przy akwedukcie.

W jego śnie grunt topił się, a on spadał, tocząc się w kaskadzie skał do środka ziemi.

• • •

Obudził go żar i swąd spalenizny.

Nie wiedział, jak długo spał. Wystarczająco długo, by pumeks prawie całkiem go pogrzebał. Leżał w grobie. Ogarnięty paniką, pchnął do przodu ręce i poczuł, jak przygniatający jego ramiona ciężar powoli ustępuje. Usłyszał grzechot osypujących się z niego kamyków. Po chwili podniósł się, potrząsnął głową i zaczął wypluwać kurz i mrugać energicznie, wciąż zakopany prawie do pasa.

Pumeks prawie zupełnie przestał padać – znajomy znak ostrzegawczy. W oddali, dokładnie przed sobą, nisko na niebie Atiliusz zobaczył znowu sierpowatą świecącą chmurę. Tyle że tym razem, zamiast poruszać się niczym kometa z prawej do lewej, sunęła szybko w dół, rozlewając się na boki i zmierzając prosto ku niemu. Za sobą zostawiała na południowych stokach góry pas czerni, który już po kilku chwilach, gdy żar znalazł świeżą podpałkę, stawał w ogniu. Poprzedzał ją niesiony gorącym jak z pieca

wiatrem łoskot tak potężny, że gdyby inżynier był Pliniuszem, zmieniłby metaforę i opisał zjawisko nie jako chmurę, lecz falę, kipiącą falę rozgrzanych do czerwoności wyziewów, od których paliły go policzki i łzawiły oczy. Czuł swąd własnych przypalonych włosów.

Wijąc się jak piskorz, próbował wypełznąć ze zwałów krępującego go pumeksu. Siarczany brzask sunął po niebie w jego stronę. Pośrodku rosło w nim coś ciemnego, coś, co wznosiło się nad ziemią, i zdał sobie sprawę, że w szkarłatnym blasku widzi odległe o niespełna pół mili miasto. Obraz rozjaśnił się. Zobaczył miejskie mury i wieże, kolumny pozbawionej dachu świątyni, rząd powybijanych ślepych okien – i ludzi, cienie ludzi, którzy biegali w panice wzdłuż fortyfikacji. Widok był wyraźny tylko przez chwilę, ale to wystarczyło, żeby rozpoznał Pompeje, a potem płonąca za nimi zorza powoli zgasła i razem z nią zniknęło miasto, tonąc na powrót w ciemności.

DILUCULUM

(godzina 6.00)

Nie powinno się sądzić, że po pierwszej eksplozywnej fazie najgorsze już minęło. Przewidzieć koniec erupcji jest jeszcze trudniej, niż przewidzieć jej początek.

Encyclopaedia of Volcanoes

Atiliusz zdjął hełm i posługując się nim niczym wiadrem, zaczął wbijać krawędź metalu w pumeks, nabierać go i sypać za siebie. Kopiąc, stopniowo dostrzegał blade zarysy swoich ramion. Na chwilę przerwał i przyjrzał im się w zachwycie. To takie trywialne, móc zobaczyć własne ręce, a mimo to chciało mu się płakać z radości. Nadchodził ranek. Rodził się w bólach nowy dzień. A on żył.

Skończył kopać, oswobodził nogi i stanął w miejscu. Nowe pożary, które wybuchły wysoko na Wezuwiuszu, pomogły mu odzyskać orientację. Być może był to tylko wytwór jego wyobraźni, ale zdawało mu się nawet, że widzi zarys miasta. W ciemności, wszędzie dookoła ciągnęła się równina pumeksu, upiorny, łagodnie pofalowany pejzaż. Ruszył w stronę Pompejów, zapadając się po kolana, spocony, spragniony, brudny, z gryzącym swądem spalenizny w nosie i gardle. Sądząc po bliskości miejskich murów, musi być gdzieś w porcie, a skoro tak, powinna tu gdzieś płynąć rzeka. Pumeks jednak zasypał Sarnus, który płynął teraz pod kamienną pustynią. W tumanach pyłu Atiliusz widział po obu stronach niskie murki i potykając się, zdał sobie sprawę, że to wcale nie ogrodzenia, lecz budynki, zasypane budynki, i że brnie do przodu na poziomie ich dachów. Warstwa pumeksu musiała mieć co najmniej siedem albo osiem stóp grubości.

Trudno było uwierzyć, że ludzie przeżyli takie bombardowanie. A jednak przeżyli. Widział ich wcześniej na miejskich murach i widział teraz, wypełzających z dziur w ziemi, z grobowców, w które zamieniły się ich domy – pojedyncze osoby, podtrzymujące się wzajemnie pary, całe rodziny, nawet matka z dzieckiem na ręku. Stali w ziarnistym brązowym półmroku, strzepując pył z ubrania i patrząc w niebo. Nie licząc kilku zabłąkanych pocisków, kamienna ulewa się skończyła. Lecz wkrótce zacznie się na nowo, Atiliusz był tego pewien. Dała się zauważyć pewna prawidłowość. Im silniejsza była sunąca po zboczach góry fala płonącego powietrza, tym więcej energii wydawała się odbierać burzy i tym dłużej trwała chwila ciszy. Nie ulegało jednak wątpliwości, że fale są coraz silniejsze. Pierwsza uderzyła, jak się zdaje, w Herkulanum, druga potoczyła się dalej, do morza, trzecia dotarła prawie do samych Pompejów. Następna mogła zmieść z powierzchni ziemi całe miasto. Atiliusz ruszył dalej.

Port zupełnie zniknął. Z morza pumeksu sterczało jedynie kilka masztów. Tylko zdruzgotany pomost rufowy i niewyraźny zarys kadłuba świadczyły o tym, że kiedyś cumowały tu statki. Słyszał morze, lecz jego szum dobiegał gdzieś z daleka. Linia wybrzeża zmieniła się. Ziemia co jakiś czas drżała i słyszał stłumiony odgłos pękających belek i walących się murów i dachów. Mknący z sykiem po ziemi kulisty piorun trafił w kolumnadę świątyni Wenus, wzniecając pożar. Coraz trudniej było

posuwać się do przodu. Wyczuwał, że idzie pod górę, i próbował wyobrazić sobie, jak wyglądał wcześniej port, którędy biegły drogi od nabrzeży ku miejskim bramom. W tumanach kurzu migotały pochodnie. Oczekiwał, że spotka tłumy ocalonych, którzy wykorzystają sposobność, żeby uciec z miasta, lecz cały ruch odbywał się w drugą stronę. Ludzie wracali do Pompejów. Po co? Może aby odszukać tych, których stracili? Sprawdzić, czy zdołają uratować coś ze swoich domów? Plądrować? Chciał im powiedzieć, żeby uciekali, póki mają jeszcze szansę, ale brakowało mu tchu. Jakiś mężczyzna odepchnął go na bok i wyprzedził, kolebiąc się na boki niczym marionetka i wspinając po zwałach kamieni.

Atiliusz dotarł do szczytu biegnącej pod górę drogi. Wyciągając przed siebie w półmroku ręce, trafił w końcu na róg potężnej kamiennej ściany i obszedł ją dookoła aż do niskiego tunelu, który był wszystkim, co zostało z wielkiej miejskiej bramy. Wyprostowawszy się, mógł dotknąć palcami jej sklepienia. Ktoś podbiegł do niego z tyłu i złapał za rękę.

– Widziałeś moją żonę?

Młody mężczyzna był przystojny i wymuskany, jakby wybrał się na przechadzkę przed śniadaniem. W jednej ręce trzymał lampkę oliwną, a drugą osłaniał płomień. Atiliusz zauważył, że ma wymanikiurowane paznokcie.

– Przykro mi…

– Julia Feliks? Musisz ją znać. Wszyscy ją znają. – Głos mężczyzny drżał. – Czy ktoś widział Julię Feliks?! – zawołał.

Dookoła poruszyły się cienie i Atiliusz zdał sobie sprawę, że w pobliżu jest kilkanaście osób, stłoczonych, szukających schronienia w bramie.

– Nie szła tędy – mruknął ktoś.

Młody mężczyzna jęknął i potykając się, pobiegł w głąb miasta.

– Julio! Julio! – Jego głos cichł, migocząca lampka zniknęła w mroku. – Julio!

– Co to za brama? – zapytał głośno Atiliusz.

– Stabiańska – odparł ten sam mężczyzna co wcześniej.

– Więc tamtędy idzie się do Bramy Wezuwiańskiej?

– Nie mów mu! – syknął ktoś. – To obcy, przyszedł nas obrabować!

Kolejni ludzie z pochodniami wspinali się drogą z portu.

– Złodzieje! – wrzasnęła kobieta. – Nikt nie pilnuje naszej własności! Złodzieje!

W powietrzu śmignęła pięść, ktoś zaklął i nagle w wąskim przejściu zakotłowały się ciała i zafalowały pochodnie. Inżynier pokuśtykał do przodu, trzymając się ściany i depcząc leżących. Usłyszał głośne przekleństwo i wokół jego kostki zacisnęły się czyjeś palce. Wyrwał nogę z uścisku, dotarł do końca bramy i oglądając się, zobaczył, jak ktoś uderza kobietę w twarz pochodnią i jej włosy zajmują się ogniem. Jej krzyki ścigały go, gdy odwrócił się i pobiegł przed siebie, desperacko pragnąc uniknąć bijatyki, do której włączali się teraz ludzie z bocznych alejek, mężczyźni i kobiety wyłaniający się z mroku, cienie wynurzające się z cienia, ześlizgujące po pochyłości, żeby wziąć udział w walce.

Szaleństwo. Całe miasto ogarnięte jest szaleństwem.

Brnąc pod górę, starał się odgadnąć, gdzie jest. Był przekonany, że dotrze tą drogą do Bramy Wezuwiańskiej – daleko przed sobą widział pomarańczowe jęzory ognia sunące po zboczach góry – a to oznaczało, że gdzieś niedaleko, chyba właśnie przy tej ulicy, musi być dom Popidiuszów. Po jego lewej

stronie stał duży budynek bez dachu. Płonący w środku ogień oświetlał widoczną za oknem wielką brodatą głowę Bachusa. To chyba teatr? Po prawej widział kikuty domów sterczących niczym rząd spiłowanych zębów zaledwie kilka stóp nad ziemią. Ruszył chwiejnie w tamtym kierunku. Zobaczył poruszające się pochodnie. Kilka zapalonych ognisk. Ludzie ryli gorączkowo w ziemi, niektórzy deskami, kilku gołymi rękami. Inni wykrzykiwali jakieś imiona i wyciągali skrzynie, dywany, połamane meble. Jakaś staruszka krzyczała histerycznie. Dwaj mężczyźni walczyli o coś, nie widział o co, inny usiłował uciec z marmurowym popiersiem.

Atiliusz zobaczył zaprzęg zastygłych w bezruchu galopujących koni, które wyłoniły się nad nim z półmroku, i wpatrywał się w nie głupawo aż do momentu, kiedy zdał sobie sprawę, że to pomnik, który stoi na skrzyżowaniu ulic. Zawrócił w dół, minął budynek, w którym, jak pamiętał, mieściła się piekarnia, i w końcu zobaczył na ścianie na wysokości kolan niewyraźny napis: SĄSIEDZI LUCJUSZA POPIDIUSZA SEKUNDUSA POPIERAJĄ JEGO WYBÓR NA EDYLA. OKAŻE SIĘ GODNY TEGO URZĘDU.

• • •

Zdołał przecisnąć się przez okno od strony jednej z bocznych uliczek i stąpał po stertach gruzu, wołając ją po imieniu. Nigdzie nie było znaku życia.

Można było rozpoznać rozkład obu budynków na podstawie ścian pierwszego piętra. Dach nad atrium zawalił się, ale tam, gdzie teraz była płaska przestrzeń, musiał być wcześniej basen, a wyżej drugi dziedziniec. Atiliusz zajrzał do kilku pokojów, które mieściły się na piętrze. W środku były połamane meble, skorupy naczyń, strzępy draperii. Nawet pochyłe dachy zawaliły się pod ciężarem kamieni. Zwały pumeksu przemieszane były z terakotowymi płytkami, cegłami, popękanymi belkami. Znalazł pustą klatkę dla ptaków na balkonie i wszedł z niego do pustej, pozbawionej dachu sypialni. Był to najwyraźniej pokój młodej kobiety: porzucona biżuteria, grzebień, rozbite lustro. W brudnym półmroku zasypana szczątkami dachu lalka sprawiała groteskowe wrażenie martwego dziecka. Podniósł z łóżka coś, co wziął za koc, i zobaczył, że to płaszcz. Spróbował otworzyć drzwi, lecz były zaryglowane. Usiadł na łóżku i przyjrzał się uważniej płaszczowi.

Nigdy nie zwracał szczególnej uwagi na to, co noszą kobiety. Sabina powtarzała, że mogłaby chodzić w łachmanach i wcale by tego nie zauważył. Ale ten płaszcz, był tego pewien, należał do Korelii. Popidiusz powiedział, że ojciec zamknął ją w jej pokoju, a to jest sypialnia kobiety. Nie było śladu ciała, ani tutaj, ani na zewnątrz. Po raz pierwszy zbudziła się w nim nadzieja, że Korelia uciekła. Ale kiedy? I dokąd?

Obracając płaszcz w dłoniach, próbował zgadnąć, co zrobił Ampliatus. „Chciał uwięzić nas wszystkich” – to słowa Popidiusza. Zamknął pewnie wszystkie wyjścia i kazał domownikom zostać w środku. Ale musiał nadejść taki moment, koło wieczora, kiedy dachy zaczęły się walić i nawet Ampliatus zorientował się, że stary dom jest śmiertelną pułapką. Nie był człowiekiem, który poddałby się bez walki. Nie uciekłby jednak z miasta; to nie leżało w jego charakterze, a poza tym i tak nie zawędrowałby daleko. Nie, Ampliatus spróbowałby zaprowadzić swoją rodzinę w bezpieczne miejsce.

Atiliusz podniósł płaszcz Korelii do twarzy i wciągnął w nozdrza jej zapach. Być może próbowała uciec od ojca. Wystarczająco mocno go nienawidziła. Ale on nigdy nie pozwoliłby jej odejść. Domyślał się, że Ampliatus musiał zorganizować pochód, bardzo podobny do tego, który wyruszył z willi Pomponianusa w Stabie. Poduszki albo koce zawiązane na głowach. Pochodnie, żeby zapewnić trochę

światła. Wyszli na grad kamieni. I dokąd się udali? Gdzie było bezpiecznie? Starał się myśleć jak inżynier. Jakiego rodzaju dach jest dość mocny, żeby wytrzymać nacisk ośmiu stóp pumeksu? Nic płaskiego, to oczywiste. Coś zbudowanego przy użyciu nowoczesnych metod. Idealne byłoby sklepienie. Ale gdzie w Pompejach było nowoczesne sklepienie?

Rzucił płaszcz na podłogę i wyszedł na balkon.

• • •

Na ulicach były teraz setki ludzi, przemieszczających się w półmroku na poziomie dachów niczym mrówki, którym zniszczono kopiec. Niektórzy włóczyli się bez celu – zagubieni, oszołomieni, ogłupiali z rozpaczy. Zobaczył mężczyznę, który spokojnie zdjął ubranie i złożył je, jakby chciał popływać w morzu. Inni wydawali się zmierzać do jakiegoś celu, realizowali swoje indywidualne plany poszukiwań lub ucieczki. Złodzieje, a może byli to prawowici właściciele, któż to mógł wiedzieć, znikali w bocznych uliczkach z tym, co byli w stanie unieść. Najstraszniejsze wrażenie robiły wykrzykiwane żałośnie w ciemności imiona. Czy ktoś widział Felicia albo Pherusa; Werusa albo Apuleję, żonę Narcissusa; Spekulę albo adwokata Terentiusza Neo? Rodzice potracili dzieci. Dzieci stały, płacząc, przy ruinach domów. Pochodnie zwracały się ku Atiliuszowi w nadziei, że jest kimś innym – ojcem, mężem, bratem. Odsuwał je od siebie, odpowiadając wzruszeniem ramion na pytania, wspinając się ku Bramie Wezuwiańskiej i wytrwale licząc mijane przecznice – pierwsza, druga, trzecia… Przebycie każdej wydawało się trwać wieki i liczył na to, że nie zawodzi go pamięć.

Na południowych stokach góry, układając się w zawieszoną nisko na niebie skomplikowaną konstelację, płonęło co najmniej sto pożarów. Atiliusz nauczył się rozróżniać płomienie Wezuwiusza. Te były bezpieczne, stanowiły następstwo koszmaru, który minął. Przerażenie budziła w nim myśl o kolejnej świecącej chmurze, która mogła pojawić się na szczycie góry. To ona kazała mu brnąć dalej przez zdruzgotane miasto, mimo że obolałe nogi odmawiały posłuszeństwa.

Przy rogu czwartej przecznicy odnalazł rząd zasypanych w trzech czwartych sklepów i wdrapał się po zwałowisku na niski dach. Jego kalenica odcinała się wyraźnie na jasnym tle. Musiał się za nią palić ogień. Atiliusz przykucnął, a potem powoli wystawił głowę na zewnątrz. Po drugiej stronie zasypanego pumeksem placu budowy zobaczył dziewięć wysokich okien łaźni Ampliatusa. Każde oświetlone było jaskrawo, a nawet buńczucznie, pochodniami i licznymi lampkami oliwnymi. Widział wizerunki bogów na wewnętrznych ścianach i poruszające się na ich tle postacie. Brakowało tylko muzyki, żeby pomyśleć, że w środku odbywa się przyjęcie.

Ześlizgnął się na dół i ruszył przez ogrodzony plac budowy. Padające z okien światło było tak intensywne, że rzucało cień. Podchodząc bliżej, zorientował się, że widziane przez niego postacie to niewolnicy uprzątający pumeks, który dostał się do trzech wielkich komnat: przebieralni, *tepidarium* i *caldarium*. Tam gdzie okruchów było najwięcej, zgarniali je niczym śnieg drewnianymi szuflami, w innych miejscach wymiatali miotłami. Za nimi krzątał się Ampliatus, pokrzykując, że powinni bardziej przyłożyć się do roboty, co jakiś czas łapiąc szuflę albo miotłę, pokazując, jak mają to robić, a potem znowu obsesyjnie biegając tam i z powrotem. Atiliusz obserwował go przez chwilę skryty w ciemności, a potem ostrożnie ruszył w stronę środkowego pomieszczenia – *tepidarium*. Po jego drugiej stronie widział wejście do zwieńczonego kopułą *laconium*.

Nie mógł zakraść się tam niepostrzeżenie, więc wdrapał się po stercie pumeksu i wszedł przez otwarte okno. Jego buty zaskrzypiały na kamiennej posadzce; niewolnicy wbili w niego zaskoczony

wzrok. Był w połowie drogi do *laconium*, kiedy spostrzegł go Ampliatus.

– Akwariuszu! – zawołał i ruszył szybko w jego stronę, uśmiechając się i rozkładając szeroko ręce. – Akwariuszu! Spodziewałem się ciebie!

Miał rozciętą skroń i zlepione krwią włosy po lewej stronie głowy. Krew ciekła mu również z podrapanych policzków, żłobiąc czerwone bruzdy w białej skorupie kurzu. Uniesione kąciki ust upodobniały jego twarz do maski komedianta. W szeroko otwartych oczach odbijały się światła pochodni. Zaczął mówić dalej, zanim Atiliusz zdążył się odezwać.

– Musimy natychmiast uruchomić akwedukt. Wszystko jest gotowe, sam widzisz. Nic nie jest zniszczone. Możemy otworzyć łaźnie choćby jutro, jeśli tylko uda nam się doprowadzić wodę. – Mówił bardzo szybko, gorączkowo wyrzucając słowa, zaczynając kolejne zdanie, zanim skończył poprzednie. Tyle ma pomysłów! Wszystko już zaplanował. – Ludzie będą potrzebowali jedynego miejsca w mieście, które funkcjonuje. Będą musieli się wykąpać… na pewno się ubrudzą, doprowadzając to wszystko do porządku. Ale nie chodzi tylko o to. To będzie symbol, wokół którego się skupią. Czynne łaźnie wzbudzą w nich zaufanie. Zaufanie jest kluczem do wszystkiego. A kluczem do zdobycia zaufania jest woda. Więc woda jest najważniejsza, rozumiesz? Potrzebuję cię, akwariuszu. Podzielimy się pół na pół. Co ty na to?

– Gdzie jest Korelia?

– Korelia? – Ampliatus w dalszym ciągu starał się dobić z nim targu. – Chcesz Korelię? W zamian za wodę?

– Być może.

– Chodzi ci o małżeństwo? Chętnie się nad tym zastanowię. – Ampliatus wskazał za siebie kciukiem. – Jest tam. Ale chcę, żeby moi adwokaci spisali warunki.

Atiliusz odwrócił się i wszedł wąskim korytarzem do *laconium*. W małym pomieszczeniu oświetlonym płonącymi przy ścianach pochodniami siedzieli na kamiennych ławkach Korelia oraz jej matka i brat. Naprzeciwko nich miejsce zajął zarządca Skutariusz i olbrzymi odźwierny Massavo. Drugie wyjście prowadziło do *caldarium*. Kiedy inżynier wszedł do środka, Korelia podniosła wzrok.

– Musimy stąd wyjść – powiedział. – Pośpieszcie się. Wszyscy.

Stojący za jego plecami Ampliatus zablokował drzwi.

– O nie! – zaprotestował. – Nikt nie wychodzi. Przetrwaliśmy najgorsze. To nie jest moment, żeby uciekać. Pamiętajcie, co powiedziała wieszczka.

Atiliusz zignorował go.

– Posłuchaj – zwrócił się do Korelii, która siedziała jak sparaliżowana. – Sypiące się z nieba kamienie nie stanowią największego zagrożenia. O wiele gorzej jest, gdy przestają spadać i po zboczach góry wędrują ogniste wiatry. Widziałem je. Niszczą wszystko, co spotkają na swojej drodze.

– Nie, nie. Tutaj jesteśmy bezpieczniejsi niż gdzie indziej – upierał się Ampliatus. – Wierzcie mi. Te ściany mają trzy stopy grubości. Nic nam nie grozi.

– Nie grozi wam żar w parowej łaźni? – zwrócił się do nich wszystkich Atiliusz. – Nie słuchajcie go. Jeśli nadejdzie gorąca chmura, upieczecie się tu jak w piecu. Korelio… – Wyciągnął do niej rękę.

Dziewczyna zerknęła na odźwiernego. Inżynier zdał sobie sprawę, że są pod strażą, a *laconium* jest ich więzienną celą.

– Nikt nie wychodzi! – powtórzył Ampliatus. – Massavo!

Atiliusz złapał Korelię za przegub dłoni i próbował zaciągnąć ją do *caldarium*, zanim Massavo zdąży go zatrzymać, lecz olbrzym był od niego szybszy. Zasłonił własnym ciałem wyjście i kiedy Atiliusz chciał go odepchnąć, ten złapał go za szyję i powlókł z powrotem do *laconium*. Inżynier puścił Korelię i próbował odsunąć zaciskające się na jego gardle przedramię. Zwykle nieźle sobie radził w walce wręcz, lecz nie z przeciwnikiem takich rozmiarów i nie w chwili tak skrajnego wyczerpania. Usłyszał, jak Ampliatus rozkazuje odźwiernemu go zabić – „Skręć kark temu kurczakowi!" – a potem tuż przy jego uchu zaszumiał ogień. Massavo krzyknął z bólu i puścił go. Inżynier zobaczył Korelię z zaciśniętą w obu dłoniach pochodnią i klęczącego obok odźwiernego. Ampliatus zwrócił się do córki. W jego głosie słychać było niemal błagalny ton, kiedy wyciągał do niej ręce. Dziewczyna obróciła się na pięcie i cisnęła furkoczącą pochodnią w ojca, a potem skoczyła przez drzwi do *caldarium*, krzycząc do Atiliusza, żeby biegł za nią.

Zataczając się, pognał przez jaskrawo oświetloną salę, po nieskazitelnie czystej posadzce, a potem, minąwszy niewolników, wyskoczył przez okno w mrok i osypujące się kamienie. Kiedy byli w połowie placu, obejrzał się i wydawało mu się, że ojciec dziewczyny dał chyba za wygraną – z początku nie widać było pogoni – lecz Ampliatus w swoim szaleństwie nawet o tym nie myślał: nigdy nie dawał za wygraną. W oknie pojawiła się charakterystyczna sylwetka Massavo, któremu towarzyszył jego pan. Światło w oknie szybko podzieliło się na pojedyncze ogniki, gdy wręczono pochodnie niewolnikom. Kilkunastu mężczyzn uzbrojonych w miotły i szufle wyskoczyło z *caldarium* i ruszyło tyralierą przez plac.

Atiliuszowi wydawało się, że minęły całe wieki, zanim ześlizgując się i ponownie wspinając, wdrapali się w końcu na dach. Przez krótką chwilę musieli być widoczni na jego szczycie – to wystarczyło, by jeden z niewolników dostrzegł ich i krzyknął do innych. Lądując na dole po drugiej stronie, Atiliusz poczuł ostry ból w kostce. Trzymając Korelię za rękę, pokuśtykał kilkadziesiąt kroków pod górę. Kiedy na ulicy za nimi zamigotały pochodnie Ampliatusa, schronili się oboje w cieniu ściany. Droga ucieczki do Bramy Stabiańskiej została odcięta.

Pomyślał, że nie ma już żadnej nadziei. Byli wzięci w dwa ognie – płomienie pochodni oraz płomienie Wezuwiusza – i spoglądając dzikim wzrokiem to na jedne, to na drugie, zaczął dostrzegać słabą łunę, która formowała się w tym samym miejscu co poprzednio, wysoko na szczycie, tam skąd brały początek fale ognia. W desperacji przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Prawie natychmiast go odrzucił, uznając za absurd, lecz ta myśl nie dawała mu spokoju i nagle zdał sobie sprawę, że kołatała w zakamarkach jego umysłu przez cały czas. Bo czyż nie taka była w końcu logika jego poczynań? Podczas gdy inni tkwili w miejscu lub uciekali, on przez cały czas zbliżał się do Wezuwiusza – najpierw wędrując nadmorską drogą ze Stabie do Pompejów, a potem pod górę, z południowej do północnej części miasta. Może takie było od początku jego przeznaczenie?

Zerknął w stronę Wezuwiusza. Nie było wątpliwości: świetlisty czerw rósł z każdą chwilą.

– Możesz biec? – szepnął do Korelii.

– Tak.

– Więc biegnij, jak nie biegłaś jeszcze nigdy w życiu.

Odsunęli się od ściany. Ludzie Ampliatusa odwróceni byli do nich plecami i patrzyli w mrok, w stronę Bramy Stabiańskiej.

– Wy dwaj sprawdźcie boczne uliczki, wy trzej biegnijcie na dół! – zawołał milioner.

Nie pozostało im nic innego, jak brnąć przez morze pumeksu. Atiliusz zgrzytał zębami z bólu, który rozrywał mu kostkę, a Korelia była szybsza od niego, podobnie jak wtedy, gdy biegła pod górę w Misenum, podkasawszy suknię na wysokość ud i błyskając przed nim bladymi długimi nogami. Kuśtykając za nią, znów usłyszał krzyki.

– Tam poszli! Za mną! – darł się Ampliatus, ale kiedy dotarli do końca przecznicy i inżynier zerknął przez ramię, zobaczył za sobą tylko jedną kołyszącą się pochodnię. – Tchórze! – wrzeszczał milioner. – Czego się boicie?

Łatwo było zgadnąć, co skłoniło ich do buntu. Po zboczu Wezuwiusza spływała fala ognia, która z każdą chwilą stawała się coraz szersza, bardziej mętna, gorętsza od płomienia, rozpalona do białości. Tylko szaleniec wybiegałby jej naprzeciw. Nawet Massavo nie podążał już za swoim panem. Ludzie porzucili daremne próby odkopania swojego dobytku i pierzchali na dół. Atiliusz poczuł na twarzy żar. Palący wiatr wzbijał wirujące tumany popiołu i szczątków. Korelia posłała mu pytające spojrzenie, lecz on dał jej znak, żeby wbrew instynktowi i zdrowemu rozsądkowi biegła dalej pod górę. Minęli kolejną przecznicę. Została im tylko jedna. Przed nimi, na tle płonącego nieba, rysowała się Brama Wezuwiańska.

– Zaczekaj! – zawołał Ampliatus. – Korelio!

Lecz jego głos był coraz cichszy, milioner zostawał w tyle.

Atiliusz dotarł z pochyloną głową do rogu *castellum aquae* i na pół oślepiony pyłem, pociągnął Korelię wąską alejką w bok. Pumeks prawie całkowicie zasypał drzwi. Widać było tylko wąski trójkąt drewna. Kopnął go mocno i za trzecim razem zamek ustąpił i pumeks wsypał się przez drzwi. Atiliusz wepchnął Korelię do środka, po czym wślizgnął się za nią w nieprzeniknioną ciemność. Przed sobą słyszał plusk wody i po chwili wymacał skraj zbiornika. Ciągnąc dziewczynę za sobą, zanurzył się po pas w wodzie i zaczął szukać po omacku bolców mocujących zamontowaną przy ujściu kanału kratę. Znalazłszy je, zdjął ciężkie żelazo, pomógł Korelii wejść do kanału i wcisnął się tam w ślad za nią.

– Idź pod górę, jak daleko możesz.

Rozległ się łoskot jak podczas lawiny. Nie mogła słyszeć jego słów. Sam ich nie słyszał. Lecz wiedziona instynktem ruszyła do przodu, a on podążył za nią, kładąc ręce na jej biodrach, zmuszając, by uklękła i zanurzyła się jak najgłębiej. Przykrył ją własnym ciałem i przywarli do siebie w wodzie. A potem był już tylko palący żar i odór siarki w ciemnościach akweduktu, dokładnie pod murami miasta.

HORA ALTERA

(godzina 7.57)

> *Ludzkie ciało nie może przetrwać dłużej niż kilka chwil w temperaturze powyżej 200 stopni Celsjusza, zwłaszcza w szybko poruszającej się fali żaru. Próby zaczerpnięcia powietrza w gęstej chmurze gorącego popiołu prowadzą już po kilku oddechach do utraty przytomności z powodu braku tlenu, a także do poważnych oparzeń dróg oddechowych… Z drugiej strony możliwe jest przetrwanie w miejscach oddalonych od czoła fali, jeśli istnieje odpowiednia osłona przed jej potokiem i wysoką temperaturą, a także pociskami (skałami, materiałami budowlanymi), które zawiera w sobie poruszająca się chmura materii.*
>
> *Encyclopaedia of Volcanoes*

Świetlista burza piaskowa mknęła w dół w stronę Ampliatusa. Resztki ścian sypały się w gruzy, waliły się dachy. Płytki i cegły, belki, kamienie i ludzkie ciała frunęły ku niemu i działo się to tak powoli – takie przynajmniej odniósł wrażenie w tej długiej chwili przed śmiercią – że widział, jak obracają się w blasku. A potem fala uderzyła go, przebiła mu bębenki w uszach, zapaliła włosy, zdarła z niego ubranie i buty, okręciła wokół własnej osi i cisnęła o ścianę budynku.

Zanim umarł, fala zdążyła dotrzeć do łaźni i wpadła tam przez otwarte okna, dusząc jego żonę, która posłuszna do samego końca, pozostała na swoim miejscu w *laconium*. Dopadła jego syna, uciekającego z domu i pragnącego schronić się w świątyni Izydy. Uniosła go, a potem objęła zarządcę i odźwiernego Massavo, pędzących w dół ulicą w stronę Bramy Stabiańskiej. Zalała burdel, do którego Afrikanus wrócił po swoje rzeczy i gdzie Zmyrina kryła się pod łóżkiem Eksomniusza. Zabiła Brebiksa, który na początku erupcji udał się do szkoły gladiatorów, aby być razem ze swoimi byłymi towarzyszami, a także Musę i Korwinusa, którzy postanowili z nim zostać, ufając, że wie, jak stawić czoło takiemu zagrożeniu. Zabiła nawet wiernego Politesa, który schronił się wcześniej w porcie i wracał do miasta, żeby zobaczyć, czy może w czymś pomóc Korelii. W ciągu niespełna pół minuty zabiła ponad dwa tysiące osób, układając ich zwłoki w szeregu groteskowych *tableaux*, którym mieli się później przypatrywać potomni.

Bo chociaż ich włosy i ubrania spłonęły, pozbawiony dopływu tlenu ogień zgasł bardzo szybko i miasto pokryła gruba na sześć stóp warstwa drobnego popiołu, który przywędrował w ślad za falą żaru i oblepił dokładnie ciała ofiar. Popiół stwardniał. Potem spadło jeszcze więcej pumeksu. Skryte w swoich ciepłych jamach ciała szczezły, a razem z nimi, z biegiem stuleci, wszelka pamięć o tym, że kiedyś istniało tutaj miasto. Pompeje stały się miastem idealnie wydrążonych obywateli – stłoczonych razem bądź samotnych, pozbawionych szat albo z ubraniami uniesionymi nad głową, sięgających bezradnie po swoje ulubione drobiazgi, bądź też trzymających się kurczowo nicości – pustymi odlewami zawieszonymi w powietrzu na poziomie dachów.

• • •

W Stabie gorący wiatr porwał prowizoryczny namiot z żagla *Minerwy* i uniósł go nad plażą. Pozbawieni osłony ludzie widzieli, jak świetlista chmura przetacza się nad Pompejami i zmierza prosto w ich stronę.

Wszyscy uciekli, Pomponianus i Popidiusz jako jedni z pierwszych.

Chcieli zabrać ze sobą Pliniusza. Torkwatus i Aleksjon wzięli go pod ręce i dźwignęli na nogi, lecz admirał miał już dość wędrówki i kiedy powiedział im szorstko, żeby go zostawili i ratowali się sami, wiedzieli, że nie żartuje. Aleksjon zebrał jego zapiski i obiecał, że odda je siostrzeńcowi. Torkwatus zasalutował. Pliniusz został sam.

Zrobił wszystko, co mógł. Zmierzył czas trwania wszystkich faz manifestacji. Opisał je – fazę kolumny, chmury, burzy i ognia – i robiąc to, wyczerpał zasoby swojego słownika. Przeżył długie życie, widział wiele rzeczy i teraz Natura pozwoliła mu po raz ostatni zgłębić swoją potęgę. W ostatnich chwilach życia obserwował świat tak samo wnikliwie jak w młodości – czyż człowiek może prosić los o większy dar?

Linia światła była bardzo jasna, mimo to migotały w niej cienie. Cóż to może oznaczać? Wciąż był ciekaw.

Ludzie mylą pomiar ze zrozumieniem. I zawsze umieszczają się w centrum wszechrzeczy. Na tym polega ich największe zarozumialstwo. Ziemia robi się coraz cieplejsza – to musi być nasza wina! Góra sieje zniszczenie, bo nie przebłagaliśmy bogów! Pada za dużo, pada za mało – jakaż to pociecha, że te zjawiska są jakoś związane z naszym zachowaniem, że jeśli tylko będziemy żyli trochę lepiej, trochę skromniej, nasza cnota zostanie wynagrodzona. Ale oto widział przed sobą Naturę – niepoznawalną, niepokonaną, obojętną – i w jej ogniach dostrzegał śmieszność ludzkich roszczeń.

Ciężko było oddychać, nawet stać na wietrze. Powietrze wypełniał popiół, ostry pył i straszliwy blask. Ból w piersi dławił go niczym żelazna obręcz. Zatoczył się do tyłu.

Staw temu czoło, nie poddawaj się.

Staw temu czoło jak Rzymianin.

Po chwili wchłonęła go fala.

• • •

Erupcja trwała aż do końca dnia, z kolejnymi wypływami lawy i głośnymi wybuchami, od których kołysała się ziemia. Pod wieczór ich siła zmalała i zaczęło padać. Deszcz ugasił pożary, oczyścił powietrze z popiołu i skropił szare ruchome wydmy i doliny, które pokryły żyzną pompejańską równinę i piękne wybrzeże od Herkulanum aż po Stabie. Napełnił studnie, zasilił źródła i wytyczył linie nowych strumieni, które popłynęły zakosami do morza. Rzeka Sarnus zmieniła swój bieg.

Kiedy się przejaśniło, ukazał się Wezuwiusz, lecz jego kształt był całkowicie odmieniony. Na samej górze nie było wyniosłego szczytu, lecz zagłębienie, jakby z wierzchołka został odgryziony wielki kęs. Nad odmienionym światem wzeszedł ogromny, zaczerwieniony od pyłu księżyc.

Ciało Pliniusza zabrano z plaży – według jego siostrzeńca „wyglądał bardziej na śpiącego niż na martwego” – i przewieziono do Misenum razem z jego zapiskami. Okazały się one tak dokładne, że do słownika nauki weszło nowe słowo: „pliniański”, oznaczające „erupcję wulkaniczną, w której

z centralnego komina wyrzucany jest z wielką siłą wąski strumień gazu, który dopiero na wysokości kilku mil zaczyna się rozszerzać na boki”.

Aqua Augusta płynęła dalej, jak to miała czynić przez następne stulecia.

Ludzie, którzy uciekli ze swoich domów na wschodnich stokach góry, zaczęli ostrożnie wracać przed nastaniem nocy. Wkrótce zaczęło krążyć wiele opowieści i plotek. Powiadano, że pewna kobieta urodziła kamienne dziecko, widziano także skały, ożywające i przybierające ludzką postać. Drzewa rosnące po jednej stronie drogi do Noli przeszły na jej drugą stronę i zrodziły tajemnicze zielone owoce, które leczyły podobno każdą dolegliwość, od robaków po ślepotę.

Wiele było również opowieści o cudownym ocaleniu. Pewien ślepy niewolnik zdołał podobno uciec z Pompejów i ukrył się w brzuchu martwego konia przy drodze do Stabie, chroniąc się w ten sposób przed kamieniami i żarem. Znaleziono dwoje jasnowłosych pięknych dzieci – bliźnięta – które błąkały się w złotych szatach, bez jednego zadrapania na ciele, lecz mimo to straciły głos; zostały wysłane do Rzymu i zamieszkały w cesarskim pałacu.

Najczęściej powtarzano sobie legendę o mężczyźnie i kobiecie, wyłaniających się o zmierzchu spod ziemi w dniu, w którym zakończyła się erupcja. Powiadano, że przebyli pod ziemią niczym krety kilka mil, całą drogę z Pompejów, i wyszli na powierzchnię w wolnym od pyłu miejscu, zlani życiodajną wodą podziemnej rzeki, która otoczyła ich swoją świętą opieką. Widziano podobno, jak szli w stronę wybrzeża, kiedy słońce zachodziło nad poszarpanym konturem Wezuwiusza, a wiejąca od Capri wieczorna bryza niosła popiół z ruchomych wydm.

Historia ta wydawała się jednak zbyt niedorzeczna i wszyscy rozsądni ludzie podważali jej prawdziwość, traktując jako przejaw wiary w zabobony.

PODZIĘKOWANIA

W tych księgach powplatałem imiona autorów. Jest bowiem rzeczą uprzejmości (jak mi się wydaje) i wrodzonego poczucia przyzwoitości przyznać się, z kogo się korzystało…

Pliniusz, *Historia naturalna*,
Przedmowa, przeł. Irena i Tadeusz Zawadzcy

Nie mogę, niestety, wzorem Pliniusza twierdzić, iż zbierając materiały do tej książki, przewertowałem dwa tysiące tomów. Nie napisałbym jej jednak, nie zapoznawszy się z dziełami naukowymi wielu osób, i podobnie jak Pliniusz uważam, że będzie „rzeczą uprzejmości" – przynajmniej dla mnie, jeśli nie dla nich – wskazanie części moich źródeł.

Poza autorami cytowanych w tekście prac na temat wulkanologii, wśród tych, którym mam do spłacenia dług wdzięczności, są: Jean-Pierre Adam (*Roman Building*), Carlin A. Barton (*Roman Honor*), Mary Beagon (*Roman Nature*), Marcel Brion (*Pompeii and Herculaneum*), Lionel Casson (*The Ancient Mariners*), John D'Arms (*Romans on the Bay of Naples*), Joseph Jay Deiss (*Herculaneum*), George Hauck (*The Aqueduct of Nemausus*), John F. Healy (*Pliny the Elder on Science and Technology*), James Higginbotham (*Piscinae*), A. Trevor Hodge (*Roman Aqueducts & Water Supply*), Wilhelmina Feemster Jashemski (*The Gardens of Pompeii*), Wilhelm Jongman (*The Economy and Society of Pompeii*), Ray Laurence (*Roman Pompeii*), Amedeo Maiuri (*Pompeii*), August Mau (*Pompeii: Its Life and Art*), David Moore (*The Roman Pantheon*), Salvatore Nappo (*Pompeii: Guide to the Lost City*), L. Richardson, Jr (*Pompeii: An Architectural History*), Chester G. Starr (*The Roman Imperial Navy*), Antonio Varone (*Pompei, I misteri di una citta sepolta*), Andrew Wallace-Hadrill (*Houses nad Society in Pompeii and Herculaneum*) oraz Paul Zanker (*Pompeii: Public and Private Life*).

Przekłady Pliniusza, Seneki i Strabona zaczerpnięte są w większości z wydań ich dzieł opublikowanych przez Loeb Classical Library. Skorzystałem również z wydania *Ten Books on Architecture* Witruwiusza, opublikowanego przez Ingrid D. Rowland i Thomasa Noble'a Howe'a. Wydany przez Richarda J.A. Talberta *Barrington Atlas of the Greek and Roman World* pomógł mi ożywić antyczną Kampanię. Nieoceniona okazała się także zamieszczona w *The American Journal of Archaeology* (rocznik 1986, ss. 39–51) wulkanologiczna analiza erupcji Haraldura Sigurdssona, Stanforda Cashdollara i Stephena R.J. Sparksa.

Z wielką przyjemnością dyskutowałem o Rzymianach z Johnem D'Armsem podczas obiadu, który zjedliśmy z jego rodziną w odpowiednio upalne popołudnie w angielskim ogrodzie przy brzegu Zatoki Neapolitańskiej; działo się to tuż przed jego śmiercią i na zawsze zapamiętam wypowiedziane przez niego życzliwe słowa zachęty. Profesor A. Trevor Hodge, którego praca na temat rzymskich akweduktów była kluczowa w wyobrażeniu sobie *Aqua Augusta*, chętnie odpowiedział na moje pytania.

Dzięki wstawiennictwu doktora Jaspera Griffina mogłem skorzystać z biblioteki Ashmolean Museum w Oksfordzie. Doktor Mary Beldham, członkini Newham College w Cambridge, przeczytała rękopis przed publikacją i podsunęła mi wiele bezcennych sugestii.

Wszystkim tym uczonym winien jestem podziękowania oraz tradycyjne zapewnienie, które ma na celu ochronę ich dobrego imienia: za wszelkie zawarte w tekście pomyłki, błędne interpretacje i nieścisłości odpowiedzialność ponosi wyłącznie autor.

Robert Harris

Kintbury, czerwiec 2003